

Jim C. Hines

Droga Goblina

Przełożyła Dominika Schimscheiner

fabryka słów

Lublin 2008



W ŚWIECIE GOBLINA:

1. Zadanie Goblina

2. Droga Goblina

Jig nigdy nie chciał być bohaterem...

Chciał tylko, żeby inne gobliny przestały się nad nim znęcać. Jednakże pewnego dnia został porwany przez drużynę herosów z powierzchni i zmuszony do uczestnictwa w awanturniczej wyprawie. W ten sposób, wbrew woli, stał się żywą legendą. I choć po powrocie zaczepki ustały, zaczęto zwać na niego całą czarną robotę, powierzając mu zadania, których nikt inny nie chciał się podjąć, czyli zadania niebezpieczne.

Kiedy więc okazało się, że w dolnych tunelach, władanych onegdaj przez Nekromantę oraz smoka (zglądzonych za sprawą Jiga zresztą), czai się zło, które zagraża wszystkim istotom zamieszkującym górę, to właśnie na niego spadł ciężar zażegnania niebezpieczeństwa.

Obarczony wyjątkowo żalosną kompanią, mając za przewodnika ogra - który aż nazbyt wyraźnie dał do zrozumienia, jaka jest cena ewentualnej porażki - Jig wyszedł na spotkanie niechybnej śmierci.

Właściwie najchętniej wybiegłby jej naprzeciw, bo nie miał pojęcia, jak inaczej udowodnić, że wcale nie jest żadnym bohaterem...

Podziękowania

Z ogromną przyjemnością oddaję Wam do rąk „Drogę Goblina”. Biedny Jig nie był zachwycony Wizją kolejnej przygody, ale cóż, to jego problem.

Podobnie jak pierwsza część, tak i ta nie powstałaby bez pomocy wielu osób.

Przede wszystkim chciałbym podziękować Sheili Gilbert, mojemu wydawcy. Nie tylko dlatego, że wykazując się ogromną przenikliwością, zakupiła moje teksty, ale również dlatego, że dzięki jej sugestiom „Droga Goblina” jest znacznie lepszą książką. Dziękuję także Debrze Euler oraz innym wspaniałym ludziom pracującym w DAW Books.

Malowi Grantowi ponownie udało się stworzyć niesamowitą okładkę.

Mojemu agentowi Steve'owi Mancino należą się ogromne brawa (nie wspominając o wielkiej pizzy) za całą jego ciężką pracę. Nie tylko pomógł mi sprzedać tekst DAW Books, ale to dzięki niemu właśnie z moimi historiami mogą zapoznać się czytelnicy w Rosji, Niemczech oraz Czechach. Jeśli chcielibyście zakupić wersję rosyjską, szukajcie (po rosyjsku).

Dziękuję też osobom, które czytały i oceniały wczesne szkice moich powieści, szczególnie Catherine Shaffer, Heather Poppink, Mike Jasper oraz Teddi Baer. A także moim wirtualnym przyjaciółom, którzy poczytywali fragmenty tekstów, wspierali mnie i zagrzewali do pracy.

Amy, mojej ukochanej żonie, oraz moim małym gobliniątkom Skylar i Jamie - nie potrafię wyrazić słowami, ile znaczy dla mnie wasza miłość i wsparcie.

I wreszcie Czytelnikom - wyrazy wdzięczności od skromnego pisarza. Jestem zaszczycony i jednocześnie szczęśliwy, mogąc podzielić się z Wami drugą częścią przygód goblina. Mam nadzieję, że Wam się spodoba.

Ballada o Jigu

*na melodię biesiadnej piosenki czarodziejów Śródkraina" (znanej pod innym tytułem:
„Hej, Feniksy")*

*W góry mroki zeszło czterech
Bohaterów jakich wiele
Pragną chwały wiecznej sławy
Skarbów, przygód, bitew wrzawy*

*Hej, hej, hej herosi
Nikt was tutaj w labirynty nie zaprosił
Zbyt nie szafowanie butą
Może skończyć się porutą*

*Hej, hej, hej gobliny
Nie wystarczą was dziesiątki ni tuziny
Uciekajcie więc do nory
Nie sięgajcie po swą broń*

*Wnet się jeden goblin ostał
Ostrzem, strzałą w łeb nie dostał
Spętali go, nie zabili
Przewodnikiem uczynili*

*Hej, hej, hej herosi
Pozwalacie miecz przy boku jemu nosić
Nie znamieniem to odwagi
Tylko głupiej nierozwagi*

*Hej, hej, hej goblinie
Miej odwagę i przebiegłość wykaż w czynie
Prowadź wrogów w grozy paszczę
Tunelami wiedz na śmierć*

*Poszli w dół, gdzie inne grupy
Napotkały żywe trupy
Mało głów nie potracili
Raną walkę opłacili*

*Hej, hej, hej herosi
Wnet o pomoc figa trzeba będzie prosić
Nie wam bowiem iść w zawody
Z Nekromantą pierwszej wody*

*Hej, hej, hej goblinie
Tyś wojownik jeden silny w tej głębinie
Ramię masz i ostrze mocne
Nekromancie miecz swój wraź*

*Snadź ruszyli w dalszą drogę
Spotkać jeszcze większą trwogę
Smok potężny na nich czeka
Wypatruje ich z daleka*

*Hej, hej, hej herosi
Pamiętajcie co wieść wszem i wobec głosi
Smoka spryt jest niezrównany
Pancerz z łusek ośpiewany*

*Hej, hej, hej goblinie
Nic nie przyjdzie dzisiaj po złęknionej minie
Oręż chwytaj w rękę silną
Bestii przynieś życia kres*

*Nie drgną nawet bohaterzy
Jig oszczepem w monstrum mierzy
Boska ręka nim kieruje
Oko smocze fastryguje*

*Hej, hej, hej herosi
Krew potwora lica wasze blade rosi
Wyście jak te głupki stali
Znów wam tyłki Jig ocalił*

*Hej, hej, hej goblinie
Nie wierz więcej żadnej podlej ludzkiej drwinie
Tyś prawdziwym smokobójcą
Wypnij dumie swoją pierś*

Rozdział pierwszy

*Jak to się dzieje, że gobliny nigdy
nie żyją długo i szczęśliwie?*

[Jig Smokobójca]

Goblin Jig nie był żadnym wojownikiem. Jego kończyny przypominały niebieskie patyczki, rozdarte ucho wyraźnie zwisało na jedną stronę, a kły ledwie wystawały ponad górną wargę. W dzieciństwie wiecznie dostawały mu się syfne dyżury - targając uwieszony na ramieniu garnek ze zrąca mazią, napełniał zagłębienia w skalnych niszach, podsycając ogień oświetlający jaskinie. Jego ubrania, włosy, a nawet skórę przepajał ohydny odór rozkładających się szczątków roślin, z których wytwarzano syfie. Ale syfne dyżury nie były jeszcze najgorsze. Nie chciał nawet wspominać okresów, kiedy dla odmiany czyścił wychodki.

Wyprawa, w której brał udział rok temu, wcale go nie zmieniła. No, prawie wcale. Od tamtej pory bowiem miewał koszmary: o smoku Straumie, który powraca, aby go pożreć; o Nekromancie, który zaklęciem wysysa z niego życie, a potem zamienia go w proch; o gigantycznych ścierwojadach, które wpełzają mu do łóżka a także o...

Jig potrząsnął głową, usiłując odepchnąć straszne wizje. W każdym razie pozostał tym samym ślepowym cherlakiem, co przedtem. No, może z jedną drobną różnicą, ponieważ ze smoczego gniazda wyniósł potężny skarb - umiejętność leczenia ran.

Ze względu na specyficzny styl życia goblinów jako uzdrowiciel stał się jednym z najbardziej zapracowanych mieszkańców jaskini.

Jego aktualny pacjent, muskularny goblin o imieniu Braf, posiadał wzorcowe cechy ideału goblinińskiego wojownika. Był bardzo duży, bardzo silny i bardzo tępy - nawet jak na goblina. Braf zdołał sobie jakimś niepojętym sposobem wbić głęboko do nozdrza własny kieł.

Jig pokręcił głową z niedowierzaniem. Głupota Brafu wzniosła się ponad wszelkie pułapy i poszybowała gdzie wzrok nie sięga, triumfalnie wyznaczając nowe granice gobliniego bałwaństwa.

Brudny gałgan zawiązany pod brodą utrzymywał szczękę Brafu nieruchomo. Krew i inne wydzieliny zabarwiły szmatkę na granatowo. Poszkodowany otarł nos wierzchem dłoni,

chwilowo zatrzymując wyciek. Obejrzał z zainteresowaniem upapraną śluzem rękę, po czym oczyścił ją o przyciasną skórzaną kamizelkę.

- Dasz radę coś z tym zrobić? - wymamrotał niewyraźnie.

- Nie odzywaj się - poinstruował go Jig, przymykając oczy.

Długo jeszcze?

Tymalous Ciemnogwiazdy, zapomniany bóg Jesiennej Gwiazdy, wydał zdławiony chichot, słyszalny tylko dla Jiga.

Wybacz, staram się. Wypowiedź boga zakończyła się salwą perlistego śmiechu.

Jig odkrył istnienie Tymalouisa Ciemnogwiazdego i wybrał go sobie na boga podczas zeszłorocznej wyprawy. A może to Ciemnogwiazdy odkrył istnienie Jiga i wybrał go sobie na wyznawcę? W każdym razie to on właśnie obdarzył Jiga mocą leczenia goblinów. Jig nadal nie do końca rozumiał, co Ciemnogwiazdy z tego ma. Czasami podejrzewał, że bóg obdarzył go mocą dla własnej rozrywki.

Swoją drogą, nie rozumiem, jak można sobie coś takiego zrobić?, zachichotał Ciemnogwiazdy.

Braf jest bystry jak woda w kałuży, odparł Jig. *Ale przypuszczam, że ktoś mu pomógł.* Ktoś musiał przy nim być, skoro goblin miał obwiązaną głowę i nadal żył. Bo gdyby sam próbował zrobić sobie opatrunek, przy okazji pewnie by się powiesił.

Goblino! Dlaczego akurat goblino?

Jig wysłuchiwał podobnych biadoleń, odkąd poznał boga. Zwykle w takiej chwili zaczynał bronić swoich współplemieńców, wyliczając osiągnięcia goblinów na przestrzeni ostatniego roku, na przykład zawarcie kruchego rozejmu z hobgoblinami zamieszkującymi tereny w głębi góry czy zablokowanie wejścia do tuneli, a tym samym zabezpieczenie labiryntów przed drużynami herosów z powierzchni. Jednak gdy spojrzał na Brafę, odeszła mu ochota na dyskusje.

Możemy zaczynać, rzekł Ciemnogwiazdy.

- Świetnie. - Jig przeszedł przez niewielką świątynię, starannie unikając patrzenia na sklepienie z mozaiką. Barwne łuski szkliska przedstawiały wizerunek zapomnianego boga - wysokiego, bladoliczego mężczyzny w czarnym odzieniu z rzędami maleńkich dzwoneczków wzdłuż rękawów oraz nogawek. Kłęby gryzącego dymu z syfnych latarni unosiły się wysoko, nie sięgając jednak jasnego oblicza. Na twarzy boga widniał wyraźny kpiący uśmiezek, którego jeszcze kilka godzin wcześniej tam nie było.

Nakrywając dłonią nos Brafa, Jig musiał powściągnąć grymas obrzydzenia. Gobliny nie grzeszyły urodą, a Braf, jeśli o to chodzi, mógłby zostać świętym. Jego cerę szpeciły dzioby po przebytych chorobach, a zdeformowany nos do złudzenia przypominał ciężarną ropuchę przysiadłą na środku twarzy.

Ciemnogwiazdy rozchichotał się na nowo.

Wygląda jak ropucha z wielkim żółtym kłem w...

- Nie ruszaj się. - Jig odchylił pacjentowi głowę, wsunął palec pod opatrunek i czekał na znajome oznaki napływu magii. Za każdym razem, gdy Ciemnogwiazdy napełniał go strumieniem leczniczej energii, Jig miał wrażenie rozdymania. Drgnął niespokojnie, czując, jak moc rozgrzewa mu dłonie.

Zanim zdołał uczynić więcej, na barku wylądował mu świecący pomarańczowy owad. Robak zaczął pełznąć w dół ramienia i Jig wyszarpnął rękę spod gałgana. Tylko tego brakowało, żeby w nosie Brafa znalazło się też ciało obce. Jig pacnął insekta, fundując sobie na ramieniu wątpliwą ozdobę z pomarańczowej miazgi. Dwa inne owady rozbrzęczały się nad jego głową.

- Co to takiego? - zainteresował się Braf.

- Nie wiem. Pojawiły się kilka tygodni temu. - Jig odgonił insekty w stronę pajęczyny rozpiętej w rogu świątyni. - I przestań gadać!

Owady odleciały, a Jig plasnął dłonią o spuchnięty nos Brafa.

Tylko powoli, rzucił ostrzegawczo Ciemnogwiazdy.

Milimetr po milimetrze Jig zaczął wyciągać kiel z nozdrza. Usilnie ignorował ciekący mu po palcach granatowy śluz, nieprzyjemne wrażenie przesuwającego się pod skórą kła oraz odgłos tarcia zęba o kość.

Braf zrobił zeza. Dłonie Jiga rozgrzały się mocniej, a pulsujące opuszki zmieniły się nagle w spuchnięte bulwy. Nad głową Brafa krążyły pomarańczowe owady. Jig poczuł w rękach mrowienie.

Teraz, nakazał Ciemnogwiazdy.

Jig wysunął kiel do końca i w tej samej chwili rozległ się chrzęst zuchwy wskakującej w panewkę stawową. Zirytowany Jig machnął ręką, próbując trzepnąć natrętnego insekta. Nie trafił, a niebieska maź obryzgała wizerunek boga na sklepieniu.

Braf kichnął. Ostrożnie pomacał nos, a jego zakrwawioną twarz opromienił szeroki uśmiech.

- Dzięki, Jig!

Jig zdjął zachlapane śluzem oraz krwią okulary i wytarł soczewki o spodnie.

- A teraz powiedz, jak to się stało? Sam sobie to zrobiłeś?

- Stałem na warcie - zaczął Braf. - Drugi strażnik twierdził, że nie dam rady dotknąć nosa kłębem. Założyliśmy się, a kiedy przegrał, wałnął mnie w szczękę.

Doskonały wzorzec kulturowy gobliniej rasy, parsknął Ciemnogwiazdy.

- A ty mu pewnie oddałeś?

- No jasne - roześmiał się Braf. Pomasował szczękę i pomaszerował do wyjścia. Zawahał się jednak, przystając w niskim przejściu. - Tylko nie mów nikomu, że tu byłem, dobra? No bo wiesz, niektóre gobliny cię nie lubią. Nie chcę, żeby...

- ... dowiedziały się, że przychodzisz po pomoc do pokurcza? - wycodził Jig przez zaciśnięte zęby. Niemal każdy goblin choć raz w ciągu minionego roku skorzystał z usług Jiga, ale żaden nie chciał się do tego przyznać.

- No właśnie! - ucieszył się Braf. - O to chodzi. Dzięki! - Zniknął w tunelu, zanim Jig znalazł coś, czym mógłby w niego cisnąć. Są rzeczy, które nigdy się nie zmieniają. Bez względu na to, ile by wyleczył goblinów i ile przeżył niebezpiecznych przygód, zawsze będzie dla nich tym samym chuderlawym, ślepowym cherlakiem.

Usiadł na ołtarzu, a z kąta wynurzył się duży, czerwono nakrapiany pająk. Jig wyciągnął rękę, aby umożliwić mu wdrapanie się na przymocowane do barku, poznaczone śladami przypaleń skórzane siodełko. Ogniste pająki rozgrzewały się, czując niebezpieczeństwo. Jig nieraz na własnej skórze doświadczył efektów zaniepokojenia pupila. Jednak mimo blizn po oparzeniach i tak wolał towarzystwo swojego Ciapka niż większości goblinów.

- Nie jest tak źle - mruknął. - Przynajmniej nie chcą mnie zabić. Bo kto by je wtedy leczył?

Westchnął na widok poplamionych krwią spodni. Kolejny postęp w wyniku zeszłorocznych wydarzeń dokonał się w jego stroju. Przez większość dorosłego życia chodził w starej, wyświechtanej przepasce biodrowej tak sztywnej od brudu, że po odpowiednim przerobieniu z powodzeniem mogła służyć za tarczę. Teraz nosił szare materiałowe spodnie oraz czarną, luźną koszulę. Od wyprawy nie rozstawał się też z mieczem, zaś na nogach nosił ulubione buty. Niebieskie cholewki zdobiła czerwona aplikacja w kształcie płomieni, a brzég okalało futerko.

A co najważniejsze, miał okulary. Dzięki dużym ametystowym soczewkom widział świat tak wyraźnie jak inne gobliny, no, może z wyjątkiem tego po bokach, którego szkła nie obejmowały. Stalowe oprawki trzymały się na nosie dzięki zahaczonym za szpiczaste uszy drucikom. Okulary uwierały go co prawda w okłapłe ucho - pamiątka po walce z innym goblinem - ale możliwość w miarę normalnego widzenia warta była tej odrobiny niewygody.

Ostatnio Ciemnogwiazdy zasugerował kolejny dodatek do garderoby - skarpetki. Sporo czasu zajęło Jigowi nakłonienie jednego z dzieci do utkania dwóch tunelików, ale po zszyciu końcówek rezultat przeszedł jego najśmielsze oczekiwania i okazał się dosłownie łaską boską. Wreszcie żadnych otarć, pęcherzy i niebieskich plam od farbujących butów, a najlepsze, że po ściągnięciu buty już tak strasznie nie cuchnęły.

- Jig?

Choć mówiącego skrywała ciemność korytarza, Jig nie miał wątpliwości, do kogo należy głos.

- Czego chcesz, Veko?

Goblinka wkroczyła do świątyni, szczelniej owijając zwalistą figurę długim czarnym płaszczem. Barczysta, krzepka Veka przysporzyła Jigowi wielu pacjentów z połamanymi nosami czy wybitymi zębami. Pracowała w syfiarni, ucierając na miazgę zgniłe porosty, martwe larwy świetlików oraz grzyby pieprzowe. W rezultacie cała przesiąkła smrodem rozkładających się szczątków, ręce miała pokryte zielonkawymi plamami, a oczy przekrwione od gryzących oparów mazi.

- Nie zauważyłam, żebyś podczas leczenia Brafy rzucił zaklęcie wiązania, jak więc to zrobiłeś? - spytała, akcentując wypowiedź teatralnym stuknięciem kostura. Zaklekotały przywiązane do kija rzemykami oraz warkoczykami z włosów drobne przedmioty - szklane paciorki, kawałki metalu, a nawet coś, co przypominało mumię palca.

Kostur, podobnie jak płaszcz, stanowił nieodłączną składową jej obsesji na punkcie magii. Obsesji, która, niestety, dotyczyła także Jiga.

- Nawet nie wiem, co to takiego to zaklęcie wiązania - stwierdził Jig, zeskakując z ołtarza. Ruszył w stronę tunelu z nadzieją, że uda mu się przemknąć obok goblinki.

Ale tarasująca przejście Veka nie drgnęła. Uniosła pięść i powoli rozcapierzyła palce, pomiędzy którymi zaczęły formować się wiązki słabego blasku, tworząc swego rodzaju świetlistą pajęczynę.

- Wiązanie to sposób, za pomocą którego czarodzieje przechwytyją wszechobecną moc.
To pierwszy krok w podróży ku...

W tym momencie na dłoni Veki przysiadł jeden z pomarańczowych owadów. Zaklęcie zamigotało i rozpląnęło się w niebycie.

- Głupi robak! - Pacnęła się w rękę, rozgniatając stworzenie.

- Słuchaj, Veka, nie mam teraz czasu na...

Nie pozwoliła mu dokończyć. Piorunując go wzrokiem, odstawiła kostur pod ścianę i z wewnętrznej kieszeni płaszcza wyciągnęła brązowy, poplamiony tom. Oderwana okładka została na powrót przyszyta, ale z księgi i tak wypadały luźne kartki.

- W rozdziale drugim Joska pisze, że Bohater znajdzie przewodnika, mentora, który poprowadzi go Droga. - Zamierzyła się na Jiga książką niczym mieczem. - Jesteś jedynym goblinem mającym jakieś pojęcie o magii, a nawet nie...

- Kto to Joska? - Jig cofnął się nieco.

Veka stuknęła w okładkę, na której połyskiwał srebrzysty, wytłoczony napis: Joska „Droga Bohatera - Wydanie dla magów”.

- Joska pisze, że każdy Bohater podąża tą samą Droga, która różni się tylko detalami. Potrzebuję mentora. Odmawiając nauk, uniemożliwiasz mi wstąpienie na moją Droga.

Uniesione wargi goblinki odsłaniały dolne zęby o długich, najwyraźniej świeżo zaostrzonych kłach. Jig uczynił kolejny krok do tyłu.

- Joska powinna napisać też wersję dla goblinów. Nie miałyby dużo pracy, wystarczyłyby dwa rozdziały. W pierwszym Bohater wyrusza na wyprawę. W drugim ginie w straszliwych męczarniach.

- Ale ty przeżyłeś. - W połączeniu z groźną miną jej ostatnie słowa brzmiały jak oskarżenie.

Od odpowiedzi wybawił Jiga odgłos ciężkiego tupotu w tunelu. Braf przecisnął się obok Veki, stając przed Jigiem.

- Zapomniałem, że wódz chce cię widzieć. Mówiła, że chodzi o ogra.

- Jakiego ogra? - zdumiał się Jig.

- Tego, który przybył zaraz po tym, jak... miałem wypadek - rzekł Braf, zerkając nerwowo na Vekę. - Zmasakrował kilku strażników. Mówił, że szuka Jiga Smokobójcy. Wódz kazała ci przyjść natychmiast.

Jig bez słowa chwycił latarnię i ruszył korytarzem prowadzącym do głównej jaskini. Rozkołysana pospiesznym krokiem lampa rzucała na ciemnoczerwone obsydianowe ściany zielonkawy blask. Z tyłu rozlegał się miarowy stukot kostura Veki.

- Czego ten ogr może chcieć? - zastanawiał się idący obok Jiga Braf.

- Bardziej mnie martwi, co wódz mi zrobi za to, że musiała czekać. - Odkąd Kralk objęła przywództwo nad goblinami, ciągle szukała sposobu na pozbycie się Jiga. Zmarszczył brwi, analizując relację Brafa. - Czemu tamci wartownicy nie przyszli, żebym ich uleczył?

- Jacy tamci?

- Ci, których pobił ogr.

Braf wybuchnął śmiechem.

- Jak wychodziłem, starsze gobliny zeskrobywały ich ze ścian.

Jig przełknął głośno ślinę i puścił się pędem.

* * *

Wejścia do jaskini pilnowało dwóch strażników. W tej części tunelu syfnie buzowały wesołym żółtozielonym płomieniem, dobrze oświetlając otoczenie. Jig nie przystanął, żeby przyjrzeć się świeżym granatowym packom na ścianach. Wchodząc do pieczary, stulił uszy. Ponieważ większość dnia spędzał w samotności, poza jaskinią, nawet przyciszony gwar nerwowych szeptów pięciu setek goblinów wydawał mu się strasznym hałasem.

Ciapek poruszył się niespokojnie na swoim siodełku, emitując falę żaru. Jig poczuł łaskotanie spływających po karku kropli potu. Nie potrzebował dodatkowego ostrzeżenia.

Ogra nie dało się nie zauważyć. Siedział w drugim końcu jaskini otoczony armią goblinów. Wymierzone w niego ostrza mieczy oraz groty włóczni drżały w rękach przerażonych wojowników. Ogr natomiast zdawał się nie zauważać najeżonego bronią kręgu.

Bo niby czym miałyby się przejmować? Jego zielona skóra wyglądała na wystarczająco grubą, by ochronić go przed goblinimi atakami. Dłonie miał wielkości głowy Jiga, a na podłodze siedział prawdopodobnie tylko dlatego, że wyprostowany zahaczałby łbem o sklepienie. Zęby ogra były co prawda krótsze niż kły goblinów, ale wystarczająco ostre, żeby odgryźć kończynę. Gołymi rękami mógłby sobie wywalczyć wolne przejście przez tłum goblinów, a

Ciemnogwiazdy raczej wiedzieć jakich zniszczeń dokonałby tą ogromną maczugą, którą trzymał na kolanach.

- Jig! Nareszcie przywlokłeś swój kościsty zadek! - krzyknęła Kralk. Żyłasta goblinica uśmiechała się, co dodatkowo przeraziło i tak ledwie żywego ze strachu Jiga. Wódz nosiła naszyjnik z poszczerbionych malachitowych kolców oraz niedopasowany krasnoludzki kirys. Z naramienników oraz... wypukłości... na pancerzu sterczały ostre metalowe ćwieki. Kralk kolekcjonowała broń, rzadko kiedy pokazując się z tą samą dwa razy pod rząd. Tego dnia u jej pasa wisiał straszliwy kiścień, który poszczekiwał przy każdym poruszeniu.

Jiga nie było w jaskini w chwili śmierci poprzedniego wodza. Znajdował się wtedy w okolicy trzeciej czy czwartej zwrotki „Ballady o Jigu”, gdzieś pomiędzy walką z Nekromantą a sięganiem po oszczep w celu zgładzenia smoka. Po powrocie wiele goblinów namawiało go, by sięgnął po władzę, ale ta pociągała Jiga mniej więcej tak, jak perspektywa płasania nago przed tunelowymi kotami.

Ostatecznie wyłoniło się trzech kandydatów gotowych walczyć o sprawowanie przywództwa w jaskini. Następnego ranka na śniadaniu pojawił się tylko jeden z nich. Dwóch pozostałych znaleziono przy jamie śmietnikowej. Ich krew osobno, nieco dalej.

Kralk próbowała pozbyć się Jiga już od pierwszych chwil po objęciu władzy. Nigdy nie robiła tego otwarcie. Nie, mówiła tylko: „Jig, czy mógłbyś zabić tego węża skalnego, który wślizgnął się do syfiarni?” albo: „Potrzebujemy dowódcy oddziału, który idzie obrabować spizarnię ogrów” lub: „Golaka eksperymentuje z nową zupą i czeka na ochotnika do degustacji”.

Oczywiście, Jig zawsze odmawiał. Każdy taki unik podkopywał jego reputację, jednocześnie umacniając jej władzę w plemienu i czyniąc życie Jiga pasmem udręk. Dlaczego nie przyjmowała do wiadomości, że Jig nie stanowi dla niej zagrożenia?

Jig podskoczył, gdy grzmiący głos ogra odbił się echem po jaskini:

- To ten Smokobójca?

Gobliny utworzyły przejście do wnętrza kręgu, rozstępując się niczym skóra pod ostrzem. Jig pogładził Ciapka po głowie. Pająk był ciepły, ale nie parzył. A to oznaczało, że nie grozi im bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Jig przez moment rozważał, czy nie skłamać. Mógłby wskazać Brafa jako Smokobojcę, przecież ogr by się nie zorientował. Jeden rzut oka na wyszczerzoną Kralk zdławił tę myśl w zarodku.

- Nazywam się Jig - powiedział. W porównaniu z rykiem ogra jego głosik przypominał pisk dziecka.

- To ty zgładziłeś smoka Strauma? - Ogr ujął w dłoń maczugę i zgarbiony ruszył w stronę Jiga.

Jig zerknął na Kralk i przytaknął.

- Ty wraziłeś oszczep w oko bestii?

Jig kiwnął głową.

- To o tobie mówią pieśni, że...

- Tak, to ja - zirytował się Jig. Chwilowy gniew wyparował z niego tak szybko, jak zapłonął, pozostawiając go stojącego na miękkich nogach, bliskiego wywrócenia się. *Pewnie, pomyślał. Nawrzeszcz na ogra. A jeszcze lepiej od razu kopnij go w przyrodzenie.*

Ogr przyklęknął, zmierzył Jiga spojrzeniem od stóp do głów, po czym zwrócił się do Kralk:

- Ależ on wygląda jak goblinia laleczka!

Jig zacisnął pięść, wbijając sobie paznokcie w skórę. Lepiej sprawiać wrażenie zabawki niż realnego zagrożenia. W każdym razie bezpieczniej.

- Braf wspominał, że chciałeś się ze mną widzieć.

- Tak. - Ogr przysunął się do Jiga niemal na wyciągnięcie ramienia. Jigowego ramienia. Bo ogr nie musiałby szczególnie wyciągać ręki, by złapać Jiga za głowę i trzasnąć nim o ścianę. Zielona skóra na czaszce pofałdowała się, gdy ogr zmarszczył brwi. - Potrzebujemy... - niżył głos tak bardzo, że ostatnie słowa stały się niesłyszalne.

- Proszę?

Twarz ogra przybrała barwę głębokiej zieleni, prawie tego samego odcienia, co porastające ściany wychodków glony.

- Pomocy. Potrzebujemy pomocy.

Jig wpatrywał się w niego, usiłując przyswoić sens tego, co usłyszał. Rozumiał poszczególne słowa, ale jego umysł uparcie odrzucał ewentualność, że ogry mogłyby zwrócić się o pomoc do goblinów. Co potem? Może jeszcze Nekromanta ożyje i zacznie uprawiać rabatki różane?

- Jakiego rodzaju pomocy? - spytał wreszcie.

- Kilka miesięcy temu w grocie Strauma pojawiły się istoty, które zaczęły nas nękać. Z

początku myśleliśmy, że to te typki hobgobliny albo w ostateczności wy. Dlatego przyszliśmy tu i rozbiliśmy kilka łbów - przyznał cokolwiek zakłopotany. - Nie miejcie urazy o tę małą pomyłkę.

Kralk podeszła do ogra.

- Nie ma sprawy. Zabiliście dużo więcej hobgoblinów niż goblinów, więc wyświadczycie nam przysługę.

- Świetnie. W takim razie macie okazję do rewanżu. - Ogr spojrzał na Jiga. - Czymkolwiek są te stworzenia, władają magią. Wielu naszych zginęło, innych wzięto w niewolę. Teraz ścigają resztę, rodziny, które uciekły i ukrywają się w opuszczonych tunelach.

Jig spotkał w życiu dwóch magów. Jeden z nich towarzyszył mu w misji. Drugi był osławionym straszliwym Nekromanta. Obaj chcieli go zabić. Prawdę mówiąc, chciało go zabić także wielu niemagów, ale magowie wykazywali ku temu wyjątkowo silne zapędy.

- Słyszeliśmy o tobie - ciągnął ogr. - Ty także potrafisz czynić magię, prawda?

Jigowi, który nagle uświadomił sobie, do czego zmierzają pytania ogra, zaschło ze strachu w ustach. Ledwie zdołał kiwnąć głową.

Kralk wyszczerzyła się w radosnym uśmiechu, na który Ciapek zareagował natychmiast, wypalając dziury w skórzanym siodełku. Spod odnóży pająka uniosły się małe smużki dymu. Ciekawe, przywódczyni goblinów przerażała go znacznie bardziej niż ogr. Jig zawsze wiedział, że Ciapek jest wyjątkowo mądry.

- Co ty na to, Jig? - zwróciła się do niego Kralk.

Jig cofnął się odruchowo. Musi być jakiś sposób, żeby się z tego wymówić. Okręcił się, wskazując na Veke.

- A ona? Umie rzucać zaklęcie wiązania i chce być Bohaterem.

Najbliżej stojące gobliny zaczęły się śmiać, nie wiadomo, czy z tchórzostwa Jiga, czy też z grubej, śmierdzącej syfiarki-bohaterki. Jeśli zaś chodzi o Veke, ta odsłoniła zęby w uśmiechu dorównującym wrednością grymasowi Kralk.

- Przykro mi, Jig. Gdybyś nauczył mnie magii, może mogłabym teraz im pomóc. Obawiam się jednak, że w tej sytuacji musisz sobie radzić sam.

- Ale...

- To twoja Droga, Jigu Smokobójco, nie moja. - Veka stuknęła kosturem o ziemię, klekocząc ozdóbkami. - Każdy Bohater musi podążać własną ścieżką. Że zacytuję mężnego

Duke'a Hoffmana, który przemienił się w kalmara, by ratować syrenę Liriare: „*Dokonałem wyboru swojej ścieżki życia i jest nią droga mięczaka*”.

Ogr spojrział na nią ze zdumieniem.

- O czym ona mówi? Bohaterski mięczak?

Zgódź się. Głos Ciemnogwiazdego był pewny i spokojny.

Jig wprost przeciwnie.

Co?! Zamknął oczy, starając się odciąć od rzeczywistość, i skupić na Tymalousie Ciemnogwiazdym. Mam się zgodzić na to szaleństwo?!

Nie widzę wszystkiego, co tam się dzieje, ale jedno wiem na pewno. Coś z tym twoim ogrem jest nie tak. Otacza go jakaś szczątkowa aura, jakiś cień magii. Cokolwiek stało się tam na dole, jest bez wątpienia niebezpieczne. Masz dwa wyjścia, Jigu Smokobójco. Albo pójdziesz z ogrem i odkryjesz, w czym tkwi problem, albo poczekaasz tutaj, aż problem przyjdzie do ciebie.

Czekanie to moje ulubione zajęcie. Kiedy bóg nie odpowiadał, Jig westchnął zrezygnowany. Coś musiało być na rzeczy, skoro Ciemnogwiazdy nazwał go pełnym imieniem. *Jak sobie to wyobrażasz? Co mam zrobić? Przecież to ogry! Jeżeli one nie mogą sobie z tym poradzić, jak ja...*

Walczyłeś ze smokami, magami, herosami i przeżyłeś. Veka jest dziwna, nawet jak na goblinę, ale tym razem ma rację. Bohater znajdzie Droge.

Kralk chce się mnie pozbyć! Posłać na śmierć! To...

Oczywiście nie musisz się zgadzać. Odmów ogrowi, zobaczymy, jak zareaguje.

No tak.

- Pójdę z tobą - wymamrotał Jig, patrząc na ogra.

- Wspaniale! - Ogr klepnął go w ramię, wywracając na ziemię. - Oj. Przepraszam. Zapomniałem, jakie z was kruche robaczki. Mam nadzieję, że nic sobie nie złamałeś? - Chwycił Jiga za kołnierz, stawiając na nogi.

Jig cofnął się, obmacując ramię. Na szczęście ogr nie pacnął go w to, na którym siedział Ciapek. Pająk w formie gorącej kulki śledził każdy ruch olbrzyma. Nagle z kłębka wystrzeliły odnóża, Ciapek rzucił się pędem w dół i zostawiając na koszuli Jiga małe dymiące ślady, zanurkował do kaletki przy pasku.

- Weźmiesz ze sobą Brafa jako ochronę - oznajmiła Kralk z drwiącym uśmiechem. - Istoty, które zabijają ogry, mogą nie znać „Ballady o Jigu”. Jeszcze wzięłyby cię przez przypadek

za tchórzliwego karzełka i rozszarpały, zanim zdążyłbyś opowiedzieć im o swoich wielkich czynach.

Jig spojrzął na Brafę, który stał obok, całkowicie pochłonięty dлубaniem w nosie. Nie mógł rozstrzygnąć, czy obecność karczystego goblina zwiększy jego szanse na przeżycie, czy wprost przeciwnie. Braf wykrzywił się i wysunął szczękę, żeby podrapać się kłem w świeżo uleczonym nozdrzu. Zdecydowanie to drugie.

- Jeszcze jeden goblin zgłosił się na ochotnika, by ci towarzyszyć - dodała wódz głośno.

- Idę, już idę - rozległ się chropawy starczy głos.

Kralk wyszczerzyła zęby.

- Zapewne przyda ci się też niańka, w końcu ktoś musi się tobą opiekować.

Tłumek rozstępował się przed kuśtykającą w stronę Jiga Grell. Jeśli istniał na świecie goblin jeszcze mniej przydatny podczas wyprawy niż Braf, była nim Grell.

Kule, na których się wspierała, zostały wykonane z gładkich kijków zabarwionych krwią hobgoblinów na ciemną żółć. Grell była najstarszym goblinem w klanie, no, może z wyjątkiem Golaki, kucharki. Tyle że w przeciwieństwie do Golaki, która z wiekiem robiła się coraz groźniejsza i większa, Grell skurczyła się ze starości niemal do rozmiarów Jiga. Jej twarz zawsze kojarzyła się Jigowi z pomarszczonym, zgniłym owocem. Odkąd sięgał pamięcią, Grell pracowała w żłobku. Pokolenia ząbkujących gobliniątek zostawiły na jej dłoniach i przedramionach setki blizn, a pozbawioną rękawów tunikę niańki znaczyły ciemne plamy, których pochodzenia Jig wolał się nie domyślać.

- Naprawdę chcesz iść? - spytał. - To będzie niebezpieczna wyprawa. Ogry...

- Ogry, ha! - fuknęła Grell. Woń jej oddechu sprawiała, że porównanie z zepsutym owocem zyskiwało na akuratności. Jeden z jej pożółkłych kłów ułamał się dawno tuż przy dziąśle, a smród zgnilizny przyprawił Jiga o mdłości. - Posiedź tydzień z bandą dwudziestu trzech noworodków i dziewięciu niemowląt, wtedy pogadamy o niebezpieczeństwie.

- Ale...

Grell dźgnęła Jiga w tors jednym ze szczudeł.

- Posłuchaj, chłopcze. Jeśli pobędę choć jeden dzień dłużej z tymi potworkami, to albo je pozabijam, albo, co bardziej prawdopodobne, one wykończą mnie. Nie mam zamiaru zdechnąć wśród obsmarkanych, ryczących bachorów. Kralk powiedziała, że jeśli pójdę z tobą i z tym zielonoskórym ciołkiem, zwolni mnie na jakiś czas od dyżurów w żłobku, a więc idę z wami.

Zrozumiano?

- A co z dziećmi? - Jig uchwycił się rozpaczliwie ostatniej szansy. - Kto się nimi zajmie?

- Rivia zostaje w żłobku, ale masz rację. Szybko wleżą jej na głowę, jak będzie sama. Hej, Golaka! - krzyknęła Grell w stronę kuchni. - Wyślij no któregoś ze swoich podkuchennych do pilnowania bąków! - Zwracając się do Jiga, dodała: - To powinno załatwić sprawę. Kuchcik zawsze może postraszyć starsze dzieciaki, że jak będą niegrzeczne, przerobi je na flaczki.

W wejściu kuchennym pojawiła się Golaka.

Twarz potężnej goblinicy lśniła od potu. Zirytowana kucharka machnęła chochlą, ochlapując najbliższą stojącą goblina gorącym sosem.

- Moi pomocnicy są zajęci ucieraniem larw na pudding.

- Potrzebuję tylko jednego. A twój larwowy pudding i tak smakuje jak tygodniowe rzygi - odwrzasnęła Grell.

Jig wzdrygnął się i mimowolnie skulił. Inne gobliny chyłkiem odsunęły się od Golaki najdalej jak się dało. Jigowi przemknęła przez głowę optymistyczna myśl, że mimo wszystko może jednak ominie go wątpliwa przyjemność wędrówki z Grell.

Golaka wycelowała chochlą w starą niańkę.

- Ostatni, który narzekał na moją kuchnię, zjadł później w zupie własny język. Już nigdy nie będzie miał powodu, aby narzekać na smak czegokolwiek.

- Pfff - prychnęła Grell. - Pożycz mi tego idiotę, który przesolił wczorajszą potrawkę z węża. Zobaczysz, wystarczy jeden dzień z ząbkującymi gobliniątkami, a będzie harował za dwóch. O ile zostanie mu jakaś ręka do trzymania mieszadła.

Chochła Golaki znieruchomiała. Wściekłość na jej twarzy powoli zniknęła, a w końcu goblina zachichotała.

- Niezłe. - Odwróciła się w stronę kuchni. - Ej, Pallik! Przestań oblizywać ten tłuczek i chodź tu! Mam dla ciebie małą robótkę!

Jig spojrział na ogra, który obserwował tę scenę z coraz wyraźniejszym sceptycyzmem.

- Chodźmy - rzekł. *Zanim jeszcze jakiś ochotnik zechce nam „pomóc”.*

* * *

Wychodząc z jaskini grupkę żegnały śmiechy goblinów. Przynajmniej do czasu, aż ogr nie określił się na pięcie i nie warknął. Jig poweselał, rozbawiony ciszą, jaka nagle zapadła. Perspektywa wędrowki z tą dwójką goblinów rysowała się fatalnie, ale podróżowanie w towarzystwie ogra miało niewątpliwie swoje dobre strony.

Jig przyjrzał się bacznie kompanom.

- A to co ma być? - spytał, wskazując na przedmiot w ręce Braf.

- Chyba jakaś broń - odparł Braf. - Wyhandlowałem to kilka dni temu od jednego hobgoblina.

Drzewce tej tak zwanej broni miało długość nogi Jiga i na jednym końcu mosiężny, zakrzywiony pręt, którym można było przytrzymać kogoś za szyję. Przy drugim, zaostrzonym, sterczały ostre wąsy.

- Wiesz, jak się tym posługiwać?

- Najpierw chciałem ją nazwać. Trzeba nią ruszyć, o tak, i zahaczyć. Dlatego myślałem, żeby był ruhacz.

Jig zagryzł wargi.

- Ale jakoś mi nie pasiło - ciągnął Braf, obracając broń w rękach i testując palcem ostrość szpikulca. - To pomyślałem, że nazwę ją dragoblin, no bo jestem goblinem. Ale w sumie chyba stanie na hakle, bo jest ostra jak kieł, a tu ma hak, widzisz?

Stojący za Jigiem ogr parsknął pogardliwie. Pewnie dałby radę złamać hakiel Braf'a jedną ręką.

- Szkoda tylko, że zapodziałem gdzieś moją tarczę - paplał Braf. - Na pewno miałem ją wczoraj wieczorem, bo z niej jadłem. Pamiętam, bo Mellok cały czas podkradał mi smażone skrzydełka nietoperza.

Pomarszczone oblicze Grell zmieniło się jeszcze bardziej w grymasie niesmaku. Wsparłszy się całym ciężarem na jednej kuli, niańka zamachnęła się drugą i grzmotnęła Braf'a w plecy. Zadudniło.

Braf nawet się nie zachwiał, za to jego twarz rozpromieniła się z radości. Wykręcił szyję, usiłując spojrzeć na plecy, i poklepał przytroczoną do nich tarczę.

- Dzięki, Grell!

Jig pokręcił głową i zwrócił się do ogra:

- Jak się nazywasz?

- Walland Wallandson Czwarty.

- Czwarty co?

- Walland Wallandson.

Braf wytrzeszczył oczy.

- Ogrzy nie umieją wymyślać porządných imion czy co? - Wydawał się zupełnie nie zauważać, że Grell piorunuje go wzrokiem, więc staruszka trzepnęła go w ciemię.

- To imię po moim ojcu. - Walland zgiął i rozprostował palce, aż chrupnęły kości. - On nazywał się Walland Wallandson Trzeci. Jego ojciec nosił imię Walland Wallandson Drugi, zaś dziadek Walland Wallandson Pierwszy. Imię jest dziedzictwem po ojcach. Rodzina jest wszystkim. Każdy, kto kpi z imienia Wallandów, niech się lepiej gotuje na powolną śmierć w męczarniach - dokończył, rzucając Brafowi groźne spojrzenie.

- Takie zajmowanie się własnymi dziećmi to okropna strata czasu - wtrąciła Grell. - Jak wy, ogrzy, jesteście w stanie robić jeszcze coś poza tym?

Walland wzruszył ramionami.

- Przecież dzieci dorastają. - Odwrócił się do Jiga. - No?

- Co no?

- Idziemy wreszcie?

Jig zupełnie zapomniał, że to on stoi na czele dwuosobowego oddziału goblinów.

- A tak. Racja. - Uniósł latarnię, ale zawahał się tknięty pewną myślą. Prowadzenie oznaczało, że za jego plecami znajdują się dwa goblino oraz ogr. Walland prawdopodobnie nie stanowił zagrożenia, bo potrzebował Jiga. Jednak tamta dwójka... Cóż, to goblino. Co gorsza, Jig podejrzewał, że zanim dotarł do jaskini, Kralk odbyła z każdym z nich rozmowę w cztery oczy.

- Co jest? - spytał Braf.

Nie żeby Jig im nie ufał. Ufał im na tyle, na ile mógł zaufać goblinom.

- Zastanawiam się, które z was ma rozkaz mnie zabić.

Liczył, że bezpośrednio postawienie sprawy zaskoczy zamachowca in spe. Ale Braf i Grell wymienili spojrzenia, po czym wbili wzrok w ziemię. Żadne nie chciało patrzeć mu w oczy.

Jig wiedział, co to oznacza. Kłopoty.

- Braf?

Sploszony goblin podrapał się po nosie.

- Kralk powiedziała, że jak wrócisz żywy, to mnie posieka na kawałki i dorzuci do potrawki Golaki. Ona myśli, że chcesz ją zabić i zostać wodzem.

- Po co? Żeby zamiast was dwojga cały klan dybał na moje życie? - zachnął się Jig trochę piskliwie. Wypad na tereny przygraniczne historii zawsze szkodził mu na struny głosowe. - A ty? - Popatrzył na Grell. - Co tobie powiedziała?

- Obiecała, że jak cię zabiję, już nigdy nie będę musiała pracować w tym obrzydliwym, cuchnącym żłobku.

- Hej, nie waz się go tknąć! - wybuchnął Braf, wymachując groźnie haklem. - To mi Kralk kazała go zabić!

Jig musnął dłonią rękojeść miecza. Z tego miejsca udałoby mu się prawdopodobnie wbić ostrze w plecy Grell, ale Braf pozostawał poza jego zasięgiem. Zresztą Ciemnogwiazdy krzywił się na dżganie przeciwników w plecy. Jig nie rozumiał dlaczego, ale wołał nie spierać się z bogiem na ten temat.

Walland chrząknął zirytowany, wystąpił przed Jiga i pchnął lekko Brafa. Goblin poleciał do tyłu, grzmotnął o ścianę, a upadając, omal nie wbił sobie swojej nowej broni w zadek.

- Niezłe z was ziółka, nic, tylko wam zaufać - skwitował ogr.

Jig milczał. Wbrew powszechnym przekonaniom w języku goblinów występowało określenie „ufać”. Wywodziło się od słowa „ufny”, które w goblinśkim znaczyło tyle co „trup”.

Przyjrzał się badawczo skórzastemu obliczu ogra, mając nadzieję, że nie myli się w swych kalkulacjach.

- Walland zwrócił się do nas o pomoc. - Zmarszczył brwi i starając się przybrać jak najgroźniejszą minę, popatrzył na współplemieńców. - Przypuszczam, iż nie byłby zachwycony, gdyby coś mi się stało, zanim wykonamy zadanie.

Braf podniósł się, masując sobie niższe plecy.

- Nie boję się jakiegoś tam ogra - oświadczył, drastycznie obniżając i tak fatalną opinię Jiga o swoich możliwościach intelektualnych. Nie poparł jednakże swoich słów żadnym gestem. Zatknął hakiel za tarczę i czekał.

- Grell?

Staruszka wzruszyła ramionami.

- Jak na razie to mi się widzi, że ani chybi sam się zabijesz i zdejmiesz mi ten kłopot z głowy.

- W porządku. - Świadomość, że niańka ma prawdopodobnie rację, przyprawiła Jiga o niemiłe sensacje w trzewiach, zupełnie jakby zjadł coś nie do końca martwego. Idąc tunelem, pocieszał się myślą, że cokolwiek pozbawi go życia, nie oszczędzi także tamtych goblinów.

Rozdział drugi

Droga do chwały zaczyna się od jednego kroku. Podobnie jak droga na szafot.

[Jasper Bogobójnik „Droga Bohatera” (Wydanie dla magów)]

Veka pospiesznie wyszła z jaskini, żałując, że nie wszyła w kieszenie grubszych wkładek. Księgi podskakiwały przy każdym kroku, objijając jej boki. Okręciła się ściślej płaszczem, chcąc uniknąć kolejnych siniaków.

Mamrotała pod nosem, powtarzając sobie wielką przemowę, którą obmyśliła wcześniej i zamierzała wygłosić gwoli wyjaśnienia wartownikom, dlaczego musi opuścić terytorium goblinów. Zacznie od tego, że usłyszała zew przeznaczenia i postanowiła wyruszyć w drogę, aby bronić rodzinnego gniazda. Droga ta najeżona jest niebezpieczeństwami oraz ciężkimi próbami, którym podołać może tylko największy z Bohaterów.

Po jakimś czasie zatrzymała się przy strażnikach pochłoniętych grą w karakony. Obaj wartownicy tupali, popędzając swoje trzy karaluchy tak, aby przebiegły na drugą stronę tunelu. Gra polegała na tym, żeby owady dokonały tego, nie dotykając ani przeciwnika, ani jego zawodników. Zabawa zwykle kończyła się połamaniem palcami u stóp i zmiżdżeniem karaluchów.

Veka stuknęła kosturem. Bez odzewu.

- Nie zamierzacie mnie zatrzymać?

Nie przestawali tupać.

- No dalej, głupi robalu! - krzyknął jeden.

Veka chrząknęła głośno.

- Pytałam...

- Nie jestem głuchy - oświadczył strażnik. - Myślisz, że do kogo mówiłem?

Drugi wartownik wybuchnął śmiechem, zaś pierwszy natychmiast wykorzystał ten moment, wskakując przed jego najbardziej wysuniętego zawodnika i zmuszając karalucha do zawrócenia.

Veka wcisnęła głowę w ramiona i przemknęła obok goblinów. Pocieszała się, że wielu Bohaterów znosiło drwiny swoich współplemieńców. Wystarczy wspomnieć, jak traktowali Jiga,

zanim ten miał szczęście zostać porwany przez drużynę herosów i zmuszony do walki z magami, smokami oraz innymi potworami.

A teraz pojawiła się szansa dla niej. Wyobraziła sobie, jak powraca z mocą zdolną przywołać zaklęcie transformacji, którym zamieni strażników i karaluchy miejscami, a potem stoi, obserwując maleńkie rozbiegane gobliny ginące pod odnóżami gigantycznych owadów. Wstąpiła na Drogę Bohatera, a gdy wróci, będzie dysponowała magią, dzięki której ukarze wszystkich wyśmiewających ją latami łobuzów.

Pierwszy rozdział „Drogi Bohatera” mówił o sprzeciwie, sytuacji, kiedy to Bohaterowie, widząc po raz pierwszy ścieżkę, odwracają się od niej. Veka nie bardzo rozumiała, dlaczego to robią, szczególnie że i tak w końcu na niej lądują, ale Joska twardo obstawała przy swoim. Każdy Prawdziwy Bohater na początku uchylał się przed podążeniem ścieżką swojego przeznaczenia, tak jak Jig, kiedy próbował wykręcić się od wyprawy z ogrem, wypychając w zamian Vekę.

Ale pomyślnym trafem incydent ten stworzył idealne warunki, by ogłosić wszem wobec swój sprzeciw. Na dodatek przy okazji udało jej się zrobić z Jiga głupka. Należało się temu dusimagowi za poskapienie jej mocy. Veka nieźle napracowała się nad Brafem, żeby mieć szansę obserwowania Jiga przy pracy. I na nic jej się zdała cała ta intryga i podglądanie, bo nie zyskała żadnej nowej wiedzy. Jig nigdy nie korzystał z księgi. Nigdy nie rzucał zaklęcia wiążącego. Nie używał różdżki, laski ani innego tradycyjnego narzędzia magów. Dotykał pacjentów, a magia po prostu się działała.

- Jak niby mam się w takich warunkach czegoś nauczyć? - fuknęła.

Za zakrętem panowała całkowita ciemność. Veka zaczęła iść przy ścianie, sunąc dłonią po brudnej skale. Miała ze sobą małą syfną latarnię zabraną z destylatorni, ale w świetle jej strach stałby się nazbyt widoczny.

W miarę wędrówki w tunelu pojawiały się coraz to nowe zapachy - ostra woń odchodów zwierząt oraz hobgoblińskich potraw, które to odory nos Veki klasyfikował jako równorzędnie koszarne. Veka przemierzyła te korytarze do tej pory tylko dwukrotnie, i za pierwszym, i za drugim razem przemykając się chyłkiem z grupą goblinów po łupy do pieczary Strauma. Właśnie w jaskini smoka znalazła swoją magiczną księgę, podobnie jak egzemplarz „Drogi Bohatera”.

Z zamyślenia wyrwał ją chrapliwy rechot hobgoblinów. Przyspieszyła kroku, aż w oddali ujrzała sylwetkę Jiga spierającego się z hobgoblińskimi wartownikami. Jig zostawił swoich towarzyszy w tyle i sam stawiał czoło strażnikom, postępując dokładnie tak, jak powinien postąpić

Bohater. Stojąc za załomem ściany, nie widziała hobgoblinów, ale prócz głosu Jiga słyszała co najmniej dwa inne. Ogr oraz reszta kompanii Jiga czekali tuż za zakretem.

- Musimy zejść do dolnych tuneli - powiedział Jig.

- Naprawdę? A co przynieśliście dla miłych hobgoblińskich strażników? - spytał jeden wartownik.

- Może świeżo ugotowane mięsko? - dopytywał się drugi. - Albo trochę tych jaszczurczych ogonów na ostro, które wasza kucharka faszeruje jajkami ognistych pajaków?

- Jeśli nie masz nic ze sobą, zadowolimy się kilkoma kotletami z goblina. - Oba hobgobliny ryknęły śmiechem.

Veka wyciągnęła szyję, chcąc lepiej widzieć reakcję Jiga. Posieka strażników mieczem, czy raczej użyje magii? Miała nadzieję, że to drugie.

Ale Jig nie uciekł się do żadnej z tych możliwości.

- Nie mamy ze sobą jedzenia, więc będziecie musieli poprzestać na kotletach. - Veka podkraśla się bliżej, licząc, że ani Braf, ani Grell się nie obejrzą. Jig wskazał na wchodzącego w krąg światła olbrzyma. - Co powiecie na ogrzeczę?

Rozczarowana Veka aż syknęła ze złości. Ten leń Jig zawsze potrafił znaleźć jakiś sposób, żeby wyłgać się od bohaterskich czynów. W takich chwilach zawsze zastanawiała się, czy „Ballada o Jigu” nie jest tylko stekiem kłamstw. Czy Jig naprawdę pokonał Nekromantę oraz smoka? Bardziej prawdopodobne, że ukrywał się w jakiejś dziurze, gdy drużyna walczyła z wrogami, a po wszystkim zabił herosów ciosami w plecy. Choć w przypadku goblina nawet coś takiego byłoby niezwykle bohaterskim wyczynem.

Hobgobliny zaczęły się jąkać, na wyścigi okazując swoją gotowość do przepuszczenia Jiga. Veka odczekała chwilę, ruszając, dopiero gdy ucichł stukot kul Grell.

Nadeszła jej kolej, aby zmierzyć się z hobgoblinami. Nie miała ze sobą ogra, który ochroniłby ją, gdyby strażnicy chcieli odegrać się na niej za wcześniejsze upokorzenie, co bez wątplenia nastąpi. Veka doznała w życiu wystarczająco wiele poniżeń, by wiedzieć, jak to działa.

A więc niech się stanie. To będzie Pierwsza Przeszkoda. Podobnie jak Bohater krasnolud Yilenti Hajcobrody musiał stawić czoło dziewięciorękiemu strażnikowi Czarnej Rzeki, tak ona, goblina Veka, stawia czoła dwóm hobgoblińskim wartownikom.

Pierwsza Przeszkoda Yilentiego Hajcobrodego była jakby nieco bardziej imponująca.

Zebrała siły i ruszyła na spotkanie niebezpieczeństwu. Nie miała ze sobą wiele poza

księgami. Tylko przytroczoną do sznurowego paska lampkę syfną, kostur maga oraz jedną sztukę broni, czyli rożen, który zwinęła poprzedniego dnia podczas kolacji. Szpikulec nadal przyozdabiała resztki poczerniałego szczurzego mięsa. Z początku próbowała go nieść w rękawie, ale po tym jak dwukrotnie dziabnęła się w pachę, zdecydowała zatknąć go za pasek, licząc, że się stamtąd nie wysunie.

Wyprostowała plecy, uniosła głowę i postarała się kroczyć z należytą pewnością siebie, jak na Prawdziwego Bohatera przystało. Hobgobliny stały w miejscu rozwidlenia tuneli. Oba były od niej przynajmniej o głowę wyższe. Jeden opierał się na solidnej włóczni. U pasa drugiego, raczącego się ze skórzanego bukłaka czymś, co rozsiewało zapach piwa, wisiało zakrzywione ostrze.

Za plecami wartowników wznosiła się statua hobgoblińskiego wojownika. Figura z czarnego szkliwa znaczyła granicę hobgoblińskiego terytorium. Podobny pomnik, tyle że goblina, stał przy granicy goblinskiej jeszcze kilka miesięcy temu, dopóki jeden ze strażników nie wpadł na pomysł, żeby się na niego wdrapać. W efekcie i z goblina, i z pomnika nie było co zbierać.

Statua była ogromna, kolce na hełmie dotykały niemal sklepienia. Jedno ucho figury odłamało się i odpadło, a dwuobuchowy topór nosił głębokie ślady cięć. Blask zawieszanej na jednym z kłów latarni podkreślał groźny grymas na obliczu podobizny wojownika.

Pod względem budowy hobgobliny były jakby większą, brzydszą wersją goblinów. Miały żółtawą skórę oraz potężne mięśnie, ale z dolnych szczęk także sterczały długie, ostre kły, a po bokach wielkich czaszek odstawały ogromne, goblinopodobne uszy.

Przy figurze i dwóch strażnikach Veka nagle poczuła się jak dziecko. Nieprzyjemne doznanie dla kogoś, kto przywykł, że jest największy w każdej grupie.

Bok twarzy włócznika przecinała długa blizna. Strażnik miał na sobie kamizelkę z utwardzonej skóry, nogawice z futra kota tunelowego oraz pas ze sprzączką z czaszki jakiegoś zwierzęcia. Błyszczące od łożu, czarne, zaczesane do tyłu włosy przylegały do masywnej czaszki. Hobgoblin zerknął do tunelu, prawdopodobnie upewniając się, czy Jig i ogr odeszli już na dobre.

- Kolejny szczurojad - warknął szyderczo.

Towarzysz kuksnął go w ramię.

- Co tam szczury. Ta wygląda, jakby na obiad pożerała całego kota tunelowego.

Zdenerwowanie Veki wyparowało nagle. Wystarczy, że gobliny nazywały ją za plecami

Veka-Beka, a w twarz rzucały jeszcze gorsze wyzwiska. Nie zamierzała wysłuchiwać podobnych obelg ze strony wstrętnych hobgoblinów.

Huknęła kosturem w ziemię tak mocno, że strażnicy podskoczyli.

- Jestem Veka - oznajmiła. - Idę, żeby dołączyć do tamtych. Mają wykonać zadanie bojowe i muszę im pomóc.

Nieźła przemowa, szczególnie ta część o zadaniu bojowym. Brzmiała dumnie i heroicznie.

- Och, naprawdę? - prychnął ten z blizną. Veka w duchu ochrzciła go Sznytem. Szrama zahaczała o zewnętrzny kącik oka, przez co gałka oczna zdawała się poruszać w przypadkowych kierunkach. Strażnik łypnął mniej więcej na towarzysza. - No skoro tak, ruszaj. Jak się pospieszysz, złapiesz ich, zanim dotrą do jeziora.

- Dziękuję - powiedziała Veka i mijając ich, łaskawie skinęła głową. Kątem oka dostrzegła wredny uśmiezek rozciągający wargi Sznyta, ale nim zdążyła zareagować, wartownik uczynił ręką ruch, jakby coś szarpnął. W słabym świetle ledwie widziała okręconą wokół jego nadgarstka linkę, która biegła do niewielkiego haka na ścianie, a stamtąd ku sklepieniu.

Wisząca dokładnie nad nią drewniana platforma przechyliła się, a z góry spadł grad ostrych odłamków skał. Veka osłoniła głowę i przeklinając, rzuciła się do przodu.

- A nie mówiłem? - rzekł towarzysz Sznyta. - Kamienie się nie nadają. Musimy przyczepić do sufitu kusze.

- Nie możesz tak zostawić gotowej do strzału kuszy - warknął Sznyt. - Naciąg się z czasem poluzuje, a cięciwy przegniją, sam wiesz, jaka tu wilgoć od jeziora.

- Ale patrz na szczurojada. Ledwie co chlipie. Te twoje kamyki są do niczego.

- Następnym razem musimy po prostu ułożyć większe głazy.

Veka pociągnęła nosem, w który trafił ją jeden z kamieni, i sięgnęła po zatknięty za pasek rożen.

Wartownicy natychmiast unieśli własną broń.

- Nie bądź głupia, mała.

- No, nie taka znowu mała ta mała - parsknął Sznyt.

Vece świerzyła ręką, ale miała przed sobą dwóch silnych przeciwników, w dodatku lepiej uzbrojonych. Poza tym bez względu na to, jak bardzo ją upokorzą, muszą pozwolić jej przejść.

Otrzeпаła płaszcz z pyłu i żwiru. Prawdziwy Bohater nie powinien w takiej sytuacji uciekać. Prawdziwy Bohater winien uczynić przytyk na temat higieny osobistej strażników, zabić ich, a następnie wepchać ciała na platformę. Szkoda, że akurat nie przychodziła jej do głowy wystarczająco pogardliwa przymówka.

To za ledwie pierwszy krok na ścieżce, powiedziała sobie w duchu. Każdy Bohater na początku miewa gorsze chwile i ponosi porażki. Dlatego właśnie pierwsza część księgi Joški nosi podtytuł „Potknięcia na Drodze”.

Veka biegła tunelem, rozcierając sobie guza na czole. Czemu te potknięcia muszą być tak bolesne?

* * *

Posuwała się na tyle szybko, że wkrótce ujrzała przed sobą sylwetki goblinów oraz ogra, którzy właśnie dotarli do podziemnego jeziora, stanowiącego przejście do dolnych labiryntów. Na samym brzegu ponad powierzchnię podłoża wystawał fragment tunelu biegnącego ukośnie w głąb zbiornika i znikającego dalej w toni. Od linii wody aż po wylot korytarza rozciągał się piasek. Bez względu na to, jak cicho starało się przejść do otworu tunelu, szmer drobinek piasku zawsze wywoływał strażników jeziora - trującokolce jaszczurniki.

Przecinając łączę, Jig i dwa pozostałe gobliny odtrącały pełznące w ich stronę stwory bronią lub w przypadku Grell - szczudłami. Ogr nie musiał sobie zadawać trudu odpędzania jaszczurników. Jego wielkie, bosc stopy rozgniatały potworki na jasnorożową miazgę.

Jaszczurniki nie dawały za wygraną. Białe istoty, mniej więcej długości ramienia Veki, włokły swe cielska na upazurzonych przednich łapach. Kuliste ślepia obracały się niezależnie w różne strony, przez co istoty robiły wrażenie skołowanych. Atakując, kładły po sobie długie białe czułki. Jeden z potworków podpełzł do ogra i machnął ogonem, wbijając olbrzymowi w łydkę ostre kolce. Ogr kopnięciem posłał napastnika na drugi koniec jaskini. Jaszczurnik piasnął o ścianę. Veka nie mogła uwierzyć własnym oczom. Kolce jaszczurników były tak trujące, że potrafiły uśmiercić dużego goblina, zanim ten zdążył krzyknąć z bólu. Ogr nawet się nie podrapał.

I takie istoty potrzebowały pomocy Jiga Smokobójcy?

- Chodź, Walland - krzyknął Jig.

Ogr z uciechą zmiażdżył tupnięciem jeszcze kilka jaszczurników, po czym zniknął w tunelu.

Veka wydobyła z kieszeni starą, wyłobioną skalkę. Odstawiła lampę na ziemię i namacała przy kosturze uwieszone pomiędzy innymi przedmiotami metalowe krzesiwo. Przeciągnęła kabłączek po rowku, krzesząc iskry, które padły do zbiorniczka z syfnią. Maż zajęła się ogniem, zalewając część grotu zielonkawym blaskiem.

Przed Veką ścieliła się łacha czarnego piasku. Ciemną, gładką jak szkło powierzchnię wody marszczyły od czasu do czasu koła. To jaszczurniki oraz inne wodne zwierzęta wynurzały się, polując na owady. Dalej z ginącego w mroku sklepienia kapały krople wody.

W obrębie światła skrzyły się malachitowe stalaktyty. Najbardziej okazałe formacje wisiały wysoko ponad lustrem wody, poza zasięgiem chciwych łap hobgoblinów.

Veka słyszała coraz cichsze echo stukotu szczudeł Grell. Dawno temu jedyna droga do dolnych tuneli prowadziła przez magiczny wir na środku jeziora. Na przestrzeni wieków pokolenia herosów z powierzchni pozostawiły w całych labiryntach świadectwa swojej bytności w postaci wysadzonych mostów, roztrzaskanych drzwi, zawałów blokujących różne tunele i ogólnie straszego bałaganu. Jediną użyteczną zmianą, jakiej dokonali, był podwodny tunel. Veka chwyciła latarnię i wkroczyła na piasek.

Jaszczurniki natychmiast wychynęły z wody i rozbryzgując grudy mokrego piasku, ruszyły w jej kierunku. Veka cofnęła się do korytarza, a stwory spowolniły natarcie. Pazurzaste łapy nie znajdowały oparcia na gładkim obsydianie, więc jaszczurniki rzadko wychodziły poza obręb piaszczystego brzegu. Niestety, piasek pokrywał całą przestrzeń pomiędzy Veką a wejściem do podwodnego tunelu.

To niesprawiedliwe. Jig nie musiał dokonywać żadnych heroicznych czynów, żeby się tam dostać. Większość załatwił za niego ogr. Gobliny strąciły do wody tylko kilka jaszczurników, które uniknęły stóp ogra.

- Ja też chcę swojego ogra - wymamrotała Veka. Spróbowała ponownie, poruszając się najostrożniej jak potrafiła. Nic to nie dało. W momencie gdy piach zachrząścił pod jej stopami, stwory natychmiast przystąpiły do ataku. Veka spoglądała na istoty ze ściśniętym gardłem.

- Musi być jakiś sposób, żeby obok nich przejść - szepnęła. Przecież zawsze jest jakieś wyjście. Nie mogła dać za wygraną, nie zaraz na początku swojej podróży. Usiadła w wylocie

korytarza i wyciągnęła księgę zaklęć. Tom znajdował się w jeszcze gorszym stanie niż „Droga Bohatera”. Niegdyś musiał być wspaniały. Okładkę z grawerowanych miedzianych płytek pokrywała zwęglona, poszarpana skóra. Metal oparł się płomieniom, ale kartki nie miały tyle szczęścia. Na tych, które nie spłonęły doszczętnie, zachowały się jedynie fragmenty tekstu, a i te strzępy miały osmalone, poczerniałe brzegi. Cóż, trudno spodziewać się czegoś innego po księdze zrabowanej z jaskini smoka.

Tygodniami ślęczała nad sfatygowanymi stronicami, mozolnie odczytując formułę najprostszego czaru - zaklęcia wiązania, które usiłowała pokazać Jigowi. Na innej stronie znajdowało się zaklęcie lewitacji, ale mimo wysiłków nie udało jej się unieść w powietrze żadnego z włosów, które wrywała sobie do ćwiczeń. Długie bezsenne noce poświęciła, koncentrując się na obiektach czaru, a jedyne zauważalne efekty, jakie uzyskała, to piekące, przekrwione oczy oraz boląca skóra na czaszce.

W głowie rozbrzmiało jej wspomnienie rehotu hobgoblinów. Zaczęła myśleć o Jigu, o tym, jak zmusił wartowników do ustąpienia. Zanim ona zdoła wymyślić, jak przedostać się do tunelu, Jig pewnie zdąży odnaleźć i zgładzić istoty dziesiątkujące ogry.

- To nie fair, to powinno być moje zadanie. Moja Droga! - Przyświeciła sobie latarnią i zmrużyła oczy, wpatrując się w litery. Drugą dłoń zacisnęła w pięść, do zaklęcia wiązania. Joska twierdziła, że w skrajnej potrzebie Prawdziwy Bohater odnajduje drzemiące w nim moce. Tym razem czar na pewno zadziała. Musi zadziałać!

Powoli rozprostowała palce, wyobrażając sobie nitki mocy rozciągające się od opuszków do środka dłoni. Przesunęła rękę nad kostur, chcąc zmusić magiczną rozgwiadę, aby przepłynęła i wpełzła na drewno. Według księgi kostur powinien pomóc jej kontrolować magię. Jedno machnięcie pozwoliłoby jej unieść się nad ziemię i poszybować z gracją ponad piaskiem, a tym samym uniknąć zaalarmowania jaszczurników. Nie potrzebowała wiele mocy, wystarczyłoby, żeby podeszwy jej butów nie dotykały podłoża. Przecież na pewno potrafi wykrzesać z siebie taką odrobinę magii. Skupiła się na zaklęciu wiązania, wpatrując w kostur z takim natężeniem, że niemal uwierzyła, iż widzi srebrne promyki oplatające końcówkę. Ręce drżały jej z wysiłku. Gdyby tylko jej się udało...

Kropla syfii kapnęła z lampki, lądując na otwartej księdze. Veka krzyknęła, odrzucając latarnię, i błyskawicznie zatrzęsła księgę, aby zdławić płomień. Spomiędzy okładek wydobywał się dym. Skoczyła naprzód, zagarniając piasek z brzegu i obrzucając nim księgę.

Widziała, jak zielone płomyki przeżerają się przez kilka stron. Zasypywała tom wilgotnym piaskiem, dopóki całkiem zagrzebany nie przestał się tlić.

Dopiero wtedy podniosła głowę. Jaszczurniki zgromadziły się przed nią, tworząc półkole. Veka powoli odpełzła tyłem w stronę korytarza. Kilka stworów próbowało się do niej zbliżyć, ale odskakiwały z sykiem, gdy tylko weszły na plamy rozlanej syfii. Nie wiadomo, czy bały się żaru, blasku czy smrodu, ale nie zamierzały przechodzić przez pas zasyfionego piasku.

Veka podniosła ostrożnie księgę zaklęć i wsadziła ją do kieszeni. Za pomocą kostura przysunęła nieco lampę, po czym zahaczyła ją za rączkę. Utrzymując latarnię pomiędzy sobą a jaszczurnikami, cofnęła się pospiesznie w głąb korytarza. Rozchlapaną syfią nie przestawała płonąć.

Już w korytarzu odstawiła lampę, wyszarpnęła z płaszcza księgę zaklęć i otworzyła ją na stronie zaklęcia kwitującego.

Syfia zwęgliła większość kartki, przepalając na wskroś przynajmniej dziesięć sąsiednich. Jedna z niewielu w pełni zachowanych formuł poszła z dymem! Veka dotknęła poczerniałych brzegów dziury; kawałki spalonego papieru przyłgnęły jej do palca. Spojrzała na opustoszały już brzeg z taką nienawiścią, że gdyby wzrok mógł zabijać, w całym jeziorze nie ostałby się ani jeden jaszczurnik.

- I co teraz? Jak mam zostać Bohaterem bez księgi zaklęć?

To niewykonalne. Bez magii jest tylko przeciętną, grubą goblina, która zapewne do końca życia będzie pracowała w destylatorni. A przynajmniej dopóty, dopóki opary nie wyżrą jej mózgu i nie doprowadzą do szaleństwa.

Wyciągnęła „Drogę Bohatera”. Przez moment miała ochotę cisnąć obie książki w ogień. Co to za Bohater, który traci księgę czarów, zanim na dobre rozpocznie swoją podróż?

Przewróciła strony do początku, krzywiąc się za każdym razem, gdy spalone szczątki papieru wyfruwały jej spod palców i opadały na ziemię. Zaklęcie Wiązania dało się odczytać, ale co z tego? To zaledwie pierwszy krok do wykorzystania magii. Niczym krzesiwo wytwarzało jedynie iskry, które rozpały prawdziwą moc. Bez formuł, bez paliwa, iskry te Zapłoną i zgasną.

Joska pisała, że Bohater powinien pokonywać przeszkody, ale nie wyjaśniała w jaki sposób. Veka nie miała ogra, który rozdeptałby jaszczurniki. Nie miała nikogo.

Zamrugnęła, ocierając łzy. Przekartkowała „Drogę Bohatera”, zatrzymując się na rozdziale zatytułowanym „Prawa Ręka”.

„Choć nie jest to wymogiem prawdziwego bohaterstwa, wielu legendarnym magom w podróży po ścieżkach przeznaczenia towarzyszył wierny sojusznik. Na przykład półolbrzym, uczeń krasnoludzkiego czarnoksiężnika Moga, czy trzyłapa żaba, która wiernie podążała za swym mistrzem, Skythem, przez Trzęsawiska Obłądu. Pomocnik ten - tak zwana Prawa Ręka - wspiera Bohatera podczas wędrówki i troszczy się o różne sprawy”.

Veka zacisnęła zęby, pozbierała książki i wstała, Otrzeputując płaszcz. Może w labiryntach nie miała Wielkich szans na spotkanie trójłapej żaby, ale czterokończynowy hobgoblin też się nada.

* * *

Strażnicy stali w tunelu, kłócąc się zaciekle. Drewniana platforma zwisała ze stropu, a stos odłamków skał leżał pod ścianą.

- Żelazne kolce nie wyrządzą wielkiej krzywdy, bo kłapa jest za lekka, a jeśli obciążymy ją bardziej, to hak nie wytrzyma! - pieklił się Sznyt, wymachując rękami.

- To co chcesz zrobić? - warknął jego towarzysz. - Znowu przybijesz do niej skalne węże za ogony?

Twarz Sznyta pociemniała.

- To było niezłe rozwiązanie, nie moja wina, że się pozżerały - mruknął. Już otwierał usta, żeby coś dodać, ale zmilczał, dostrzegłszy Vekę. Kuksnął towarzysza łokciem, wskazując goblinę. - Patrz, to dopiero waga ciężka...

Zmierzyli spojrzeniem brudne, poszarpane odzienie Veki i wykrzywili się drwiąco.

Veka całą drogę myślała nad tym, jak skłonić hobgoblina, aby z nią poszły. Jednak widok trzeszczącej kłapy nasunął jej pewien pomysł. Skierowała koniec kostura na strażników, grzechocząc melodramatycznie ozdóbkami.

- Wy dwaj. Pójdziecie ze mną.

Sznyt sięgnął po opartą o ścianę włócznię.

- Ach, od urodzenia marzę o wycieczce ze szczurojadem, ale, niestety, służba nie drużba.

Veka wykrzywiła się, licząc, że grymas wyszedł wystarczająco groźnie. Odłożywszy latarnię oraz kij, wyciągnęła z kieszeni małą paczuszkę owiniętą kilkoma warstwami poźółkłych,

spłowiących gałęzi.

- Co to? - zaniepokoił się Sznyt.

- Rozwiązanie waszego problemu z pułapką. - Rozwinęła szmatki. Wewnątrz znajdowała się garść czegoś, co przypominało pylistą ziemię. Ostrożnie, żeby nie dotknąć drobinek, wyciągnęła rękę ku hobgoblinom. - To jest to, czego szukacie.

Gdy nachylili się, aby lepiej obejrzeć proszek, dmuchnęła im go w twarz. I natychmiast musiała uskoczyć przed włóczęgą Sznytą. Drugi hobgoblin nieporadnie sięgnął po miecz.

- Posiekam cię na kawałki i nakarmię tobą koty tunelowe! - ryknął.

Proszek zaczął działać. Sznyt odrzucił włóczęgę i zaczął się wściekle drapać po twarzy, na której wyskoczyły niewielkie czerwone plamki. Jego kamrata wysypało jeszcze mocniej. Kropki pojawiły się także na ramionach oraz szyi, a oczy łzawiły mu tak bardzo, że nie był w stanie wymierzyć w nią miecza.

- Macie jeszcze to piwo? - spytała Veka. Zgodnie z przewidywaniami nie odpowiedzieli. - Alkohol trochę zneutralizuje swędzenie.

Oba hobgobliny runęły do bukłaka. Sznyt dopadł go pierwszy. Wylał na twarz większość piwa i dopiero potem oddał bukłak towarzyszowi, łapiąc jednocześnie za włóczęgę.

- Jak myślicie, co się stanie, gdy umieścicie ten Proszek na waszej platformie?

Sznyt zatrzymał się w pół ruchu. Zerknął na kompana, który przeklinając siarczyście, podskakiwał, usiłując wytrząsnąć na siebie resztki piwa.

- Co to takiego? - zapytał.

- To magiczna substancja - skłamała Veka. - Nazywa się proszek turgogowy. - Nosila proszek przy sobie, szukając okazji, żeby wsypać go do wody goblinowskiemu wojownikowi, który dopiekł jej kilka dni wcześniej.

Sznyt nie przestawał trzymać jej na grocie.

- Jak go robisz?

Veka zawahała się na moment. Turgog był niejako produktem ubocznym półfabrykatu syfu. Od czasu do czasu do destylatorni wślizgiwały się szczury, a gryzonie te uwielbiały wysuszone, częściowo przetworzone grzyby stosowane w procesie syfienia. Podczas wędrówki w układzie pokarmowym zwierzęcia zamieniały się one w wysoce drażniącą substancję, którą przed chwilą dmuchnęła na hobgoblina. Wątpiła jednak, czy Sznyt ucieszyłaby wieść, że miał twarz pokrytą sproszkowanymi szczurzymi bobkami. Zbyła jego pytanie machnięciem ręki.

- To bardzo złożona magiczna formuła.

Sznyt zmarszczył brwi.

- Magiczna? - Zerknął na jej łaskę. - A ty co, jesteś jakąś wiedźmą?

- Magiem - odrzekła Veka, potrząsając kosturem. Towarzysz Sznyt porzucił pusty bukłak i pognął w stronę siedziby hobgoblinów, wrzeszcząc, że potrzebne mu piwo. - Jak pójdziesz ze mną, dostarczę ci tyle turgogu, żeby starczyło na obsypanie całej armii herosów.

Uśmiechnięty hobgoblin wyglądał paskudnie, szczególnie że jego wykrzywioną gębę pokrywała pomarańczowa wysypka.

- No to chodźmy - rzekł.

- Weź jedną z tych latarni - rozkazała mu Veka. Hobgobliny używały syfii, która paliła się na niebiesko, ale wytwarzały ją podobnie jak gobliny. - Będzie nam potrzebna. - Powściągnęła uśmiech i ruszyła w głąb tunelu prowadzącego do jeziora. Jednego hobgoblina zmusiła do ucieczki, drugiego zaś do udziału w przedsięwzięciu.

Ha, jednak zostanie Bohaterem!

* * *

Rozbryzgana syfia paliła się jeszcze, oświetlając nieco czarną łąchę. Veka wkroczyła na piasek, obserwując jaszczurniki, które wypełzały z wody, kołysząc czułkami.

- Nie rzucisz na nie zaklęcia? - spytał Sznyt.

Nie był tak głupi, na jakiego wyglądał.

- Używanie mocy ma swoją cenę - odrzekła Veka, cytując Joskę. Chyba że jesteś Jigiem Smokobójcą. Wtedy potykasz się o taką magię, bierzesz ją sobie i po prostu czarujesz. Jak to mówią, głupi ma zawsze szczęście. - Nie ma sensu tracić energii na tak mierne stwory, skoro jest inne wyjście. - Zanim Sznyt otworzył usta, dodała: - Przejdziemy razem. Boją się latarni. Zawieś swoją na włóczni, będziesz nią machał i zabezpieczał nam tyły. Ja przycępię moją do kostura i pójdę przodem, oczyszczając drogę przed nami. W ten sposób dotrzemy do tunelu, a tam za nami nie wejdą.

Przynajmniej taką miała nadzieję. Jiga i jego grupy nie ściagały przecież w podwodnym przejściu.

Trzymając latarnię przed sobą, wkroczyła na łacę. Sznyt nie drgnął.

- I to jest twój genialny plan? - warknął.

Veka zmarszczyła brwi, pospiesznie wracając na kamienny spąg. Wyłowiła z kieszeni „Drogę Bohatera”.

- Co to takiego? - spytał hobgoblin.

- Moja księga zaklęć. - Mogła wyciągnąć prawdziwą, ale „Droga Bohatera” wyglądała bardziej imponująco, a poza tym miała lepsze obrazki. Otworzyła książkę i wskazała ilustrację elfa walczącego z istotą przypominającą skrzyżowanie smoka z kupą mierzwy. - Właśnie w coś takiego cię zamienię, jeśli mi nie pomożesz.

Zamknęła księgę, nieomal przytraskując mu czubek nosa. Nie dając mu czasu na przemyślenie groźby, wstąpiła ponownie na piasek.

- I jak?

Ku jej zdumieniu Sznyt pospiesznie wszedł na łacę.

- No idę, już idę.

- W porządku. - Serce łomotało jej z wrażenia. Posłuchał jej! Dała mu radę, pokonała, pewnością siebie oraz stanowczością. A powinna być przerażona. W końcu Sznyt to hobgoblin, jego głos, wygląd, ruchy, wszystko krzyczało: „Uwaga, groźne zwierzę”. Mimo to nie okazała lęku, a zaskoczony Sznyt nie wiedział, jak na coś takiego zareagować.

Tym razem podążał za nią krok w krok. Jaszczurniki wypełzły z wody, jednak trzymały się z dala od latarni. Kilka próbowało zająć ich od tyłu, ale Sznyt wymachiwał lampą, rozchlapując krople syfii. Jedna z nich padła na ogon jaszczurnika. Stwór zapiszczał przenikliwie i rzucił się do wody. Błękitnawa poświata płomyków zniknęła szybko w toni.

- Nie wiedziałem, że wydają jakieś dźwięki - zdziwił się Sznyt. Potrzęsnał włócznią, ochlapując więcej jaszczurników. - Ha! Patrz tylko! Pyskają jak przestraszone gobliny!

Veka spiorunowała go wzrokiem, ale zmilczała zniewagę.

Sznyt znów zachybotał latarnią, dźgając ją przy okazji włócznią w bok. Nie skaleczył jej, ale zaskoczona Veka straciła na moment równowagę, a syfiówka zsunęła się z kostura.

- Ups - chrząknął Sznyt.

Veka próbowała na powrót zahaczyć rączkę, ale tylko wywróciła lampę. Ze zbiorniczka pociekła syfia, Zanim udało jej się postawić latarnię, w środku zorała zaledwie odrobina mazi, dająca nikłą zielonkawą poświatę.

Jaszczurniki zaczęły otaczać ich ze wszystkich stron. Veka pchnęła lampę na najbliższego i zerknęła przez ramię na ciemną gardziel tunelu. Stwory znajdowały się także z tyłu, odcinając im drogę, a do brzegu brakowało kilka kroków.

- Biegnij! - krzyknęła.

- Co... ?

Veka sadziła wielkimi susami, mokry piasek bryzgał jej spod stóp. Krąg światła z syfiówki Sznyta podskakiwał dziko. Hobgoblin pędził, wywijając włócznią na wszystkie strony. Raz o mało co nie podpalił jej włosów oraz szaty - trudno stwierdzić, celowo czy przypadkiem.

Veka tak bardzo skupiła się na ucieczce, że byłaby minęła wejście do tunelu. Dopiero gdy podeszwy butów zaklaskały na nagiej skale, przystanęła i spojrzała przez ramię.

Jaszczurniki pozostały na zewnątrz. Kotłowały się, depcząc jeden po drugim, ale żaden nie przekroczył granicy piasku. Sznyt zdjął latarnię z włóczni i oświetlił wnętrze tunelu.

Gładka powierzchnia skał była dużo jaśniejsza niż usmolone obsydianowe ściany górnych korytarzy. Veka i Sznyt rozglądali się wokół, wdeptując co chwila w niewielkie kałuże, w których pływały maleńkie wężyki.

Hobgoblin przypadkiem rozgniótł kilka stopą. W tunelu poniosło się echo nieprzyjemnego chrzęstu. Ze względu na ciasnotę Veka musiała trzymać kostur przy sobie, żeby nie obijać nim o ściany.

- Chodźmy - szepnęła.

Kiedy dotarło do niej, że idzie skulona, zmusiła się do wyprostowania pleców i uniesienia głowy. Bohaterowie się nie garbią. Są prości jak strzała i zawsze kroczą dumnie.

Aczkolwiek ilu z nich musiało przejść pod jeziorem, wiedząc, że tylko cienkie ściany odgradzają ich od ogromnych mas wody? Cisza w tunelu zdawała się niemal namacalna, a powietrze przepelniała wilgoć.

Zimny pot ściekał jej po plecach; ze stropu kapła woda. Veka położyła uszy i parła do przodu. Chodnik opadał ukośnie, biegnąc pod wodą, a następnie wskroś łożyska jeziora.

Na końcu w gładkim, lśniącym podłożu czerniła się matowa plama wylotu. Zejście w dół umożliwiała drabina, stworzona magicznie z tej samej skały co cały tunel.

- Podaj mi latarnię. - Przyświecając sobie niebieskawym płomykiem, Veka wrzuciła kostur do pomieszczenia poniżej. Po wędrowce w głuchej ciszy klekot upadającego kija brzmiał jak huk, ale nic poza tym się nie stało. Nie wypuszczając syfiówki z ręki, Veka opuściła się do

komnaty tronowej legendarnego Nekromanty.

Ściany oraz posadzka groty zostały wyłożone płytami z czarnego marmuru. Ślady stóp grupy Jiga odcinały się wyraźnie na grubej warstwie kurzu. Mozaika na suficie przypominała trochę tę ze świątyni Jiga, lecz tutaj barwne łuski tworzyły zupełnie abstrakcyjny obraz. Woń konserwantów oraz starego guana nietoperzy wierciła w nosie. Veka kichnęła.

Z góry dobiegło ją nucenie schodzącego hobgoblina. Veka zwarła szczękę, rozpoznając słowa „Ballady o Jigu”. Podniosła kostur z zamiarem zdzielenia Sznyta w łeb, ale było już za późno. Melodia wżarła się w jej mózg każdą nutą. Gwałtownym ruchem wcisnęła towarzyszeni latarnię, licząc, że „przypadkiem” opryska mu syfią przegub. Niestety, zawiodła się.

Jak to dalej szło? Coś o żywych trupach oraz silnym wojowniku Jigu, który wraził swój miecz w bebechy Nekromanty i ocalił drużynę herosów. Rozejrzała się trwożnie, sprawdzając, czy w mroku nic się nie porusza. Niepotrzebnie. Od powrotu Jiga tak gobliny, jak i hobgobliny przechodziły tędy wielokrotnie i nigdy żaden nie został zaatakowany przez ożywieńców. Trochę dalej w podłodze ział otwór wiodący do królestwa smoka. Podobnie jak wyżej, ta sama grupa śmiałków stworzyła drabinę i tutaj. Zawisć wezbrała w Vece tak wielką falą, że sięgnęła języka, zostawiając na nim wyraźnie wyczuwalną gorycz. Goblinka pochłaniała oczyma drabinę, marząc o mocy zdolnej formować nawet skałę.

Podeszła na sam skraj dziury i zajrzała w głąb.

- Zakryj latarnię - nakazała Sznytowi.

Błękitna poświata zniknęła. Kiedy oczy przywykły do mroku, Veka dostrzegła majaczącą w dole srebrzystą, migotliwą plamkę. Połyskujące w ciemnościach kamienne szczeble powinny schodzić aż do dna, jednak od połowy jakby falowały, drgały, zaś jeszcze niżej zdawały się w ogóle nie istnieć.

- Co to? - zdumiał się Sznyt.

- Nie mam pojęcia. Ale to, co przeraziło ogry, jest...

- Ogry? Przeraziło? - Hobgoblin zajrzał do szybu, a potem popatrzył pytająco na Veke.

- Coś zaatakowało i zdziesiątkowało ogry. Ocalała zaledwie garstka. Dlatego jeden przyszedł prosić nas o pomoc.

Sznyt gapił się na nią z niedowierzaniem. W jego bezwładnie opuszczonej ręce kiwała się włócznia.

- I ty chcesz tam zejść?!

- Musimy się pospieszyć - rzekła Veka. - Nie wiem, co jest z tą drabiną, ale obawiam się...

Tylko tyle zdążyła powiedzieć, zanim Sznyt nie kopnął jej w zadek, posyłając na łeb na szyję w czern studni.

Rozdział trzeci

*Żadna noc nie jest tak ciemna ani żadna sytuacja tak rozpacзлиwa, żeby boska interwencja
nie mogła pogorszyć tego stanu.*

[Braciszek Darnak Głazołupacz, krasnoludzki kapłan]

Jig schodził do krainy Strauma jako pierwszy. Po wydostaniu się na otwartą przestrzeń poczuł uderzenie przenikliwego chłodu. Zadrzał, gdy zimny powiew wcisnął mu się pod rękawy i wdarł za kołnierz.

Zaraz potem odkrył, że ostatnie szczeble drabiny są dziwnie niematerialne i nie ma na czym oprzeć ciężaru. Niestety, odkrycia dokonał dopiero wtedy, gdy jego stopa przeszła na wylot przez drążek. Niemal równocześnie poczuł silny ból w dolnych partiach pleców, które zetknęły się gwałtownie z twardym podłożem.

Zadarł głowę, żeby ostrzec pozostałych, i jęknął głucho. Braf nie był szczególnie urodziwym goblinem, a z tej perspektywy...

- Coś jest nie tak z drabiną! - zawołał, podrywając się z ziemi i podnosząc przewróconą latarnię. Wydobył z mieszka nieco piasku i szybko ugasił pełgające po plamie syfii płomyki. - Dołu w ogóle nie ma.

- Zupełnie jak mózgu Brafa... - dobiegł go głos Grell.

Jig nie odpowiedział, zajęty rejestrowaniem zmian, jakie zaszły tu od ostatniej jego wizyty. W czasach Strauma gigantyczna pieczara wyglądała zupełnie inaczej. Smok wykorzystał swoją magię, aby odtworzyć we wnętrzu góry świat zewnętrzny. Skazany na wieczne pilnowanie różnych skarbów, bez szans na wydostanie się spod ziemi, uczynił wszystko, co w jego mocy, aby jak najwygodniej urządzić się w swoim więzieniu. Jig pamiętał ciągnące się po horyzont niebo, zbyt jaskrawy blask słońca i szelest poruszanych wiatrem koron drzew, który przypominał odgłos tysięcy pełzających węży.

Część elementów świata stworzonego przez Strauma była iluzją, jak na przykład wędrująca codziennie po niebie tarcza słoneczna. Ale rosły tu prawdziwe rośliny. Chociaż te znowu tysiącleciami zasilane smoczą magią przestały w końcu przypominać cokolwiek znanego na powierzchni.

Teraz sterczące na kształt armii rosochatych szkieletów drzewa okrywała cienka warstewka siwego mrozu. Wszystko wokół skuwał lód, zaś powietrze przesyciła woń przywodząca na myśl prymitywną kuźnię gobliniską w górnych tunelach.

Jig ukląkł; zamrznięta trawa zatrzeszczała pod jego kolanami. Odłamał jedno źdźbło i przyjrzał mu się uważnie. Czy wyobraźnia płatała mu figle, czy rzeczywiście w kryształkach migotał srebrzysty blask? Lodowa otoczka stopniała, zimna kropla kapnęła na rękę Jiga. Źdźbło odarte z półprzezroczystej bieli okazało się brunatne i łamliwe.

Zamrugnął i odrzuciwszy trawkę, przyjrzał się uważnie własnej dłoni. Niebieski kolor skóry wydawał się wyblakły, jakby nabrał odcienia stali. Jig rozejrzał się i wszędzie dostrzegł tę samą domieszkę metalicznej szarości. Lód połyskiwał srebrzyście, a drzewa pokrywał nalot przypominający popiół. Iluzoryczne niebo zmatowiało, zasnuwane siwą mgiełką. Nigdzie nie było też widać stworzonego przez Strauma słońca, które tak fascynowało Jiga. Choć świadom jego nieprawdziwości, zawsze cieszył się, że po zejściu tutaj opromieni go ciepłym blaskiem.

Zejściu Brafa towarzyszył łomot oraz bolesny jęk. Goblin nie usłyszał bądź zapomniał o ostrzeżeniach Jiga. Przeklinając, pozbierał się z ziemi, otrzepał ze śniegu, po czym dołączył do Jiga.

- Upiorne, prawda? - rzekł Walland, któremu zeskok z najniższego szczebla nie sprawił żadnych trudności. - Początkowo zmiany zachodziły powoli. Z jaskini Strauma zaczął wiać zimny wicher. Każdego ranka trawę ścinał przymrozek. Liście usychały i opadały z drzew. A potem ten śnieg. - Zatoczył ręką, wskazując spadające płatki. Śniegowe gwiazdki osiadały na okularach Jiga, pogarszając widoczność.

- Niech ktoś mnie ściągnie z tej głupiej drabiny! - zaskrzeczała Grell. Szczudła zatknęła za pasek i obiema rękoma trzymała się kurczowo drążków. Jedną stopą ostrożnie macała niższy szczebel. Sandał przeszedł wskroś poprzeczki, z której uniosły się czarne drobiny.

Walland bez słowa zdjął ją z drabiny i postawił na ziemi.

- Gdzie teraz? - Jig podskoczył na dźwięk głosu stojącego tuż za nim Brafa. Jedna z zasad przetrwania mówiła, że absolutnie nie wolno dopuszczać, aby za plecami znalazł się inny goblin. A co robi Jig? Gapi się na drzewa, wręcz prosi się o śmierć, umożliwiając Brafowi zamach.

Obiecali, że nie zabiją mnie, dopóki nie załatwimy sprawy z ogrami. Co prawda obietnica goblina znaczyła niewiele, za to strach przed Wallandem robił swoje. Zresztą nie ma sensu martwić się Brafem, bo to, co prześladowuje ogry, i tak zabije ich wszystkich.

Jig poczuł słaby ruch przy pasku. Z kaletki wysunęły się przednie odnóża pająka, a po chwili ponad skrajem pojawiła się głowa. Ciąpek rozejrzał się wokół i błyskawicznie zniknął na powrót w swojej kryjówce, Jig szczerze żałował, że sam nie może pójść za przykładem pupila.

Zabrał się do przywiązywania latarni do paska. Starał się zrobić to tak, aby rozgrzany metal obudowy nie stykał się w czasie marszu ze skórą. W końcu doszedł do wniosku, że najlepiej zawiesić ją na rękojeści miecza i oprzeć o pochwę. Aby zrównoważyć dodatkowy ciężar z jednej strony, wszystkie sakiewki przesunął na drugą. Walland zadarł głowę i zaczął węszyć. Okręcił się wokół własnej osi, przeczesując wzrokiem otaczające polanę drzewa. Postąpił krok, zatrzymał się i obrócił ponownie. Jig nie miał pojęcia, czego ogr wypatruje, ale takie zachowanie wzbudziło w nim jeszcze większy - o ile to w ogóle możliwe - niepokój.

- Mam nadzieję, że wiesz, którądy iść? - odezwała się Grell.

Walland przysłonił dłonią oczy i spojrzał w niebo, omal nie wpadając na drabinę przy okazji kolejnego obrotu.

- Przypomina mi tego obłąkanego szczura, którego dzieci trzymały w żłobku, póki jedna ze starszych dziewczynek go nie pożarła - parsknęła Grell.

- Upewniam się, że nikt nas nie zauważył - oświadczył Walland.

- Może ruszajmy już szukać reszty ogrów - zaproponował Jig. Im dłużej stali na polanie, tym szybciej coś ich namierzy i zabije, a Jig miał zamiar opóźnić ten moment jak to tylko możliwe. - Mówiłeś, że grupie ogrów udało się uciec, tak?

Spomiędzy drzew po lewej wychynęła jakaś istota. Przypominała kupkę sterczących na wszystkie strony sopli o różowym, pomarszczonym pyszczku oraz wystającym ryjku. Z każdym poruszeniem stworzenia lodowe kolce mieniły się kolorami, od niebieskiego, przez zielony, do fioletu. Zwierzątko prawdopodobnie czaiło się na pomarańczowe owady, takie same, jakie Jig widział w swojej świątyni. Insekty zniżyły lot, krążąc nad łbem istoty. Nagle z jednego z kolców przy karku wystrzeliła iskra i martwy robak spadł na ziemię. Zwierzątko przyskoczyło do ofiary i za pomocą przednich łap wepchnęło ją sobie do pyszczka.

- A to co? - zdumiał się Jig.

- Teraz w lasach kręcą się różne takie dziwadła - wyjaśnił Walland, biorąc Grell na barana. - Szybko. Mamy mało czasu.

Jig oraz Braf musieli biec, żeby dotrzymać mu kroku. Lód i sucha trawa chrzęściły pod stopami kłusujących za ogrem goblinów. W lesie Walland nie uchylał się przed niskimi

gałęziami ani nie omijał stojących mu na drodze mniejszych drzew - po prostu zmiatał je uderzeniami maczugi. Jig i Braf gnali za nim, ocierając z twarzy odpryski drewna i lodu. Nawet gdyby padający śnieg zasypał ich ślady, zdradziłyby ich wyrębana w lesie szeroka przesieka. Jig tak ciężko dyszał, że nie był w stanie zwrócić na to uwagi przewodnikowi.

Słyszał, jak Grell złorzeczy pod nosem, zacinając się przy każdym kroku ogra. Jej urywane rytmicznie wiązanki przekleństw brzmiały jak marszowa piosenka o wyjątkowo wulgarnym tekście. Czyli jak większość goblinich przyspiewek.

Jig kątem oka łowił od czasu do czasu jakieś poruszenia - błysk białego światła, który ginął pomiędzy pniami; wzbijające się i opadające grudki śniegu; cienie, które znikwały, zostawiając za sobą rozkołysane gałązki krzewów. Nic jednak nie próbowało ich zaatakować. Przynajmniej na razie.

Wreszcie Walland zwolnił. Grell zamilkła, po czym podjęła swoją recytację już w nowym rytmie.

- Dokąd idziemy? - wydyszał Jig, ocierając pot z czoła.

Walland wskazał kierunek.

- Do tego leżącego drzewa.

Korę przewróconego pnia pokrywała bardzo cienka skorupa lodu, więc Jig doszedł do wniosku, że przy takiej pogodzie drzewo musiało zostać ścięte nie dalej jak wczoraj.

Z bliska okazało się, że określenie „ścięte" nie bardzo pasowało w tym przypadku. Rzeczywiście, na pniaku widniały ślady siekiery, ale dalej płaski nacios zastępowały sterczące drzazgi, jakby ktoś zniecierpliwiał się i po prostu złamał drzewo.

Korona poruszała się gwałtownie, a odpadające od kory grudki lodu tonęły w białym puchu, znacząc go małymi dziurkami. Jig zatrzymał się w pół kroku. Za drzewem leżał przysłonięty gałęziami wielki ogr.

- Zaatakowały was drzewa? - zdumiał się Braf.

Walland postawił Grell, która natychmiast podeszła do Brafy i trzepnęła go w łeb. Jednak Jigowi pytanie nie wydawało się do końca głupie. Całe to miejsce zostało stworzone przy pomocy magii. Kto wie co jest tutaj możliwe, a co nie? Wątpił jednak, by obdarzone życiem drzewo traciło czas na przywiązywanie do swojego pnia ogra. Ani tym bardziej, żeby leżało beczynnym w śniegu, wstrząsane szarpaniną próbującego się uwolnić zakładnika.

- To moja siostra, Sashi - oznajmił Walland, kładąc rękę na pniu. Ogrzyca miała na

głowie worek, a sądząc po stłumionych pomrukach, była także zakneblowana. Sashi wielkością niemal dorównywała bratu.

Grell przykuśtykała do drzewa i okiem znawcy przyjrzała się więzom.

- Skuteczna metoda. Kończyny skrępowane i przywiązane w stawach uniemożliwiają poluzowanie pęt i wysunięcie rąk. Sama czasami miałam ochotę tak unieruchomić niektóre dzieciaki - stwierdziła.

Braf nie dostrzegł spojrzenia, jakie rzuciła mu stara niańka.

- Mówiłem, że łapią i robią z nas swoje sługi. - Walland trzymał maczugę w obu rękach, wzdrygając się za każdym razem, gdy trzasnęła jakaś gałąź czy spadła większa bryłka lodu. - Wywiodłem moją rodzinę i ukryłem z dala od innych. Miałem nadzieję, że dzięki temu ocaleją. Ale Sashi nie chciała siedzieć w kryjówce. Poszła do jaskini Strauma, żeby stawić czoło wrogowi. Zawsze była najbardziej krewka z nas.

- I co się stało? - spytał Jig.

Walland wzruszył ramionami.

- Wróciła następnego dnia i omal mnie nie zabiła.

- Więc walnąłeś ją drzewem? - Braf spojrzał na niego okrągłymi ze zdumienia oczyma.

- Nie od razu. Udawałem, że straciłem przytomność. A ona zaprzestała ataków, jakby nie zależało jej na mojej śmierci. Kiedy przywiązywała mnie do drzewa, złapałem ją za szyję. - Mimowolnie dotknął łokcia, na którym widniały ciemne ślady zadrapań. - Sashi zawsze walczyła brutalnie - mruknął. - Potem ją spętałem i przywlokłem tutaj. Wtedy właśnie postanowiłem poszukać Jiga Smokobójcy.

- Myślałem, że mamy wam pomóc w bitwie, walcząc w szeregach ogrów... - Braf urwał, widząc pełne niedowierzania spojrzenie, jakim obrzucił go Walland.

Jig popatrzył na związaną ogrzycę, a potem na Wallanda. Miał złe przeczucie, że wie, do czego to wszystko zmierza.

Walland potrząsnął głową.

- Najpierw trzeba wyzwolić moją siostrę. Musisz złamać zaklęcie, jakie na nią rzucili.

- Oni czyli kto? - spytała Grell.

- Nie wiem. Ogry, które wyruszyły do legowiska Strauma, albo zginęły, albo obróciły się przeciwko nam. Czasem na niebie widać dziwne światła, ale są za daleko, żeby zobaczyć, co to takiego. A podchodzenie wroga nie jest mocną stroną ogrów. Za bardzo rzucamy się w oczy.

Sashi zaczęła miotać się jeszcze wścieklej, a tarmoszone konary trzeszczały i podskakiwały. Raz zdołała nawet poderwać pień, ale wysiłek szybko wyczerpał jej siły i drzewo z powrotem opadło.

- Nie martwcie się - rzekł Walland. - Przez całą drogę tutaj miała ten kaptur, więc nawet jeśli ci, którzy ją kontrolują, widzą jej oczyma, nie mają pojęcia, gdzie jesteśmy.

Czy po to właśnie Ciemnogwiazdy wysłał go z Wallandem? Jig nie miał bladego pojęcia, od czego zacząć. W tym wypadku nie chodziło o złamaną kość czy kieł w nosie. Postąpił ostrożnie w stronę Sashi, która nagle zamarła. Okryta workiem głowa przekrzywiła się, jakby ogrzyca pilnie nasłuchiwała odgłosu zbliżających się kroków.

Co mam robić?

Tymalous Ciemnogwiazdy milczał.

Halo! Jesteś tam? Przydałaby mi się jakaś pomoc. Nadal nic. Oczywiście, jak trzeba boga, to żadnego nie ma pod ręką. Jig powoli okrążył drzewo. Chciał przyjrzeć się lepiej ogrzycy, a przy okazji zyskać nieco czasu. Sashi, podobnie jak brat, miała na sobie odzienie z prymitywnie wyprawionych skór jelenich, tyle że przemoczone i brudne. Połamane szpony i pokrwawione opuszki wskazywały, jak zaciekle próbowała się uwolnić. A sądząc po głębokich podłużnych zadrapaniach na pniu, przy okazji rozszarpać na kawałki drzewo.

- No, dalej - ponagliła Jiga Grell. - Ulecz ją, zdejmij czar, czy co tam, i zabierajmy się stąd. Zimno tu tak, że smarki zamarzają.

Ciemnogwiazdy? Odezwij się, proszę. Walland nie będzie zachwycony, jak się okaże, że nie potrafisz mu pomóc, a nie uśmiecha mi się stać tu z wściekłym ogrem i szaloną ogrzyca.

- Potrafisz jej pomóc, prawda? - upewnił się Walland, złowieszczo zakręciwszy maczugą. Jig skinął głową.

- Um... przeszkadzają mi trochę te gałęzie. Mógłbyś obrócić drzewo? - Sashi na pewno odniosła jakieś rany podczas szarpaniny z Wallandem. Jig chciał zająć się najpierw nimi, a w międzyczasie pomyśleć, co robić dalej. Tyle że jeśli Ciemnogwiazdy opuścił go na dobre, nie będzie w stanie uleczyć nawet złamanego paznokcia.

Walland odłożył maczugę i chwycił leżący pień obiema rękoma. Jig zerknął na boki, szacując szanse na ucieczkę. Ocenił, że najwyżej po czterech, pięciu krokach maczuga Wallanda roztrzaskałaby mu czaszkę. Sześciu, jeśli ogr zdecydowałby się wykończyć najpierw Grell oraz Brafa.

Olbrzym stęknął, dźwigając pień, po czym podparł kraniec ramieniem tak, że jego siostra wisiała głową w dół. Przy wtórze trzasku łamanych gałęzi obracał drzewo, dopóki unieruchomiona Sashi nie znalazła się na wierzchu, twarzą do góry.

Zaczął opuszczać swój ciężar na ziemię, ale w tym momencie ogrzyca wygięła się i z rozmachem uderzyła plecami w pień. W pierwszej chwili Jig nie był pewien, czy przerażający głośny trzask to pęknięcie kości, czy drewna. Ale Sashi poruszyła się znowu. Dźwignęła przywiązaną do nóg część pniaka i wierzgnęła. Dźwięk, który rozległ się tym razem, był niewątpliwie chrzęstem łamanej szczęki Wallanda. Olbrzym zatoczył się w tył. Oczy zalewała mu krew. Sashi wiała się i ciskała, póki nie zrzuciła pętli z nóg. W następnej chwili przełożyła związane ręce do przodu, zerwała worek, wyciągnęła knebel i błyskawicznie przegryzła sznur. Potoczyła wzrokiem po goblinach, parsknęła z rozbawieniem, po czym odwróciła się do brata.

Walland krążył wokół niej z uniesioną maczugą. Sashi miotnęła w niego złamanym pniem. Zdołał się uchylić, ale ona w tym czasie poluźniła więzy na nogach.

- I co teraz? - spytał Braf. Nastawił hakiel na ogrzycę, gotów ze śpiewem na ustach skoczyć w wir walki. Jak takiemu udało się dożyć w ogóle wieku ząbkowania?!

- W nogi! - krzyknął Jig.

Grell już dawno wpadła na ten pomysł, zdążyła także wprowadzić go w czyn. Jig właśnie mijał kuśtykającą niańkę, gdy z tyłu dobiegło go kolejne pytanie Brafa:

- To znaczy, że nie pomożesz Sashi?

Jig zerknął przez ramię i przez głowę przemknęły mu dwie myśli. Pierwsza, że Grell nie ma szans uciec, bo porusza się zbyt wolno. Bez względu na to, który ogr zwycięży, dopadnie ją bez trudu. Druga zaś, że każda sekunda, jaką ogr poświęci na rozprawienie się z Grell, pozwoli mu zwiększyć dystans. Przyspieszył.

Spodziewał się ostrej reprymendy od Tymalousa Ciemnogwiazdego, ale w czaszce panowała głucha cisza. Ciemnogwiazdy miał bardzo osobliwe podejście do kwestii pozostawiania towarzyszy na pewną śmierć. Nawet towarzyszy skrytobójców.

Nieco zbity z tropu milczeniem boga, obejrzał się ponownie. I wpadł na drzewo. Wywrócił się, a z korony spadł na niego deszcz bryłek lodu oraz płyty śniegu. Gapiąc się w poszarzałe niebo, czuł ciekącą z prawego nozdrza krew. Odwrócił głowę, słysząc nadbiegające gobliny. Wspierająca się na szczudłach Grell przypominała wysuszonego, kulawego owada. Jig przyłożył do nosa garść śniegu i wstał. Nieco dalej toczyła się walka dwóch ogrów. Mniejsza,

słabsza Sashi zdobywała wyraźną przewagę. Może dlatego, że Walland używał tylko maczugi, zaś jego siostra wywijała odłamanym pniem?

Ruchy ogrzycy były nieco spowolnione, ale Walland najwyraźniej nie chciał jej zabić. Kilkakrotnie, gdy odzyskiwała równowagę po silnym zamachu, miał szansę zmiażdżyć jej czaszkę, ale poprzestawał na parowaniu ciosów i próbach wytrącenia jej pniaka.

Sashi wykorzystała chwilę, gdy brat usiłował pozbawić ją broni, i kopnęła go z całej mocy w kolano. Walland zawył z bólu. Zanim echo ryku ucichło, gobliny pędziły przed siebie na złamanie karku, byle dalej od placu boju.

- Powinniśmy walczyć! - wydyszał Braf. - Jest nas troje!

Jig zerknął na Grell. Sashi złamała gruby pień. Z goblinem mogłaby uczynić to samo machnięciem ręki. Braf - jedyny spośród nich, którego na upartego można by określić kimś w rodzaju wojownika - wymachiwał bronią, której nazwy nawet nie znał.

- Czemu się tak boisz głupiego ogra? - ciągnął Braf. - Przecież zabiłeś smoka!

Lista powodów była zbyt długa, więc Jig darował sobie odpowiedź. Przystanęli dla złapania oddechu. Grell patrzyła na niego wyczekująco. Braf także. Co oni sobie wyobrażają? Że wyciągnie z mieszka smoka i poszczuje nim ogry?

Z drugiej strony ucieczka rzeczywiście niewiele im dawała. Sashi, która powaliła brata, ruszyła za nimi w pościg i była coraz bliżej.

- Rozdzielamy się. - Z ust Jiga buchały srebrzyste obłoczki pary. Zdjął okulary i wytarł mokre soczewki.

Braf trzymał swoją broń w gotowości, choć przekładał ją w ręce niezdecydowany, którą końcówkę wykorzystać. Grell oparła szczudła o pobliskie drzewo i wyciągnęła zakrzywiony nóż.

Jig, parząc sobie dłonie, wyjął przestraszonego Ciapka z kaletki i szybko odstawił na ziemię. Pająk szurnał w stronę drzewa, znacząc drogę chmurkami pary z topniejącego śniegu. Zatrzymał się dopiero na pniu, gdzie otrząsnął z obrzydzeniem kropelki wody.

- Wybacz, przyjacielu - rzeki Jig. - Wierz mi, tam masz większe szanse. - Dobył miecza, zwracając się ku nadchodzącemu ogrowi.

Potężny ryk wściekłości zaskoczył go tak bardzo, że omal nie upuścił broni. Kompletnie osłupiał, patrzył, jak Braf celuje szpikulcem hakła w tors Sashi.

Ogrzyca trzepnęła Brafą na odlew, zbijając go z nóg. Potem spojrzała na Grell, unosząc wyzywająco brew. Stara niańka wzruszyła ramionami, wypuściła nóż z ręki i odstała na bok.

W ten sposób na placu boju został tylko Jig. Zasłonił się mieczem, wykorzystując pozycję podpatrzoną u herosów. Sashi nie trudziła się nawet, by podnieść odrzucony pień. Z miejsca ruszyła na Jiga, który miał wątpliwą przyjemność po raz pierwszy ujrzeć ją w całej okazałości.

Czas spędzony pod gołym niebem nie wpłynął korzystnie na jej urodę. Zmoknięte, zmierzwiłe włosy przypominały przyczepione do czaszki zwiędłe łodygi glonów, a do utyłanego ubrania przywarły gałązki oraz kawałki kory. Na prawym ramieniu odcinał się ciemny krwiak. Najwyraźniej Walland zadał jej jednak choć jeden potężny cios. Zranioną rękę Sashi trzymała sztywno przy boku, lecz Jig nie miał wątpliwości, że i jedną bez problemu może wykończyć kilka goblinów.

- A więc to ty jesteś Jig Smokobójca - odezwała się ogrzyca.

Jig otarł krew z nosa. Co za idiota wymyślił „Balladę o Jigu”? Niech tylko dorwie bęcwała, a wepchnie go w gniazdo ognistych pajaków.

- To prawda, co mówił o tobie mój brat? - ciągnęła. - Że potrafisz wykorzystywać magię tego świata?

Jig studiował jej twarz, starając się odgadnąć, jaka odpowiedź pozwoli mu przetrwać najdłużej. Jeśli ogrzyca postrzeżga magię jako zagrożenie, prawda umocni ją w przekonaniu, że lepiej go zabić. Choć z drugiej strony prawdopodobieństwo, że ogr uzna goblina za niebezpieczeństwo, było nikłe.

- Tak... ? - Zła odpowiedź. Sashi przyskoczyła do niego, próbując zdrową ręką złapać go za głowę. Jig zrobił unik, jednocześnie tnąc ją ostrzem w przegub. Ogrzyca ryknęła i zachwiała się, gdy zielona krew zaczęła kapać na śnieg. Braf, który zdążył się już pozbierać, dźgnął ją hakłem z drugiej strony. Szpikulec odbił się od grubej skóry. Braf, marszcząc czoło, gapił się na swoją broń, jakby nie wierzył, że uderzył właściwym końcem.

Sashi odłamała z drzewa potężny konar i zamachnęła się, obsypując Brafa deszczem lodowych drobinek. Jednak cios nie nadszedł, bo w tej samej chwili olbrzymka krzyknęła i zachwiała się. Jig ze zdumieniem dostrzegł sterczącą z jej uda rękojeść noża Grell.

Mieli trochę szczęścia, raniąc ogrzycę kilka razy, ale za mało, żeby ją zabić. Jig odsunął klapkę latarni i wetknął do środka ostrze, nabierając tyle syfii, ile zdołał. Maź była zimna, a on nie miał czym jej zapalić. No, niezupełnie. Ostrożnie przysunął miecz do drzewa, na którym siedział Ciapek.

Jedno z większych wyzwania, z jakimi Jig musiał się w życiu zmierzyć, polegało na

nauczeniu pupila, by trzymał się z dala od syfii. Pająki ogniste za nią przepadały; żrąca maź była dla nich prawdziwym przysmakiem. Jig dobrze pamiętał, jak dawno temu jednemu udało się wślizgnąć do syfiarni. Rezultaty tego incydentu były katastrofalne. Gobliny, które przebywały wtedy nieopodal pomieszczenia, nigdy w pełni nie odzyskały słuchu, a Jig znalazł się wśród pechowców wyznaczonych do uporządkowania destylatorni i zeskrobania ze ścian resztek syfiarzy.

Podkładając Ciapkowi ostrze pod nos, starał się o tym nie myśleć. Pająk zaczął pełznąć powolutku w stronę mazi, ale nie spuszczał Jiga z oczu. Podczas tresury Jig wykorzystywał wstręt pajaków ognistych do wody - zbliżały się do niej tylko w okresie rozrodu. Wiedział więc, że teraz Ciapek w każdej chwili spodziewa się oplucia.

- No chodź tu, głupi pająku - niecierpliwiał się Jig. Sashi gonila Brafę wokół drzewa. Grell trzymała w ręku drugi nóż, ale nie mogła dobrze wycelować w biegającego ogra.

Tygodnie nauki nie poszły w las. Ciapek przystanął, odwrócił się i zaczął odchodzić. Jig zazgrzytał zębami, chwycił go i położył na ostrzu. Poparzył się przy tym, ale miecz stanął w płomieniach. Gdy tylko pająk zorientował się, że Jig nie zamierza go ukarać, zaczął pospiesznie zagarniać maź i wpychać sobie przysmak do pyska.

No tak. Teraz znowu Ciapek nie zamierzał schodzić z miecza. Zrozpaczony Jig wetknął ostrze z powrotem do latarni i strząsnął pająka do środka. Zostawił pupila pławiącego się w syfnej ambrozji, a sam ruszył ku ogrzyce. Sashi, która zakończyła idiotyczne ganieanie w kółko, wyrrywając po prostu drzewo, szła właśnie z szeroko rozłożonymi ramionami na Brafę.

Jig wparł czubek ostrza na ramieniu, wzmacniając chwyt na rękojęści. Zanim zdobył okulary, nie byłby w stanie namierzyć celu nawet z tak niewielkiej odległości. Z całej siły machnął mieczem. Płonącą, syfia poleciała w stronę Sashi niczym zielone ogniste pociski i spadła jej na plecy.

- Dobry pajaczek - szepnął Jig. Ciapek, pochłonięty łapczywym pochłanianiem mazi, nie podniósł nawet łebka.

Grell w końcu udało się wycelować. Nóż ledwie drasnął olbrzymkę w ramię, ale to wystarczyło, żeby zostawiła Brafę w spokoju. Zdawała się natomiast nie zauważać, że płoną jej włosy. Działo się tu coś dziwnego. Jig niejednokrotnie został przypadkiem poparzony przez Ciapka, więc dobrze wiedział, jaki to ból.

Zamierzył się do ciosu. Raniąc Sashi w nogę, unieruchomiłby ją, zyskując czas na

ucieczkę. Poza tym był za niski, aby sięgnąć wyżej.

Potężny kopniak posłał go w powietrze. Świat wypełnił się na moment jaskrawym światłem, a Jig wylądował na ziemi ze śniegiem za kołnierzem i w spodniach. Poruszył się, a pulsujący ból w czaszce zagłuszył nieco echo bojowego wrzasku Brafa, który ponowił właśnie atak, zahaczając Sashi za kostkę.

Ogrzyca zachowywała się tak, jakby tego wcale nie zauważyła. Ruszyła w stronę Jiga, wlokąc za sobą uczeponego hakla Brafa, aż za którymś krokiem wyrwała mu broń z ręki.

- Palisz się, nie czujesz!? - krzyknął Jig. Ogrzycy najwyraźniej nie przeszkadzało, że upiecze się żywcem, jeśli tylko wcześniej uda jej się dopaść goblina.

Jig dźwignął się na kolana, szukając wzrokiem utraconego podczas upadku miecza.

Sashi ryknęła i Jig w tej samej chwili dostrzegł swoją broń. Rękojeść miecza sterczała z ogarniętych płomieniami pleców ogrzycy. Zza olbrzymki wynurzyła się Grell, która utykając, ruszyła po swoje kule.

Sashi próbowała wyrwać miecz, ale nie udawało jej się dosięgnąć rękojeści. Kręciła się w kółko niczym kot tunelowy goniący własny ogon.

W końcu opadła z sił. Uczyniła kilka chwiejnych kroków w stronę Jiga i przewróciła się na twarz u jego stóp.

- Nie żyje? - upewnił się Braf.

Jig podpełzł do palącego się ciała. Mógłby podejść, ale nie był pewien, czy nogi nie odmówią mu posłuszeństwa.

- Chyba tak - odrzekł.

Braf zaczepił haklem rękojeść Jigowego miecza i pociągnął. Wyrwany miecz wyleciał w powietrze, lądując z sykiem w śniegu. Jig doszedł do wniosku, że odczeka trochę, zanim go podniesie.

Kolejny wrzask przeraził go tak, że aż się skulił. To Braf wydawał radosne okrzyki i wymachiwał haklem.

- Trzech goblinów na ogra! Widzieliście, jak dźgnąłem ją haklem? A, Jig, ten pomysł z syfią był genialny! Dostała nauczkę, następnym razem nie będzie napadała goblinich wojowników!

Grell wywróciła oczami. Z bolesnym sieknięciem przykuśtykała do zwłok i zaczęła grać ręce nad płomieniem.

- To jak? Chyba tu skończyliśmy? - rzekła.

- Nie! - zaprotestował Jig pospiesznie. Po wykonaniu zadania Grell i Braf natychmiast będą chcieli go zabić. - Znaczy nie wiemy przecież, czy Walland nie żyje, a prosił nas, żebyśmy pomogli ogrom. Musimy przynajmniej dowiedzieć się, co rzuca na nich te czary. Kiepska jakaś ta jego magia. - Popatrzył na ciało Sashi. - Powinniśmy już nie żyć.

- Co? - Braf zaprzestał zwycięskich płasów. - Ale ty przecież jesteś Jigiem Smokobójcą!

Jig zignorował tę uwagę. Na nodze poczuł rozgrzane stopy wspinającego się Ciapka. Puszysty brzuch pająka był wyraźnie napęczniały. Ciapek zmierzał wprost do kaletki przy pasku Jiga, prawdopodobnie, by po obżarstwie uciąć sobie w spokoju długą drzemkę.

- Jig ma rację - odezwała się Grell. - Gobliny są w stanie zabić ogra tylko w grupie i w dodatku, kiedy ten śpi.

- Tak, znam tę piosenkę. - Braf odchrząknął i zaczął śpiewać.

*Jesteśmy gobliny, dzielne gobliny
Ruszamy pod bronią w ciemną noc
Poranna porażka tak nas rozżłościła
Że oddamy w pomście juhy naszej moc*

*A kiedy ogra najdziem
Ogra najdziem
Od tyłu go wraz zajdziem
Go wraz zajdziem
I nasze ostrza rdzawe
Ostrza rdzawe
Wnet wbijemy w plecy
Zaciukamy go*

- A pamiętasz ostatnią zwrotkę? - przerwał mu Jig

*Ogr się nagle zbudził, nagle zbudził
W śmiertelnej męczarni popadł w szal
Miotał się w agonii, rzucał z całej mocy
Ale los nieubłagany go już w rękach miał*

*A kiedy padał trupem
Padał trupem
Chcąc odejść z krwawym łupem
Krwawym łupem
Pochwyił kark goblina
Kark goblina
Reszką sił przekreślił
I kregosłup... trzask!*

Jig uczynił gest, jakby był ogrem skręcającym kark napastnikowi. Podczas śpiewania „Goblinków” dzieci przy każdym wersie wykonywały określone ruchy.

- Normalnie zginęlibyśmy w takiej walce - stwierdził Jig. Cokolwiek przejmowało kontrolę nad ogromami, osłabiało ich refleks i opóźniało reakcje. Wyjaśniałoby to także, dlaczego Sashi nie przejmowała się płomieniami. Ale choć ogry znajdujące się pod wpływem zaklęcia były powolniejsze, to tak jak w przypadku niezaczarowanych, walczyły aż do śmierci.

Jig popatrzył na poprzecinane gałęziami szare niebo. Wątpił, czy Ciemnogwiazdy chciał śmierci jednego z ogromów, które Jig miał przecież ocalić, ale jak na razie bóg nie zrobił mu awantury. Właściwie to jakby się głębiej zastanowić, Jig nie miał z nim kontaktu od chwili zejścia do krainy Strauma.

Ciemnogwiazdy?

Cisza. Bóg wybrał sobie idealny moment, żeby go opuścić.

Grell odnalazła jeden ze swoich noży i zabrała się do odcinania kawałka dobrze wypieczonej ogrzyny z ramienia, na którym płomień już wygasł.

- Powiedz mi, Jig. Czy po tym całym bieganii w kółko wiesz, gdzie jest drabina?

Jig spojrział w kierunku, z którego przyszli. Padający ciągle śnieg zdążył częściowo

zasypać ich ślady. Wszystkie drzewa wyglądały dla niego tak samo. To jedna z tych rzeczy, które przyprawiły go w grocie Strauma o dreszcze. Żadnych tuneli, skalnych ścian, nic prócz rozciągającej się we wszystkie strony otwartej przestrzeni. Jakim cudem udawało się komuś odnaleźć drogę w takim miejscu?

- No...

- Tak właśnie myślałam - prychnęła Grell.

A wszyscy się dziwili, dlaczego Jig tak nienawidzi przygód.

Rozdział czwarty

Zwyczajna osoba tym różni się od Bohatera, że napotkawszy na swej Drodze ogniste moczary pełne jadowitych węży smoczych, przystaje i zawraca do domu.

Bohater przystaje i rozbiera się, żeby je przepłynąć".

[Święta Katarzyna Cierpliwa, matka Glena Śmiałego „Droga Bohatera" (Wydanie dla magów)]

Śnieg zamortyzował upadek Veki, ale impet uderzenia o ziemię i tak pozbawił ją tchu. Podczołgała się do leżącego nieopodal kostura i stękając, wstała przy jego pomocy.

Stojący na drabinie Sznyt wyszczerzył się do niej.

- No, gdzie ta twoja potężna magia, czarownico? Założę się, że nie umiesz rzucić zaklęcia na coś, czego nie widzisz.

Zniknął z pola widzenia, prawdopodobnie postanawiając wrócić na górę.

Wyśmiewał się z niej tak jak gobliny. Vece w jednej chwili wyparowały z głowy wszystkie myśli o Jigu, ograch i bohaterskich wyprawach.

- Ciekawe, jak się przedostaniesz obok jaszczurników, ty paskudny smoczy placku! - wrzasnęła, potrząsając kosturem.

Sznyt miał nietęgą minę, kiedy pojawił się w dziurze w sklepieniu.

- No, jak o to...

Tyle tylko zdążył powiedzieć, bo rozzłoszczona Veka zamachnęła się i cisnęła w niego kosturem niczym włócznią. Kij odbił się od jego brzucha i zleciał na dół.

Hobgoblin jęknął i zgiął się wpół, chwytając za żołądek. Dla Veki, która obserwowała, jak jego oczy rozszerzają się z bólu i zaskoczenia, czas jakby zwolnił. Upuszczona włócznia Sznyta spadła u jej stóp. Hobgoblin rozluźnił uchwyt na szczębłu, zachwiał się, zamachał rękoma, ale mimo prób już nie zdołał złapać drążka. W końcu, wykonując z gracją salto w powietrzu, zanurkował w dół i już bez gracji wylądował na zadku niemal dokładnie w tym miejscu, gdzie wcześniej upadła Veka.

Goblinka podniosła włócznię oraz kostur i podeszła do stękającego towarzysza. Veka ważyła swoje, ale hobgoblin, choć szczuplejszy, przewyższał ją masą, więc grzmotnął o ziemię z

jeszcze większą siłą. Veka szturchnęła go nogą.

- Szybko, wstawaj, zanim nas zauważą.

Sznyt obmacywał czaszkę, jakby sprawdzał, czy jest cała. Upadek z tej wysokości mógł skończyć się pęknięciem kości, ale hobgobliny miały wyjątkowo twarde głowy.

- Kto?

Veka stopą obróciła mu głowę.

- Na przykład tamto coś.

W oddali pomiędzy drzewami sunęły dwie smugi ognia. Na tle dominujących przytłumionych barw jaskrawość dwóch płomieni robiła jeszcze większe wrażenie. Jeden połyskiwał jasną zielenią, drugi głęboką czerwienią. Śmigały wte i wewte, to oddalając się od siebie, to zbliżając.

- Wygląda, jakby czegoś szukały - rzekł Sznyt, podnosząc się w końcu.

Jig. Zastanawiała się, czy grupka wpadła w tarapaty, płomienie nadlatywały od strony jaskini Strauma.

- Co to może być? - Magiczna natura zjawiska nie ulegała wątpliwości, ale ognie znajdowały się zbyt daleko, by dostrzec szczegóły.

- Niebezpieczeństwo. - Sznyt wyciągnął rękę po włócznie.

Veka cofnęła się, odsuwając broń spoza jego zasięgu.

- Ciesz się, że cię nie zabiłam za to zepchnięcie w studnię. Gdybym nie miała do wykonania ważnego gadania...

Hobgoblin dał susa, złapał drzewce ponad jej głową i szarpnął. Veka zatoczyła się, lecz nie puściła. Pociągnęła włócznie, wieszając się na niej całym swym niemałym ciężarem. Sznyt targnął jeszcze raz ze wszystkich sił i ze złośliwym uśmiechem niespodziewanie puścił drąg.

Po raz drugi Veka wyładowała w śniegu. Hobgoblin przyskoczył do niej, chwycił drzewce obiema rękami i przekręcił. Wyrывая włócznie, niemal wywichnął jej nadgarstek, a zanim się pozbiierała, przyłożył jej jeszcze tępą końcówką w czoło.

W tym momencie Veka oddałaby wszystko za jedno zakłęcie, które starłoby ten butny, arogancki uśmiech z jego twarzy. Może coś w rodzaju czaru przemieniającego zęby w robaki... Zabawnie byłoby na coś takiego popatrzeć.

Sznyt spojrział ku drabinie. Najniższe szczeble połyskiwały wysoko w mroku. Nawet włócznie ledwie zahaczył pierwszy dostępny.

- Powinniśmy zejść z otwartej przestrzeni - oświadczył.

Krew uderzyła Vece do głowy. Przeczytała książkę Joški od deski do deski tyle razy, że znała ją niemal na pamięć. Nigdzie nie znalazła ani słowa o Bohaterze zrzucanym do dziury czy przyjmującym rozkazy od własnego pomocnika. Prawdziwy Bohater wydarłby włócznie Sznytowi i spuścił mu łomot.

- Musimy znaleźć Jiga Smokobójcę - dodał.

- Po co? - skrzywiła się Veka, rozcierając guza na czole.

- Bo w przeciwieństwie do grubych samochwał Jig nie jest na tyle głupi, by włączyć gdzieś, skąd nie wie, jak się wydostać. A nawet jeśli, to ten ogr jest na tyle wielki, że może nas podsadzić do pierwszego szczebla. Chyba że chcesz podfrunąć tam za pomocą swojej magii?

Veka zdławiła jęk, bo Sznyt, nie czekając na odpowiedź, chwycił ją za ucho i powłókł w kierunku drzew. Puścił po kilku krokach, najwyraźniej przekonany, że już z własnej woli podąży za nim.

W głowie Veki kotłowały się wizje tego, co uczyniłaby ze wstrętnym hobgoblinem, gdyby była magiem. Na razie jednak truchtała za nim, a księgi obijały jej się boleśnie o brzuch, przypominając, że prawdziwa Droga Bohatera wybrukowana jest wyrzeczeniami i wielkim cierpieniem.

* * *

Ciało Wallanda leżało bezwładnie głową w dół przy kikucie drzewa. Nie tylko oni znaleźli martwego ogra. Nad truchłem krążył żółty płomień. Veka i Sznyt przyczaili się za kępą sosen. Przymarznięte do gałęzi okiście dawały całkiem niezłą osłonę.

- No i masz swojego ogra - szepnęła Veka.

- Może zawlecjemy go tam, podłożymy pod drabinę i wtedy do niej dostaniemy? - rozważał Sznyt.

Blask migotał na białych czapach drzew; żółty ognik kręcił się przy zwłokach, zupełnie jakby chodził tam i z powrotem. Veka rozplaszczyła się na ziemi. Niżej gałęzie były rzadsze, a bijące od śniegu zimno przenikliwe. Zaszczekała zębami, ale nie drgnęła, nadstawiając uszu w stronę, z której dobiegało piskliwe mamrotanie ognika.

- Całkiem nieżywy - narzekał głosik. - Naprawdę tak trudno pokonać kogoś, nie robiąc z niego przy okazji miazgi?

Światełko podfrunęło, pojaśniało i sypiąc wokół iskrami, osiadło na ramieniu martwego ogra. Wtedy właśnie nastąpił ten moment - Veka po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się lepiej wrogowi, który stanął na jej Drodze Bohatera.

- Oгры zostały zdziesiątkowane przez bandę chochlików? - wykrztusił Sznyt, tłumiąc chichot.

Na wielkim cielsku ogra stał mały skrzydlaty człowieczek. Gdyby znalazł się na ziemi, nie sięgałby Vece nawet kolan. Posiadał dwie pary skrzydeł, jak owad, z czego dolna iskrzyła. Brzegi migotały złościście, a na całkiem przezroczystej płaszczyźnie jaśniały jedynie delikatne żółte niteczki, układające się we wzór przypominający unerwienie liścia.

Jego czarne ubranie składało się z biegnącej przez piersi szarfy, związanej przy talii w supeł, oraz spodni ozdobionych czerwonymi paciorkami. Koralki migotały pomarańczowo, odbijając błyski skrzających się skrzydełek.

Chochlik kopnął Wallanda miniaturową nóżką i poderwał się w powietrze.

- Dokąd uciekli twoi przyjaciele, ogrze, co?

Na dźwięk głuchego pomruku Veka aż podskoczyła, ale to nie ogr wydał ten odgłos. Do zwłok, węsząc, zbliżał się ogromny pies. Kulał, a zmierzwione futro na jednej z tylnych łap pokrywała skorupa zaschłej substancji, prawdopodobnie krwi. Łysiny w sierści - większość z nich w okolicach szyi - ukazywały stare blizny. Zwierzę zmarszczyło płaski pysk, odsłaniając zęby, po których ciekła ślina, i warknęło na chochlika.

Odlatująca istotka zerknęła przez ramię i jakby mimochodem machnęła ręką.

Pies podążył za nią kilka kroków, kłapiąc na spadające ze skrzydeł iskierki, ale nagle zaskowitył z bólu i zatrzymał się, jakby wrósł w ziemię. Chochlik wzleciał wyżej i zniknął pomiędzy gałęziami, zwierzę zaś zaczęło wściekle obgryzać pazury zadnich łap.

- Co mu jest? - szepnęła Veka. Sznyt zacisnął szczęki, ale milczał.

Pies warczał, coraz gwałtowniej tarmosząc własne łapy. Wydawało się, że chochlik odfrunął na dobre, więc Veka wypełzła z kryjóWKi.

- Rozszarpie cię na strzepy - ostrzegł Sznyt.

Ale ciekawość Veki była silniejsza niż strach. Co ten chochlik zrobił?

Musiała podejść prawie do samego ciała Wallanda, żeby zobaczyć przyczynę dziwnego

zachowania psa. Korzenie pobliskich drzew oplatały łapy stworzenia, unieruchamiając go w miejscu, a na kończyny wpełzała gładka czarna kora. Spod targających ją psich szczęk bryzgała krew i trociny, ale magia chochlika była zbyt silna. Bez względu na to, jak zaciekle pies gryzł i szarpał, kora ogarniała coraz więcej ciała. Gdy do Veki dołączył Sznyt, sięgała już do bioder. Spanikowany pies toczył z pyska pianę, a warknięcia przechodziły w piskliwe skowytanie. Hobgoblin wyciągnął ku niemu rękę i niemal stracił palec.

- Nie może umrzeć w ten sposób - rzekł. - Możesz coś zrobić?

Veka potrząsnęła głową, zbyt zafascynowana widowiskiem, by kłamać. Sznyt chwycił włócznię i z rozmachem opuścił drzewce na kark psa. Rozległ się trzask i zwierzę padło martwe.

- Głupie chochliki. - Sznyt trącił ciało Wallanda nogą. - Ten pies szukał tylko jedzenia.

- Jak on się tu w ogóle znalazł? - zdziwiła się Veka. - W życiu nie widziałam tu takiego psa.

- Pewnie przyszedł z jakąś drużyną herosów. - Hobgoblin wskazał na poprzecieraną skórzaną obrozę. Sterczało z niej jeszcze parę zardzewiałych kolców, reszta pewnie z czasem odpadła. - Ci z powierzchni biorą na te idiotyczne wyprawy swoich pupili. Potem giną, a zwierzęta kończą w brzuchach potworów lub dziczeją, tak jak ten biedak. Pamiętam jednego mięśniaka, który miał dwie tresowane fretki. Umiały różne sztuczki, rozbrajały pułapki, przegryzały więzy i takie tam.

- Co się z nimi stało?

- Złapaliśmy towarzyszkę tego człowieka. Przywiązaliśmy ją i wypuściliśmy koty tunelowe. Gość wysłał fretki, żeby uwolniły dziewczynę, kiedy on walczył z kotami. - Sznyt wyszczerzył się w uśmiechu. - Powinien je nauczyć, żeby nie przegryzały sznurów, które nasączono trucizną.

Veka spojrzała na psa. Drzewa już prawie całkowicie pochłonęły truchło. Spod kory wystawał już tylko pomarszczony pysk i jedno ucho, a i to wkrótce zniknęło. Z psiokształtnego pniaka poczęły wyrastać małe gałązki.

A przecież chochlik ledwie machnął ręką! Trudno się dziwić, że ogry były tak zdesperowane, iż szukały pomocy u goblinów.

Sznyt poklepał współczująco drzewny łeb.

- Co teraz?

Veka zareagowała natychmiast.

- Walland mówił, że zajęły jaskinię Strauma. Wślizgniemy się tam i odkryjemy ich tajemnice. Dzięki temu będziemy mogli je pokonać.

Sznyt gapił się na nią dłuższą chwilę. Gdy w końcu się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała rezygnacja:

- Wiesz co, ty jesteś nienormalna. Bardziej niż inne gobliny.

Veka zmilczała obelgę. Jeśli zaczęłaby mu wszystko wyjaśniać, tylko by ją wyśmiał. Albo posunąłby się nawet dalej i po prostu zabił.

Ale w głębi ducha czuła, ba, żywiła niezachwiane przekonanie, że te chochliki to jej Nemezis. Nemezisy? Nieważne. Magia, którą widziała, dowodziła, że to właśnie one są śmiertelnym wrogiem, którego musi pokonać, by ukończyć swą wędrówkę Drogą Bohatera. Zwycięstwo nad tymi chochlikami na zawsze zapisałoby się na kartach gobliniej historii jako niedosiężny triumf. Nikt nie pamiętałby o jakimś tam Jigu i tej jego głupiej balladzie. Po powrocie stałaby się Veką Wielką. Veką Śmiałą. Veką Chrobrą. Miałaby tyle przydomków, że ich wymienianie przy powitaniach zajmowałoby goblinom cały ranek!

Sytuacja przedstawiała się dla niej wyjątkowo korzystnie, bo Jig i reszta mogli tkwić teraz po uszy w kłopotach. Nie mają już przecież swojego ogra. Ratowanie Jiga Smokobójcy będzie emocjonującym przeżyciem.

- Chodź - ponagliła Sznyta, pociągając go za ramię. Wywinął się i spojrzał na nią, jakby zaproponowała mu zjedzenie ścierwojada na surowo. Ten głupek nic nie rozumie! Im dłużej tu sterczą, tym większa szansa, że Jig uratuje się sam i wszystko zepsuje!

Ruszyła mniej więcej w stronę jaskini Strauma. Idąc, rozważała, czy chochliki mają jakieś księgi zaklęć i czy uda jej się jakąś zwędzić. Oddałaby wszystko za moc, jakiej przejawu była właśnie świadkiem. No, może nie konkretnie za to zaklęcie. Umiejętność zmuszania drzew do pochłonięcia wroga nie przydałaby jej się za bardzo w skalnych labiryntach na górze. Ale skoro chochliki potrafiły zrobić coś takiego, na pewno dysponują wieloma czarami, które mogłaby wykorzystać.

Miarowe skrzywienie śniegu za plecami oznaczało, że Sznyt postanowił jednak pójść za nią. Na wszelki wypadek zerknęła przez ramię. Grymas na twarzy nie pozostawiał wątpliwości, że hobgoblin wolałby zostawić jej rozszarpane zwłoki w towarzystwie drzewnego psa, ale uznał widać, iż w tych okolicznościach lepiej trzymać się razem.

I o to chodziło - tak właśnie powinien się zachowywać pomocnik.

* * *

Veka wsłuchiwała się uważnie w odgłos kroków hobgoblina, niepewna, czy towarzysz aby nie spróbuje dźgnąć jej w plecy. Chociaż jeśli naprawdę chciałby ją zabić, nie potrzebował się zbliżać, mógł po prostu rzucić włócznią. Jednak nawet w tym wypadku musiałby przenieść ciężar ciała z nogi na nogę, więc zorientowałyby się po skrzypieniu śniegu i przy odrobinie szczęścia zdążyłaby czmychnąć za drzewo.

W miarę wędrówki jej entuzjazm zaczął słabnąć. Bez przerwy potykała się o niewidoczne pod białym puchem wystające korzenie. Ciągłe trącała też niższe gałęzie, zrzucając sobie śnieg za kołnierz. Niebo stopniowo ciemniało, jeszcze bardziej utrudniając marsz. Kolejna gałąź omal nie wybiła jej oka.

- Wszystko tu sprzysięga się przeciwko mnie - wymamrotała.

Na skraj lasu dotarła porządnie głodna, przemoknięta do suchej nitki i zmarznięta. Pocieszała ją jedynie myśl, że nie tylko ona cierpi.

- Jaskinia Strauma jest tam, w ścianie pieczary - powiedział Sznyt.

- Jakbym nie wiedziała! - prychnęła Veka. Starła się, by zabrzmiało to wyniośle i lekceważąco, ale głośne burczenie w brzuchu zepsuło cały efekt. Mogła zabrać ze sobą jakieś zapasy, albo przynajmniej uszczknąć trochę Wallanda.

Od końca pieczary dzielił ich szeroki pas otwartej przestrzeni. Za czasów Strauma nie rosły na niej żadne wysokie rośliny, żeby nikt nie mógł prześlizgnąć się do jego legowiska niezauważony. Jednak w ciągu ostatniego roku teren zarósł samosiejkami, których po odejściu Strauma nikt nie karczował. Stanowiły one wystarczającą osłonę dla wędrowca pragnącego przedostać się chyłkiem do jaskini.

Veka wsparła się na kosturze, lustrując okolicę. Poprzeczna szczelina wlotu do jaskini wyglądała jak usta w skalnej twarzy urwiska. Skojarzenie to potęgowały łodygi pnączy, przesłaniające otwór niczym splątane strąki wąsów. Teren leżący u stóp pionowej ściany pokrywał kobierzec zwiędłych kwiatów. Podczas wielowiekowego przymusowego pobytu w tym miejscu Straum rozpraszał nudę na różne sposoby, jednym z nich było ogrodnictwo. Słodkawy zapach gnijących roślin wiercił w nozdrzach. Veka zmarszczyła nos.

Z urwiska dyndała zasupłana lina - uprzejmiem pozostawiona przez którąś z drużyn herosów. Jednakże nawet z tej odległości widać było, że stary, postrzępiony sznur nie nadaje się

do użycia.

Nigdzie ani śladu wartowników. Wyglądało na to, że dotarcie do chochlików to betka. Ten, na którego natknęli się przy zwłokach Wallanda, nawet podczas spoczynku emitował tyle blasku co spora latarnia, więc i tu z łatwością dałoby się dostrzec świetliste istoty.

- Trzymaj się blisko mnie - nakazała Veka, wkraczając na otwartą przestrzeń.

Sznyt capnął ją za płaszcz i pociągnął do tyłu. Przewróciła się, uderzając ramieniem o pień.

- Co ty wyprawiasz?! - wrzasnęła oburzona, gramoląc się na nogi. Wymachiwała mu przy tym kosturem przed nosem, i to tak gwałtownie, że jeden ze szklanych paciorków pękł i spadł w śnieg.

- Nie drzyj się tak, idiotko! Tak chcesz umrzeć? Nie ma sprawy, chętnie ci pomogę. - Odtrącił jej kostur silnym uderzeniem włóczni. - Nawet hobgoblinie niemowlę ma tyle oleju w głowie, żeby nie pchać się w takie miejsca.

Veka obrzuciła wzrokiem teren przed wejściem do jaskini.

- Ale przecież nikogo tam nie ma...

- No właśnie!

Palce Veki musnęły twarde wybrzuszenie w kieszeni, w której spoczywała „Droga Bohatera”. Ciekawe, czy Joska opisała jakiś przypadek Bohatera, który zamordował własnego pomocnika.

Nagle jej wzrok padł na jakiś niewyraźny kształt nieopodal. Po chwili rozpoznała w nim przysypane śniegiem truchło małego królika. W półmroku wzięła je początkowo za kawałek drewna lub plamę błota. Nie zauważyła krwi, więc zwierzę nie mogło zostać zabite przez drapieżnika. Sądząc po ilości śniegu, który zakrył zwłoki, królik nie żył już od jakiegoś czasu. Mógł zostać zabity za pomocą rzuconego kamienia. Wiele goblinów umiało nimi celnie miotać. Ale dlaczego ktoś miałby porzucać upolowane mięso?

Nie, tu musiała być jakaś pułapka. Ułożenie ciała świadczyło, że królik nadszedł z lewej strony, a zginął, posuwając się w kierunku jaskini. Pułapka znajdowała się zapewne na pasie przed wejściem do legowiska Strauma i rozciągała prawdopodobnie aż do skraju lasu. Parę kroków i sama padłaby jej ofiarą.

Świadomość, że Sznyt miał rację, tylko bardziej ją rozsierdziła. To niedopuszczalne, żeby pomocnik ocalił Bohatera. Veka postanowiła samodzielnie rozwikłać zagadkę pułapki. Ukłękła

na śniegu. Oparty o drzewo Sznyt z rozbawieniem obserwował jej poczynania.

Powierzchnia potencjalnie niebezpiecznego terenu na oko nie różniła się niczym od reszty. Ponad jednolitą połącią bieli sterczała szczotka zlodowaciałej trawy oraz pojedyncze krzaczki. Możliwe, że część traw była nieco wyższa. Śnieżną pokrywę wokół oszronionych źdźbeł znaczyły dziurki, zupełnie jakby liście roztopiały spadające z nieba płatki. Ale jeśli tak, to dlaczego nie rozpuściła się również warstwa skuwającego je lodu?

Szturchnęła kosturem źdźbła, strącając z nich kryształki lodu. Zerknęła na Sznytę, żeby zorientować się po jego minie, czy dobrze robi, ale hobgoblin tylko wykrzywił się drwiąco. Purpurowa ze złości, sięgnęła dalej, trącając kijem kolejne trawki.

Lód nie odpadł. Spróbowała mocniej. Obsypało się z nich nieco puchu śnieżnego, ale lód był twardy jak skała. Wydawało się, że pulsuje przytłumionym czerwonym blaskiem. Kolejne dźgnięcie potwierdziło jej spostrzeżenia.

- Tam w lodzie coś jest.

Wyższe źdźbła okazały się jakby lodowymi kolcami. Teraz widziała to wyraźnie - miały bardziej spiczaste, ostrzejsze koniuszki niż reszta liści. Pewnie były magiczne, na tyle twarde, by przebić się przez skórzane podeszwy butów i zranić stopy.

Rozbijała kosturem lód z trawy, aż natrafiła na najbliższy kolec. Zdmuchnęła śnieg, żeby obejrzeć go w całości. Nasada grubości kciuka zagłębiała się w glebę. Lodowa powierzchnia była idealnie gładka i tak przezroczysta, że wyraźnie uwidaczniała tkwiącą u podstawy spiralkę. Veka dotknęła kosturem szpica. Lód błysnął czerwienią, a cieniutka sprężynka rozprostowała się aż do czubka.

- Wygląda na to, że królik trącił dwa - zauważył Sznyt. - To coś w środku jest pewnie trujące. Ofiary wpadają w pułapkę, a chochliki mają stały dopływ pożywienia. Mogą się stąd nie ruszać tygodniami.

Na wspomnienie o jedzeniu Vece znów zaburczało w brzuchu.

- To jak przez nie przejdziemy?

- Ja osobiście wypchnąłbym na to pole bandę goblinów. Ponabijałyby się na te szpikulce, a ja potem przeszedłbym po nich.

Najlepiej byłoby nad tym przefrunąć, tak jak robiły to chochliki. Gdyby tylko udało jej się teraz rzucić czar lewitacji. Wyciągnęła księgę. Skóra okrywająca miedzianą okładkę była już ledwie wspomnieniem. Czerwonozłoty metal ziębił dłonie. Otworzyła tom na stronie z

odpowiednią formułą. Nawet gdyby przypadkiem nie spaliła strony z zaklęciem, zmrok uniemożliwiłby odczytanie liter. Ale nie miało to znaczenia, bo znała na pamięć każde słowo.

Umiała odtworzyć tekst. A choć zaklęcie nigdy wcześniej nie zadziało, tym razem się uda. Postawiła już przecież pierwszy krok na Drodze Bohatera. Teraz jej moc rozkwitnie, dając możliwość ukończenia podróży. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Sznyt. Ostrzec go czy po prostu unieść się w powietrze i porwać go znienacka, a potem przefrunąć z nim ponad pułapką? Uznała, że druga opcja dostarczy jej więcej zabawy. Uśmiechnęła się, widząc oczyma wyobraźni kwiczącego ze strachu hobgoblina.

Złożyła palce do zaklęcia wiązania i przymknęła oczy. Recytując w duchu słowa formuły, oplotła nitkami magii siebie oraz towarzysza, a następnie całą siłą woli spróbowała poderwać się w górę.

Bez rezultatu. Nie była w stanie dokończyć samego zaklęcia wiązania. Sznyt chrząknął znacząco.

- Myślisz, że jak pomachasz rękami, to te lodowe igły wystraszą się i uciekną? Szurnięta wiedźma...

Veka przełknęła Izę. Bohaterowie nie płaczą. Nawet wtedy, gdy opuszcza ich magia. Zatrzasnęła księgę.

Księga... Wpatrywała się w nią dłuższą chwilę. Może jednak rozwiązanie kryło się w magicznej księdze?

* * *

- Wyglądasz idiotycznie - podsumował Sznyt.

Veka nie przejmowała się jego uwagami. Wbiła kostur w śnieg i przeniosła ciężar ciała na drugą nogę. Krok za krokiem zmierzała na drugą stronę łąsiny.

Wsunięte pod podeszwy miedziane płytki przywiązała pasami czarnej tkaniny. Wystrzępiony skraj płaszcza falował, gdy posuwała się naprzód. Kolce pod stopami rozbłyskiwały czerwienią. Radość z pokonania przeszkody osładzała gorycz wspomnienia, że aby osiągnąć ten sukces, niemal całkiem zniszczyła księgę. Przy okazji odrywania okładek rozpruły się szwy na grzbiecie, a strony powypadały. Veka poświęciła jeszcze kawałek płaszcza,

żeby związać luźne kartki w pakiet. Decydując się na ten straszliwy krok, miała nadzieję, że później zdoła naprawić księgę, ale jeden rzut oka na strzępy skórzanej obwoluty wystarczył, żeby pozbawić ją złudzeń.

- To nic - wyszeptała, uparcie prac naprzód. Chochliki na pewno mają wiele ksiąg, z lepszymi zaklęciami.

Skorupa zlodowaciałego śniegu załamała się pod nią nagle. Nie upadła tylko dzięki kosturowi. Koniec kija dźgnął ją boleśnie w podbródek, ale zdołała odzyskać równowagę. Wreszcie dotarła pod urwisko. Teren wydawał się bezpieczny, choć odór gnijących roślin był jeszcze silniejszy. Ale może to właśnie odstraszyło lodowe robaki? A może Straum zaczarował glebę, żeby nic nie zniszczyło jego ogrodu? Nie wiadomo, ale najważniejsze, że nic jej tu nie groziło.

Odczepiła miedziane płytki i przerzuciła je na drugą stronę pułapkowego pola, pod nogi hobgoblina. Potem stanęła na palcach, a gdy udało jej się złapać linę, szarpnęła mocno. Rozległ się trzask, twarz obsypał jej pył, a sznur spadł na ziemię. Skrzywiła się, wypluwając drobiny, które dostały jej się do ust. Może ogr byłby w stanie dosięgnąć tak wysoko, ale ona nie miała na to szans. Sznyt zresztą także.

Hobgoblin, który przebył właśnie pole kolców, podszedł, by wypróbować wytrzymałość zwieszających się ze skalnej ściany pnączy. Szarpnął jedną z łądy, która oderwała się, zostając mu w ręce.

- Klęknij - powiedział, odrzucając pęd.

- Cooo?! - Oburzona Veka zamierzyła się na niego kosturem.

- Masz lepszy pomysł, jak się tam dostać?

Ach. Veka spojrzała w górę, a potem na Sznyta.

- To ty klęknij, a ja...

- Złamię ci kręgosłup - dopowiedział Sznyt beznamiętnie. - Jestem wyższy, silniejszy i chudszy. Jeśli naprawdę chcesz wejść do tej jaskini, to nie ma innej rady.

Gdyby zarechotał albo chociaż wykrzywił się złośliwie, Veka dzieliłaby go w nos. Jednak wydawało się, że tym razem z niej nie drwi.

Sznyt uważnie przyglądał się szczelinie.

- Naprawdę sądzisz, że znajdziemy tam coś, co nam pomoże?

- A masz lepszy pomysł? - odcięła się Veka. Podniosła z pietyzmem zdewastowane

okładki. Z jednej skóra oderwała się prawie całkiem; zwisając smętnie z rogu, ukazywała podziobaną, zaśniedziałą miejscami blachę. Druga nie była w lepszym stanie. Goblina wetknęła je do kieszeni i opadła na kolano.

Sznyt odstawił włócznię i podszedł bliżej. Oparł stopę na jej udzie i przytrzymując się występów w ścianie, odbił się mocno drugą nogą od jej ramienia. Veka przewróciła się w błotnistą breję, ale hobgoblinowi udało się zaczepić palcami za skraj wlotu jaskini. Podciągnął się i wdrapał na górę.

- Podaj mi włócznię - wyszeptał.

Veka otarła błoto z twarzy.

- Zrobiłeś to specjalnie - syknęła.

- Jasne. Dawaj tę włócznię!

Veka nie przeszła go jego własną bronią tylko dlatego, że bez pomocy nie dostałaby się do jaskini.

Podala mu swój kostur, a następnie włócznię. Sznyt chwycił mocno drzewce tuż poniżej grotu.

Kiedy Veka uwiesiła się całym ciężarem, Sznyt stęknął, a włócznia zaczęła wysuwać mu się z palców. Jeśli jej nie utrzyma, to przynajmniej grot przetnie mu skórę na rękach. Podeszwy butów goblina ślizgały się po skale, ale w końcu znalazła oparcie dla stóp.

Pędy pnączy łaskotały ją w przeguby, gdy wspinała się z wysiłkiem, zaczepiając butami o każdą najmniejszą nierówność w skale. Pył szczypał ją w oczy, w rękach czuła bolesne skurcze, ale nic nie powiedziała. Bohater nie biadolił i nie uskarżał się na niedogodności, nawet jeśli mięśnie palą go żywym ogniem, a głód doskwiera do tego stopnia, że nawet hobgoblińskie jedzenie wydaje się przysmakiem.

Wydawało jej się, że minęła wieczność, zanim wreszcie wyczuła pod palcami skraj otworu. Sznyt chwycił ją za przegub i pociągnął. Starła się przerzucić nogę na półkę, ale nie była w stanie machnąć nią tak wysoko.

Po trzeciej porażce Sznyt prychnął zniesmaczony, schylił się i złapał ją za kostkę. Na wpół wywleczona, na wpół wytoczona, legła w końcu bez tchu u wylotu tunelu. Odpoczywała przez chwilę, ciężko dysząc.

- To było żalosne nawet jak na goblina - skwitował Sznyt.

Veka doszła do wniosku, że chętniej niż hobgoblinią zjadłaby teraz potrawkę hobgobłącą.

A jeszcze lepiej wyborne żeberka liobgoblęce z dużą ilością ostrego sosu - jedną ze specjalności Golaki.

Ignorując kpiący uśmieszek Sznyta, wstała, ujęła kostur i ruszyła w głąb tunelu. Przytłumione światło z zewnątrz wkrótce zniknęło, pogrążając ich w całkowitej czerni. Zwykle ciemność jej nie przeszkadzała. Całe życie mieszkała w labiryntach i potrafiła poruszać się, wykorzystując tylko zmysł słuchu oraz dotyku. Jednak wsłuchując się w świst silnego prądu powietrza, żałowała, że nie mogą zaryzykować zapalenia latarni.

Trzymała się lewej strony korytarza, sunąc dłonią po chropowatym kamieniu ściany. Wkrótce szum wiatru ucichł zupełnie. Nawet własny oddech wydawał jej się teraz głośny.

Serce waliło jej jak młotem. Wędrówka przez ciemność... Czyżby tak szybko dotarła do Zejścia? Według Joški Bohater musiał przejść przez Próby, które pozwalały mu się sprawdzić oraz wyrobić hart konieczny do wykonania zadania. Opisane w piątym rozdziale Zejście było testem, w którym Bohater musiał się zmierzyć z mrokiem. Potem był już gotowy na ostateczną konfrontację.

Potknęła się, wywracając na coś, co w dotyku przypominało metalowy pagórek. Kostur z klekotem odtoczył się po skalnym podłożu.

- Co to? - przestraszył się Sznyt.

Veka wodziła dłońmi po gładkim, chłodnym metalu, aż poczuła pod palcami wyschnięte na wiór ciało.

- Zwłoki. Ogra, sądząc z wielkości. - Zmarszczyła brwi. Skóra wydawała się... krucha i była zimna jak blacha pancerza. Ogr musiał już nie żyć od bardzo dawna. Z żalem doszła do wniosku, że od zbyt dawna, jak na przekąskę.

W zbroi wyczuła kilka rys oraz wgnieceń, ale żadnych dziur czy poważniejszych uszkodzeń. Na ciele ogra także nie doszukała się ran.

- Jak zginął? - zapytał Sznyt.

Veka syknęła z bólu, natrafiając na krawędź miecza, który trup ścisnął w rękę. Wetknęła draśnięty palec do ust.

- A skąd mam wiedzieć? - fuknęła niewyraźnie. - Może popełnił samobójstwo, żeby już nigdy w życiu nie wysłuchiwać głupich pytań.

W drugiej ręce ogra także namacała miecz. A na udzie oraz przy pasie kilka sztyletów.

- Ma tyle broni, że dałby radę wyrznąć połowę istot zamieszkujących wnętrza góry -

dodała.

- Pewnie zwinął to wszystko z gniazda Strauma.

Pośród innych dziwactw smok miał też żyłkę zbieracza. Przez setki lat kolekcjonował trofea - różne przedmioty odebrane pokonanym herosom. A ponieważ bohaterowie o ambicjach smokobójczych nawiedzali go tłumnie, skarb rozrósł się do okazałych rozmiarów. Zdumiewał też różnorodnością, bo obok broni wielu typów, tarcz, pancerzy, latarni oraz klejnotów na półkach stały rzędy podróżnych nocników.

Większość przedmiotów została rozgrabiona niedługo po śmierci Strauma. Zbierana setkami lat broń zniknęła w ciągu kilku zaledwie dni, wyniesiona przez hordy ogrów, goblinów i hobgoblinów. Nagły, masowy dopływ broni wywołał eskalację konfliktów, zmniejszając populację goblinów co najmniej o jedną czwartą. Veka nie wiedziała, jak bardzo pomniejszyło się przez to plemię hobgoblinów. Na pewno niewystarczająco.

W wielu przypadkach ginęli właśnie ci, którzy wykradali dobra po Straumie. Zbyt późno przekonywali się, że miecze, które całymi wiekami służyły li tylko jako ozdoba ścienna jaskini, pękają w najmniej odpowiednich momentach.

- Jest tak jakby spalony - rozległ się głos Sznyta.

Zanim Veka zdążyła podjąć dyskusję na temat przyczyny śmierci ogra, uświadomiła sobie, że jest w stanie rozróżnić kontury hobgoblina. W oddali tunel jaśniał niewyraźną zielonkawą poświatą. Trąciła towarzysza kosturem, wskazując smugę.

- Chyba się zbliżamy - stwierdził.

Veka obserwowała przez chwilę światło.

- Nie, coś zbliża się do nas. - Coraz wyraźniej słyszała brzęczenie skrzydeł, o ton niższe niż odgłos wydawany przez lecącego chochlika, którego widzieli w lesie. - Chyba tylko jeden. Jeśli będziemy działać szybko, damy radę go zabić, zanim użyje swojej magii. - Jeśli nie, istniała szansa, że chochlik rzuci się najpierw na hobgoblina. Wtedy ona zyska czas, żeby uderzyć napastnika od tyłu. Może nawet zdąży zobaczyć jakieś nowe zakłęcie...

Światło jaśniało, a dźwięk stawał się coraz głośniejszy. Dalej tunel zakręcał lekko. Chochlik powinien wynurzyć się dosłownie za moment.

- Przygotuj się - szepnęła.

- Jestem... - Sznyt urwał nagle, wpatrując się w jej dłoń. Nawet w tak słabym świetle było widać; że zbladł.

Veka podążyła za jego wzrokiem. Krzepnąca krew ze skaleczenia rozmazała się po całej ręce. Gobliną z grymasem bólu rozprostowała palce. Rana trochę piekła.

- Ty krwawisz - jęknął Sznyt słabo. Przełknął głośno ślinę i odwrócił się chwiejnie.

- Co z tobą? - zdumiała się Veka.

Włócznia brzęknęła o kamień, a hobgoblin osunął się powoli na ziemię.

Veka oniemiała. Z setek hobgoblińskich wojowników trafiła akurat na takiego, który mdleje na widok krwi? Nie mogła się doczekać chwili, kiedy Sznyt odzyska przytomność. Ależ go wyśmiej!

Ale najpierw... Uniosła kostur, wychodząc naprzeciw światłu. Ze zmiany barwy dźwięku wywnioskowała, że chochlik przyspieszył. Pewnie usłyszał stuknięcie włóczni Sznyta.

Nadszedł czas, aby pokazać tym przerośniętym owadom, co potrafi Prawdziwy Bohater.

Rozdział piąty

To moje zadanie. Ja powiodę nas do zwycięstwa.

[Książę nieboszczyk Barius Wendelson, heros]

Jig i jego kompania dotarli do polany nocą. Na szczęście biała okrywa jaśniała bladym światłem, rozpraszając mrok na tyle, że byli w stanie omijać drzewa. Blask zdawał się emanować ze śniegu i lodu, których warstwa z każdą chwilą stawała się coraz grubsza. Pod koniec wędrówki brodzili w zimnym puchu już po kostki, a lodowa skorupa pod spodem nie kruszyła się pod butami. Po drodze Braf trzykrotnie poślizgnął się i przewrócił.

Jig patrzył na polanę, nie wierząc własnym oczom.

- To na pewno tutaj. Tu powinna być drabina.

Spojrzał na towarzyszy z nadzieją, że może powiedzą coś konstruktywnego. Braf wyrwał palec z nosa, usiłując przyjąć nonszalancką pozę. Grell zaś głośno puściła gazy, co też robiła często od czasu potyczki z Sashi.

- Ogrzyna mi nie służy - warknęła. - Co się tak gapisz? Masz coś do mnie?

Jig zdjął okulary i przetarł soczewki skrajem koszuli. Ze względu na stan jego odzienia niewiele to pomogło.

- Jak wrócimy na górę bez drabiny? - zaniepokoił się Braf.

Jig nie miał zielonego pojęcia. Patrzyli na niego wyczekująco, jakby spodziewali się, że wyczaruje drabinę z powietrza. A może uznali, że nadeszła odpowiednia chwila, i tylko szukali okazji by go zabić? Po śmierci Wallanda zapewne pozbyli się oporów. Jig zadarł głowę i udając, że szuka drabiny, odsunął się od nich.

- Może zapytamy te ogry? - zaproponował Braf.

Jig spał się instynktownie. Sięgnął do miecza, jeszcze zanim dostrzegł wspomniane ogry. Szły pośród drzew po przeciwnej stronie polany. Było ich sześć, może siedem. Jig miał kłopot z rozróżnieniem poszczególnych sylwetek, pomimo że idący na czele ogr niósł zapaloną latarnię.

- Czy ogry zwykle nie używają pochodni? - zdziwiła się Grell. - Zawsze myślałam, że drewno pali się na pomarańczowo, nie różowo.

Różowe światło intensywniało chwilami, jakby płomień rozkołysanej latarni strzelał

iskrami w rytm kroków niosącego.

- Może też używają jakiejś zmodyfikowanej syfii - zasugerował Jig. - Hobgobliny przerobiły swoją tak, żeby paliła się na niebiesko. - Nigdy nie wątpił, że hobgobliny celowo starały się uzyskać taki efekt, żeby ich ogień przypominał barwą krew goblinów. Ale po co komu różowy ogień?

- Gdzie one idą? - rzuciła Grell.

Jig zazgrzytał zębami. Czy według nich ma obowiązek znać odpowiedź na każde pytanie na świecie? Przecież nie jest wszechwiedzący!

- Powinniśmy schwytać je w zasadzkę - oświadczył Braf. - A potem torturować, póki nie wskażą nam drogi do wyjścia. Jest nas troje, no i mamy przewagę zaskoczenia.

Grell trzepnęła go w potylicę.

- Dzięki - mruknął Jig.

Od pierwszej chwili po zejściu z komnaty Nekromanty Walland przejawiał bardzo widoczną nerwowość. Zerkał na boki i podskakiwał na każdy szelest niczym... hm, niczym przestraszony goblin. Te ogry zachowywały się tak, jakby zupełnie nie przejmowały się, czy ktoś je zobaczy. Mogło to oznaczać, że coś przejęło kontrolę nad ich umysłami. A jeśli tak, to istniała szansa, że miały osłabioną czujność, podobnie jak Sashi.

- Pójdziemy za nimi - zdecydował.

- Po co? - spytała Grell.

- Bo nie mam innego pomysłu!

Grell burknęła coś pod nosem, a Braf zrobił rozczarowaną minę.

- Możemy obejść polanę skrajem lasu. Światło widać z daleka, więc nie stracimy ich z oczu.

Podskoczył, słysząc z tyłu jakiś hałas. Odwrócił się, nastawiając zdrowe ucho w nieprzeniknioną ciemność, i wyteżył wzrok. Las od samego początku zaskakiwał ich różnymi dźwiękami - gałęzie skrzypiały targane wiatrem albo pękały pod ciężarem okiści. Za pierwszym razem, gdy rozległ się niespodziewany trzask, Jig krzyknął, dobywając miecza. Braf natomiast ten jeden jedyny raz wykazał się rozsądkiem i umknął za drzewo. Teraz też na pewno odłamał się jakiś zbyt obciążony czapą śnieżną konar.

Kolejny zgrzyt i chrupot, jakby lód kruszył się pod stąpieniem.

Braf czmychnął, szukając odpowiedniej kryjówki w gąszczu. Grell pokuśtykała za nim.

Na myśl, że jest prawdopodobnie jedynym zdolnym do walki członkiem tej grupy, Jigowi ścięła się krew w żyłach.

Dobył miecza i cofnął się, żeby mieć za plecami pień drzewa. Ciapek nie wystawiał nosa z bezpiecznej kaletki. Jig najchętniej dołączyłby do niego.

Kroki zbliżały się. Zdażały ku niemu co najmniej dwie istoty. Gdyby napastnik był tylko jeden, Jig może zdołałby go zabić w miarę cicho. Ale walka z dwoma przeciwnikami będzie zapewne hałaśliwa i zwróci uwagę ogrów.

- Jig?

Jig osłupiał, słysząc swoje imię. A potem osłupiał po raz drugi, kiedy rozpoznał głos.

- Veka?

Goblina wychynęła z mroku, klekocząc kosturem i wlokąc za sobą po śniegu skraj płaszcza. Zaraz za nią podążał hobgoblin.

- W samą porę, Jigu Smokobójco! - zaczęła.

- He? - Jig spojrział na nią zdumiony.

- Dobrze, że zmieniłam zdanie i postanowiłam ci pomóc - dodała rozpromieniona. - Walka z chochlikami to robota dla Prawdziwego Bohatera.

* * *

Chochliki. Jig spotkał podczas poprzedniej wyprawy jednego. Sądząc z opisu Veki, osławiony Nekromanta - mały niebieskowłosy człowieczek z wrednym poczuciem humoru - musiał być chochlikiem. To wbrew prawom natury, że coś tak niewielkiego może być tak groźne. Lilipuci czarnoksiężnik o mało co nie zamienił Jiga oraz całej drużyny herosów w żywe trupy. Łut szczęścia ocalił ich od koszarnej śmierci.

- Ile ich jest? - na wszelki wypadek szeptał, choć ani ogry, ani gobliny nie mogły go słyszeć.

- Całe mnóstwo - odrzekła Veka radośnie. - Okupują jaskinię Strauma. Zabiłam jednego, a potem wycofaliśmy się, żeby przeprowadzić rozpoznanie przed następnym atakiem.

Grell wykuśtykała spomiędzy krzewów.

- Mówisz, że ty i twój koleżka zabiliście jedną z istot, które pokonały ogry? I w dodatku

udało wam się ująć z życiem?

Hobgoblin warknął, zamierzając się na staruchę włócznie. Grell grzmotnęła go szczudłem w przegub. Broń upadła w śnieg.

- Szliśmy tunelem prowadzącym do gniazda Strauma - zaczęła Veka. - Ten tu, Sznyt...

Hobgoblin warknął tak głośno, że Jig aż się wzdrygnął.

- Był zajęty czym innym - dokończyła Veka. - Wzięłam więc mój kostur i czekałam, aż chochlik przyfrunie bliżej... i jeszcze bliżej... - wyraźnie delektowała się opowieścią. - Naraz mnie zauważył. Jego ślepiea zaokrągliły się z zaskoczenia. Zaskoczenia i trochę ze strachu. Próbował rzucić na nas zaklęcie, ale byłam szybsza. Skoczyłam i trzasnęłam go kosturem, aż poleciał na ścianę. Był oszołomiony, ale nie martwy. Spróbował znowu. Powietrze zadrgało, tunel wypełniła zła energia jego strasznej magii. Jeszcze chwila, a byłoby po nas.

- I co, pokonałaś go? - spytał Braf, który tymczasem dołączył do grupki.

Veka wywróciła oczami.

- W momencie gdy jego dłonie zaiskrzyły mocą, dopadłam go i roztrzaskałam mu czaszkę kosturem. - Pokazała im koniec kija i zmarszczyła brwi. - Śnieg musiał zmyć ślady krwi.

- Więc zabiłaś potężnego chochlika, waląc go kijem w głowę? - upewnił się Jig.

- Hej, niezły sposób - ucieszył się Braf i odszedł na bok, prawdopodobnie, żeby poszukać odpowiedniego drąga do rozłupywania chochliczych łbów.

- Jak nas znaleźliście? - zapytała Grell.

- Wcale was nie szukaliśmy. - Veka wskazała na ogry. - Szliśmy za tym różowym chochlikiem.

- To chochlik? - zdziwił się Jig.

- Chochliczka - rzekła Veka. - Strasznie leniwa. Nie chciało jej się lecieć, więc rozkazała ogrom, żeby ją niosły.

Po przekazaniu nowin Veka najwyraźniej straciła zainteresowanie słuchaczami. Podeszła nonszalancko na sam skraj polany, jakby zupełnie nie bała się, że ogry mogą ją zobaczyć. Jig obserwował ją zamyślony. Co tak naprawdę wydarzyło się podczas jej wędrówki? Umieszczenie gdzieś hobgoblina i goblina razem było zwykle najpewniejszą metodą na pozbycie się tego drugiego. A tu proszę, nie dość, że Veka idzie z hobgoblinem, to jeszcze dopuszcza, żeby znalazł się za jej plecami. I zupełnie się nie przejmuje, że hobgoblin ma włócznie, którą przecież jednym ruchem może przebić ją na wylot.

Ciapek zaczął się wiercić niespokojnie, więc Jig poluzował rzemień, żeby pupil mógł przenieść się na siodełko. Płatki śniegu syczały, topniejąc na grzbiecie drepczącego w miejscu pająka. Biedne stworzenie kręciło się nerwowo, próbując mieć oko jednocześnie na Vekę i hobgoblina. Jig wcale mu się nie dziwił. Leczył masę ran od hobgoblińskich pułapek, więc wiedział, jak bardzo niebezpieczni są sąsiedzi z górnych tuneli. A co do Veki, to cóż mogło stanowić większe zagrożenie niż goblin pragnący zostać Bohaterem?

- No? - niecierpliwiła się Veka. - Los wiedzie nas tą samą ścieżką, którą podążają ogry, a ja nie zamierzam pozostać głucha na zew przeznaczenia - oświadczyła i nie czekając na resztę, ruszyła za ogrami.

Jig zerknął na hobgoblina, a jego strach niespodziewanie przemienił się we współczucie.

- Ona tak cały czas?

- Odkąd pokonała tego chochlika - odparł Sznyt, wbijając paznokcie w drzewce włóczni. - Jak nie przechwalała się zwycięstwem, to układała piosenkę o zwycięstwie. Normalnie miałem już ochotę uszy sobie uciąć.

- Ja tobym wołał uciąć jej język - stwierdził Braf.

- Chodźmy - powiedział pospiesznie Jig, któremu nie podobało się pełne namysłu spojrzenie, jakim Sznyt obrzucił Vekę. Różowe światło latarni - a raczej chochliczki - zniknęło już w oddali. Naprawdę musieli się spieszyć, żeby nie stracić go z oczu.

Idąc, pocieszał się myślą, że przynajmniej Sznyt nie ma rozkazu zgładzić go po zakończeniu wyprawy. Ale z drugiej strony od kiedy to hobgoblinowi potrzebne są jakieś rozkazy, by zabić goblina?

* * *

Świtało, gdy ogry wreszcie dotarły do celu swej wędrówki. Jig czuł, jakby zamiast nóg miał dwa kołki. W dodatku całkowicie przemokły mu i buty, i skarpetki. Przez te marsze w końcu nabawił się bąbli.

Wyglądało na to, że pozostali radzą sobie dużo lepiej. Jig sam nie wiedział, czy bardziej zaskoczyła go Veka, czy Grell. Ta pierwsza pomimo swej tuszy nie przystanęła ani na moment. Gnała naprzód, nie przysiadając nawet wtedy, gdy musiała zaczekać na pozostających w tyle

towarzyszy. Co do Grell, niańka utykała przez cały czas w równym tempie, co prawda w pewnej odległości za grupką, ale ani razu nie tracąc jej z oczu. I nawet nie dostała zadyszki.

- Pracuję w żłobku - wyjaśniła, zrównując się z resztą. Machnęła kulą na Vekę. - Całe noce biegam za zwariowanymi goblinami. Z tą tylko różnicą, że tej tu nie muszę podcierać tyłka, jak na chwilę kucnie gdzieś z boku.

Jig wysunął się do przodu, żeby sprawdzić, co robią ogry, a przede wszystkim dostarczyć wyobraźni innego żeru, bo ta po słowach Grell podsuwała mu wyjątkowo obrzydliwe obrazy. Okazało się, że doszli do końca ogromnej pieczary, w której mieściła się kraina smoka.

- Jesteśmy gdzieś niedaleko jaskini Strauma?

Ledwie to wyrzekł, zdał sobie sprawę, że nie stoi przy urwisku, które widział rok temu. Po pierwsze, tutaj las podchodził aż pod samą ścianę. Jediną wolną przestrzeń stanowiła niewielka łysinka naszpikowana świeżymi karczami. Samą skałę porastał obumierający brunatny mech, zaś zbocze wznosiło się dużo łagodniejszym łukiem niż stromizna ze szczeliną prowadzącą do smoczego legowiska.

Uzmysłowił sobie coś jeszcze. Warstwa śniegu na obrzeżu pieczary była znacznie cieńsza od tej w głębi. Pojedyncze łaty nawianego śniegu jaśniały czystą bielą, bez domieszki szarości. Skóra ogrów skupionych przy skrajnej ścianie także zatraciła popielaty odcień. Kolor nie był jeszcze zupełnie normalny, ale na pewno bliższy naturalnemu i bardziej nasycony niż barwy, jakie Jig oglądał tu od chwili przybycia. To, co powodowało szarzenie w całej grocie, w tym miejscu traciło zasięg.

Jeden z ogrów opadł na czworaka i zaczął wczołgiwać się w ciemną dziurę u podnóża ściany. Przy otworze leżała sterta wielkich brunatnych głazów. Jig zawsze sądził, że ściany z utwardzonego obsydianu są nie do ruszenia. Z drugiej strony był także przekonany, że drabina będzie tkwiła na polanie wiecznie. Widać w obu przypadkach się mylił.

Nagle z jamy buchnął wwiercający się w uszy wysoki pisk. Jig skulił się mimowolnie. W wylocie pojawiły się stopy, a następnie reszta wycofującego się rakiem ogra. Olbrzym ścisnął w rękach grubą linę. Inne ogry stłoczyły się przy nim, zasłaniając Jigowi widok.

Niespodziewanie po drugiej stronie łysinki rozległ się identyczny pisk. Na przywiązanym do drzewa powrozie szarpało się przeogromne brązowe stworzenie. Potężne skrzydła młóciły w gałęzie, zasypując okolicę śniegiem i patykami. Nawet Veka okazała lekkie zdumienie rozmiarami oraz siłą uwięzionego nietoperza.

Na widok szamoczącego się stwora Jig pojął, że to, co wziął za glazy, jest stosem nietoperzych truchel.

- Ohydne, no nie? - odezwał się za jego plecami Braf.

Jig kiwnął głową. Ogry wywlekały z tunelu drugiego nietoperza. Szyję stwora otaczała pętla, zaś skrzydła zostały złożone i ciasno opasane sznurem. W płaskim, jaśniejszym pysku błyszcząły wypukłe czarne ślepie. Jedyłą mniej wstrętną częścią ciała nietoperza były wielkie, teraz oklapłe uszyska. Jigowi przypominały trochę wydatne uszy goblinów.

Widząc, jak brutalnie ogry obchodzą się ze schwytanymi nietoperzami, Jig zrozumiał, skąd wzięła się leżąca u wylotu sterta ciał. Nie mógł jednak zrozumieć, po co ogry w ogóle łowią te stwory.

Różowa chochliczka podfrunęła, sypiąc iskrami. Zaczekała, aż nietoperz znajdzie się na zewnątrz, po czym zanurkowała do tunelu. Część ogrów zajęła się obwiązywaniem dopiero co wywleczonej z jamy ofiary, inne zaś poszły to samo zrobić z tą, która szalała na uwięzi. Wokół rozniósł się silny odór guana. Skrzydlata maskara walczyła zaciekle, ale bez skutku. Wkrótce oba nietoperze zostały całkowicie unieruchomione. Ogry dźwignęły zdobycz i ruszyły w las.

Z tunelu wyczołgała się reszta oddziału. Otrzeputując się z pyłu i żwiru, podążyła w ślad za towarzyszami.

Chwilę później z jamy wychynęła chochliczka. Jig wstrzymał oddech, przylgnął do drzewa i zaczął się modlić, żeby Braf albo Veka nie wpadli na jakiś idiotyczny pomysł, na przykład nie wyzwały ogrow do walki jeden na jednego.

Chochliczka zapikowała w stronę ogra, który niósł coś w rodzaju hamaka na drążku. Olbrzym przystanął, czekając spokojnie, aż chochliczka usadowi się w nosidelku. Liliputka strzepnęła świetlistymi skrzydełkami i złożone zwiesiła po obu stronach lektyki.

Wszystko to działo się w milczeniu, którego nie przerwały ani olbrzymy, ani karzełek. Jig gapił się za znikającym między drzewami pochodem. Cały czas zastanawiał się intensywnie, co to wszystko może oznaczać. Ocknął się, gdy żwawym krokiem przeszła obok niego Veka.

- No, pospieszmy się - ponagliła ich, przekraczając leżący pień. - Trzeba wykorzystać okazję.

- Okazję na co? - fuknął Jig. - Zbiorowe samobójstwo? Wiemy tylko, że tunel prowadzi gdzieś, gdzie są te olbrzymie nietoperze!

- Prawdziwemu Bohaterowi Droga ukaże się sama - wygłosiła Veka. Znowu recytowała

tę książkę. Zawsze robiła to w ten sam sposób. Z odchyloną głową, półprzymkniętymi powiekami i uniesionym jednym kącikiem ust. - Lecz Bohater musi mieć siłę i odwagę, by podążyć tam, gdzie ona wie.

- A co z poprzednim właścicielem tej książki? - zirytował się Jig. - Jego Droga wiodła wprost do brzucha Strauma!

Veka prychnęła, odwracając się od niego demonstracyjnie.

- Z tego wynika, że nie był Prawdziwym Bohaterem, nieprawdaż? - Wydobyła z kieszeni tom. Z ust Sznyta wydarł się jęk. Veka z zacięciem wertowała strony. W końcu znalazła odpowiedni fragment i zaczęła odczytywać go na głos. „Sa'il wpatrywał się w górę z czaszek, na której wznosiła się świątynia Czarnej Bogini, a towarzysze namawiali go do odwrotu.

Azaliż oczy twe ślepe na kości tych, którzy próbowali wstąpić w progi Bogini?, białł jego najwierniejszy druh, Tir.

Bez kości owych - nie byłoby jak tam wniknąć, odrzekł Sa'il".

Jig zerknął na pozostałych. Sznyta całkowicie pochłaniało testowanie kciukiem ostrości grotu. Grell kiwała się, jakby zaraz miała usnąć. Braf natomiast słuchał Veki z otwartymi ustami.

- Nie rozumiem - powiedział. - Przecież tu nie ma żadnych kości. A poza tym czy te czaszki nie stoczyłyby się, jakby się po nich wspinać?

Veka ze złością zatrzasnęła książkę.

- To znaczy, że nie można pozwolić, by porażka innych skłoniła cię do zejścia z Drogi. - Przystanęła przy zboczu, zaglądając do jamy. - Szybko, zanim tu wrócą.

Reszta spojrzała pytająco na Jiga, który wzruszył ramionami. W sumie i tak nie miał innego pomysłu.

Veka wkroczyła już do tunelu. Tam gdzie ogry musiały się czołgać, ona mieściła się, ledwie schylając głowę. Jig ruszył za nią, ale po pierwszym kroku w szyję uderzyła go fala gorąca.

- Veka, stój! - krzyknął. Odskoczył do tyłu, jednocześnie spychając Ciapka na skraj ramienia. Emitowany przez pająka żar zniknął tak szybko, jak wybuchł. Jig poszukał wzrokiem czegoś, co dawałoby światło - latarni, suchej szczapy, czegoś łatwo palnego. Lampy jednak zostały zniszczone podczas potyczki z Sashi lub skończyła się w nich syfia.

- Jeśli się boisz, poczekaj tu na mnie. Sama zobaczę, co tam jest - oświadczyła Veka wyniośle.

I tak powinien zrobić. Niech idzie i da się pożreć czy zabić temu, na co Ciapek tak gwałtownie zareagował. Miałaby za swoje. Ale Jig przyskoczył do martwych nietoperzy i wyrwał garść brązowych kłaków. Śmierdziały pleśnią. Skręcił z nich naprędce prymitywny sznurek i wchodząc do tunelu, przytknął go do pająka.

Gdy tylko w ciemności zamigotał kopący pomarańczowy płomyk, pobiegł dalej. Ogień błyskawicznie objął cały zwitek futra. Jig dostrzegł sylwetkę Veki i rzucił jej pod nogi palący się kłęb.

- Co ty wyprawiasz? - syknęła.

- Patrz. - Jig wskazał przed siebie. - Co to?

W mroku błyskało wiele maleńkich żółtych ślepi. Zbyt wiele, by policzyć je na pierwszy rzut oka. Veka wydobyła z wewnętrznej kieszeni jakieś zawiniątko, a po chwili przytknęła do ognia długą, grubą pałeczkę. Zaskoczony Jig rozpoznał w niej plechowy pręcik, którego gobliny używały do przenoszenia ognia. Grzyb ten palił się wolno równym płomieniem i był bezpieczniejszym sposobem na zapalenie lamp w syfiarni niż krzesiwo i tarnik. Płomień zamigotał żywo, nabierając zielonkawej barwy.

- To próba, którą muszę przejść - oświadczyła Veka.

- Nie, to wielowężogłowy potwór - warknął Jig. Chwyił ją za ramię i pociągnął do wyjścia.

Jig ocenił, że sycząca płatanina składa się z co najmniej czternastu łbów. Obserwowało ich więc co najmniej dwadzieścia osiem ócz. Pewnie przez to właśnie chochliczka musiała wejść do tunelu. Nawet ogry miałyby kłopoty z przejściem obok tej bestii, która całkowicie zagradzała drogę. Każda jedna długa odnoga wyglądała jak zwykły wąż skalny i podobnie jak on badała otoczenie, wysuwając biczowaty język. Dzięki czerwobrazowym łuskom stworzenie było niemal niedostrzegalne na tle obsydianowych ścian.

Najwyraźniej chochliki scaliły po prostu stado węży w jedną istotę. W poszczególnych paszczach tkwiły ostre, zakrzywione kły jadowe. Wąskie łby przechodziły w szyje, zaś te wyrastały jakby z kulistej masy obciążonej łuskowatą skórą. Ogonów nie było wcale.

Ciapek nie na darmo się bał.

- Z drogi! - krzyknęła Veka, próbując wyminąć Jiga, który jednym susem wyskoczył na zewnątrz. Szturchająca go kosturem po piętach goblinka wypadła z tunelu i skierowała się wprost do Sznyta.

- Daj mi włócznię - zażądała.

- Chochliczka zostawiła w tunelu wężowatego strażnika - wyjaśnił Jig, choć nie miał pojęcia, co Veka zamierza robić z bronią hobgoblina. Wątpił, czy do zabicia stwora wystarczy przebicie kłęb. Odcięcie jednego z segmentów ścierwojada tylko rozdrażniało pozostałe. Pewnie tego stwora też będzie musiała zabijać po kawałku, a gdy zacznie tłuc jedną głowę, reszta ją zaatakuje. - Veka, zginiesz, walcząc z tym włócznią.

Sznyt rozpromienił się nagle.

- Masz! - Ochoczo wręczył jej swoją broń.

Veka odstawiła kostur pod drzewo i pomaszerowała z powrotem do jamy.

- Co ty wyrabiasz?! - krzyknął Jig, pędząc za nią. Zwycięska walka z chochlikiem zapewne pomieszała jej w głowie, ale on? Przecież wbiegając tam, robił dokładnie to, co ona.

- Rozdział czwarty: Próby. - Podała Jigowi pałeczkę zapalającą i zacisnęła obie dłonie na drzewcu. - Bohater musi pokonać przeszkody, z których każda kolejna jest trudniejsza i bardziej niebezpieczna od poprzedniej.

Jig przystanął stropiony.

- Dlaczego te przeszkody muszą być coraz trudniejsze? Czemu Bohater nie zmierzy się z najcięższą od razu na początku? Przecież potem wszystkie inne byłyby łatwe.

Veka nie zwracała na niego uwagi. Zamachnęła się i wraziła grot w sam środek wielogłowego korpusu.

Wszystkie łby, poza tymi kilkoma, które służyły istocie do utrzymania równowagi, wystrzeliły błyskawicznie w stronę Veki. Cztery zatopiły kły w drzewcu, wyrywając goblince broń z rąk. Siedzący na ramieniu Ciapek zwinął się w kulkę, a Jig poczuł swąd tłącej się skóry.

Z siekanej kłami włóczni pryskały drzazgi. Wizja tego, co stwór potrafiłby uczynić z goblinem, przyprawiła Jiga o mdłości. Bestia była bez wątpienia straszliwie wygłodniała, bo niektóre z paszczy w desperacji próbowały przełknąć kawałki drewna.

Jig pozbierał szczapki i ułożył z nich pod ścianą mały stosik, który podpalił plechową pałeczką. Gdy pojaśniało, przyjrzał się stworzeniu lepiej. Jeśli się nie mylił, tworząc to monstrum, chochliczka o czymś nie pomyślała.

- Głupie hobgobliny - wymamrotała Veka. - Nie potrafią nawet zrobić porządnej broni, chociaż od tego zależy ich życie.

Jig chwycił ją za rękaw i wywlekł z tunelu.

- I co? Zabiłaś tego potwora? - spytał Sznyt, a jego pobliżnioną twarz okraślił szeroki uśmiech.

- Potrzebuję twojej pomocy - zwrócił się do niego Jig, zanim Veka zdążyła otworzyć usta.
- Trzeba poświęcić jednego z tych nietoperzy.

- Jestem wojownikiem, nie podkuchennym - obruszył się Sznyt. - Nie siekam mięsa, tylko je zabijam. A w ogóle to gdzie moja włócznia?

- Ja ci pomogę - zaoferował się Braf. - Też jestem strasznie głodny.

Jig nie tracił czasu na sprostowania. Razem z Brafem natychmiast zabrali się do pracy. Sznyt oddalił się w poszukiwaniu broni zastępczej, a Veka obserwowała ich ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma.

- I co? Chcesz go zatłuc sznyclami z nietoperza? - drwiła. - To ma być plan wielkiego Jiga Smokobójcy?

- Dobra, starczy - rzekł Jig, zabierając tyle mięsa, ile dał radę unieść. Po czymś takim koszula będzie do wyrzucenia, a on sam pewnie miesiącami będzie czuł od siebie smród nietoperzej posoki. Podchodząc do potwora, zauważył, że łby zakołysały się gwałtownie. Magia chochlików nie pozwala bestii ruszyć się z miejsca, ale głowy wyciągnęły się ku niemu łakomie. Potwór zwietrzył posiłek.

Jig nie kazał mu czekać. Rzucił kawałki mięsa, starając się nie patrzeć, jak węże walczą między sobą o każdy kęs. Po chwili wycofał się z tunelu.

- Co tam robiłeś? - dopytywał się Sznyt. Wrócił z poszukiwań z pustymi rękoma, a gdyby jego wzrok mógł zabijać, Veka padłaby trupem na miejscu. - On nadal żyje. Nawet stąd słyszę, jak się rusza.

- Cierpliwości. Niedługo zdechnie - zapewnił go Jig.

- Trucizna? - strzeliła Grell.

Jig potrząsnął głową.

- Większość jadowitych stworzeń jest odporna na trucizny. - Zerknął do tunelu. Miniaturowe ognisko przygasło, ale stłumiony blask pozwalał jeszcze rozróżnić niewyraźny kontur cielskiej istoty. Kilka łbów już leżało nieruchomo na ziemi. Działo nawet lepiej, niż się spodziewał.

- No to co zrobiłeś? - niecierpliwiła się Veka.

- Nie ja, chochliczka. Złączyła te węże, ale popełniła błąd. - Wpatrywali się w niego

sceptycznie. - Pomyślcie, przecież ten stwór przed chwilą pochłonał prawie całego nietoperza giganta, tak?

Braf kiwnął głową.

- A co dzieje się po obiedzie?

- Golaka daje deser - palnął Braf.

- Nie, co się dzieje z jedzeniem?

- Zależy, u mnie na przykład siedzi we flakach - prychnęła Grell. - Przynajmniej dopóki nie wypiję kompotu grzybowego Golaki, bo wtedy... - urwała, i pokuśtykała ku wejściu do tunelu, żeby przyjrzeć się bestii. Powiodła wzrokiem od głów do punktu, w którym długie ciała łączyły się w jednolitą łuskowatą kulę. - On nie może...

- Kiedy chochliczka je łączyła, węże straciły tylne części ciał - rzekł Jig.

Grell wydeła usta.

- Biedne stworzenie. To straszna śmierć.

* * *

Jig ochoczo przepuścił Veke, żeby pierwsza przeszła po truchle węzowatego potwora. Mimo że Ciapek pozostawał chłodny, cały czas miał wrażenie, że któryś z łbów podniesie się i zatopi zęby w jej nodze. Lęk, że stwór ożyje, minął, kiedy znaleźli się po drugiej stronie.

Tu już spokojnie mógł bać się o resztę, a w tym o to, co powie Kralk, gdy wrócą do domu. O ile wrócą.

- Pomyślmy... Nasz ogrzy przewodnik zginął z rąk własnej siostry. Drabina wiodąca na górne tunele zniknęła. Wszystko? Ach, byłbym zapomniiał. Chochliki uczyniły ogry swoimi niewolnikami i niedługo ruszą na podbój goblinów.

Jig usiłował poprawić sobie humor, uspokajając się, że i tak raczej nie dożyje momentu inwazji.

Tunel przez cały czas wiódł ich głębiej do wnętrza góry, jednocześnie oddalając od domu. Nawet jeśli uda się ominąć chochliki, istniała duża szansa, że nie wróci na górę, a tym samym nie stanie przed obliczem Kralk.

Jakoś mu to jednak nie polepszało nastroju.

Nie zwracaj sobie głowy chochlikami. Nie one stanowią problem.

Głos milczącego od tak dawna Tymalouisa Ciemnogwiazdowego zaskoczył Jiga do tego stopnia, że biedak podskoczył, uderzając głową o strop.

- Co jest? - zaniepokoił się Braf. Jego twarz była ledwie widoczna w przyćmionym świetle grzybnej zapalki, którą niosła idąca na przdzie Veka.

- Nic, nic. - Jig roztarł guza i spojrzał oburzony do góry.

Gdzie byłeś, jak cię potrzebowałem!? Wiesz, co ja tu przeżyłem?! Walczyłem z ogrem, a potem z tym wężoczymś... I co to znaczy, że chochliki nie stanowią problemu? Pamiętasz Nekromantę? On też był chochlikiem! I był jeden, a tu jest... Nie wiedział właściwie, ile chochlików zamieszkuje jaskinię Strauma. Jest ich więcej, dokończył.

Tamten karzelek nie był Nekromantą od samego początku, rzekł Ciemnogwiazdy. Zapomniałeś?

Staram się jak mogę. Ale słowa boga ożywiły wspomnienia: smród rozkładających się zwłok oraz skrzekliwy głos stworka przechwalającego się pokonaniem poprzedniego Nekromanty i przejęciem jego magii.

On nie pochodził z tego świata, ciągnął Ciemnogwiazdy. Nie wiem, czy zostawił swój z własnej woli, czy go do tego zmuszono, ale zostawił go i przybył tutaj. A chochliki nie.

Jak to nie?! Widziałem je na własne oczy! I ten stwór, to było ich dzieło! A co z ogrami? Przecież...

Przymknij się i posłuchaj wreszcie!

Jig zamrugał wstrząśnięty. Bóg bardzo rzadko wyrażał się tak obcesowo.

Chochliki nie zostawiły swojego świata, one sprowadziły go tutaj. Dlatego straciłem z tobą kontakt. Nawet bóg nie jest wszechmocny. Moja moc nie sięga do innych światów.

Ten śnieg, te dziwne kolory, to...

Aberracja powstała w efekcie kolokacji dwóch rzeczywistości, dopowiedział Ciemnogwiazdy, sprawiając, że ból głowy Jiga z „ćmiącego pulsowania” przeszedł w fazę „banda krasnoludów urządzających popijawę w gobliniej czaszce”. Zrobiło się tu coś w rodzaju bańki na wodzie.

Tak lepiej. Jig wiedział, co to bańka.

I co teraz będzie?

Nie jestem pewien. Ciemnogwiazdy wydawał się autentycznie zakłopotany. Możliwe, że

to tymczasowe zjawisko. Rodzaj strefy przejściowej, która pozwala chochlikom zaaklimatyzować się w tym świecie. Niewykluczone jednak, że ten obszar na zawsze pozostanie fragmentem ich świata w waszym. Istnieje także prawdopodobieństwo, że - mówiąc obrazowo - ta „bańka” pęknie. W takim wypadku magia ze świata chochlików rozproszy się po prostu po tutejszym.

Ból głowy nasilał się coraz bardziej.

I co ja mam zrobić?

Nie wiem!, warknął Ciemnogwiazdy. Byłem bogiem Jesiennej Gwiazdy, nie pamiętasz? Bogiem zmierzchu, spokoju i odpoczynku. Bóstwem opiekuńczym zmęczonych i starych. Nie miałem zbyt wiele czasu na zgłębianie strategii ofensywnych na okoliczność inwazji chochlików.

Jig zatrzymał się tak nagle, że idąca z tyłu Grell na niego wpadła. Veka przystanąła, słysząc zamieszanie.

- Co z wami?

Zaraz, czy ja dobrze rozumiem? Zaaferowany Jig nie podjął wędrówki. Ty, bóg, nie możesz tu nawet postawić swojej ciemnoastralnej stopy. Nie masz także bladego pojęcia, jak z nimi walczyć. A jednak oczekujesz, że ja, goblin, coś na to poradzę? Że zwyciężę armię ogrów, chochlików, węzowych potworów i całej reszty, jaką te mikrusy przeciw nam wyczarują, a na koniec wepchnę tę bańkę z ich światem z powrotem na miejsce?

Zadzwończy dzwoneczki - Ciemnogwiazdy wzruszył ramionami.

Jig objął spojrzeniem swoich towarzyszy - hobgoblina, starą niankę, wojownika, który prędzej sam nadzieje się na własną broń, niż nabije na nią wroga, oraz psychotyczną syfiarkę, która sobie roi, że jest magiem.

Czy jest jeszcze coś, co chciałbyś mi powiedzieć, zanim wrócę do radosnego popelniania morderstwa na samym sobie?

Owszem. Uważaj na Vekę i tego hobgoblina. Otacza ich kokon magii chochlikowego świata. Sądzę, że rzucono na nich czar. Chochliki prawdopodobnie śledzą każdy twój ruch.

Jig pomasaował skronie, próbując złagodzić ból głowy. Jego palce pocieplały, wzbierając falą leczniczej magii. Łupanie w czaszce nieco zelżało.

Dzięki.

Popatrzył przed siebie. Veka niecierpliwie postukiwała kosturem. Sznyt stał tuż za nią. Dobrze przynajmniej, że ta wariatka zniszczyła hobgoblinowi broń. Chociaż w dziewięciu przypadkach na dziesięć hobgoblin był w stanie pokonać uzbrojonego po zęby goblina gołymi

rękoma. A ten ostatni, dziesiąty przypadek zachodził tylko wtedy, gdy hobgoblin spał po ciężkiej popijawie.

A więc każdy z tej bandy albo otrzymał rozkaz, żeby go zabić, albo pozostawał pod kontrolą chochlików, które chciały go zabić.

Veka syknęła zirytowana, klapnęła pod ścianą i wyciągnęła swoją księgę zaklęć. Księga była gorzej niż zniszczona - stanowiła zaledwie plik nadpalonych, potarganych stron. Goblina wybrała jedną kartkę, popatrzyła na Jiga złym okiem i zaczęła czytać. Grell przysiadła obok, ciamkając kandyzowanego muchomora.

Jest jakiś sposób na zdjęcie tego zaklęcia?, zapytał Jig.

Ja go nie znam. Przykro mi. A oni mogą sobie nawet nie zdawać sprawy, że są pod wpływem czaru.

I pewnie nie mam żadnych szans na rozmowę z jakimś innym bogiem?

Tymalous Ciemnogwiazdy nie raczył nawet odpowiedzieć.

Rozdział szósty

Prawdziwy bohaterizm wymaga mądrości, aby odnaleźć odpowiednią drogę, odwagi, aby stawić czoło znajdującym się na niej przeszkodom, oraz magii, aby roznieść je w proch.

[Aurantifolia Czarnoserca „Droga Bohatera” (Wydanie dla magów)]

Veka szła, nie podnosząc głowy znad luźnych kart księgi zaklęć. Przyświecając sobie plechową pałeczką, przebiegała wzrokiem tekst ze strzępów papieru i mamrotała pod nosem. Kostur trzymała pod pachą i choć już dwukrotnie trzasnęła nim Brafą w głowę, a raz wytrąciła Grell kulę, nie mogła nic na to poradzić. Po prostu musiała czytać. Po raz pierwszy w życiu inkantacje i formuły nabierały sensu. W całym ciele czuła mrowienie magicznej energii, która tylko czekała, żeby ją uwolnić.

Zdmuchnęła odrobinę popiołu, która osiadła na stronie z instruktażem destylacji czystej żółci ze szczurów. Nie miała pojęcia, do czego mogłaby jej się przydać szczurza żółć, ale większość kartek została doszczętnie zniszczona, a na pozostałych natykała się na przypadkowe, wyrwane z kontekstu fragmenty. Jedna z ocalałych kartek zawierała opis wywoływania ognia z kamieni rzecznych. Inna podawała, jak krok po kroku wyhodować elfią kukurydzę. Potrzebny był do tego powlekany platyną szpadel oraz rosa z liści dębu - zbyt dużo zachodu jak na głupią roślinę.

Na kolejnym świstku większość zaklęcia była nieczytelna, ale z tego, co zrozumiała, czar miał czynić rzucającego niewidzialnym. Poprzedni właściciel księgi dopisał na marginesie uwagę: „Kot-ogniomiot, który strzeże komnat Lynn, potrafi przeniknąć wzrokiem zaklęcie niewidzialności”.

Veka wcisnęła kartkę do kieszeni i zabrała się do czytania następnej. Przeszkodziła jej jednak drobina żaru, która wylądowała na przegubie. Veka podskoczyła, strzepując parzący opad, a kostur zaklekotał na ziemi, wzbijając obłok kurzu.

Przestraszony Jig odwrócił się, jednocześnie dobywając miecza. On oraz hobgoblin wyprzedzili ją w którymś momencie i teraz szli na czele grupki, co zapewne rozzłościłoby Veke, gdyby nie była tak pochłonięta przeglądaniem zaklęć.

Schyliła się bez słowa, żeby podnieść kostur. Zapyłony, zasypany gruzem korytarz bardzo

różnił się od labiryntów goblinów, gdzie powierzchnie z gładkiego kamienia lśniły w świetle lamp. Ogry były fatalnymi budowniczymi. W niektórych miejscach podparły stropy szorstkimi, nieobrobionymi kłodami, żeby tunel się nie zawalił.

Jig nie zdjął dłoni z rękojeści miecza. Nie ufał jej. Zauważyła już, jak na nią patrzy. Zazdrościł jej zwycięstwa nad chochlikiem i czuł, że jego pozycja Bohatera jest zagrożona. Dlatego właśnie odciągnął ją od węzowego stwora, a potem zakończył sprawę bez niej. A przecież wcześniej czy później pokonałaby bestię. Ale nie, nie dopuścił jej do walki, sam chciał sięgnąć po triumf.

- Uważaj trochę - powiedział Jig po chwili. - Nie wiemy, kiedy wrócą ogry ani co znajduje się przed nami.

Sznyt zachichotał.

- Nie przejmuj się ogrami. Nasza wiedźma powstrzyma je swoją potężną magią.

Veke zaczęły palić uszy. Spuściła głowę, wracając do czytania. Pręcik wypalił się już prawie całkiem. Został tylko ogarek wielkości kciuka. Wkrótce nie będzie miała już światła do czytania.

Przejrzała plik kartek, odnajdując w końcu tę z zaklęciem iluminacji. Środkowy fragment tekstu rozmazał się, jakby papier został kiedyś czymś zalany, ale większość inkantacji dało się odczytać. Próbowala kiedyś rzucić ten czar w destylatorni. Gdyby dała radę wytworzyć światło bez ognia, praca przy syfleniu stałaby się dużo bezpieczniejsza. Wtedy udało jej się tylko poparzyć palce.

Ale teraz szybko przebiegła wzrokiem linijki.

- To nic trudnego! Zwykły transfer transcendu i intensyfikacja.

Zamrugła zdumiona. Nie wiedziała nawet, co znaczą te słowa, ale brzmiały miło dla ucha. Widocznie jej umysł wyprzedzał świadomość, instynktownie przenikając bardziej zaawansowane pojęcia magiczne. Serce załopotало jej mocno, bo tajemna formuła nagle stała się całkowicie jasna. Zmrużyła oczy, wpatrując się intensywnie w rozmyte litery.

- Tu pewnie jest o potrzebie znalezienia inicjalnego źródła światła, czyli czegoś w rodzaju iskry w przypadku ognia. To elementarne zaklęcie. Nawet nie tyle wytworzenie, co przesunięcie światła z innego miejsca.

Zacisnęła dłoń na pałeczce. Najpierw musiała użyć zaklęcia wiązania, by zaczerpnąć mocy z otoczenia.

- Łatwizna. Tu jest tyle energii, że starczyłoby jej na iluminację połowy świata.

- Ciii - syknęła Grell, kuksając ją szczudłem.

Veka nie poświęciła jej nawet spojrzenia. Rozczapierzyła palce, przywołując magiczną sieć. Srebrne nitki biegnące od opuszków były wyraźne jak nigdy wcześniej.

- Wiązanie to tylko pierwsza faza. Magia powinna połączyć się ze światłem, tak aby można było nim manipulować.

Veka uśmiechnęła się, studiując pajęczynę energetyczną. Srebrzyste linie nie dawały światła. Po zbliżeniu dłoni do kartki nie rozjaśniały jej, a ręka nie rzucała cienia. Skóra emanowała za to ciepłem... jakby witalnością. Inni zdawali się nie zauważać jej machinacji. Veka zaczęła mruczeć drugą część zaklęcia, ale naraz zmieniła zdanie.

- A właściwie po co? Słowa nic nie znaczą, są ledwie łaską potrzebną ułomnym umysłem.

- Palce poruszyły się jakby niezależnie od jej woli, a srebrzysta pajęczyna zaczęła wybrzuszać się w stronę pręcika plechowego. Wąsy magii wydłużyły się, aż dotknęły płomyka.

- Ciekawe - wymamrotała Veka. - Cyrkulacja energii jest wolniejsza. To pewnie efekt niskiego wysycenia tutejszej atmosfery magią.

Veka wpatrywała się w swoją dłoń, usiłując dojść sensu wyrazów dobywających się z jej ust. Wolniejsza niż co? Próbowała wmówić sobie, że mimowolnie wypowiada sformułowania zaczerpnięte z książki. Joska lubiła używać wielkich słów, których Veka często nie rozumiała. A swoją drogą, co to takiego ta historyczna unifikacja mitycznego heroizmu? Hm. Spokojnie, po prostu podczas rzucania zaklęcia wymsknęło jej się kilka dziwnych fraz. To wynik sięgania do głębszych warstw świadomości, nic więcej.

Joska pisała, że podczas wędrówki Drogą Bohater zacznie czerpać z utajonych rezerw siły i mocy. Kryzys pomógł jej po prostu odkryć te rezerwy.

Zachichotała. Już dawno powinna była wymknąć się z labiryntów, zamiast czekać, aż Jig Smokobójca kapnie jej łaskawie odrobinę tego cienia bezużytecznej magii, jaką dysponował.

- Co cię tak śmieszy? - zainteresował się Sznyt.

Veka bez zastanowienia pchnęła płomień siłą umysłu. Pomarańczowy ognik przeskoczył z pałeczki plechowej i sypnął iskrami, zderzając się z nosem hobgoblina. Pręcik zgasł.

Za to nos Sznyta zapalił się niczym syfiówka z zalany mazią knotem. Odskakując, hobgoblin łupnął głową w ścianę. Upadł i zaczął się miotać, usiłując uwolnić od własnego nosa.

- Coś ty mi zrobiła?! - krzyczał, wzbijając tumany kurzu.

- Nie wrzeszcz tak - zbeształa go Veka słodkim głosikiem. - Bo przez ciebie zaraz tu się zlecą ogry.

Jig odwrócił się do nich, w każdej chwili gotów dobyć miecza. Znajdowali się przy rozgałęzieniu tuneli, więc było tu nieco szerzej, ale i tak musiał się precyzyjnie przemieszczać koło Brafy, żeby do nich podejść.

- Co się stało?

Veka odrzuciła pręcik zapalający.

- Ogień zamierał. Wyczarowałam inne światło.

- Natychmiast to ze mnie zdejmij, goblinico! - denerwował się Sznyt. - Inaczej...

Veka potrząsnęła kosturem, wprawiając w ruch klekoczące wisioriki. Sznyt skulił się i cofnął. Na widok jego przerażenia omal nie zachichotała. Na szczęście udało jej się opanować. Bohater nie chichocze.

- Spokojnie, hobgobliniku - rzekła. - Na razie przekierowałam na ciebie tylko światło. Chcesz, żebym to samo zrobiła z ogniem?

Sznyt zrobił zęba, próbując zobaczyć własny nos. Pomarańczowy płomyk podświetlał jego bladą twarz, uwidaczniając ciemne żyły, szczególnie te wokół nozdrzy.

- Może chociaż go trochę przygasisz? - poprosił. - Strasznie razi, zaczyna mnie od tego boleć głowa.

- Wygląda, jakby mu do nosa wleciał chochlik - zarechotał Braf. Hobgoblin ruszył ku niemu groźnie i rozradowana mina Brafy wyparowała.

Veka pomyślała, że chyba zaraz pęknie z dumy. Rzuciła zaklęcie! Zapanowała nad magiczną energią, związała ją i wykorzystała. A przy okazji pokazała temu głupiemu hobgoblinowi, co potrafi. Już nigdy nie będzie szydził z jej umiejętności. A tak w ogóle głupek ma szczęście, że nie zrobiła mu czegoś gorszego.

- To światło jest naprawdę dość intensywne - poparł go Jig. Wyszli już z ziemnego tunelu, wkraczając w korytarz o znajomych obsydianowych ścianach. Pomarańczowy blask odbijał się od gładkiej skały daleko przed nimi.

- Żaden problem. - Veka machnęła ręką w, jak miała nadzieję, wielkopańskim geście. Odwróciwszy się do hobgoblina, wyciągnęła dłoń, żeby przywołać część światła do siebie.

Bez efektu. Zmarszczyła brwi i ponowiła próbę. Księga zaklęć mówiła, że mag będzie miał pełną kontrolę nad każdym swoim czarem.

- Um... Zmieniłam zdanie - wybrnęła. - Niech hobgoblin trochę pocierpi. Jak chce, może sobie obwiązać twarz gałganem. Przy okazji oszczędzi nam widoku swojej zakazanej mordy.

Mięśnie karku i ramion Sznyta stężały, ale hobgoblin zmilczał zniewagę. Bał się jej!

- Masz. - Grell podała Sznytowi brudną szmatę.

Rozwścieczonemu hobgoblinowi dygotały ręce, ale zdołał jakoś obwiązać sobie nos. Blask przebijał przez gałgan, ale był zdecydowanie słabszy.

- Co to takiego? - spytał niańki.

- Stara pielucha. Nie bój się, wypłukałam ją przed spakowaniem.

- Veka... - Jig urwał, nie dokończywszy zdania. Był wyraźnie podenerwowany. Czyżby zaczęło do niego docierać, że Veka wkrótce zdystansuje go w oczach innych goblinów? Brał już teraz okazał jej respekt, a Grell... Cóż, Grell sprawiała wrażenie rozeźlonej. Ale ona zawsze tak wyglądała.

- Możemy iść dalej, Jigu Smokobójco? - uśmiechnęła się Veka.

Niańka wzruszyła ramionami.

- Ja nie mam nic przeciwko. Nie bawi mnie stanie i wgapienie się w cudownie świecący nos hobgoblina. - Odwróciła się na pięcie i podjęła wędrówkę. Brał podążył za nią.

Veka rzuciła jeszcze Jigowi triumfalny uśmiezek, po czym pospieszyła w ślad za tamtymi. Dobrze, że Sznyt nie potrafił posługiwać się magią. Inaczej, sądząc po minie, z miejsca obróciłby ją w kupkę popiołu.

* * *

Veka podniosła głowę, odkrywając naraz, że idzie - ku obopólnej irytacji zresztą - obok Sznyta. Po wyrzuceniu plechowej pałeczki jedynym źródłem światła umożliwiającym czytanie był nos hobgoblina. Sznyt z wściekłością opędzał się od krążących nad głową świecących owadów.

- Zobaczysz, nakarmię tobą koty tunelowe - Warknął.

Veka nie przejęła się zbytnio jego groźbami. Brzmiały jak czcze przechwałki goblinich strażników licytujących się, co zrobią ze złapanymi hobgoblinami. Do których złapania zresztą nigdy nie dochodziło, gdyż gobliny bały się zapuszczać we wraże tunele. Po tych kilku odważnych głupcach wszelki Słuch zaginał.

- Co zrobisz, jak dopadną nas ogry albo chochliki? - prychnął. - Zaświecisz je na śmierć?
Zerknęła na niego z ukosa.

- Są inne zaklęcia. - Aczkolwiek łatwiej byłoby się nimi posługiwać, gdyby księga nie znajdowała się w tak oplakany stan. O, proszę, na przykład to zaklęcie miotania ogniem bardzo by się przydało, niestety, strona poczerniała tak, że można było rozróżnić tylko ostrzeżenie: „Nie rzucać w pobliżu wychodka”. Na kolejnej kartce widniało kilka linijek tekstu opisującego początkowe kroki jakiegoś zaawansowanego zaklęcia, ale część tytułu stanowiła zamazaną plamę. - Mroczny Promień czego? - mamrotała. Mroczny Promień Ciemności? Mroczny Promień Śmierci? Równie dobrze mógł to być Mroczny Promień Nieustającego Beknięcia. Gdyby choć formuła ostała się w całości, mogłaby wypróbować czar na Szynicie, ale bez końcówki cała strona była nieprzydatna.

Twarz owiał jej ciepły prąd powietrza. Podniosła głowę znad książki, po raz pierwszy od opuszczenia lasu naprawdę spostrzegając otoczenie.

Warstwa pyłu przed czołem grupy była zdeptana. Ogrzymi stopami.

Z głębi tunelu dochodziło buczenie, jakby jakiś olbrzym dał w ogromną trąbę. Suche powietrze przesycał smród nietoperzych odchodów.

Idący na przodzie Jig przystanął. W jego oczach malował się lęk.

- O co chodzi? - spytała Veka.

- Wiem, gdzie jesteśmy. A przynajmniej dokąd zmierzamy. Miałem nadzieję, że się mylę.
- Oparł się o ścianę, ocierając pot z czoła. - Nekromanta przekształcił swoje tunele w labirynt najeżony pułapkami i magią, a każda droga prowadziła do tego samego punktu: Bezdennej Otchłani, przepaści, w której ginęła każda istota niegodna zasilić szeregi jego trupich sług.

- Znam tę piosenkę. - Veka zaczęła śpiewać przyciszonym głosem:

Gdzie góry głębiny, gdzie czerń nieprzebrana

Tam kończą ofiary trupiego szamana

Krzyk cichnie powoli, gdy spadasz wieczności

Leć równo, by nie obić kości

Tu każdy łyk klaka jest skarbem bezcennym

*A kęs hobgoblina okruchem zbawiennym
Bo dół Nekromanty to Otchłań Bezdenna
Więc podróż nie będzie przyjemna*

- My mamy podobną - chrząknął Sznyt. - Tylko trochę inną.

*Jak dużo szczurojadów
Trza by wypełnić ją
Sam sprawdź wrzucając drani
W trupiego króla toń
Choć Nekromanty otchłań
Bezdenna ponoć jest
W wysiłkach nie ustawaj
Postaraj się na fest
Choć...*

- Zgłupieście? - przerwał mu Jig. - Konkurs piosenek sobie urządzać? Ten tunel prowadzi do Bezdennej Otchłani, w której mieszkają gigantyczne nietoperze. Tam właśnie ogry chodzą na łowy. Czujecie ten powiew? Zaraz dotrzemy do otchłani i znajdziemy się w pułapce bez wyjścia.

- No to wracajmy - zaproponowała Veka i nie bacząc, że reszta patrzy na nią zdumiona, kontynuowała: - Po drodze minęliśmy przynajmniej jedną odnogę, widocznie ogry przebiły się przypadkiem do jakiegoś bocznego korytarza. Musimy tylko...

- Ogry idą za nami już od jakiegoś czasu, nie słyszysz ich? - wpadł jej w słowo Jig.

Veka zastrzygła uszami i ignorując dźwięki dochodzące z przodu, skoncentrowała się na tych za plecami. Pogranatowała. Jig miał rację. Odgłosy były słabe, ale wyłowiła rozlegające się w oddali pochrząkiwania i tupanie ogrów. Jak mogła to przegapić?!

- Ale nie wiedzą, że tu jesteśmy, prawda? - rzekła.

- Nie dałbym za to głowy - odparł Jig.

Braf patrzył to na jedno, to na drugie.

- To co robimy?

- Pójdziemy naprzód - zdecydowała Veka. - Tak, jak prowadzi nas droga.

- Miejmy nadzieję, że gdzieś dalej się rozgałęzia, bo inaczej czarno to widzę. - Jig mamrotał jeszcze, że ogry to w tym wypadku najmniejsze zmartwienie, ale Veka nie usłyszała go, na powrót zagłębiwszy się w księdze.

* * *

Mocniejszy powiew wyrwał Vece z rąk kartkę. Ledwie zdążyła przytrzymać pozostałe. Z zalem patrzyła, jak formuła zamiany moczu w piwo odfruva w głąb tunelu. Ten wiatr uniemożliwiał jej studiowanie czarów!

Pociągnęła Sznyta za ramię.

- Chodź, poświecisz mi.

Hobgoblin warknął wściekle, gdy powlokła go za znikającym w oddali karteluszkim. Po kilku nieudanych próbach pochycenia strony Sznyt wyszarpnął jej się i przydepnął papier. Podniósł go i targając przy okazji brzeg, wcisnął jej zgubę w rękę.

- Dzięki - powiedziała Veka.

- Jak następnym razem popędzisz przed siebie, kiedy my tu próbujemy wymknąć się ogrobójczej śmierci, osobiście wsadzę ci nóż w trzewia - zagroziła Grell.

Veka najeżyła się oburzona. Czy ta głupia niańka nie rozumie, że to właśnie magia z jej księgi ocali ich przed ogrami, chochlikami, a nawet Bezdenną Otchłanią? No, może nie akurat zaklinanie moczu w piwo, ale magia ogólnie.

Wiatr przybrał na sile, wrywając jej kosmyki z warkocza i smagając włosami po twarzy. Niechętnie i tylko w duchu przyznała starej goblince rację. Jeśli dalej będzie czytała, prawdopodobnie w końcu straci jakieś zaklęcie bezpowrotnie.

Chowając plik kartek do kieszeni, czuła sztywność w mięśniach. Zupełnie jakby jej ciało protestowało przeciw przerwie w zdobywaniu wiedzy, choćby krótkiej. Tyle rzeczy nagle zaczęło nabierać sensu, tyle rysowało się przed nią możliwości, a ona miała po prostu odłożyć to wszystko na bok?

Hałas wzrastał się z każdym krokiem. Wbrew nadziejom Jiga korytarz prowadził ich

coraz głębiej, wcinając się w masyw skalny prosto jak strzała. Byli uwięzieni pomiędzy ogrami a straszliwą czeluścią.

Sama otchłań znajdowała się w zasięgu wzroku - jawiła się ziejącą u końca tunelu czernią. Jig przystanął, wpatrując się w ciemność, jakby siłą woli chciał przekształcić ją w most lub drabinę.

Jak na goblina, który pokonał drużynę herosów, Nekromantę oraz smoka, Jig mało przypominał Bohatera. Zachowywał się raczej jak... goblin. Przemykał pod ścianami, krył się w cieniu, cofał przed niebezpieczeństwem i unikał bezpośredniej konfrontacji z wrogiem.

Taki typ Joska określała mianem Opornego Bohatera. W rozdziale dziesiątym omawiała różnego rodzaju bohaterysty. Veka postanowiła zostać Legendarnym Bohaterem, takim, którego wielkie czyny inspirowałyby całe pokolenia jeszcze długo po jego śmierci.

Jig prezentował skrajnie odmienną postawę. Veka położyła rękę na kieszeni, w której spoczywał miły jej sercu ciężar i powtórzyła w duchu znany na pamięć fragment książki.

„Oporny Bohater pragnie jedynie, by zostawiono go w spokoju, lecz nie spokój jest mu pisany. Przeznaczeniem Bohatera są wielkie czyny, a przeznaczenie trudno oszukać. Los na różne sposoby popycha Bohatera do działania, wtłaczając go uparcie we właściwe koleiny życia. Wśród różnych determinantów najpopularniejszym jest spalenie rodzinnej wioski, a równie częstym uśmiercenie przyjaciół i/ lub rodziny. Jeśli więc podejrzewasz, że należysz do rodzaju Opornych Bohaterów, trzeba ci jak najszybciej wyruszyć w świat. Możliwe, że tylko w ten sposób ocalisz swych najbliższych przed nieubłaganą, miażdżącą ręką przeznaczenia”.

Tak, Jig bezspornie reprezentował typ Opornego Bohatera. A konkretniej: Przymusowego, Wierzgającego i Wyrrywającego się Bohatera z Porwania.

Jakim cudem udało mu się przeżyć to wszystko, o czym opowiada „Ballada o Jigu”? Nie jest silny. Posturą przypomina raczej dziecko niż dorosłego goblina. A wada wzroku jeszcze bardziej upośledza jego sprawność, mimo że nosi te idiotyczne soczewki. Na dodatek wygląda na to, że jego magia ogranicza się do umiejętności leczenia. W obliczu nieuchronnego starcia z ogrami cały jego bohaterski plan sprowadza się do ucieczki.

Veka wyminęła Jiga, krocząc dumnie, z wysoko uniesioną głową i ściągniętymi łopatkami. Szczęście, które pozwoliło Jigowi przetrwać tamte przygody, najwyraźniej teraz go opuściło. Nie miał pojęcia, co robić.

Skinęła na Sznyta.

- Idziemy - rzuciła. Jego milcząca uległość świetnie ukazywała, jak wielki krok naprzód uczyniła Veka od opuszczenia gobliniej jaskini.

Korytarz kończył się stromym spadkiem, którego powierzchnię tworzyła spękana, zwietrzała skała. Każde nieostrożne postawienie stopy na luźnym gruncie groziło osunięciem się w czeluść. Veka zaparła się kosturem o jedną ścianę i przytrzymując drugiej, podeszła ostrożnie na sam skraj tunelu, żeby spojrzeć w bezkresną czerń przepaści.

Pomarańczowe światło z nosa Sznyta ledwie docierało do ściany znajdującej się po drugiej stronie rozpadliny. Masa chłodnego powietrza wytoczyła się z tunelu i runęła w dół. Veka poczuła buczenie wichru aż w kościach. Hobgoblin stał kilka kroków za nią, nie spuszczać oczu z rozciągającej się poniżej pustki.

Veka wychyliła się, chcąc sprawdzić, ile przestrzeni znajduje się ponad nimi. Wydawało się, że otchłań sięga tak wysoko, jak głęboko. Przypuszczała jednak, że gdzieś tam w górze musi się kończyć. Przecież góra miała wierzchołek. To skłoniło ją do rozważań, czy rozpadlina rzeczywiście nie posiada dna. Choć właściwie nie miało to takiego znaczenia. Konsekwencje wpadnięcia do niesamowicie głębokiej dziury były takie same jak w przypadku bezgranicznie głębokiej dziury. Określenie Bezdenna Otchłań robiło po prostu większe wrażenie.

Dobre dziesięć metrów ponad jej głową majaczył ciemniejszy kontur łuku łączącego przeciwległe ściany rozpadliny. To pewnie most Nekromanty. Nachylenie tunelu, którym się posuwali, musiało być większe, niż podejrzewała.

- Dawaj tu ten swój nochal.

Sznyt przysunął się odrobinę, po czym stanął ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma, najwyraźniej ani myśląc podejść bliżej. Veka wyteżyła wzrok, spoglądając na most. Ziały w nim prostokątne dziury - prawdopodobnie po odpadłych płytach - ale ogólnie sprawiał wrażenie solidnej konstrukcji. Wystarczyło się tylko do niego jakoś dostać.

- Ogry będą tu lada moment - zauważyła Grell. - Jeśli skończyłaś już podziwiać widoki, zastanówmy się może, jak z nimi walczyć?

Veka wolałaby poczekać na rozwój sytuacji. Gdy wszyscy już zginą lub będą umierać, na pole bitwy wkracza ona. Ogry cofają się natychmiast, stropione jej zuchwałością. A wtedy ona, stojąc pośrodku tunelu z rozwianym włosiem i łopoczącym efektownie płaszczem, stuka kosturem o ziemię i krzyczy: „Wynocha do domu, głupie ogrzyska!”.

Nie... To za mało melodramatyczne. Stuknięcie jest w porządku, ale nad kwestią

mówioną trzeba jeszcze popracować. Będzie musiała usiąść spokojnie z „Drogą Bohatera” i poszukać czegoś odpowiedniego w aneksie C: „Bohaterskie enuncjacje oraz błyskotliwe komentarze”.

Koniec kostura ześlizgnął się nagle ze skały. Veka upadła i zaczęła wierzgać histerycznie, żeby nie zsunąć się w otchłań. Zaraz jednak doszła do wniosku, że miotanie się na wszystkie strony nie jest w tym wypadku najlepszym wyjściem. Nie kiedy każdy ruch, nawet dla Bohatera, może skończyć się stoczeniem w przepaść.

Gdy nieco ochłonęła, dotarł do niej przyciszony głos Jiga, który dyskutował z innymi. Najwyraźniej próbowali wymyślić jakiś plan obrony. Veka zlekceważyła naradę, odłożyła kostur i wyszarpnęła z kieszeni plik stron z zaklęciami. Kartki furkotały na wietrze, chłoszcząc jej dłonie, ale trzymała je mocno, dopóki nie znalazła częściowo spalonej strony z zaklęciem lewitacji. Wsadziła ją pod pachę, zaś resztę schowała z powrotem.

Musiała usiąść, żeby odczytać zaklęcie. Sznyt odwrócił głowę, przysłuchując się wyjaśnieniom Jiga, ale gdyby trzymała kartkę na widoku, mógłby kątem oka złowić wyrazy z tej części formuły, która nie uległa zniszczeniu. Rzuciła szybko zaklęcie wiążące i kolejne, kotwiczące energię w kosturze. Ignorując dopiski na marginesach oraz koślawy rysunek elfki, którą szczegóły anatomiczne predysponowały do zdobycia złotego medalu w konkurencji oddychania pełną piersią, skupiła się na istocie zaklęcia.

- Kolejne prościutkie, miłutkie zaklętko dostarczające magiczny komponent do stworzenia koniecznego punktu podparcia dźwigni. No jasne. Cokolwiek to znaczy... - Schowała kartkę, ujęła kostur i dopowiedziała słowa czaru, dokładnie artykułując każdą skomplikowaną sylabę.

Sznyt krzyknął, huknąwszy niespodziewanie głową w strop. Podrygując w powietrzu, nie przestawał wrzeszczeć, więc uraz nie mógł być zbyt groźny.

- Veka! - krzyknął Jig. - Zaraz tu będą ogry, a bez tego hobgoblina nie mamy z nimi żadnych szans!

Słyszała nadbiegające ogry, a w oddali tunel pojaśniał różową poświatą.

- Jeszcze nie - mruknęła. - Jeszcze nie jestem gotowa.

Ruchem kostura przesunęła Sznyta poza krawędź przepaści. Przerażony hobgoblin skrzeczał, wymachując kończynami, jakby usiłował płynąć w powietrzu. Veka obracała kosturem, póki Sznyt nie zawisł w czerni twarzą do nich.

- Co robisz? - zaciekawiał się Braf.

- Ratuję nam życie - odparła Veka i z uśmiechem rzuciła zaklęcie po raz drugi.

Bez efektu. Spróbowała ponownie, chcąc rozpiąć magiczne linie pomiędzy Brafem a kosturem. Powinien teraz popłynąć w powietrzu, dołączając do Sznyta. Na pewno dobrze wymówiła formułę, więc czemu nadal stał na ziemi?

- To ty? - Jig wskazał na Sznyta.

Przytaknęła.

Jig zerknął na coraz intensywniejszy blask w głębi tunelu, a następnie przeniósł wzrok z powrotem na Sznyta. Chowając miecz do pochwy, przeszedł na skraj chodnika.

- Jak ja nie cierpię magii - wymamrotał i skoczył w otchłań. Zawisł, obejmując hobgoblina rękami w pasie, a nogami w kolanach.

- Puszczaj, głupi goblinie!

- Przestań się miotać! - wrzasnął Jig. - Bo inaczej przytrzymam się ciebie zębami!

Sznyt znieruchomiał. Rozsądne posunięcie, biorąc pod uwagę, gdzie znajdowała się twarz goblina.

- Przyciągnij go bliżej wylotu! - krzyknął Jig. - Uwiesimy się na nim wszyscy, a potem wzniesiesz nas na most. Dasz radę?

To jej plan! Jakim prawem Jig nią komenderuje?! Zmarszczyła brwi, usiłując wymyślić powód, dla którego nie może postąpić według jego wytycznych. Nie miała wszakże problemu z utrzymaniem dodatkowego ciężaru, zaś most był niedaleko. A niech to, plan miał naprawdę duże szanse powodzenia.

- Teraz ty, Grell - zwróciła się do niańki, chcąc uprzedzić Jiga.

Stara goblina zatknęła kule za pasek i pokuśtykała na kraniec korytarza. Veka zaczęła manipulować kosturem, przyciągając Sznyta i Jiga bliżej... i jeszcze bliżej... Sznyt wyciągnął ręce, by złapać się skały. Veka szybko ukróciła te zapędy.

- Chciałbyś - warknęła, obracając go i waląc jego głową o ścianę.

Opuściła ich nieco, a Grell dała nieporadnego susa i złapała hobgoblina za szyję, przy okazji kopiąc Jiga w ucho.

Nagle rozległ się wysoki pisk spotęgowany wielokrotnym echem. W pierwszej chwili Veka myślała, że Jig spadł w otchłań. Zmartwiła, rozważając, czy powinna mieć wyrzuty sumienia, czy raczej czuć ulgę. Może jedno i drugie po trochu? Ale powtórny przenikliwy

dźwięk utwierdził ją w przekonaniu, że nie mogło wydać go żadne goblinie gardło.

- Veka, mamy problem - zawołał Jig.

Jednym ruchem kostura odsunęła ich z pola widzenia i zajrzała w ciemność. W dole dostrzegła gigantycznego nietoperza, który wznosił się szybko, młóćąc powietrze skórzastymi skrzydłami.

- Hej, ty, goblin! - krzyknął nadbiegający ogr. Jego towarzysz zbliżał się, wymachując groźnie dzidą. - Przyszliśmy po Jiga Smokobójcę.

Veka poczuła się tak, jakby ogr grzmotnął ją pięścią w brzuch.

- Jiga? - wykrztusiła. - Po Jiga? Przecież to moje dzieło!

Braf przesunął się chyłkiem na skraj przepaści i skoczył. Veka była zbyt wzburzona, by zwrócić uwagę, czy udało mu się doczepić do reszty. Po tym wszystkim, co uczyniła, ogry chcą Jiga?! Przecież to ona jest Bohaterem, nie ten konus! To ona kontroluje magiczną energię! Czy te kupy miecha nie widzą unoszącego się w otchłani świecącego hobgoblina?!

- Veka! - wrzasnął Jig. - Nietoperz!

Nawet nie zerknęła w jego stronę.

- Dlaczego akurat Jiga?

- Nie twoja sprawa, goblinico. - Ogry zaczęły do niej podchodzić. Chochliczki nadal nie było widać.

- Veka, natychmiast przestań się wygłupiać i zrób coś z tym nietoperzem! - zażądała Grell stanowczo. Veka mimowolnie odwróciła się w jej stronę, gotowa podporządkować się niańce.

Jeden z ogrów wyrzwał z tunelu.

- Patrz, tam jest Jig. Zabij tę tłustą goblinicę i łapmy go, zanim ucieknie!

„Zabij tłustą goblinicę!” Traktowali ją jak kłodę tarasującą drogę, zawadę, którą trzeba zepchnąć na bok. To rażąca niesprawiedliwość! Przygryzła policzek, czując narastającą w gardle gulę. Cokolwiek by zrobiła, nigdy nie zdoła przyćmić sławy wielkiego Jiga Smokobójcy. Co z tego, że pokonała chochlika. ; co z tego, że dysponowała mocą, której Jig nawet nie rozumiał. I tak nie miało to znaczenia. Była nikim. Nikim.

Z otchłani znowu dobiegł pisk. Nietoperz wisiał przy grupce, wachlując skrzydłami i wyciągając szponiaste łapy w stronę Braf, który kurczowo trzymał się hakła zaczepionego za pasek hobgoblina.

- Jig! Ratuj! - wydierał się Braf, wierzgając. - Pomocy! - Zakołysał się gwałtownie, omal

nie odrywając się od żywej kiści.

Veka wydała bojowy okrzyk i przechyliła kostur, odsuwając szamoczącą się gromadkę na bok. Jednocześnie wyciągnęła ku potworowi zakrzywione palce drugiej ręki. Czując przepływającą przez ramię falę mocy, skierowała ją ku nietoperzowi. Magia buzowała w jej żyłach, emanowała z kości, pulsowała we krwi. Siłą woli zakotwiczyła ją w cielsku i oplótła stwora siecią energii, przejmując nad nim kontrolę.

Zacisnąwszy powieki, skoczyła w otchłań. Teraz „widziała” za pomocą zmysłów nietoperza. Była dla niego spadającą bryłką materii. Wystarczyło, żeby zanurkował pod nią, a opadnie mu na grzbiet.

Omali nie odtrącił jej skrzydłem, w ostatniej chwili uczepliła się kościstej krawędzi, tuż u nasady. Przytrzymując się szczeciniastego futra, wdrapała się na grzbiet i usiadła okrakiem. Nietoperz na moment zniżył lot. Veka przestraszyła się, że jej nie udźwignie, ale po chwili wzbili się, oddalając od wylotu tunelu. Veka przywarła mocno do grzbietu stwora, kurczowo zaciskając dłonie na cuchnących kłakach. Otworzyła oczy. Teraz odbierała jednocześnie dwa nakładające się na siebie obrazy - jeden złożony z linii i kolorów, zaś drugi z cieni w różnych tonacjach szarości. Nigdy wcześniej nie widziała tak wyraźnie, a przy wyostrzonym nietoperzym słuchu czujne uszy goblinów wydawały się organem szczątkowym, niczym u ludzi. Wyławiała z otoczenia każdy szmer, echo ogrzanych kroków i szeptane przekleństwa Sznyta.

Radosne podniecenie rozpierało ją, przyprawiając o zawrót głowy. Tłumiła wesołość, obawiając się, że gdy wybuchnie śmiechem, nie będzie mogła przestać. Nawet Jig przyglądał jej się z mieszaniną lęku i podziwu. Niech tylko ten charłak spróbuje przypisać sobie jej zasługi! Już nigdy nie będzie musiała znosić drwin goblinów strażników ani pogardliwych uwag żadnego hobgoblina. Nikt nie zlekceważy Veki Zaklinaczki Nietoperzy. Miała moc. Miała... Miała... Nie miała bladego pojęcia, jak rzuciła to ostatnie zaklęcie. Nietoperz przechylił się, próbując odzyskać kontrolę nad własnym ciałem. Porzucił zamiar atakowania Brafy. Wyraźnie chciał wyrwać się obcej woli, a przede wszystkim zrzucić balast.

- Nie, nie! Leć do góry, głupi nietoperzu! - Veka manipulowała kosturem, unosząc towarzyszy wyżej. Dlaczego ta bestia jej nie słucha? *No jasne! Przecież nie rozumie goblinów. Muszę panować nad jego ciałem.*

Nietoperze to głupie zwierzęta. Gdy kazała mu zanurkować, uważał pewnie, że to jego pomysł, więc zrobił to bez wahania. Teraz musiała tylko nadać mu kierunek, a polecą tam, gdzie

ona chciała. Wystarczy go zachęcić.

Na przykład wizją przekąski. Zmusiła stwora do uniesienia głowy, tak żeby zauważył Sznyta i gobliny. Jednocześnie przyspieszyła ruchy skrzydłami. Wzbił się wyżej.

- Jesteś głodny, bardzo chcesz ich zjeść. No dalej, ty paskudna, śmierdząca myszo!

Nietoperz chyba połknął haczyk. Rzucona z dołu włócznia minęła ich o włos. Ogry stały na skraju przepaści, zadzierając głowy.

Veka pchnęła Sznyta do góry, potrząsając nim trochę, żeby nietoperz nie stracił zainteresowania ofiarą.

- Właśnie tak. Tak dawno nic nie jadłeś, a tam leci smaczny kąsek. Skup się na nim, a mną się w ogóle nie zajmuj. Jedzenie ważniejsze.

- Pospiesz się, goblinico! - krzyknął Sznyt. - Nie czuję już rąk ani nóg, a ten idiota Braf strasznie się rzuca. Zaraz stracę przez niego spodnie!

Pod wpływem olśnienia Veka przesunęła gromadkę ku ścianie rozpadliny, dokładnie nad ogry. Jeśli olbrzymy zechcą ich trafić, będą. musiały się wychylić i może spadną. Z drugiej strony tuż przy samej ścianie towarzysze będą bezpieczni.

- Chyba że zaatakują chochlik.

Byli już w połowie drogi do mostu, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Zaciśnęła powieki, zając się wyłącznie na zmysły nietoperza. W tej ciemności służyły lepiej niż jej wzrok. Dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie znajdował się Sznyt i reszta, wyczuła otwór innego chodnika. Tam także stał ogr. Stał i rzucał arkanem. Pętla opadła na Sznyta i olbrzym zaczął przyciągać grupkę ku sobie.

Zanim Veka zareagowała, tuż obok świsnęła kolejna lina. Sznur zacisnął się wokół niej i zwierzęcia. Sama pozbawiona możliwości ruchu, czuła, jak nietoperz się dusi.

Spróbowała skłonić stwora, by szarpnął się, ściągając ogra w dół, ale nietoperz był zmęczony dźwiganiem dodatkowego ciężaru i zbyt przerażony, by reagować na jej polecenia. Im bardziej się miotał, tym szybciej tracił oddech. Przywiązana do omdlałego nietoperza, patrzyła na błyskawicznie zbliżającą się jamę. Ciało bestii zamortyzowało impet uderzenia. Veka próbowała jeszcze wykorzystać moc, by odepchnąć Sznyta, ściągając drugiego ogra w przepaść, ale olbrzym był zbyt silny.

A więc niech się stanie. Tak czy inaczej, Prawdziwy Bohater powinien podjąć walkę, a nie uciekać. Zaciśnęła w garści kostur, gotując się do bitwy.

Rozdział siódmy

*We wszystkim dawaj pierwszeństwo przyjaciołom.
W ten sposób znajdują się oni pomiędzy tobą a wrogiem.*

[Przysłowie goblinińskie]

Zwykle Jig umiał trafnie ocenić swoje położenie i potrafił dostrzec wyjście z sytuacji, w jakiej się znalazł. Tym razem jednak jego perspektywa znacznie się zawężała, ba, mając twarz przyciśniętą do skórzanej kamizelki hobgoblina, zatracił ją całkowicie. Zarzucona przez ogra pętla ograniczała jego ruchy, a różnorakie mieszki oraz narzędzia, które Sznyt nosił przy pasku, uwierały go w klatkę piersiową i dźgały w pachę. Jakby tego było mało, musiał wdychać odór prawej stopy Grell. Niańka opierała nogę na biodrze hobgoblina tak blisko nosa Jiga, że ten mógłby bez trudu polizać jej sandał.

W tej sytuacji mógł tylko rozważać opcję śmierci, jaką przyjdzie im zginąć. Najprawdopodobniej oddadzą głowy pod topór, który wisiał u pasa jednego z ogrów. Choć z drugiej strony ogry znane były ze swej słabości do miażdżenia ofiarom czaszek gołymi rękoma. Oczywiście, mogły też pójść na łatwiznę i po prostu zacisnąć pętlę, zgniatając ich wszystkich, ale decydując się na to ostatnie, straciłyby sporo uciechy.

Udało mu się dojrzeć Vekę. Biorąc pod uwagę jej dotychczasowe działania, wydawała się większym zagrożeniem niż ogry i chochliki razem wzięte. Aktualnie jednak leżała na płask, przywiązana do wielkiego nietoperza, a Jig wątpił, by potrafiła rzucić jakiegokolwiek zaklęcie z ustami pełnymi futra.

A to oznaczało, że jedyną ich nadzieją jest Braf. Może „nadzieja” nie była jednak dobrym określeniem w tym wypadku. Uczepiony hakła Braf wisiał najniżej i sznur obejmował tylko jego przeguby. Ciskał się i wykręcał, odkąd ogry przyciągnęły ich do tunelu, i rzeczywiście, w końcu udało mu się wyzwolić. Z triumfalnym warknięciem spadł na twardy grunt, a lżejsza o niego grupka uniosła się odrobinę do góry.

Niestety, broń Brafa nadal była zahaczona o pasek hobgoblina. Aczkolwiek sam Braf nie wydawał się tym przejmować. Przygarbił się, strojąc groźną minę.

- Uwolnijcie pozostałych - huknął - bo inaczej...

Ogrzyca szarpnęła linę, a pociągnięta gwałtownie gromadka więźniów wpadła Brafowi na plecy. Braf zatoczył się, nadziewając na nastawioną pięść. Odbił się od niej, poleciał na ścianę i osunął bezwładnie na ziemię. Ogrzyca wyszczerzyła zęby w uśmiechu, podniosła go i wsadziła sobie pod pachę. Wszystko to zrobiła jedną ręką, w drugiej przez cały czas trzymając linę.

Jej towarzysz zarzucił sobie sznur na ramię i oba ogry ruszyły w mrok, ciągnąc ofiary na uwięzi. Zawieszona w powietrzu grupka odbijała się od ścian i stropu. Mając unieruchomione ręce, Jig starał się zamortyzować uderzenia nogami. Do jego uszu docierały odgłosy płucia i przekleństwa Veki.

Zmarszczył nos. Ogrzy wlokły ich chyba do najbardziej cuchnącego miejsca w całej górze. Odór gnijących śmieci i spalonego mięsa wybijał się nawet ponad smród zepsutego sera, którym emanowały stopy Grell. Chmary małych brązowych owadów uciekały z bzykiem od światła.

Te ogry nie wydają się opętane jak Sashi czy tamte, które was przed chwilą ścięły, zauważył Ciemnogwiazdy.

O, to dobrze.

Nie ma się z czego cieszyć. Zakłęte czy nie, te także chcą was zabić.

Jig zrezygnował z komentarza. Zamknął oczy, próbując zorientować się, w jakim kierunku zacierają. Każdy goblin umiał poruszać się w ciemności, ale z tego, co wiedział Jig, żaden nie robił tego nigdy, unosząc się w powietrzu. Jednak gdyby miał zgadywać, powiedziałby, że znajdują się jakieś dziesięć, może piętnaście metrów poniżej goblinich labiryntów. Zastanawiał się, czy wydostali się już spod tuneli Nekromanty.

Niebawem, kiedy oddalili się od otchłani na tyle, że wiatru nie było już prawie słychać, ogry przystanąły. Ogrzyca pchnęła Grell palcem, wprawiając grupkę w ruch wirowy. Jigowi zrobiło się niedobrze. Światło Sznytowego nosa uwidaczniało zapleśniałe ściany i grubą warstwę błota oraz pyłu, która całkowicie pokrywała spąg.

- Zgaś ten nos - warknęła ogrzyca, przyciągając ich do siebie tak blisko, że Jig wyraźnie widział na jej twarzy ciemnozielone piegi. W jednym uchu nosiła złote kółko wysadzone szmaragdami. Kolczyk był tak duży, że Jig mógłby go założyć na przegub.

- Bo ściągniesz nam na kark chochliki - dodał samiec. Był większy od towarzyszki, a długie włosy obadały mu w strąkach na ramiona. Zwalista bestia miała nabijane kolcami rękawice. Jeden cios pięścią dziurawił ofiarę w czterech miejscach jednocześnie.

- Nie musisz się wtrącać, Arnor - fuknęła ogrzyca. - Poradzę sobie sama.

- Nie wściekaj się, kuzyneczko, ja tylko...

- To, że jesteś starszy, nie znaczy, że możesz...

Arnor szarpnął liną z nietoperzem oraz Veką i podszedł do ogrzycy.

- Słuchaj, Ramma, staram się tylko pomóc.

Ramma upuściła Brafa i z pochwy przy pasie wydobyla wielkie, zakrzywione ostrze. Broń nie posiadała rękojeści. Na jednym końcu wygiętej głowni znajdowały się otwory. Gdy wsunęło się w nie palce, ostra krawędź zakrywała także dłoń. Ogrzyca zbliżyła ostrze do twarzy Sznyta.

- Mówiłam ci, że nie potrzebuję pomocy - syknęła, spoglądając na Arnora.

- To jej sprawka! - zaskrzeczał hobgoblin, wskazując głową Vekę. - Ona mi to zrobiła!

Ramma przekazała swój koniec sznura kuzynowi i jednym ruchem poderwała do góry nietoperza z Veką.

- Rozwiąż nas - rzekła Veka wyniośle, a przynajmniej na tyle wyniośle, na ile dało się to zrobić, plując nietoperza szczecina. - Potem rozważę twą prośbę.

Veka nie wydawała się ani odrobinę przerażona. Patrzyła na ogrzycę wyzywająco, w milczeniu oczekując na spełnienie żądania. Gdyby Jig miał jakiegokolwiek wątpliwości co do stanu psychicznego Veki, w tym momencie rozwiałyby się one jak dym.

Ramma przecięła pętlę, a nietoperz i Veka runęli na ziemię. W następnej chwili opadły także więzy opasujące pozostałych. Jig i Grell puścili Sznyta, z ulgą lądując na ziemi.

Jig nie wiedział, czy cieszyć się, czy martwić takim obrotem sprawy. Ogrzy nie uwolniłyby ich, gdyby istniał choć cień podejrzenia, że stanowią dla nich zagrożenie. A biorąc pod uwagę, że jedyny goblini wojownik chrapał właśnie pod ścianą, zaś hobgoblin miotał się i przeklinał pod sufitem, Jig nie mógł zarzucić ogrom braku przezorności.

Veka podniosła się, otrzepując płaszcz z brudu i kłaków.

- Zdejmij zakłęcie - zwróciła się do niej Ramma, ściągając Sznyta za kostkę. - Albo odrąbię mu nos.

Rozpromieniona Veka już otwierała usta, żeby coś powiedzieć. Naprawdę zamierzała przeciwstawić się dwóm ogrom!

Co chcesz, przecież jest goblinem, odezwał się Ciemnogwiazdy. Rozsądek nigdy nie był waszą mocną stroną.

- Przestań pajacować, głupia dziewczucho! - warknęła Grell. - Założę się o moje kule, że

tam dalej jest więcej ogrów. Wystarczy jeden z maczugą, żeby wybić ci z głowy te rojenia o czarodziejstwie. - Dźgnęła Vekę szczydłem w brzuch. - Jak ci tak spieszo do śmierci, wracaj i zeskocz w otchłani. Przynajmniej nie pociągniesz za sobą innych.

Veka spiorunowała ją wzrokiem. Jig wstrzymał oddech pewny, że zaraz ujrzy niańkę frunącą w stronę otchłani. Ale Veka zamknęła usta i kiwnęła głową. Jak ta Grell to robi?!

Stara goblina odeszła na bok, po czym stękając i strzelając stawami, usiadła pod ścianą.

- Goblin z magicznymi aspiracjami - prychnęła. - W życiu nie słyszałam większej głupoty.

Veka pogranatowała, ale nic nie zrobiła. Jig nie wątpił, że gdyby to on powiedział coś takiego, pełzałby już w tunelu jako ścierwojad. Jednak coś w tonie niańki powstrzymało Vekę przed gwałtowną reakcją. Jig postanowił nauczyć się tej sztuczki.

- No? - niecierpliwiła się Ramma, wymachując ostrzem. - Co z tym zaklęciem? Im dłużej on świeci, tym większa szansa, że chochliki nas znajdą.

- Staram się - warknęła Veka. Ujęła kostur i wskazała nim na Sznyta. - Um... To zaklęcie... Mam z tym niejakie kłopoty. - Sięgnęła do kieszeni, wyciągając plik zmaltretowanych kartek. - Ono nie jest... Wiązanie jest silniejsze... Chwileczkę, niech znajdę odpowiednią stronę.

Ramma wzruszyła ramionami, przyciągając do siebie Sznyta.

- Trudno - oświadczyła, zamierzając się ostrzem. - Na drugi raz będziesz pilnował swego nosa - dorzuciła, spoglądając na hobgoblina.

- Nie, czekaj! - skrzek Sznyta pasował bardziej do szczura niż silnego hobgoblina. - Przysuń mnie do nich. Daj mi z nią pogadać.

Ogrzyca pchnęła go w stronę Veki, która podniosła głowę znad papierów.

- I co zrobisz? Przecież nie masz pojęcia o mag...

Stopa Sznyta trafiła w czoło, posyłając ją na ścianę. Veka grzmotnęła czerepem o skałę i osunęła się bezwładnie.

Światło zgasło. Sznyt krzyknął, zderzając się z ziemią. W zaległej ciemności tylko boleściwe pojękiwanie wskazywało, gdzie wylądował.

Jig potarł czoło.

- Poczekajcie chwilę, szybko dokończymy samoobezwładnianie, a potem będziecie mogli robić z nami, co chcecie.

Usłyszał, jak ogry podnoszą Sznyta oraz dwa nieprzytomne goblina.

- Idziemy - zakomenderowała Ramma. - Spróbujcie uciec, a zatłukę was na śmierć waszą własną wiedźmą.

Jig nie zamierzał sprawdzać, jak Veka spisuje się w roli narzędzia mordu.

- Gdzie idziemy? - zapytał.

- Do mojej matki - odparł Arnor.

* * *

Jig nastawiał zdrowe ucho, wsłuchując się w odgłosy ogrzych kroków oraz stukot kul Grell. Mimo lekkiego przeciągu fetor gęstniał. Jig wzdygnął się na myśl o smrodzie, jaki panowałby w tunelach, gdyby komin otchłani nie wymuszał cyrkulacji powietrza.

W korytarzu panowała całkowita ciemność, ale ogry posuwały się naprzód bardzo pewnie. Widocznie mieszkały tu już jakiś czas. Tunel zakręcał to w lewo, to w prawo, wznosił się i opadał, jakby stworzono go bez wcześniejszego planowania. Z bólu mięśni w nogach Jig wynioskował, że wiedzie głównie w górę.

Kilkakrotnie zarejestrował zmiany w ruchu powietrza, które sugerowały mijanie bocznych odnóg. W jednym miejscu usłyszał dobiegające z oddali kapanie wody i owiał go ciężki, mdlący, słodkawy zapach pleśni. W innym poczuł na skórze ciepły, suchy powiew niosący odorek zwęglonych kości. Na to odgałęzienie Ciapek zareagował, pospiesznie schodząc na łokieć Jiga. Pająk dygotał, jakby w każdej chwili gotowy był zeskoczyć i uciec. Jig pogładził go uspokajająco po szczeciniastym tułowiu.

- Stać - odezwała się Ramma nagle. - Nie chcemy, by nasi goście zginęli, zanim spotkają się z ciotką Troklą - zachichotała.

Jig słuchał, jak ogrzyca biegnie naprzód, i zastanawiał się, co mogła mieć na myśli. To, że ogry potrzebują ich żywych, było najlepszą wieścią ostatnich kilku dni.

W tunelu rozbrzmiewał tylko tupot bosej Rammy oraz chrapliwy oddech wciąż nieprzytomnego Brafa. Sądząc z odgłosów, jego nos nie zrósł się jeszcze dobrze.

Powiedz mu, żeby trzymał z dala od niego paluchy, to może mu się polepszy, poradził Ciemnogwiazdy.

Do plaskania stóp dołączyły nowe dźwięki, głośny syk i jakby drapanie twardych łusek o

kamień. Zaraz potem rozległo się głucho łupnięcie.

- Ty mały... - stęknęła Ramma. - Mam cię!

Syczenie stało się głośniejsze i nabrało wściekłych nut, po czym urwało się wraz z odgłosem łamanej kości.

- Czy mnie słuch nie myli? - odezwała się Grell. - Czy twoja przyjaciółka właśnie usunęła z tego świata węża skalnego?

- Lubię tu polować - przyznał Arnor. - Zwykle unikają tłoku, ale czasem wdepnie się na kilka w drodze do obozowiska.

Ogry były odporne na większość trucizn, więc w ich wypadku gady były idealnymi strażnikami... Zakładając, że nie miało się nic przeciwko kilku ranom od ich kłów. Wężę skalne były wszystkożerne, nie gardziły nawet ścierwojadami. Jiga nieraz wzywano na pomoc, żeby uleczył jakiegoś kuchcika, który wylewając pomyje, stanął oko w ślepie z oburzonym, upaprany wężem.

Właściwie zapach w tym tunelu był bardzo podobny do tego, który roztaczał się wokół jamy śmietnikowej w domu. Ten co prawda był ostrzejszy i bardziej obrzydliwy, ale miał tę samą nutę bazową.

Zanim dotarli do końca tunelu, ogry rozprawiły się z jeszcze dwoma wężami. Wreszcie Jig ujrzał pomarańczowe ognie pochodni.

- Stój, kto idzie - rozległ się głos.

Ogry podały swe imiona równocześnie, a potem zmierzyły się groźnymi spojrzeniami. Przypominały Jigowi młode gobliny rywalizujące o względy wodza.

- Przeprowadź moją matkę - dodał Arnor.

Po kilku krokach stanęli u szerokiego, łukowatego wejścia do jaskini. Przez chwilę Jig miał wrażenie, jakby zmierzał do grotty goblinów. Jednak dobiegający z wewnątrz zapach szybko rozwiał te skojarzenia. Jig spojrzał w lewo. Tam właśnie, gdzieś pod nimi, powinna znajdować się jaskinia Strauma.

Grotę oświetlało kilka ognisk. Były co prawda niewielkie, ale bił z nich gęsty, gryzący dym, który zbierał się pod stropem, a następnie ulatniał przez szczelinę na lewo od Jiga.

W jaskini wznosiły się gdzieniegdzie masywne obsydianowe kolumny. Pomiedzy nimi ogry porozpinały łachmany, wydzielając kilka osobnych przestrzeni. Jig doszedł do wniosku, że nie mogło tu mieszkać więcej jak tuzin ogrow. Te kilka, które kręciły się na widoku, były brudne,

mizerne i robiły wrażenie wygłodniałych. Jig pocieszył się w duchu, że jakby co, hobgoblin ma na sobie zdecydowanie więcej mięsa, a poza tym jest już ogłuszony i właściwie gotowy do pieczenia.

Braf ocknął się i zaczął kaszleć. Arnor upuścił go na ziemię.

- Co to za smród? - wymamrotał Braf.

Ramma wskazała na znajdującą się na końcu jaskini dziurę po drzwiach. Z obramowania zwisały smętne resztki drewnianej framugi i zardzewiałe zawiasy.

- Do tej groty przylega szyb, do którego wrzucacie śmieci i nieczystości. Część tych rzeczy nadaje się na opał.

- Nawet goblinie łajno się pali, jak je dobrze wysuszyć - oświadczyła podchodząca stara ogrzyca, prawdopodobnie matka Arnora. Miała sękaty palec i zawieszoną na szyi małą, osłoniętą latarnię. Była tak przygięta do ziemi, że lampa nie opierała się o jej ciało, a płomyk pewnie pomagał się rozgrzać. Jig wciągnął w nozdrza słodkawy dym i nabrał pewności, że dodała coś do paliwa, coś... mocniejszego.

- Ciociu Troklo... - zaczęła Ramma.

- ... złapaliśmy te goblino, jak uciekały chochlikom - wszedł jej w słowo Arnor. - Zauważyliśmy, jak lecą w górę otchłani i...

- Mówiłam, żeby je zabić - pisnęła Ramma. - Ale on...

- Kazałaś nam donosić o wszystkich dziwnych rzeczach, które się dzieją w otchłani - przerwał jej znów Arnor. - A to...

- Zamilczcie, oboje. - Trokla wystąpiła naprzód, spoglądając groźnie na goblino. Gdy szła, opuszkami muskała ziemię.

- Przepraszam, ciociu Troklo - pisnęła Ramma.

- Przepraszam, mamó - rzekł jednocześnie Arnor.

- Mówiłam, że macie mnie informować o wszystkim, co dzieje się w otchłani. - Z każdym słowem głos starej ogrzycy nabierał mocy. - A nie że macie mi tu sprowadzać bandę goblinów.

- On jest hobgoblinem - oświadczył Braf, wskazując na Sznyta. Zanim zdołał coś dodać, Grell pacnęła go w ciemię.

- Ale oni lecieli z dołu - tłumaczył się Arnor. - Pomyślałem, że moglibyśmy ich przepytąć, co dzieje się w domu.

- Uciekali przed chochlikami - zagrzmiała Trokla. - Nie pomyślałaś, że one przyjdą tu za

nimi?

- A nie mówiłam? - ucieszyła się Ramma, dając kuzynowi potężną sójkę w bok.

- A ty się nie wymądrzaj, bo go nie powstrzymałaś - fuknęła Trokla. Ramma zarumieniła się i spiorunowała Jiga wzrokiem.

Jig nie miał wątpliwości, co teraz nastąpi. Ogry były większe i silniejsze, a ich stosunki rodzinne dziwaczne, ale upokorzenie, które malowało się na obliczach Rammy i Arnora, miało wymiar ponadrasowy. Zbesztane przez wodza w obecności osób trzecich odczuwały takie samo poniżenie jak gobliny w analogicznej sytuacji. Teraz będą szukały ofiary, na której wyładują swoją złość, co pozwoli im odzyskać godność oraz poczucie własnej wartości.

Niejeden raz Jig obrywał za to, że większy goblin został przyłapany na zaniedbywaniu obowiązków.

- Mam ich... ? - zaczął Arnor, ruszając w stronę goblinów.

- Nie, nie, to ja... - Ramma wepchnęła się przed niego.

Jig nie czekał na rozwój wydarzeń. Szarpnął Brafa za ramię.

- Schowaj się za mną - syknął.

Braf stał osłupiały. Jig dobył miecza i świsnął mu ostrzem przed nosem. Braf cofnął się instynktownie, a Jig zasłonił go, wymachując bronią w stronę ogrów.

- Skończcie z nimi, byle szybko - warknęła Trokla, krzywiąc się z irytacją na widok Jigowego miecza. - Zwłoki rzućcie przy otchłani. Zróbcie tak, żeby wyglądało, jakby same się pozabijały.

- Ha, to nie wypali - oznajmił Braf triumfalnie. - Chochliki nie uwierzą, że zatłukliśmy się sami tak bez powodu!

- Uwierzą, uwierzą. Jesteśmy goblinami - zapewnił Jig, nawet na niego nie patrząc.

Arnor wyjął zza pasa swój topór. Przy ogrzej broni miecz Jiga wyglądał prawie jak nożyk kuchenny.

- Ale nie uwierzą, jeśli Braf pobiegnie tunelem, wrzeszcząc wniebogłosy - rzekł Jig znacząco, mając nadzieję, że Braf zrozumie sugestię. Wolałby, żeby zamiast niego stał przy nim hobgoblin, ale ten, podobnie jak Veka, leżał nieprzytomny. Nie miał innego wyjścia. Grell nie mogła się szybko poruszać, a gdyby on rzucił się do ucieczki, reszta popędziłaby za nim. Ujął miecz w obie dłonie i zacisnął zęby, próbując opanować drżenie. - Leć, Braf. Ja i Grell zatrzymamy ogry. Biegnij i powiedz chochlikom, że wymknęło im się kilka ofiar. Ogry pewnie

spróbują uciekać jednym z tych tuneli odchodzących od jaskini, ale chochliki są szybkie, złapią je. - Spojrzał groźnie na Troklę, która nie drgnęła. - W ten sposób zginiemy wszyscy.

Arnor zerknął pytająco na staruszkę.

- Mamo?

Ramma odsunęła się od niego, dobywając broni.

Grell pokuśtykała jej na spotkanie, a w następnej chwili rozległ się brzęk szczudła o ostrze.

- A ty, smarkulo, stój tam, gdzie stoisz, dopóki ciotka nie powie ci, co robić - złażała ją niańka.

- Chochliki i tak was zabiją - odezwała się Trokla. - Zamierzają zgładzić wszystkie stworzenia zamieszkujące tę górę. Mój chłopiec zrobi to szybko. Odłóż ten mieczyk, goblinie, a on i moja siostrzenica wykończą was tak, że nawet nie poczujecie - tłumaczyła cierpliwie, jakby naprawdę najrozsądniejszą rzeczą na świecie było dać się zabić ogrom.

Jig potrząsnął głową. Możliwe, że Trokla miała rację co do chochlików, ale chochlików tu nie było. A ogry owszem.

I to one, jak na razie, nastawały na ich życie. Przez chwilę stały niepewne, co robić, ale już grupka ruszała w kierunku tunelu. Z echa tupotu w korytarzu Jig wywnioskował, że Braf odbiegł kawałek, ale nawet jeśli zdoła dotrzeć do otchłani, nic im to nie pomoże. Nie mogli tak stać całą wieczność. Arnor bawił się swoim toporem, a Ramma wzięła zamach do ciosu.

- Wyprowadź bezpiecznie swoje ogry - rzekł Jig. - A ja zajmę się chochlikami.

Serce waliło mu młotem, gdy Trokla wpatrywała się w niego niedowierzająco. W końcu zaczęła chichotać.

- Ty? Ty będziesz walczył z chochlikami?

- Chyba przypadkiem walnął się w głowę, jak go ciągnęłaś tunelem - zaśmiał się Arnor do Rammy.

- A jak zamierzasz to zrobić? - spytała Trokla. - Wszyscy widzieliśmy, co potrafią zrobić z ogami, a ty nie dość, że jesteś goblinem, to w dodatku komisem.

Jig poprawił okulary.

- Mylisz się - zaczął, czując się wyjątkowo głupio. - Jestem Jig Smokobójca. - Bogowie, jak on nie znosił tego imienia.

- Jig Smokobójca? - powtórzyła Ramma oszołomiona.

Jigowi zadrgał policzek.

- Owszem.

Ramma zerknęła na ciotkę i kuzyna.

- To on...

- Wiem, kto to Jig Smokobójca - ucięła Trokla, mierząc Jiga spojrzeniem. - Jesteś niższy, niż sobie wyobrażałam.

Jig nie był w stanie wymyślić żadnej stosownej odpowiedzi, więc milczał.

- Od razu widać, że nie jesteś zwykłym goblinem - ciągnęła stara ogrzyca. - Większość z was albo by uciekała, albo atakowała na oślep.

Obie te uświęcone wielowiekową tradycją strategie, rodzaj goblini stosował zamiennie i obie skutkowały zwykle tym samym - śmiercią. Jig czekał. Trzymanie miecza w tej pozycji było wyjątkowo trudne i ręce zaczęły mu omdlewać.

- A więc dobrze - oznajmiła Trokla po chwili. - Walcz z chochlikami.

Jig opuścił miecz, opierając go czubkiem o ziemię. Ręce drżały mu z wysiłku, więc gdyby spróbował teraz schować go do pochwy, prawdopodobnie przecięłby przy tym własny pas.

- Powinniśmy ocucić Vekę i Sznyta - zasugerował Braf, właśnie doprowadzony przez wysłane na pościg ogry. - Veka pomogłaby swoją magią. Może rzuciłaby w chochliki Sznytem?

- Nie sądzę, skoro oboje znajdują się pod ich kontrolą - westchnął Jig znużony. - Prędzej wrzuciliby nas w otchłań.

Zapadła głucha cisza. Ciąpek zaczął nagle promieniować zarem. Do Jiga powoli docierało, co właśnie powiedział.

- Ta dwójka znajduje się pod wpływem chochlikowego czaru? - spytała Trokla.

- Ummm... - Jig zerknął na gobliny. Braf gapił się w niego tępo, zaś Grell jak zawsze robiła wrażenie poirytowanej. Ramma i Arnor unieśli broń. Chwilowa ulga opuściła Jiga tak szybko, jak złoto opuszcza martwego goblina.

- Zabić ich wszystkich - rozkazała Trokla.

- Zaraz - zaprotestował Jig. - Możemy ich zwięzać.

- Chochliki widzą ich oczyma - stwierdził Arnor, wyciągając ku niemu rękę.

Jig uchylił się przed wielkim łapskiem, niemal tracąc przy tym równowagę.

- Zawiązemy im opaski - przekonywał. - Nawet jak się ockną, nie będą wiedzieli, gdzie są i jak się tu dostali.

- Ale dowiedzą się o nas - powiedziała Trokla. - To wystarczy.

- A co, jeśli... - Jig ugryzł się w język. Znowu był bliski chłapnięcia czegoś, co doprowadziłoby ich do śmierci. I tym razem już by się z tego nie wykręcił.

- Och, na Strauma - fuknęła Grell. - Wiesz, co musisz zrobić, Jig.

Jig wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Niańka spoglądała wymownie na jego miecz. Co ona sobie wyobraża, że będzie walczył z ogrami?

- Nie dam rady...

- Dawaj to - zirytowała się Grell i wyszarpnęła mu z ręki miecz. - Bez urazy, hobgoblinie - mruknęła. - Przynajmniej szybko umrzesz - z tymi słowy wbiła Sznytowi miecz w pierś.

Hobgoblin rzucił się, po czym jego głowa opadła na bok. Dłoń Grell ześlizgnęła się z rękojeści. Niańka zachwiała się i byłaby upadła, gdyby Braf jej nie podtrzymał.

- Szkoda - powiedziała. - Nie był taki zły jak na hobgoblina.

Oddech Sznyta przyspieszył i przeszedł w świst. Jig nie drgnął. Ogry również.

- Inaczej zabiją nas wszystkich, wodzu - ciągnęła Grell, akcentując ostatnie słowo. - To jak, zajmiesz się Veką czy to też mam za ciebie załatwić?

Zanim Jig zdążył otworzyć usta, w głowie zahuczał mu Tymalous Ciemnogwiazdy.

Jig, ulecz hobgoblina!

Grell ocierała rękę z krwi.

- Mogłam zostać ze smarkaczami - mamrotała.

ULECZ HOBGOBLINA, JIG!

Rozkaz był tak głośny, że Jig chwycił się za głowę.

Nie wiedziałem, że Grell to robi, ale nie możesz jej winić za to, że...

On jeszcze żyje, a zaklęcie zostało przełamane, w chwili gdy przeszył go twój miecz.

Jig spoglądał na ciało Sznyta. Miecz sterczał z piersi hobgoblina niczym rożen ze szczurzego kebabu Golaki.

W takim razie, aby złamać czar chochlików, wystarczy dźgnąć zaklętego?

Pospiesz się, Jig!

Jig podszedł do Sznyta i ukląkł w kałuży jego krwi. Badając ranę, skaleczył się o wystające ostrze. Kątem oka dostrzegł zbliżające się ogry.

- Zaczekajcie - rzekł i wyszarpnął miecz. Fontanna krwi obryzgała mu rękę i tors. Przycisnął obie dłonie do rany, czując, jak ciepła krew przecieka mu przez palce, sącząc się na

ziemię. I jego ulubione buty! - Przytrzymajcie nad nim pochodnię.

Strumień gorąca przepłynął ku dłoniom, wlewając się w ciało Sznyta.

Grell nie trafiła w serce, ale przebiła jedną z głównych tętnic. To będzie wymagało nieco precyzji. Umieść palce w ranie.

- Ble. - Jig zamknął oczy, wsuwając dwa palce w cięcie. Poczul coś twardego. Jakaś kość? A to pulsujące na kciuku? Wszyscy opowiadali sobie, że Jig jest w stanie uleczyć najcięższe rany, ale nie mieli pojęcia, jak obrzydliwy jest sam proces uzdrawiania.

Gotowe.

Krwawienie osłabło. Jig wyciągnął palce i otarł je o spodnie hobgoblina. Wstając, podniósł miecz. Rękojeść wydawała się bardzo ciepła; a może to magia Ciemnogwiazdowego wychłodziła jego ciało?

- Kiedy Grell go dźgnęła, przełamała zakłęcie chochlików - wyjaśnił oniemiałym widzom.

Zareagowali, jakby oznajmił, że Straum właśnie wstał z martwych i wpadnie później na smażone skrzydełka nietoperzy. Arnor i Ramma zaczęli mówić jednocześnie, starając się przekrzyczeć.

Trokla wywróciła oczami i chwyciła oboje za uszy, wykręcając je z całej siły.

- Spokój!

Ku zaskoczeniu Jiga oboje usłuchali. Arnor i Ramma byli młodszy i silniejsi od Trokli. Gdyby ta sama scena odbywała się wśród goblinów, Trokla zostałaby dotkliwie pobita i wykopana z jaskini. Jednak młode ogry patrzyły tylko na siebie ze złością i rozcierały bolące uszy.

- Kiedy intruzi zaczęli nas zabijać, wysłaliśmy oddział do pieczary Strauma, żeby zawrzeć z nimi rozejm - powiedziała Trokla. - Proponowaliśmy oddanie im części grotu, a nawet opuszczenie góry. Grupa wróciła następnego dnia, wszyscy znajdowali się pod ich kontrolą. Zabili całe tuziny naszych, zanim zdołaliśmy ich powstrzymać. - Ogrzyca zapatrzyła się w przestrzeń. - Rozbiłam maczugą czaszkę własnemu kuzynowi, a on do samej śmierci pozostał pod zaklęciem chochlików. Skąd wiesz, że ten nie jest już zaczarowany?

Jig patrzył na nią niepewnie. „Bo mój bóg tak powiedział” nie było przekonującą odpowiedzią, ale jedyną, jakiej mógł udzielić.

- Chcą zabić nas wszystkich, Jigu Smokobójco. Poczują się bezpieczne, dopiero gdy cała góra będzie do nich należała.

- Ciociu Troklo - szepnęła Ramma - hobgoblin się rusza.

- Nie jestem ślepa - warknęła Trokla.

Jig kucnął u nóg przytomniejącego, a ogry otoczyły ich półkolem.

Sznyt oblizwał spękane wargi i jęknął.

- Rany, czuję się, jakby Veka siedziała mi na piersiach. Co... ? - Pomacał zakrwawioną kamizelkę. Otworzył szeroko oczy i usiadł prosto. - Który z was, przebrzydłe niebieskie szczurojady, mnie dźgnął?! - Rozejrzył się, a jego wzrok padł na Jiga.

Jig popatrzył po sobie. Całe rękawy koszuli miał przesiąknięte krwią hobgoblina, a jakby to było niewystarczająco obciążające, jego miecz ociekał krwią. Ciemna ciecz spływała od rękojeści wzdłuż ostrza, kapiąc z czubka na ziemię. Równie dobrze mógłby sobie powiesić na szyi tabliczkę z napisem „zaszlachtowałem hobgoblina”.

- To ty! - ryknął Sznyt, zrywając się na równe nogi. Ogry zerknęły na Troklę, która wzruszyła ramionami, najwyraźniej czekając na rozwój sytuacji.

- Czekaj, to nie ja cię... - Jig rzucił się w tył. - A niech to!

Sznyt postąpił dwa kroki, a potem nagle krew odpłynęła mu z twarzy. Zachwiał się, wpatrując w zaplamione ubranie Jiga. Jego oddech przyspieszył i zaczął się urywać.

- Nienawidzę goblinów - wymamrotał, po czym osunął się na kolana i zemdłał.

- Chyba masz rację - orzekła Trokla. - Nie widziałam jeszcze niewolnika chochlików, który mdleje. - Wyjęła miecz z ręki Jiga. - Hm, nie wydaje się zaczarowany - stwierdziła, przysuwając go do pochodni. Wytarła ostrze z krwi. - Magiczna stal tak nie ciemnieje.

Oddała broń Jigowi, który niemal ją upuścił. Nadal trząsał się po niedoszłej napaści Sznyta.

- Czy możemy go związać, zanim się ocknie i znowu na mnie rzuci?

Trokla podała Arnorowi zwój cienkiego szarego sznurka. Ogr przewrócił Sznyta na brzuch i zabrał się do wiązania mu rąk oraz nóg.

- Jesteś pewien, że go nie zerwie? - zapytał Braf spoglądając sceptycznie na sznurek.

Arnor szarpnął więzy.

- To elfia lina. Zabrałem ją z jaskini Strauma. Jest cienka, ale wystarczająco mocna nawet na cztery ogry. Po tym jak kilkoro z nas przedostało się do tych tuneli, próbowaliśmy wciągnąć tu z jej pomocą nasze rodziny.

- I co? - zaciekawiał się Jig.

Arnor splunął.

- Próbowałeś kiedyś wspiąć się po strunie? Nie da się tego nawet przytrzymać. Jest tak cienka, że tnie ciało do kości. Głupie elfy.

Jig spojrzął na miecz, rozważając, czy nie przebić nim także Veki. Skoro zadziało w przypadku Sznyta, powinno udać się i z nią. Oczywiście powinno nie oznaczało, że na pewno tak się stanie. Może lepiej po prostu związać ją, dopóki nie odkryją, co konkretnie przełamało czar.

Odwrócił się i poczuł, jak żołądek obraca mu się w kamień.

- Um... Czy ktoś wie, gdzie jest Veka?

Veka zniknęła. Musiała uciec, gdy byli zajęci zabijaniem i ratowaniem Sznyta.

- Mogłam ją zadźgać od razu - mruknęła Grell.

Jigowi trudno przyszło się z tym nie zgodzić. Był zaskoczony, że Veka nie zaatakowała ich, jak tylko się ocknęła. Skoro potrafiła sterować lotem Sznyta i jednocześnie kontrolować nietoperza, zapewne mogła też wyrządzić poważne szkody kilku goblinom oraz ogrom. Przypomniawszy sobie jej dziki wyraz twarzy, gdy leciała na nietoperzu. Jig nie potrafił znaleźć innego powodu jej ucieczki prócz tego, że udała się po posiłki.

Trokla najwyraźniej doszła do tych samych wniosków.

- Sprowadziliście nam na głowę chochliki!

- Przepraszam - zawołały chórem młode ogry.

Stara ogrzyca odwróciła się do Jiga, który momentalnie uniósł zakrwawiony miecz. Trokla pokręciła głową.

- Teraz twoja śmierć nic nam nie da. Idź walczyć z chochlikami. Może uda ci się przynajmniej kupić nam trochę czasu. Chyba że zmieniłeś zdanie i wolisz zginąć szybko. Możemy...

- Pójdziemy na chochliki - zapewnił ją Jig.

Trokla szturchnęła Arnora w ramię.

- A co do ciebie i twojej kuzynki, to przez cały miesiąc będziecie suszyć łajno na opa! - Wychodząc, parka rzuciła Jigowi nienawistne spojrzenia.

Grell i Braf patrzyli na niego wyczekująco.

Jig ukląkł i wytarł miecz o spodnie Sznyta. Czemu oni zawsze czekają, aż powie im, co zrobić? Każdy inny goblin zabiłby Sznyta i Vekę, jak tylko by się dowiedział, że są pod kontrolą chochlików. To przez niego Veka uciekła, a teraz ostrzeże wroga.

Wam, goblinom, zawsze tak spieszno do zabijania. A co, jeśli popełnicie pomyłkę? To prawda, że niektórzy zasługują na śmierć, ale czy potraficie zwrócić życie tym, którzy na nią nie zasłużyli?

Jig zerknął na leżącego Sznyta.

Hm, to dość obrzydliwe, ale...

Nie to miałem na myśli, rozzłościł się Ciemnogwiazdy.

Nie zapominaj, że jestem goblinem. Nas nie obchodzi, czy ktoś zasłużył sobie na śmierć, czy też nie. Zależy nam tylko na tym, żeby samemu jej uniknąć.

I co, ot tak pójdziesz walczyć z chochlikami?, warknął bóg.

No tak. Jig popatrzył na swój miecz. Stara niańka, cherlak i idiota przeciw Vece i chochlikom. Ach, jeszcze mdlejący na widok krwi hobgobliński wojownik.

- Ocuć Sznyta, Braf. - Może choć tym razem hobgoblin pozostanie przytomny na tyle długo, żeby na coś się przydać.

Chociaż Jig nie łudził się, że to cokolwiek zmieni.

Rozdział ósmy

Wielu Bohaterów żółtodziobów prosi mnie o nauki, ale wysyłam ich na drzewo. Zostań mentorem nowicjusza, a za chwilę obudzisz się z ręką w paszczy jakiegoś demona i widokiem znikających pleców ucznia. Oczywiście, któregoś dnia bohater pomści w końcu biednego mentora, ale ja osobiście wole być mścicielem niż mszczonym.

[Nisu Siwozady, gnomijski iluzjonista]

Nic tak szybko nie pomaga oprzytomnieć do reszty jak widok przebijanego mieczem kompana.

Veka biegła tunelem, sunąc ręką po ścianie. Dotarła aż tu gnana paniką, napędzana tylko jedną myślą - żeby znaleźć się jak najdalej od Jiga Smokobójcy.

Mogła się tego spodziewać. Tam, w otchłani, Jig na własne oczy zobaczył, jaki drzemie w niej potencjał. Poczul się zagrożony. Nie była już tamtą, żalowaną Veką. Joska ostrzegła przed zawiścią, z jaką Bohater może się spotkać ze strony najbliższych. Veka pogładziła czule kontur książki tkwiącej w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Veka padła ofiarą zazdrości, zupełnie jak Li'ila w rozdziale piątym - „Zejsście”.

„A gdy Li'ila obaliła napastnika i spętała go astralnymi więzami żywiołu ziemi, dobyła swe rytualne ostrze księżycowe, pytając:

Dlaczegoż nastajesz na mnie, gdy wkraczam w dziedzinę nikczemnika, ażeby wypełnić swe przeznaczenie?

Złękniiony kondotier odparł:

Litości, Li'ilo. Przybyłem z rozkazu męża twego. Pragnie on tylko wyzwolić cię spod mocy, co zwiiodły cię na ścieżkę czarnoksięstwa.

To takich sposobów się ima, by mię ratować? Nasyła nocą najemnego zbrojaka, żeby mię porwał i siłą zawiódł do jego chaty?

Zbyt tchórzliwy, by kłamać, zbrojca odwrócił oczy.

To nie tak, o pani. Nakazał wyciąć twe serce i złożyć je na ołtarzu świątyni Plinkarra, aby ten oczyścił twą duszę”.

Podobnie jak ów mąż, Jig bał się jej mocy i chciał się pozbyć konkurentki, zanim jeszcze

bardziej urosnie w siłę. Aczkolwiek to nie wyjaśnia, czemu postanowili pozbawić życia także Sznyta. Choć z drugiej strony Sznyt był przecież hobgoblinem. Jakiegoż więcej powodu trzeba, by go zabić?

Veka przystanęła. Może powinna zawrócić? Jig prawdopodobnie będzie próbował uniknąć walki, uciec, ale ona to co innego. Posiada przecież moc na tyle wielką, by pokonać i ogry, i gobliny. Rozpromieniła się na wspomnienie lotu na gigantycznym nietoperzu - przez otchłań, z falującym płaszczem, rozwianym włosom. Brakowało jej tylko kostura.

Zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie, w którym momencie go straciła. Próbowała zdjąć zaklęcie ze Sznyta. Z tajemniczych przyczyn miała z tym niejaki problemy, a potem...

- Kopnął mnie! - Wspomnienie upokorzenia przepeliło czarę goryczy. Pomacała głowę, czując pod palcami zlepione krwią włosy. Niewdzięczny, tchórzliwy hobgobluch, jak on śmiał?! I dobrze, że spotkał go taki haniebny koniec.

Nie byłaby tak rozżalona, gdyby to Sznyt czyhał na jej życie. Właściwie dziwiła się, że nie próbował zgładzić jej wcześniej. Ale to Jig i Grell dyskutowali, które z nich ma ją zadźgać...

- Chcieli mnie zabić... - słowa te wydawały się takie abstrakcyjne i nieprawdopodobne.

Gardło zabolalo ją, jakby połykała kanciasty kamień.

- Zwróciłam się do Jiga o pomoc! - Tyle razy wyobrażała sobie dzień, kiedy dostrzeże jej predyspozycje i wreszcie wyjawi arkana swej wiedzy tajemnej, nauczy ją wszystkiego, powierzy sekrety, którymi nie chciał dzielić się z innymi goblinami.

I rzeczywiście nadszedł dzień, kiedy ujrzał jej możliwości, tyle że go to przeraziło. Jig nie jest Bohaterem. Nie nadaje się na mentora. Bo jakież mentor knuje plany zamordowania własnego ucznia? Nawet jeśli ten uczeń nigdy oficjalnie nie był jego uczniem.

Ale Jig się przeliczył. Popelniał błąd, zabijając wpierw hobgoblina. Veka nie jest już tą naiwną oferumą, za którą wszyscy ją biorą. Wróci tam i pokaże temu bufoniastemu Jigowi Smokobojcy, czym jest prawdziwa magia. A potem...

Spojrzała na nogi, które mimo wysiłków nie reagowały. Uszczypnęła się w udo i skrzywiła boleśnie. Dlaczego nie mogła się ruszyć?

Zrobiła eksperymentalny krok w stronę otchłani. Mogła chodzić. Jednak gdy próbowała się odwrócić, żeby ruszyć w przeciwnym kierunku, jej mięśnie stawiały opór.

- Co się ze mną dzieje? Może to jakaś klątwa? Tak, to podobne do Jiga. Usiłowała iść do

jaskini ogrów tyłem, ale bezskutecznie. Mogła uciekać, ale nie mogła zawrócić, by stawić mu czoło.

- Nie próbuj walczyć z Jigiem Smokobójcą, bo zginiesz albo z jego ręki, albo z ręki chochlików, które go szukają - wyszeptła.

Przytknęła dłoń do warg. Głos bezsprzecznie należał do niej, ale ona nie powiedziałaaby czegoś takiego. Choć właściwie brzmiało to rozsądnie. Chochliki na pewno przeszukują otchłani i w końcu trafią na ten tunel.

- Jig ma dobre chęci, ale jego działania doprowadzą do zagłady wszystkich goblinów.

Jej wargi poruszały się. Wydobywał się z nich jej głos. Omal nie odgryzła sobie palców, usiłując przytrzymać kły, żeby nie dopuścić do wymawiania słów. Odczekała, aż zamilknie, i po chwili rzekła już z własnej woli:

- Co ja robię?

- Aktualnie stoisz pośrodku tunelu z palcami w dziobie - modulacja nieco się zmieniła, akcent padał na inne sylaby, a całe zdanie brzmiało jak jedno długie, niewyraźne słowo. To, że nadal obmacywała usta, na pewno nie polepszało artykulacji.

- Kim jesteś? - Skrzyżowała ręce na piersiach i zebrała się w sobie. Jej nogi drgnęły, ale napięła mięśnie, stawiając opór. Może i nie mogła wrócić do reszty, ale potrafiła powstrzymać się przed odejściem. - Nie ruszę się stąd, dopóki mi nie odpowiesz.

- Dobrze. Nazywam się Snixle - wyrwało się z jej ust. - To ja ci pomogłem rzucić zaklęcie iluminacji na twojego towarzysza. I to ja przeprowadziłem cię przez zaklęcie lewitacji. Ja także pomogłem ci przejąć kontrolę nad nietoperzem i nie pozwoliłem mu cię zjeść. Ja jestem tym, który próbuje ratować ci życie, który może nauczyć cię magii znacznie potężniejszej niż to, co robiłaś do tej pory, ale zrobię to tylko wtedy, jeśli stąd uciekniesz. Nie podejmuję się nauczania trupa.

Veka nabrała oddechu, żeby zaprotestować, ale nie mogła otworzyć ust. Walczyła ze sobą, ale udało jej się tylko doprowadzić do skurczu mięśni szczęk.

W tunelu od strony otchłani pojawiła się fioletowawa poświata.

- Chochliki - nie wiedziała, kto tym razem mówił, ona czy Snixle.

Veka zmarszczyła brwi.

- Chochlik, który nas ścigał, był różowy, nie fioletowy.

- A to prawdopodobnie znaczy, że są dwa. Wymieszane kolory dają nowy. Czy wy,

gobliny, o niczym nie macie pojęcia? A skoro wysłali tu następnego chochlika, to widać bardzo zależy im na schwyтaniu Jiga.

Na wspomnienie Jiga gula w gardle zapiekła.

- A czemu akurat jego?

- Słuchaj, czy jeśli obiecuję ci wszystko wyjaśnić, uciekniesz z tego tunelu? Przed chwilą mijaliśmy taką szczelinę przy podłodze. Możesz się tam ukryć.

- Bohaterowie się nie ukrywają - rzekła Veka. - Jeśli te chochliki ścigają Jiga, nie spodziewają się mnie tutaj. Zaskoczę je.

- Na pewno, zwłaszcza wrzaskiem, kiedy własne kości przebiją ci skórę. Posłuchaj, zaskoczone czy nie, albo zabiją cię na miejscu, albo wydrą mi kontrolę nad tobą i zmuszą, żebyś rzuciła się w otchłań lub waliła głową w ścianę, póki jej sobie nie rozbijesz. Możesz opierać się mnie, ale z nimi ci się nie uda. Czy naprawdę tak właśnie chcesz skończyć?

- Mogę...

- Nie, nie możesz - uciął Snixle z mocą. - A przynajmniej jeszcze nie teraz. Nie ocalisz swojego plemienia jako trup. Naprawdę sądzisz, że chochliki wysłałyby do twojego świata jakichś słabeuszy?

Veka niechętnie pozwoliła Snixlowi sterować swoimi nogami. Szybko dotarła do miejsca, gdzie unosiła się woń wodnych glonów. Położyła się i tuż przy podłodze wymacała otwór o nieregularnych brzegach. Nie zauważyła go wcześniej. Widocznie Snixle dostosował się do jej zmysłów już jakiś czas temu.

Wetknęła głowę w szczelinę i oceniła, że choć z trudem, powinna się w niej zmieścić. Głębiej dno jamy opadało stromo, przechodząc w szyb. Gdzieś z góry ciurkała woda. Najwyraźniej komin ciągnął się także wwyż.

- Gobliny mają pewną zasadę pozwalającą im przetrwać w tunelach - mruknęła Veka. Owinęła się mocniej płaszczem i zaczęła wsuwać się w szczelinę nogami naprzód. - Dzięki niej zawsze wiedzą, który z nich jest niebezpieczny.

- Jak ona brzmi?

- Że każdy jest niebezpieczny. - Manewrując biodrami, szorując brzuchem o skałę, wpełzała rakiem do nory. Tunel jaśniał coraz bardziej, a fiolet nabierał zróżnicowanych odcieni. Po lewej był bardziej różowy, zaś po prawej niebieskawy. Jeśli natkną się tu na nią zaklinowaną w dziurze, nie będą musiały jej zabijać. Sama umrze ze wstydu.

Gdy wepchnęła się już do połowy, podeszwami butów natrafiła na tylną ścianę pionowego kanału. Wsunąwszy ręce pod siebie, uchwyciła się palcami krawędzi przesmyku, a stopami szukała czegoś, co pomogłoby jej wciągnąć się w głąb. Czuła się gorzej niż wtedy, gdy grupka starszych goblinów groziła, że przetka nią wychodek.

Zaraz jednak doszła do wniosku, że aż tak źle to nie jest.

Syknęła, gdy ręka omsknęła się gwałtownie, a chropowaty kamień zdarł jej skórę z dłoni. Zaciśnęła zęby i spróbowała jeszcze raz, z całej siły napinając mięśnie.

Boleśnie obtarła sobie brzuch, ale udało jej się wreszcie wepchnąć w całości w wąskie gardło. Jama opadała dość ostro. Veka wisiała górną połową ciała w wąskim przejściu i macała stopami w poszukiwaniu jakiegoś oparcia. Czuła, jak spływająca po ścianach woda wsiąka w płaszcz.

- Już tu prawie są - szepnął Snixle. Mięśnie jej ramion rozluźniły się niespodziewanie. Osuwając się w mrok, nie krzyknęła tylko dlatego, że Snixle kontrolował jej struny głosowe.

Na szczęście niemal natychmiast jej nogi wsparły się o skałę. Było tu tak wąsko, że nie dało się spaść. Przyłgnęła do ściany komina i zadarła głowę, obserwując przesuwaną się w górze światło.

Blask rozjaśnił na moment wnętrze jamy. Zerknęła w dół. Całe ubranie oraz buty miała umazane mokrym brunatnym paskudztwem. Oczekała, aż chochliki przejdą i światło zniknie, po czym zaczęła wdrapywać się z powrotem.

- Co ty wyprawiasz? - syknął Snixle.

- Wyłażę stąd. Już sobie poszły.

- Przyjdą inne. Chochliki i inne, gorsze. Teraz, kiedy królowa się przebudziła, będą sprawdzać wszystko jeszcze pilniej. Nic nie ujdzie ich uwadze, a w tej chwili są skupione tylko na tym, żeby wyeliminować wszelkie potencjalne zagrożenia dla królowej.

- Królowej?

- Przybyła już wcześniej. Do tej pory spała w specjalnej otoczce magicznej, która miała chronić ją przed szokiem spowodowanym przenosinami. Ten świat jest suchy i gorący. Nawet pomimo zmian, jakie tu zaszły, wyjście stamtąd może być dla niej niemałym wstrząsem. Ale wkrótce będzie gotowa, by opuścić jaskinię smoka. Może nawet już chce z niej wyjść. Dlatego właśnie muszą złapać Jiga Smokobójcę.

Veka postanowiła, że następną osobą, która choć wspomni o Jigu, zarobi nożem w

brzuch.

- Dlaczego wszyscy... ?

Jej szczęki zwały się nagle, a przez zaciśnięte zęby wydostał się głos Snixla.

- Tu nie jest bezpiecznie. Musimy zejść niżej. Tam porozmawiamy.

Ręce zgrabiały jej od lodowatej wody, a mokry płaszcz ciążył. Zazgrzytała zębami i czepiając się pęknięć oraz występów, zaczęła schodzić po śliskiej ścianie.

Podczas wędrówki w dół znowu zaczęło jej burczeć w brzuchu. Nie pamiętała już, kiedy ostatnio jadła. Nigdy nie słyszała, żeby brzuchy Bohaterów burczały. Oczywiście, nie czytała też nigdzie o Bohaterach, którzy musieli przeciskać się przez wąskie, mokre kominy, mówili do siebie czy bali się, że towarzysze wrażą im miecz w plecy.

Nagle omsknęły jej się palce. Spadła, lądując w kałuży na niewielkim występie. Ukruszony odłamek skały o włos minął jej nogę. Zamknęła oczy i kiedy bielizna nasiąkała jej wodą, próbowała wziąć się w garść. Odezwała się, dopiero gdy była pewna, że jest w stanie opanować głos i nie krzyżeć.

- Już jesteśmy głębiej.

Snixle widocznie usłyszał w jej tonie coś szczególnego, bo tym razem nie oponował.

- Ten tunel biegnie ukosem, a wyjście znajduje się w tej ogromnej pieczarze z drzewami.

Wystarczy posuwać się z biegiem wody, a powinniśmy dotrzeć do domu.

Veka oparła głowę o skałę.

- Uciekamy od dwóch chochlików do całego gniazda chochlików?

- Większość będzie zajęta przygotowaniami przenosin młodej królowej do jej nowego domu. To miejsce nie jest bezpieczne. Zostało tu jeszcze kilka ogrów, nie wspominając o goblinach i hobgoblinach. Ale chochlicze królowe nie lubią czekać. Wszyscy będą się skupiać na niej, więc niezależnie od tego, gdzie wychodzi ten korytarz, przemkniemy się niepostrzeżenie.

- Dlaczego tak im zależy na Jigu?

Poruszone wolą Snixla palce ułożyły się do zaklęcia wiązania. Rozpoznała znajome ruchy

- Snixle chciał wytworzyć światło.

- Zaklęcie nie zadziała bez źródła...

Palce zaczęły emanować zielonkawym blaskiem. Wewnątrz widać było ciemniejsze naczynia krwionośne oraz kości.

- Właśnie dlatego chcą schwytać Jiga - odparł Snixle. Veka podejrzewała, że miało to

zabrzmieć dramatycznie, ale wywołało w niej tylko irytację. - I gdyby wiedzieli, co potrafisz, chcieliby także ciebie.

- Naprawdę? - Informacja, że chochliki zainteresowałyby się także nią, poprawiła jej nastrój. Wpatrywała się w swoją rękę. - Potrzebują nas do wyczarowywania światła? Nie pomyślałabym, że to taki kłopot dla chochlików.

- Magia waszego świata rządzi się innymi prawami. Jest potężniejsza, bardziej dynamiczna, ale i oporna. Nauka władania nią jest jak nauka oddychania skałą. Szybciej poznalibyśmy jej tajemnice, mając waszego maga.

- Jesteś jednym z nich, prawda? - spytała, odwracając dłoń. Nawet jej pazury świeciły.

- Ja jestem źródłem tego światła - oświadczył Snixle.

Jaskinia Strauma. Poszli tam ze Sznytem za chochlikami. Ten, który zbliżał się do nich tunelem, jarzył się na zielono. Ale przecież pokonała go, na pewno. Opowiadała przecież o tym ze szczegółami.

- Zmieniłeś moje wspomnienia z tego, co działo się w jaskini Strauma!

- Nie, sama to zrobiłaś. Zamachnęłaś się na mnie kosturem. Wtedy rzuciłem czar. W drodze do reszty przekonałaś samą siebie, że mnie zabiłaś. Potrafimy kontrolować tylko ciało, nie umysł. Nie umiemy sterować myślami czy emocjami. No, królowa tak, ale pozostali nie.

Veka potrząsnęła głową.

- Przecież pamiętam, jak cię uderzyłam, a potem...

- Musnęłaś kosturem moje skrzydło. Potem odwróciłaś się i wywlokłaś przyjaciela z tunelu.

- To nie żaden przyjaciel. - A więc czemu wyciągnęła go stamtąd? No, chyba że zrobiła to pod wpływem chochlika. Pewnie na niego także rzucił zaklęcie. - To dlatego Grell przebiła go mieczem. Wiedzieli, że znajdujemy się pod waszą kontrolą.

- Zapewne - przyznał Snixle. - Jig jest bystrzejszy, niż sądziłem.

A więc jednak to nie ona stanowiła zagrożenie dla Jiga. Nie jej się bał, tylko Snixla i chochlików. Veka była dla niego nikim. Tak jak zawsze dla wszystkich goblinów.

- Dlaczego pozwoliłeś nam odejść? - zapytała stłumionym, bezbarwnym głosem. - Czemu nie oddałeś nas wtedy w ręce królowej?

- Bo... - Snixle urwał nagle. Veka poruszyła łopatkami i spuściła głowę. Po chwili zdała sobie sprawę, że to chochlik, nie ona. Pewnie strzepnęła skrzydłami. Czyżby nerwowy odruch? -

Nie jestem na tyle silny - szepnął. - Bałem się, że jeśli spróbuję zapanować nad wami równocześnie, wyzwolicie się. Pomyślałem, że lepiej pozwolę wam wrócić, a wtedy może uda mi się dowiedzieć czegoś pożytecznego, czym zasłużę na szacunek królowej. Była taka przygnębiona, że musimy opuścić nasz dom. Nie przypuszczałem, że posiadasz klucz do magii tego świata.

Księga zaklęć!

- To dlatego kazałeś mi się ukryć przed tamtymi chochlikami - rzekła. - Żeby mieć mnie dla siebie.

- Jeśli przyprawdę cię królowej, wynagrodzi nas oboje - zapewnił ją Snixle. - Słuchaj, Veka, oni chcą oczyścić całą górę z mieszkających w niej istot, wytępić wszystkie gobliny i hobgobliny. Chodź ze mną, może przekonamy ją, że to niepotrzebne. Może zostawi was w spokoju.

Veka potrząsnęła głową. Nie podobało jej się to „może”.

- Patrz, ile cię już nauczyłem - ciągnął. - Wyobraź sobie, ile jeszcze mógłbym ci przekazać. Potrafisz już czerpać magiczną energię z tego świata. Mogę nauczyć cię, jak wykorzystać tę magię do ochrony twego plemienia. Jig Smokobójca zamierza z nami walczyć. Królowej się to nie spodoba. Rozkaże zabić was wszystkich. Wyśle do tuneli jeszcze więcej chochlików i...

- Myślałam, że nie możecie tu czarować - przerwała mu Veka. - Nasz labirynt będzie bezpieczny. - Zmarszczyła brwi. Jeśli to prawda, te dwa chochliki na górze także nie mogłyby używać magii.

- Ja nie mogę - przyznał Snixle. - Ale najsilniejsi wojownicy zabrali ze sobą trochę mocy, gdy opuszczaliśmy dom. Otulili się nią jak kocem magii. Może nie są tak potężne jak w naszym świecie, ale starczy im siły, by was pokonać. W końcu nasza magia wypełni całą górę i już nic ich nie powstrzyma. Jeśli mi nie pomożesz, zginą wszystkie gobliny.

- Wiem, co próbujesz zrobić - oświadczyła Veka. - To się nazywa Kuszenie Bohatera.

- Że co?

- Joska o tym pisała. To część Zejścia. Bohater kuszony jest obietnicami potęgi i chwały, aby zboczyć z Drogi. Próbujesz mnie zwieść na manowce, skłonić do zdrady towarzyszy.

- Tych samych towarzyszy, którzy chcieli wbić ci nóż w plecy?

Słuszna uwaga.

- Potrzebujemy cię, Veko - rzekł Snixle miękko. - Możemy sprowadzić tu tylko ograniczoną ilość naszej mocy. Jesteśmy wygnańcami, wszyscy. Każdy jeden zginąłby, wracając do domu. Musimy nauczyć się żyć w waszym świecie. Pomóż nam, a staniesz się naszym zbawcą. Naszym i własnego plemienia.

Zanim Veka zdążyła odpowiedzieć, z dołu dobiegło głośne warknięcie.

- Co to? - zaniepokoił się Snixle.

Veka zamarła przerażona.

- Kot tunelowy - wychrypiała, bo ze strachu zaschło jej w ustach. Omal się nie posikała, wymawiając na głos nazwę bestii. A to, biorąc pod uwagę, że kot znajdował się pod nią, tylko pogorszyłyby sytuację.

Ten komin skalny był idealnym miejscem polowania dla kotów tunelowych. Woda im nie przeszkadzała, a poduszki łap, zaopatrzone w twarde, ostre narośle, pozwalały znaleźć oparcie na niemal gładkiej ścianie. Z drugiej strony ofiara nie mogła poruszać się szybko w takiej ciasnocie.

- Możesz przejąć kontrolę nad jego ciałem? - spytała Veka z nadzieją. - Tak jak wtedy zrobiłeś to z nietoperzem? - Na myśl, że mogłaby wrócić do domu z własnym tunelowym kotem, serce zabiło jej szybciej. Oczyma wyobraźni widziała czmychające przed nią z krzykiem goblina. Może i hobgoblina potrafiły tresować koty tunelowe, ale Veka miałaby nad nimi władzę. Mogłaby...

- Nie - odparł Snixle, jednym słowem rozbijając jej marzenia w pył. - Nietoperze są głupie i bojaźliwe, co czyni je podatnymi na magię. Nie przypuszczam, by ten potwór wykazywał się podobnymi słabościami.

- Na pewno nie. - Z tego, co Veka wiedziała, koty tunelowe nie miały żadnych słabych stron.

- Może mógłbym pomóc ci w inny sposób - kontynuował Snixle. - Ale musisz wybrać. Ocal nas. Ocal naszą królową. Zrewanżuję się, ratując ci życie i pomagając uchronić resztę goblinów przed zagładą. Jeśli nie, ty i twoi pobratymcy zginiecie.

Veka zawahała się. Joska jasno napisała, jaki los czeka tak zwanych Bohaterów, którzy ulegli podszeptom i dali się skusić. Ostatecznie większość zawracała z nieprawej ścieżki, ale gros z nich ginęło, nie dotarłszy z powrotem do słusznej Drogi. Nie, jednak najrozsądniej było oprzeć się namowom. Tyle że akurat w tym przypadku opór miał duże szanse także zakończyć się śmiercią, a to nie mogło być właściwe.

- Zaraz, mówiłeś, że zostaliście wygnani? - powiedziała Veka, wyciągając księgę.

- To nie jest najlepszy moment na czytanie - zauważył Snixle.

Veka nie słuchała go, wertując pospiesznie kartki „Drogi Bohatera”. Wreszcie znalazła stronę, której szukała.

- Aneks A - odczytała, przyświecając sobie ręką. - „Sto bohaterskich czynów i osiągnięć”.

- Przesunęła wzrokiem po liście. - „Numer czterdzieści dwa: uratowanie wioski przed najeźdźcami”. Jaskinia goblinów to nie do końca wioska, ale uratowanie jej przed inwazją chochlików powinno się do tego zaliczać.

- Co ty wyprawiasz? - denerwował się Snixle. - Mówiłem ci, że jeśli będziesz z nami walczyła...

- Zamknij się i posłuchaj tego - przerwała mu podekscytowana. - „Umożliwienie wygnanemu księciu lub księżniczce odzyskania tronu”, numer trzydziesty siódmy!

- Trzydziesty siódmy?

- Wiesz, co to oznacza? - rozpromieniła się Veka i zatrzasnęła księgę. - Że pomoc twojej zesłanej królowej jest nawet bardziej heroicznym czynem niż uratowanie goblinów. Sama Joska tak twierdzi!

- Chcesz przez to powiedzieć, że nas wesprzesz?

Mogłaby ocalić i chochliki, i goblino. A nawet lepiej, uchroniłaby goblino przed straszliwym losem, jaki zamierza na nich sprowadzić Jig Smokobojca! Jig chciał walczyć z chochlikami, ale to Veka właśnie zapewniłaby im bezpieczeństwo.

- Możemy już zacząć robić coś z tym kotem tunelowym? - zagadnął Snixle.

- A, tak, oczywiście.

- Włóż rękę do zbiornika.

Veka posłuchała. Snixle wepchnął jej rękę jeszcze głębiej, aż wyczuła pod palcami włóknistą masę alg. Woda oraz plecha zajaśniały zielonkawym światłem.

Wychyliła się, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność w dole. Nie widziała potwora, ale słyszała, jak się zbliża. Twarda, chropowata skóra na poduszkach łap ułatwiała mu szybką wspinaczkę. Ostre zadziory umożliwiały także obdarcie ofiary ze skóry, jednym ruchem.

- Dobrze, wydaje mi się, że musimy rzucić jeszcze raz zaklęcie wiązania many. To klucz, jak wiesz. W domu byliśmy na stałe związani z magią, ale tu...

Veka wyszarpnęła rękę.

- Wydaje ci się?! Nie wiesz na pewno?!

- Masz lepszy pomysł?

Veka opanowała wzburzenie i pozwoliła Snixlowi wykonać odpowiednie ruchy palcami. Magiczne nici rozpięły się pomiędzy jej opuszkami i glonami.

- Doskonale. A teraz wypchnij moc, łącząc ją z esencją życiową alg.

Naprężyła dłoń, z której uniosła się pulsująca bańka magii.

- Zupełnie jakbym puszczała gazy ręką - skrzywiła się Veka.

- Pięknie powiedziane, powinnaś pisać wiersze.

Z mroku poniżej wyłonił się nos kota otoczony białą aureolą długich wąsów. Różowe ślepia w jasnym pysku wpatrywały się w nią bez mrugnięcia.

Przez dłoń i ramię przepłynęła fala nieznannej energii, przenikając uczuciem spokoju, odprężenia, jakby omyła ją woda, usuwając zmęczenie, dodając siły i witalności. Odbierała teraz te same bodźce, co glony.

- Wytworzyłaś więź z rośliną - rzekł Snixle. - Zapomnij o tamtej podrzędnej, miernej, cukierkowej magii, której używałaś do zaklęcia lewitacji. To, co teraz czujesz, to czysta moc. Magia jest przedłużeniem twego ciała, a algi przedłużeniem twej magii. A teraz złap tego kota, zanim ci nogi powyrywa.

Zwierzę wspięło się wyżej. Mięśnie grały pod futrem na grzbiecie, gdy pelzł, wyszukując nierówności. Koty tunelowe rzadko się spieszyły. Wspinały się pewnie, bez wysiłku, czekając, aż ofiara wpadnie w panikę i zleci w dół.

- Jak mam go złapać?

- Mniej gadania, więcej działania. - Zanim Veka zdążyła coś zrobić, Snixle przejął kontrolę nad jej stopami, odrywając je od skały. Zaczęła się zsuwać.

Pochwyciła glony, a glony pochwyciły ją. Oślizgła masa owinęła się wokół jej palców i przegubów. Mimo że szarpała się i wierzgała, wywołując tym pomruki wygłodniałego kota, śliskie łodygi nie puszczały. Włosowate witki oplotły jej dłonie mocniej niż lina.

- Wspaniale! Teraz zrób to samo z tą bestią w dole.

- Zamk-nij-się - wydyszała Veka. Czowała, jak kot wczługuje się ku niej, depcząc po glonach. Za każdym razem, gdy jego łapa natrafiała na łodygę, miała wrażenie, że chropowata poduszka dotyka jej skóry. Smagający wodę ogon łaskotał nieprzyjemnie.

Kiedy kolejny raz uderzył w wodę, Veka go złapała. Masa brązowej tkanki roślinnej

chlupnęła na ogon i szybko do niego przylgnęła.

Kot skrzeknął przeraźliwie, echo rozniosło chrapliwy dźwięk w górę i dół komina.

- Nie puszczaj! - krzyknął Snixle.

Głupi chochlik. Tak jakby sama się tego nie domyśliła. Z całej siły starała się utrzymać ogon. Śliska łądyga popęzła wyżej, witki wniknęły pomiędzy futro, oplątując obciążone skórą kości i stawy. Kot przywarł do ściany wszystkimi łapami, szarpiąc się i wijąc. Zginając się niemal w pół, sięgnął paszczą do tyłu, żeby pochwycić w zęby własny ogon. Veka uniosła kolejną gałązkę alg, wrywając mu kilka wąsów.

Tego było już za wiele dla biednego kota. Sycząc i parszcząc, runął w dół, zostawiając na glonach strzępy wyrwanego futra. W jednym momencie zniknął w mroku, choć jeszcze przez chwilę Veka słyszała drapanie pazurów o kamień.

- Nieźle. Błyskawicznie nauczymy cię kontrolowania żywiołów i rozprawiania się z wrogami.

Veka zaśmiała się, nie przejmując się już, że ktoś ją może usłyszeć. Niech Jig się schowa z tymi swoimi świątynnymi sztuczkami. Bo czy on kiedykolwiek latał na nietoperzu? Czy wykorzystał glony do walki z kotem tunelowym? Joska pisała, że Bohater zejdzie w mrok, gdzie zmierzy się z najtrudniejszymi próbami i zyska prawdziwą moc. Cóż, ten kanał nie tylko był ciemny, ale także śmierdział. A jeśli potyczka z kotem tunelowym nie była Próbą, to Veka już nie wiedziała, co może nią być.

- Jak myślisz, powinnam obrać sobie nowe imię? - spytała. - Według Jośki wielu potężnych magów miało więcej niż jedno imię. Poza tym, jeśli będzie się nazywała inaczej, już nigdy żaden goblin nie powie o niej Veka-Beka. - Joska twierdzi, że prawdziwie heroiczne imię powinno mieć co najmniej kilka sylab i wplecioną nazwę jakiegoś zwierzęcia. Najlepsze są ptaki, ale każde mocarne zwierzę się nada. Co sądzisz o Kestrel Ogniopomrocnej? A może Olor Nocnokruka?

- Veka Wzdętoręka Niebieskie Piórko? - zaproponował Snixle.

Veka przewróciła oczami. Nawet prześmiewki chochlika nie były w stanie zgasić jej radosnego podniecenia. Wreszcie będzie wielkim magiem!

* * *

Veka zaparła się nogą o ścianę kanału, żeby złapać oddech. Wykręcając górną połowę ciała, przycisnęła policzek do skały, po której spływała woda. Po długiej wędrówce bez jedzenia i picia cierpka, mułowata woda smakowała niczym najlepsze wino. Wino z dodatkiem szczątków roślin i ze ślimaczkami, lecz to tylko podnosiło jego walory smakowe.

Pomasowała rękę w nadziei, że uda jej się choć trochę zniwelować ból w mięśniach. Druga, ta magicznie świecąca, jej nie dokuczała. Najwyraźniej zakłęcie wzmocniło ją i zapobiegało kurczom. Najchętniej cała dałaby się tak zaczarować, ale Snixle powiedział, że w ten sposób magia by się rozrzedziła.

- Pospiesz się - popędził ją. Veka zadarła głowę i spojrzała w ciemność, mimowolnie reagując na nerwowość chochlika.

- Czemu aż tak się spieszymy?

- Muszę cię doprowadzić do królowej jak najszybciej. Jeśli dowie się, że zataiłem twoje istnienie... - Ciałem Veki wstrząsnął dreszcz. - Królowe źle znoszą drastyczne zmiany i łatwo ulegają gwałtownym emocjom. To jeden z powodów, dlaczego zmieniliśmy środowisko grotu, robimy wszystko, aby czuła się jak najbardziej swojsko. Pamiętam, jak długo moja poprzednia królowa przeżywała śmierć swojego ulubionego partnera. Kazała wyrwać robotnikowi skrzydełka tylko dlatego, że nie spodobał jej się kolor migotlików, które jej przyniósł.

- Migotlików?

- To takie bezskrzydłe robale - wyjaśnił Snixle. - Poruszając się, wysyłają fale świetlne o skomplikowanym wzorze, w ten sposób przywabiając mniejsze owady. Moja królowa wieszała je w komnacie dla ozdoby. Są ładne, ale utrzymywanie ich przy życiu w niewoli to czysty koszmar. Najgorzej jest z karmieniem. Ukąszenia trudno się goją, krew sączy się z ranki dobre parę dni.

- A dlaczego w ogóle ta królowa tu przybyła? Nie było jakiegoś lepszego miejsca do inwazji? Takiego, które nie wymagałoby tak dużych zmian, żeby upodobnić je do waszego świata?

Snixle pokręcił jej głową.

- Samo otwarcie wrót to betka. Trudność leży w ustabilizowaniu drugiej strony. Magia przyciąga magię, nawet pomiędzy dwoma światami. Im silniejsza magia po drugiej stronie, tym silniejsze ogniwo. Słabe połączenie mogłoby się niespodziewanie przekierować, a przechodzący zamiast do celu wlecieć wprost do jakiegoś wulkanu pośrodku skutego lodem oceanu. Ta góra jest pełna mocy, a w grocie smoka jest ona najsilniejsza. To był najbezpieczniejszy wybór.

- Legenda głosi, że góra została stworzona przy pomocy magii, tak jak te wszystkie labirynty. - Veka pstryknęła podpełzającego ku jej ręce ślimaka i odsunęła się od wody. Syknęła, bo obolałe mięśnie pleców i ramion zapiekły przy gwałtownym ruchu. Wokół ręki nadal miała owinięte algi. Ułatwiały jej zejście ze skalnej półki. Niżej komin biegł niemal całkiem pionowo.

- A najważniejsze - ciągnął Snixle - że tego miejsca nikt nie strzegł. Poza kilkoma ogrami, waszą grupką i paroma innymi stworzeniami, oczywiście.

- Jig wam nie popuści - rzekła Veka. - On już taki jest.

- Jeśli się nam przeciwstawi, skaże was wszystkich na zagładę.

- A co, jeśli...

- Schodź, nie gadaj - warknął Snixle. - Chochliki już go pewnie złapały. - Łopatki Veki drgnęły. - Jeśli zdążą go zaprowadzić do królowej przed nami...

- Nie sądzę - stwierdziła Veka. - Nie Jiga. - Wybiegła myślami w przyszłość. Jigowi na pewno uda się uciec. Zawsze mu się udaje.

Snixle nie słuchał jej.

- Widzisz? Tam, w dole? - Złote skry podfrwały w górę, niektóre niemal dotykały jej stóp, zanim zgasły.

Ten tunel nie mógł być dłuższy niż tamten, który pokonywali w drodze do Bezdennej Otchłani. Ale Veka miała wrażenie, że już całą wieczność czołga się ciasnymi kanałami.

- Już prawie jesteśmy w domu. Nie jestem pewien, gdzie dokładnie znajduje się wylot, więc uważaj.

Serce Veki zabiło szybciej. Wiedziała, co musi zrobić. Musi powstrzymać Jiga Smokobójcę, zanim ten sprowadzi na nich śmierć.

Oderwała nogi od skały i czepiając się glonów, aby spowolnić zjazd, zsunęła się ku wylotowi komina. W dziurze kłębił się gęsty opar. Dopiero gdy stopy zawisły jej poza krawędzią otworu, wyhamowała, żeby zastanowić się, jak zejdzie bez drabiny. Nie wiedziała przecież...

Mięśnie jej ramion skurczyły się nieoczekiwanie, a palce rozwarły. Veka z krzykiem runęła w dół. W panice wymachiwała rękami i wierzgała, a potem ziemia uderzyła ją niczym rozwścieczony ogr.

- Przepraszam - pisnął Snixle. - Poniosło mnie. Zapomniałem, że nie masz skrzydeł.

Veka splunęła podbarwionym krwią śniegiem. Miała rozbitą wargę, a twarz zapewne wkrótce zmieni się w jednego wielkiego sińca. Przetoczyła się na bok.

Wysokie zasy całkowicie skrywały zeschłą trawę i krzewy. Śnieg wirował w powietrzu, poważnie ograniczając widoczność. Z tego ostatniego ucieszyła się niezmiernie. Przynajmniej nikt nie widział jej niezgrabnego upadku.

- Strasznie tu płasko - mruknął Snixle. - Dużo badyli i czarnych plam ziemi. Tęsknię za lodowymi iglicami naszego pałacu i za widokiem podświetlonych chmur mgły unoszących się z gniazd młodych chochlików, które tańczą swój godowy taniec... - Obrócił nią, mamrocząc. - Magia płynie z prawej strony. Tam powinny znajdować się wrota. Z tego, co czuję, jesteśmy prawie przy samym końcu groty Strauma, daleko od wylotu studni z komnaty Nekromanty.

- Możesz mnie zaprowadzić do labiryntu Nekromanty? - przerwała mu Veka.

- Co?! Absolutnie nie. Musimy iść do królowej.

- A co, jeśli znam sposób na doprowadzenie do niej Jiga? - rzuciła.

Zadrżała. Przemoczony płaszcz raczej ziębił, niż grzał, ale lepsze to, niż paradować nago.

- Mogłabyś to zrobić?

- Możesz nauczyć mnie kontrolowania innych istot? Tak jak robiłeś to z nietoperzem?

- Tak sądzę. Jak wspomniałem, nie jestem najsilniejszym wojownikiem, ale...

- Naucz mnie tego zaklęcia, a sprowadzę ci Jiga Smokobójcę. - Przekrzywiła głowę. -

Skoro nie jesteś wojownikiem, to kim?

Zaczęła iść, słuchając Snixla. Miała nadzieję, że prowadzi ją do tuneli Nekromanty.

- Wykorzystuję swoją moc do... Hm... oczyszczania.

Veka zmarszczyła brwi.

- A dokładniej?

- Jestem robotnikiem. Owszem, nie należę do zaufanych strażników królowej, ale nie ma lepszego specja ode mnie, jeśli chodzi o usuwanie plam ze strojów. A także zacieków, szkodników i reszty. Właśnie szedłem pozbyć się tego ogrzeżo trupa, kiedy wpadłem na ciebie i twojego przyjaciela.

Nie, to niemożliwe. Jej mentor nie może być przecież chochliczym odpowiednikiem ścierwojada!

- Tam. - Snixle wyciągnął jej rękę, wskazując na coś.

Veka wyteżyła wzrok, ledwie dostrzegając w mroku strop nad głową. Iluzoryczne niebo, które znajdowało się tu od dawien dawna, zniknęło. Patrzyła na sklepienie groty, usiłując wypatrzeć miejsce, które pokazywał.

- To przejście do tuneli Nekromanty?

Snixle już rzucał zaklęcie lewitacji. Chwilę później śniegu nie było, a Veka stała w pustej komnacie tronowej. Z ulgą zrzuciła mokry płaszcz na ziemię. Skrzywiła się, słysząc mokre plaśnięcie.

- Jig mówił, że Nekromanta był chochlikiem - szepnęła. Czuli się niepewnie, stojąc tu sama. Miała wrażenie, że trupy nadal kryją się w ścianach, czekając, aż jakiś głośniejszy dźwięk obudzi je do życia.

- Pewnie został wygnany - powiedział Snixle. - Ciekawe, ile mu zajęło przyswojenie praw tutejszej magii?

- Czy chochliki mogą kontrolować umarłych?

- Technicznie rzecz biorąc, tak. To ten sam czar, który rzuciłem na ciebie. Ale tego nie robimy.

- Dlaczego? - Co tam jakieś nietoperze. Znając to zaklęcie, Veka mogłaby władać całą armią żywych trupów!

- To... obrzydliwe. Nekromancja jest jak ubieranie się w trupa. Wymaga też więcej energii, żeby powstrzymać ciało przed rozkładem, inaczej gospodarz zaczyna rozsiewać wszędzie kawałki samego siebie. Poza tym zawsze należy uważać, żeby twoje własne ciało nie związało się zbyt mocno z tym, które animujesz. To trudne w przypadku żywych gospodarzy, więc wyobraź sobie, co się stanie, gdy scalisz się za mocno ze zwłokami. Fakt. Lepiej trzymać się z dala od nekromancji.

- Poważnie dasz radę pokonać Jiga Smokobójcę?

Veka wyciągnęła „Drogę Bohatera”, ocierając z okładki krople wody. Brzegi kartek nawilgły i pofałdowały się wyraźnie. Otworzyła księgę i kilkakrotnie szybko ją przewertowała, by osuszyć nieco strony.

- Potrafię to zrobić - rzekła. - Muszę. To jedyny sposób, aby ocalić moje plemię, prawda?

- Zakładając, że jeszcze nie został schwytany - zaznaczył Snixle nerwowo.

Veka nie raczyła odpowiedzieć. Od razu widać, że te chochliki nie wiedzą nic o Jigu. Ale już wkrótce go poznają, podobnie jak Jig pozna i nauczy się szanować prawdziwą Vekę.

Rozdział dziewiąty

*Tak, zabił Nekromante, ale czy wyobrażacie sobie gobliny usiłujące wymówić: Witaj, Jigu
Nekromantobójco? A poza tym jak do czegoś takiego znaleźć rym?*

[Goblini bard]

Ogry nie wypuściły Jiga z pustymi rękami. Uczyniły coś znacznie gorszego - dały mu pochodnię.

Już zwykle pochodnie były wystarczająco denerwujące. Jeśli nie zanurzyło się ich w syfii, płomień migotał i gasł przy każdym ruchu. Zresztą nasączenie ich mazią także nie było dobrym wyjściem, chyba że koniecznie chciało się mieć pokapane syfią, zwęglone palce.

Ta była jeszcze gorsza. Przy braku syfii ogry musiały obejść się tym, co było dostępne.

- Płonące goblinie łajno na patyku - wymamrotał Sznyt, wymachując polanem. Uporczywie omijał wzrokiem Jiga, którego koszula zaczynała sztywnieć od zasychającej krwi.

- Zawsze możesz ją wyrzucić - zaproponowała Grell. - Pójdiesz przodem i dasz nam znać, jak nadepniesz jakiegoś węża jaskiniowego.

- A co za różnica? - prychnął Sznyt. - Wężę czy chochliki, i tak zginiemy.

- Chochliki nie... - Mocniejszy powiew pchnął dym Jigowi prosto w twarz. Kaszląc i parskając, Jig odsunął pochodnię jak najdalej od siebie. Na dodatek smród przywabiał chmary much, które bzyczały mu nad głową i coraz to lądowały na uszach, a Ciapek biegał mu po czaszce, polując na owady.

- Masz. - Grell wyciągnęła z kieszeni jakieś szmaciane zawiniątko.

- Co to? - wychrypiał Jig.

- Cukrowy supełek. Scukrzony, utwardzony miód. - Chwyliła go za kiel i pociągnęła w dół jego głowę. Wprawnym ruchem uwiązała mu gałganek na kle i wepchnęła guzek pod język. - Uspokaja dzieci. Powinien nieco zneutralizować zapach.

Jig ostrożnie possał gruzełek. Materiał był zapiaszczony i szorstki, ale zawartość słodka, owocowa. Lepsze to niż dym płonącego łajna, choć cukierek pozostawiał gorzkawy posmak na języku, który coś mu przypominał. Zmarszczył brwi, usiłując go skojarzyć.

- Piwo klakowe, tak?

Grell wzruszyła ramionami.

- Mówiłam, uspokaja dzieci.

Ssąc, czuł na dziąsłach i języku charakterystyczne mrowienie. Dym nadal roztaczał okropną woń, ale teraz nie wywoływała już mdłości.

- Co teraz? - spytał Braf. Wywijał swoim hakiem, jakby atakował wymagowanego chochlika.

- Skąd mam wiedzieć? - Jig zwalczył przemożną ochotę wkręcenia mu płonącej głowni w gębę. Dlaczego ciągle go o to pytali? - Kralk powierzyła mi to zadanie tylko dlatego, że chciała się mnie pozbyć. Nie mam pojęcia, jak walczyć z chochlikami. I nie mam pojęcia, jak wrócimy do domu. Przestańcie się mnie o wszystko pytać! Nie wiem, po prostu nie wiem!

Braf zastygł w pół wymachu. Sznyt przystanął, skrzyżował ręce na piersiach i oparł się o ścianę.

- Żadnych więcej cukrowych supelków. Tobie już starczy - burknęła Grell.

Nagły wybuch wypalił błyskawicznie gniew, zostawiając tylko zmęczenie. Jig stłumił ziewnięcie, zdając sobie sprawę, jak głupio by to wyglądało.

- Ale przecież mówiłeś ogrom, że zajmiesz się chochlikami - wytknął mu Braf.

- Chciały nas zabić! - zirytował się Jig. - A w ten sposób...

- Wyręczą je w tym chochliki - prychnął Sznyt. - Miło z twojej strony, że oszczędziłeś im wysiłku.

Mieli rację, Jig wiedział o tym aż nadto dobrze. Ale to wszystko ich wina. To oni ciągle nazywali go Jigiem Smokobójcą i oczekiwali, że znajdzie wyjście z każdej sytuacji. Czy w ogóle nie zdawali sobie sprawy, ile razy niemal zginął podczas tamtej głupiej wyprawy? Sam z trudem uchodził śmierci, więc jak miał uchronić przed nią dodatkowo dwa inne gobliny oraz hobgoblina?

Ciapek połaskotał go w kark, umykając przed dymem na drugie ramię.

No dobrze, jak dotąd udawało mu się utrzymać przy życiu pupila. Pogłodził łepkę pająka, żalując, że nie może ukryć się w jakiejś szczelinie i przeczekać tego zamieszania z chochlikami. Czyż nie to właśnie robiły ogry? Chowały się głębiej w tunelach, mając nadzieję, że chochliki ich nie znajdą. Oczywiście, jeśli powiedzie grupkę za nimi, to albo ich znajdą i skończą z nimi chochliki, albo znajdą ich i skończą z nimi ogry. Można się było tylko zastanawiać, które to uczynią w mniej nieprzyjemny sposób.

Nawet Tymalous Ciemnogwiazdy nie wiedział, jak walczyć z chochlikami, więc co ma robić Jig?

Na pewno nie wszystko naraz. Małymi kroczkami. Najpierw musisz pozbyć się tych dwóch, które cię ścigają. O resztę będziesz się martwić później.

Gdyby Ciemnogwiazdy miał materialną postać, Jig rozbiłby mu nos.

To twoja wina! Ty kazałeś mi iść z Wallandem. Ty...

Co z tego? Wcześniej czy później i tak czekała cię konfrontacja z chochlikami. Jasne, mógłbyś się kryć w świątyni, jak zwykle, ale na dłuższą metę nic by to nie dało. Im szybciej się z nimi zmierzysz, tym lepiej.

Przynajmniej byłaby jakaś dłuższa meta. Z której strony wcześniejsza śmierć jest lepsza?

Bóg milczał. Jig usiadł, ssąc nerwowo cukrowy supełek. Dobra. A więc miał walczyć z chochlikami. Nie, zaraz. Ciemnogwiazdy mówił, że ma się ich pozbyć. A to nie znaczy, że musi z nimi walczyć osobiście. Może zrobić w to Sznyta albo Brafą.

Jeden rzut oka na wspomnianych wojowników wystarczył, by zrezygnować z tego pomysłu. Sznyt nie miał broni, zaś jeśli chodzi o Brafę, wystarczyłoby, żeby chochlik latał wokół niego, dopóki ten nie nadziałby się na własny hakiel.

Ciapek drgnął, wysyłając falę ciepła. Chochliki były coraz bliżej. Gigantyczny pajak ognisty, oto co przydałoby się teraz Jigowi. Z odpowiednio mniejszymi ofiarami Ciapek obchodził się tak brutalnie jak gobliny ze swoimi - łapał je i piekł niemal jednocześnie.

Jig podniósł się powoli. Po drodze mijali odnogę, z której wydobywała się woń spalenizny. Wtedy, skupiony na strachu o swoje życie, nie rozpoznał jej, ale teraz skojarzył podobieństwo - taki sam zapach miały stare pajęczyny Ciapka. Tyle że ten tu był zdecydowanie silniejszy.

- Co robisz? - spytał Braf.

- Wstaję. Chochliki się zbliżają - odparł Jig, odsuwając się od reszty. Nikt się nie poruszył, by za nim iść. Bardzo dobrze.

Grell odkaszlnęła i splunęła.

- Znaczą masz jakiś plan?

- Jestem goblinem, jakbyś zapomniała - wykrztusił Jig, tłumiąc irracjonalny chichot. Czy chichotanie śmierci w twarz to objaw hysterii? - A my nie planujemy niczego.

* * *

Jig nie zdążył odejść daleko, gdy tunel pojaśniał poświatą nadlatujących chochlików. Wkrótce fioletowa luna rozszczepiła się na dwie migotliwe, bzyzące kule - niebieską oraz różową. Lecąca przodem różowa chochliczka zatrzymała się i zawisła nad Jigiem, krzyżując ramiona na piersiach. Jig czuł na twarzy powiew wachlujących skrzydełek.

- Ty jesteś Jig Smokobójca - raczej stwierdziła, niż spytała.

Jig kiwnął głową.

- A ty? - rzekł, sam zaskoczony, że głos mu prawie nie drży.

- Pynne. - Wylądowała na palcach stóp, nie przestając machać skrzydełkami, by utrzymać równowagę, i zadarła ku niemu głowę. Jej puciołowata twarzyczka, o szerokim czole i pulchnych policzkach, wyglądała jak księżyc w pełni. Wokół okrągłej buzi niczym puchata chmura kłębiła się burza białych włosów. Na białym odzieniu połyskiwały żółte paciorki. Chochliczka zmarszczyła nos, niuchając dym pochodni, ale nie uczyniła żadnej uwagi.

Jig, któremu natura poskapiła wzrostu, zawsze musiał zadzierać głowę, patrząc na inne gobliny. Albo raczej uchylać ją przed ich pięściami. Teraz spoglądał na swojego wroga z góry. Pynne była taka mała. Wydawało się, że wystarczy jeden kopniak, by pogruchotać jej kości.

- Tylko spróbuj - wyszemrała słodko.

Jig nie drgnął. Mimo różnicy wzrostu te dwa ciche słowa sprawiły, że poczuł się przy niej malutki.

- To ty zabiłeś smoka? - zapytała.

Irytacja momentalnie zagłuszyła jego strach. Niedawno przechodził to samo z Wallandem, ile można?

- Tak, ja - warknął.

- Było was więcej, kiedy uciekliście z Bezdennej Otchłani, gdzie są tamci?

Jig zawahał się na sekundę. Gdzie jest Veka i ile chochliki wiedzą?

- Ogry ich zabiły.

Pynne zmarszczyła brwi.

- Jakie ogry?

Ups. Wsypał Troklę. Ale jak to się stało, że chochliki nie wiedziały o ograch?

Jesteś pewien, że kontrolowały Vekę?

Absolutnie, potwierdził Ciemnogwiazdy.

Pynne westchnęła, zabrzmiało to jak świstanie ptaka.

- Mówiłam innym, że kilka ogrów uciekło, ale mi nie wierzyli.

Unoszący się za nią błękitny chochlik przewrócił oczami.

- Tak, tak. Wszyscy zawsze się mylą, tylko ty jedna masz rację. Mam polecieć dalej i się nimi zająć?

- Nie, Farnax. - Zaświeciła intensywniej, gdy jej towarzysz zaczął mówić. Nawet Jig słyszał rozdrażnienie w jej tonie. - Odnaleźliśmy Jiga Smokobójcę. Naszym zadaniem jest odeskortowanie go do królowej.

Farnax podleciał wyżej i musnął strop, sypiąc iskrami. Przeklinając, sfrunął na ziemię i rozprostował skrzydełka.

- Jak wy możecie mieszkać w tych koszmarnych, parnych i brudnych katakumbach? Przecież tu nie da się głębiej odetchnąć, żeby nie rąbać o skałę.

- Dostyc - syknęła Pynne. Farnax skulił się i pospiesznie przytaknął. Nie było wątpliwości, kto tu dowodzi.

- Dlaczego królowa mnie ściga? - zapytał Jig.

Skrzydełka Pynne znieruchomiały.

- Jesteś Jig Smokobójca. Zabijając smoka, otworzyłeś nam przejście. Jeden raz już się przysłużyłeś królowej, a teraz zrobisz to ponownie. Nauczysz nas władać magią tego świata.

- A co z... - Jig zamknął usta, zanim wymknęło mu się imię Veki. Chochliczka najwyraźniej nic o niej nie wiedziała. Inaczej nie potrzebowałaby go żywego.

Wytrzeszczył oczy, kiedy dotarła do niego reszta wypowiedzi. On otworzył drogę chochlikom? To jakaś pomyłka! Przecież pamiętałby otwieranie portalu do innego świata.

- Co z czym? - podchwycił Farnax.

- Z resztą goblinów? - wykręcił się Jig. - Tymi w górnych tunelach. Co z nimi zrobicie?

Pynne wzruszyła ramionami i podfrunęła w górę.

- To samo co z innym robactwem, które załęgłoby nam się w domu.

Odwróciła się, machając na niewielkiego węża skalnego, który pełził ku nim tunelem. Z początku nic się nie działo. A potem wąż syknął i zaczął kasać własne ciało. Wił się coraz gwałtowniej, coraz bardziej konwulsyjnie, aż w spazmach odrywał się cały od podłoża. Wreszcie po raz ostatni szarpnął łbem, zatopił kły w cielsku i znieruchomiał.

Dopiero wtedy Jig przyjrzał mu się dokładniej. Szybko pojął, dlaczego wąż zaatakował sam siebie. Z krawędzi łusek zwierzęcia sączyła się krew. Pynne sprawiła, że zaczęły wrastać w tkankę i zabiły węża.

- Rozumiemy się, goblinie? - uśmiechnęła się do niego chochliczka.

Jigowi zrobiło się niedobrze. To niesprawiedliwe. Gobliny wkładały tyle wysiłku, by zachowywać się głośno, brutalnie i siać postrach. A Pynne pokona je z uśmiechem na ustach, jednym ruchem dłoni.

Wpatrywał się w martwego węża. Zamierzały wybić gobliny co do nogi i oczekiwały, że Jig pomoże im, by ocalić własne życie?

Wiedziały więc co nieco o goblinach. Postąpił krok w tył.

- Mówiłaś, że chcecie nauczyć się kontrolowania magii naszego świata?

- Właśnie - potwierdziła Pynne, podfruwając tak blisko, że Jig czuł ciepło, które emitowały jej skrzydelka. Ciąpek co prawda był gorętszy, ale i chochliczka generowała pokaźną dawkę ciepła.

- Uciekłem od ogrów, bo potrzebuję więcej magii, żeby je pokonać - rzekł Jig. Był fatalnym kłamcą, ale miał nadzieję, że Pynne tak samo trudno odczytać mimikę goblinów, jak jemu chochlikową. - Po zabiciu smoka wszedłem w posiadanie różdżki potężniejszej, niż mógłbym zamarzyć. Jej moc jest tak ogromna, że może przekształcić całe wnętrze tej góry.

Chochliki zerknęły po sobie.

- I gdzie ona jest? - zapytał niebieski.

Jig zerknął na truchło gada. Nie wyobrażał sobie, że kiedyś będzie mu żal węża skalnego.

- Zaprowadzę was.

* * *

Wędrownka w towarzystwie chochlików miała swoje plusy. Po pierwsze, Jig mógł się wreszcie pozbyć tej okropnej pochodni. Inną, niemal tak samo dużą korzyścią było to, że owady przestały go dręczyć, przenosząc zainteresowanie na jaśniejące istoty. Jig powściągnął uśmiech, obserwując, jak Pynne odgania wyjątkowo zakochaną ćmę.

Do tego wszystkiego Jig nie musiał się już martwić o węże skalne. Jeszcze dwa podpełzły

do nich zbyt blisko. Tym razem Pynne nie zawracała sobie głowy przedstawieniami. Po prostu zmusiła je, by pokąsały się i zdechły od własnego jadu.

- Myślałem, że nie potraficie używać naszej magii - rzekł Jig, obserwując, jak drugi wąż nieruchomieje z zębami zatopionymi we własnym grzbiecie.

- Nie używamy jej - odparła Pynne. - Najsilniejsi z nas nauczyli się gromadzić i przechowywać moc w sobie, ale po jakimś czasie, z dala od własnego świata, zapasy te się wyczerpią. Wtedy zniknie nawet zaklęcie, dzięki któremu możemy mówić waszym językiem.

Farnax spojrzał na Jiga groźnie.

- Ale to nie znaczy, że nie starczy nam sił, by cię zabić w przypadku zdrady.

- Och, Jig by czegoś takiego nie zrobił - uśmiechnęła się Pynne. To był ten sam uśmiech, który zawitał na jej ustach, gdy patrzyła, jak pierwszy wąż ginie w męczarniach. Pojaśniała, okrążając głowę Jiga. - Powiedz nam coś więcej o tej różdżce.

Jig zastrzygł uchem, wygrzebując z pamięci zasłyszane legendy.

- Wielki mag z jej pomocą stworzył te tunele i grotty. Ma ona moc transformowania istot, rzeczy, niemal wszystkiego.

- Idealne narzędzie - mruknęła Pynne.

- Skoro masz tę różdżkę, dlaczego nie użyłeś jej przeciwko nam? - Farnax patrzył na niego podejrzliwie.

- Nie mam jej przy sobie. - A nawet gdyby miał, nie był pewien, czy Laska Stworzenia zadziałałaby w bąblu świata chochlików. - Mieszkam wśród goblinów, muszę się nieźle namęczyć, żeby nie stracić butów. - Wystawił nogę. Przez te wspinaczki i ucieczki niebieska skóra znajdowała się w oplakany stanie, a białe futerko skudliło się i sfilcowało. - Na kwestie mienia i własności gobliny zapatrują się odmiennie niż inne rasy.

- Wasza społeczność opiera się na zasadach komuny? - zaciekawiał się Farnax. - Macie wspólną własność, dzielicie się rzeczami i dajecie je potrzebującym?

- Nie, każdy ma swoje rzeczy, dopóki nie odbierze mu ich silniejszy.

- Ale jeśli dysponujesz tak potężnym artefaktem, mógłbyś zniszczyć każdego, kto próbowałby ci go odebrać - wtrąciła Pynne.

- Musiałbym zniszczyć całe plemię - mruknął Jig. Nie wspominając o tym, że do końca życia nie zmrużyłby oka. Mało to razy budził się, gdy jakiś goblin zdejmował mu buty?

W miarę zbliżania się do otchłani wiatr się nasilał, a powietrze stawało się suche. Oba

chochliki miały problemy z równym lotem. Szczególnie Farnax ciągle obijał się o ściany i przeklinał.

Jig pokasływał co jakiś czas. Miał podrażnione gardło dymem pochodni, a choć chochliki nie wydzielają woni tak ohydnej jak paliwo ogrów, ich zapach był również duszący. Jakby roztopiony metal zmieszany ze słodkim aromatem, podobnym do tego w kwitnących ogrodach Strauma.

- Dlaczego opuściliście swój świat? - zagadnął.

- Nie mieliśmy wyboru, narodziła się królowa - odparła Pynne.

- Rozkazała wam odejść? - Jig nie wiedział zbyt wiele o królach i królowych, ale wydawało mu się to bezsensowne.

- To były niezaplanowane narodziny - wyjaśniła Pynne. - Władająca królowa niemal nigdy nie wydaje na świat dziedziczki wcześniej niż u schyłku życia, ale czasem zdarzają się takie wypadki. Gdy urodzi się druga królowa, jedynym wyjściem jest wygnanie. W innym razie wojna zniszczyłaby całą naszą rasę. A więc stoczyła się walka o władzę, a tutaj znalazły się chochliki, które odniosły klęskę. Choć to akurat nie było żadnym pocieszeniem, biorąc pod uwagę, co potrafili ci przegrani.

- Dlaczego tamta królowa nie zabiła tej zaraz po narodzinach?

Oba chochliki zastygły. Wzrok płata mu figle czy załśniły mocniej?

- Nie można zabić królowej - wyszeptała Pynne.

Choć chochliki pochodziły z innego świata, Jig szybko zorientował się, że w tym momencie należałoby zaprzestać pytań. Jego instynkt wydierał się, żeby zmienić temat. Oczywiście, gdyby Jig słuchał swojego instynktu, po pierwsze nigdy nie wytknąłby nosa poza goblinie tunele.

- Nawet jeśli jest tak potężna, to czy druga królowa nie dysponuje równą mocą? - spytał, kuląc się w oczekiwaniu na gwałtowną reakcję. - Przecież musi kiedyś spać, prawda?

Pynne zadrżała. Dziwnie to wyglądało u wiszącej w powietrzu rozjarzonej istoty. Całe jej ciało wpadło w wibracje, a Jiga rozbolewały oczy od patrzenia w drgające światło.

- Nie jesteś w stanie tego pojąć. Każdy, kto spojrzy na królową chochlików, czuje tylko miłość. To jej moc. A uczucie, które wzbudza, jest tym silniejsze, im jest młodsza. Wzmaga się też, gdy śpi lub jest bezbronna. Potęga nowo narodzonej królowej jest tak wielka, że potrafi wypalić lojalność poddanych matki. Wychowywała się w izolacji, dopóki nie dorosła na tyle, by

znieść podróż do waszego świata. Nawet najgorszy arcyłotr o sercu z kamienia gotów będzie oddać za nią życie już w pierwszej chwili, kiedy na nią popatrzy.

- Zobaczysz, goblinie. Z tobą będzie tak samo - dodał Farnax.

Jig usiłował wyobrazić sobie taką lojalność. Polityka goblinów była agresywna, bezkompromisowa i zabójcza. Gobliny słuchały swego wodza tylko dlatego, że w razie nieposłuszeństwa zostałyby zabite. Problem w tym, że wódz nie mógł znajdować się w wielu miejscach jednocześnie. W wirze walki strach przed bezpośrednim i nieuniknionym zagrożeniem ze strony wroga z wielkim mieczem brał górę nad lękiem przed karą z rąk wodza, który może przeżyć starcie albo i nie. Jeśli Pynne oraz Farnax mówili prawdę, chochliki nigdy nie uciekłyby z pola bitwy. Nigdy nie zaprzestałyby walki, poświęciłyby ostatki sił, by zgładzić wrogów. Czyli w tym wypadku Jiga i pozostałe gobliny.

Tak pochłonęło go roztrząsanie kwestii wierności, że omal nie przegapił celu, do którego zmierzał. Dopiero niespokojne dreptanie podekscytowanego Ciapka wyrwało go z zamyślenia. Rozejrzał się wokół.

- To tutaj. - Wąska poprzeczna szczelina w ścianie pod sklepieniem. W tym miejscu wyczuł fetor spalenizny. Jeśli się mylił, chochliki go zabiją, ale jeśli miał rację...

Po co się oszukiwać? Przecież zabiją go tak czy inaczej.

- Różdzka jest tam? - upewnił się Farnax, podlatując do szpary.

Jig podskoczył, zaczepił palcami o krawędź i próbował się podciągnąć. Buty ślizgały mu się po wilgotnej skałę. W końcu Pynne straciła cierpliwość. Mamrocząc pod nosem, złapała go za nogawkę spodni i podciągnęła. Farnax zrobił to samo z drugą. Przy wydatnej pomocy chochlików Jig wdrapał się do otworu.

W dziurze trzeba było się czołgać. Jig nawet nie chciał myśleć, co będzie, jeśli dalej choć odrobinę się zwęzi.

- Mam nadzieję, że się oplaci - usłyszał głos Farnaxa. - Te korytarze doprowadzą mnie do oblędu. Mam wrażenie, jakby pochowano mnie żywcem. - Niebieski chochlik dostał się do kanału. Idąc, patrzył z obrzydzeniem na skalne ściany. Nie dało się tu lecieć. Prawdopodobnie nie widział też przed sobą nic poza zadkiem Jiga. Nic dziwnego, że zrzędził.

Pełznąć, nadział się bokiem na rękojeść miecza. Ciapka deptał po jego ramieniu rozgrzany, ale inaczej niż w obliczu niebezpieczeństwa. Fale ciepła rozchodziły się szybko, jedna po drugiej, jakby w rytm bicia jego serca. Pająk nie próbował się też ukryć. Wprost przeciwnie,

sprawiał wrażenie, że nie może się doczekać, aż dotrą na miejsce. Zbiegał po ręce Jiga, po czym odwracał się, jakby chciał zapytać, czemu to trwa tak długo.

Jig miał nadzieję, że to dobry znak. Słyszał opowieści innych goblinów o gniazdach ognistych pajaków, ale sam dotąd żadnego nie widział. Zwykle Samica składała jajeczka w wodzie i pozostawiała je. Po wykluciu młode pająki, które przeżyły wędrówkę tunelami, znajdowały sobie osobne terytoria myśliwskie. Jednak w tych korytarzach, zasobnych w przyciągane smrodem śmieci pożywienie, mogły żyć w kolonii. Właśnie na to liczył Jig.

Zatrzymał się, by przetrzeć okulary. Prawie nic nie widział przez zaparowane od potu i wilgoci soczewki. Towarzyszyła mu chmara małych owadów, które bez przerwy przysiadły mu na karku i uszach.

- Dziwne miejsce na ukrycie skarbu - odezwał się Farnax. - Ciasna dziura, której wejścia nawet nie mogłeś osiągnąć? Jak byś wydobyl różdżkę, gdybyśmy nie pomogli ci się tu wdrapać?

Jig zagryzł wargę. Większość goblinów nie zauważyłaby tej sprzeczności.

- Mogłem wejść sam - zaprotestował. - Tylko że w walce z ogrami nadwyrężyłem sobie mięśnie.

Żałował, że nie ma miejsca, by zerknąć w tył i sprawdzić po minach chochlików, czy mu uwierzyły.

- Raczej mięśnie nóg podczas ucieczki przed nimi - mruknął Farnax. Najwyraźniej od pierwszego wejrzenia nie darzył go sympatią.

Jig wpełzł wyżej, do węższego odcinka tunelu. Przy okazji zablokował ciałem całe światło chochlików, a to umożliwiło mu dostrzeżenie czerwonej poświaty w głębi kanału. W miarę wędrówki robiło się coraz cieplej, a zapach spalenizny intensywniał.

- Już niedaleko - szepnął.

Ciapek zeskoczył z niego i pognął do przodu. Jig próbował go złapać, ale za późno. Pająk rozpląnął się w mroku.

- Ciapek, czekaj!

Nie, tak jest lepiej. Jeśli coś pójdzie nie tak, pupil będzie bezpieczniejszy z dala od niego. Mimo to Jig z trudem przełknął ślinę, czując w gardle piekącą gulę. Ciapek towarzyszył mu wiele lat, tyle razem przeszli, a teraz głupi pająk ognisty go opuścił.

Jig przecisnął się pod nawisem i spojrział w górę. Widok zaparł mu dech w piersiach.

Grota przerosła jego wyobrażenia tak pod względem rozmiarów, jak i ilości mieszkańców. Setki pajęczyn rozwieszonych pomiędzy ścianami oraz pod sklepieniem upstrzone były mumiami owadów - od maleńkich komarów do księżycowej ćmy wielkości dłoni Jiga. Rozejrzał się w poszukiwaniu Ciapka, ale nie wiedział, czy byłby nawet w stanie rozpoznać go wśród setek pajaków.

- To tu - szepnął Jig, zasłaniając sobą wlot do groty. Pod przeciwległą ścianą dostrzegł plamę lśniącej czerni. To musiała być sadzawka, w której pająki składały jaja.

Chochliki zabiłyby go natychmiast, gdyby wyczuły zdradę. Nie, to nieprawda. Farnax już go podejrzewał. Tak czy inaczej, musiał działać niezwłocznie.

Przyjrzał się pajęczynom. Większość; rozciągała się blisko wyjścia, co było logiczne. Niewielu owadom udawało się dotrzeć dalej. Jedyna wolna przestrzeń pozostawała na wprost tunelu, umożliwiała swobodny przepływ powietrza. Ta przerwa stanowiła jedyną szansę Jiga. Podciągnął nogi na tyle, na ile pozwalała mu ciasnota kanału, chwycił się rękoma za brzegi otworu i napiął mięśnie.

- Co robisz? - spytała Pynne.

Jig kopnął ją z całej siły. Usłyszał, jak Farnax, na którego wpadła, przeklina, i rzucił się do jaskini. Poruszał się tak nisko jak mógł, ale i tak zahaczył uchem pajęczynę, a potem jeszcze raz, ramieniem.

Pająki zareagowały na zamieszanie instynktownie, tak jak to zwykły robić w razie niebezpieczeństwa. Uciekły, podpalając pajęczyny. Jig czołgał się jak potrafił najszybciej, aż wreszcie, z płonącym rękawem oraz włosami, skoczył szczupakiem do płytkiej sadzawki. Woda zasyczała, uniosły się z niej smużki pary. Jig przetoczył się i zmrużył oczy, by dojrzeć coś zza zalanych soczewek.

Chochliki wpadły do groty na złamanie karku.

Farnax pierwszy. Nie zdążył wyhamować. Błękitne światło przygasło niemal zupełnie, ogarnięte pomarańczowymi językami ognia. Ciało chochlika uderzyło w skalną ścianę i opadło, płonąc.

Pynne miała więcej szczęścia. Farnax zrobił wyrwę w pajęczynach, więc zapaliły jej się tylko skrzydełka. Zdołała wykręcić i zawrócić. Wleciała do tunelu i tam spadła.

Jig wyczołgał się z wody i skierował ku przejściu, uważając, by nie dotknąć resztek potarganej pajęcej kurtyny. Pynne szarpała się, odrywając kawałki płonących skrzydeł. Jig

ruszył na nią z mieczem w ręku.

Pynne pojaśniała na jego widok. Zostawiając w spokoju dymiące skrzydła, uniosła ręce, by rzucić zaklęcie. Jig nie miał miejsca, by wyprowadzić cięcie, ale udało mu się uderzyć w jej dłońe płazem.

Pynne krzyknęła, cofając ręce. Jig podpełził i oparł czubek miecza o jej pierś.

- Przestań! - wrzasnęła chochliczka. Wykrecała się rozpaczliwie przed ostrzem, w trakcie miotania odłamując kolejny fragment spalonego skrzydła. - Zabierz to, błagam. - Na skórze, w miejscach, gdzie dotknął jej miecz, widniały ślady oparzeń.

Prawe skrzydło chochliczki wyszło z przygody niemal nietknięte, za to z lewego została ledwie połowa. Brzegi zranienia jarzyły się bursztynowym blaskiem. Jig zaryzykował zerknięcie przez ramię, aby upewnić się, że Farnax nie żyje. Nie musiał się martwić. Ciało chochlika zniknęło pod falą ognistych pajaków, pomiędzy których wydobywały się słabe błękitne promyki.

Usłyszał szmer poruszenia Pynne. Zaatakował, ale chybił. Chochliczka machnęła ręką na miecz. Nie, nie na miecz, na skórzaną okładzinę trzpienia.

- Może i ostrze jest z zabójczego metalu, ale skóra to nic innego jak martwa tkanka - syknęła, cofając się. Rzemień drgnął pod palcami Jiga i zaczął pełznąć wzwyż, owijając dłoń oraz przegub. Jig próbował odrzucić broń, ale skóra wżarła mu się w ciało.

- Zdradziłeś nas - rzekła Pynne.

- Jestem goblinem. - Jig złapał za miecz oburącz. Zyskał tyle, że i drugą dłoń zaatakował rzemień. Szarpnął mocno, uderzając łokciem w ścianę.

- Królowa wynagrodziłaby cię za pomoc, a tak własna broń wydusi z ciebie ostatnie tchnienie. Myślałeś, że pokonasz nas podstępem? Przysięgam ci, zgładzimy waszą rasę co do ostatniego goblina. - Twarz rozjarzyła jej się różowym światłem. Chochliczka padła na ziemię.

Rzemień oplatał już łokieć. Jig potrząsnął ręką, usiłując odrzucić miecz. Ostrze szczyknęło o skałę, wstrząs uderzenia zawibrował aż w kościach.

- Zaraz, myślałem, że mnie potrzebujecie? Jak nauczycie się władać naszą magią beze mnie?

Pynne potrząsnęła głową.

- Tylko przyspieszyłbyś cały proces. Ale nie pierwszy raz musimy przystosować się do obcego świata. Zawsze znajdzie się ktoś, kto chętnie nam pomoże w zamian za nagrodę, którą ty

odrzuć.

Jig poczuł koniuszek rzemienia na policzku. Odchylił głowę, ale nie mógł się przecież odsunąć od własnego ramienia! Pasek połaskotał go w szyję, zawisł w powietrzu niczym odnóże Ciapka, wyciągając się dalej... i dalej...

Jig spojrzął na miecz. Na rękojeści pozostał już tylko kawałek skóry - ramię było za krótki, by owinać się wokół jego szyi.

Pynne także to zauważyła. Uniosła dłonie. Jig skoczył. Tym razem był szybszy. Chochliczka zginęła szybko i krwawo.

Jig szarpnął ręką w nadziei, że wraz ze śmiercią Pynne czar prysnie, ale, niestety, ramię jedynie stężało, stwardniało na kamień. Sztywny koniec paska skóry dźgnął go w policzek.

Jig odwrócił się, żeby poszukać Ciapka. Na ciele upieczonego na chrupko chochlika zerwała cała masa ognistych pajaków. „Chochlik na chrupko” - doskonały tytuł piosenki.

- Żegnaj, Ciapku. - Jig zaczął wycofywać się z jaskini. Ciapkowi będzie tu lepiej, ze swoimi. Mają tu dużo jedzenia, a co ważniejsze, są bezpieczne. Nie chciałby, żeby pupil był gdzieś w pobliżu, gdy chochliki przyjdą rozprawić się z goblinami.

Od mrowiącej się gromady oderwał się pojedynczy ciemny kształt i ruszył w stronę Jiga. W odnóżach targał kawałek czegoś, co promieniowało słabą błękitną poświatą.

Jig uśmiechnął się tak szeroko, że aż go zabolęły policzki. Ciapek wpełzł na wyciągniętą rękę, usadowił się na swoim siodełku i zabrał do jedzenia.

- Przepraszam, przyjacielu. Dawno cię nie karmiłem.

Właściwie sam także dawno nic nie jadł. Wrócił do miejsca, gdzie padła Pynne...

* * *

Braf, Grell oraz Sznyt siedzieli tam, gdzie Jig ich zostawił. Usłyszał głosy z daleka, jeszcze zanim zobaczył nikły poblask małego ogniska. Wyklócali się bardzo głośno, aż dziw brał, że nie zdybał ich jeszcze jakiś kot tunelowy.

- Powinniśmy iść za ogrami! - wrzeszczał Sznyt. - Uciekają z podkulonymi ogonami, nawet się nie zorientują.

- Ogry nie mają ogonów - zauważył Braf. W następnej sekundzie stęknął boleśnie, jakby

ktoś przyłożył mu czymś twardym, na przykład szczudłem.

- Wystarczy, że choć jeden obejrzy się przez ramię, a będzie po nas - stwierdziła Grell. - Śmierdzisz tak, że wyczują cię na sto kroków.

- A co innego możemy zrobić? - pieklił się Sznyt. - Wrócić tam i grzecznie poprosić chochliki, żeby nas przepuściły? Błagać, żeby nie zrobiły nam krzywdy, tak jak wy, gobliny, to robicie, chcąc przejść przez terytorium hobgoblinów?

- Szkoda, że Jig cię ożywił, jak Grell cię zabiła! - krzyknął Braf. - Jak wróci, to...

- Chyba nie sądzisz, głupku, że on wróci? - parsknął Sznyt. - Jeśli ma choć kroplę oleju w głowie, ucieknie jak te tchórzliwe ogry. A jeśli naprawdę próbował walczyć z chochlikami, to teraz gdzieś tam...

Klinga miecza szczęknęła o kamienne podłoże. Jig starał się nieść broń przed sobą, ale z każdym krokiem stawała się coraz cięższa.

- To ja - zawołał. Usłyszał poruszenie.

- A co ty tu robisz żywy? - zdumiał się Sznyt.

Teraz Jig już ich widział. Stali za smrodzącym małym ogniskiem. Braf z wysuniętym na sztorc hakłem, Grell trzymając jedną z kul niczym maczugę, zaś Sznyt z uniesionym do uderzenia kamieniem. Trudno powiedzieć, czy gotowali się na atak chochlików, czy właśnie mieli przejść od sprzeczki do rękoczynów.

- Chochliki nie żyją - oświadczył Jig.

- Wszystkie? - spytał Braf.

Z tak przytwierdzonym do ramienia mieczem Jig z łatwością mógłby zdzielić Brafa ostrzem.

- Nie - warknął. - Te dwa, które nas ścigały.

- O? Coś ci się stało z mieczem? - zauważył Sznyt. - I jakby przerzedziła ci się fryzura.

Jig pomacał się po placku krótkiej szczeciny na głowie. Włosy nie powinny być takie kruche i sztywne.

- Skąd mamy wiedzieć, że naprawdę nie żyją? - prychnęła Grell. - Mówiłeś, że kontrolują Veke i tego tu głupka z blizną. Oni...

- Hej! - obruszył się Sznyt groźnie i kwiknął tryknięty w gardło kulą Grell. Zgiął się wpół, rżąc.

Jig wyjął zza pazuchy zawiniątko i rzucił im je pod nogi.

- Tu macie dowód.

- Co to? - zaciekawił się Braf, trącając pakunek hakłem.

- Resztki ze stołu. - Jig podszedł do Grell, wlokąc za sobą miecz. Ramię mrowiło go nieprzyjemnie, a palce spuchły i były zimne.

I tak masz szczęście. Gdybym nie wzmocnił twoich naczyń krwionośnych i nie wymuszał krążenia, już by ci palce odpadły.

Jig skrzywił się z niesmakiem. Biorąc pod uwagę, że chochliki zamierzały zgładzić rasę goblinów, a jedyny sposób na powrót do domu, jaki przychodził mu do głowy, był wyjątkowo nieprzyjemny, trudno przychodziło mu postrzeżenie siebie jako szczęściarza.

- Pożycz mi nóż, Grell - poprosił.

Braf zdążył już rozwinąć tobolek i właśnie pakował sobie do gęby ochłap jarzącego się mięsa.

- Chcesz podzielić to, co zostało, pomiędzy resztę? - spytała, wręczając mu przedmiot.

- Nie - odrzekł Jig, siadając przy ognisku. Usiłował podważyć czubkiem zakrzywionego noża opasujący ramię rzemień, ale ten nawet nie drgnął. Udało mu się tylko pokaleczyć. Zmienił taktykę, próbując przeciąć skórzany pasek przy rękojeści. Nawet go nie zadrapał.

Wiedział, że nóż jest ostry. Świadczyły o tym krwawiące rany na ręce. Prawdopodobnie magia Pynne utwardziła rzemień.

- Głupie chochliki. - Wyglądało na to, że Jig do końca życia będzie chodził z mieczem przywiązany do ramienia.

- Masz pomysł, żeby się stąd wydostać? - zagadnął Sznyt.

Jig oddał nóż starej niańce.

- Ogry mówiły, że ten smród wydobywa się ze zsypu goblinów.

Grell zrozumiała go z miejsca.

- Z różnymi ohydztwami miałam do czynienia, ale przez to ani myślę przechodzić.

- Jak sobie chcesz - zirytował się Jig. - W takim razie siedź tu i czekaj na chochliki. - Spojrzał na miecz, dumając, czy będzie w stanie wspinać się w wąskim szybie, mając sprawną tylko jedną rękę. Grell też będzie potrzebowała pomocy, oczywiście, jeśli zmieni zdanie w kwestii powrotu do domu. - Braf? Sznyt?

- Mamy włączyć na górę goblinim zsypem? - skrzywił się Sznyt.

- Wiecie co? Mam gdzieś, co zrobicie - oświadczył Jig, zbyt zmęczony na dyskusje.

Pobrzękując mieczem, powlókł się w stronę jaskini ogrów. Za plecami słyszał kroki towarzyszy oraz mamroty złorzeczącego Sznyta.

Nagle zdał sobie sprawę, że odwrócił się do nich plecami, umożliwiając im skrytobójczy atak. Smród gnijących śmieci nasilał się z każdym krokiem. W końcu zgęstniał tak, że Jig czuł go niemal na języku. W tym momencie prawie żałował, że nie skorzystali z okazji i nie uwolnili go od tych męczarni.

Rozdział dziesiąty

Uważny odbiorca może dopatrzeć się pewnych luk w fabułach starych legend - momentów, gdy Bohater nagle znika z opowieści. Pojawia się później, dalece potężniejszy, gotowy już na ostateczne starcie. Niektórzy uważają, że niedopowiedzenia, te są wynikiem ściśle tajnej natury przemiany Bohatera. Inni twierdzą, że narrator pominął niektóre fragmenty celowo, przeskakując do ciekawszych.

[Wyjątek ze wstępu do rozdziału siódmego „Droga Bohatera” (Wydanie dla magów)]

Mimo utrudniającego ruchu miecza Jig zdołał się wspiąć niezły kawałek w górę szybu. Z jego wyliczeń wynikało, że wszedł już na wysokość równą około dwunastokrotnej wysokości góry. Rachuby opierał na subiektywnych wrażeniach. W rzeczywistości labirynty goblinów nie mogły znajdować się więcej jak kilka, może kilkanaście metrów ponad opuszczoną kryjówką ogrów.

Ramię z uwiązany mieczem zwisało bezwładnie wzdłuż ciała. Ostrze ciążyło, a zanim wpadł na pomysł, by osłonić je pochwą, za każdym poruszeniem raniło go w udo. Cały przesiąkł fetorem gnijącego jedzenia, pleśni i znacznie gorszych świństw. Piekla go także skóra na czaszce oraz ramionach, w którą powbijały się igielki ze ścian pokrytych... nie wiadomo czym. Na pewno czymś paskudnym.

Przynajmniej dają nieco światła, pocieszył go Ciemnogwiazdy.

Rzeczywiście, ohydztwo na ścianach emanowało słabą poświatę, a Jig był gotów znieść ukłucia, byle już więcej nie wdychać gryzącego dymu ogrzych pochodni. Zerknął w górę, na wiszące strzępy przypominające błękitnawe włosy. Końcówki włókien mieniły się niebiesko-zielono. Jig spiął się, obserwując, jak zwabiona blaskiem wielka czarna mucha przysiada na jednym z pasm.

W momencie gdy owad je dotknął, strzęp błysnął, porażając ofiarę. Pobliskie nitki oplotły ciało nieszczęsnego insekta, przysuwając go do ogromnego ślimakowatego tworów uczeponego ściany.

Ciemnogwiazdy uważał, że istota ta prawdopodobnie pochodzi ze świata chochlików. Dopóki uwagę stworza pochłaniało pożeranie muchy, jego rodowód był Jigowi obojętny. Ważne,

że mógł się teraz obok niego prześlizgnąć. Zaraz po pierwszym ataku umieścił Ciapka w kaletce. Ciapka był zaprawiony w bojach, ale to coś miało dużo więcej wypustek niż pajak ognisty odnóży.

Zapierając się nogami o ścianę i chwytając jedną ręką występu, podciągnął się kawałek wyżej. Stwór nie zareagował. Po palcach Jiga przemknął maleńki ścierwojad ściskający w szponach odłamek jakiejś kości. W blasku jarzących się końcówek włókien wydawał się błękitnawy.

- Argh! - krzyknął Sznyt. - Zaraz rozedrę tego włochatego ślimora gołymi... Auuu!

- Trzymaj ręce przy sobie, głupcze, bo zabijesz nas wszystkich - warknęła Grell. Z kawałków sznurka porzuconych przez ogry upletli prymitywną uprząż, którą założyli niańce. Braf i Sznyt pomagali jej we wspinaczce, podciągając do góry, przy akompaniamencie stękania i złorzeczeń całej trójki.

- Jesteś pewien, że dostaniemy się tędy do domu? - zapytał Braf.

- A kto inny prócz goblinów jest w stanie wyprodukować takie smrody? - fuknął Sznyt.

- Cicho! - syknął Jig, przekrzywiając głowę tak, aby nakierować zdrowe ucho ku górze.

Kroki, a potem szcęk drzwi.

Przy kolejnym ruchu miecz zadzwonił o skałę. Jig widział nad głową jasną plamę wylotu - nie mdlący blask strzepów, a wesołą zielonkawą lunę latarni goblinów. Już niedaleko. Musi się udać. Otworzył usta, żeby powiedzieć o tym pozostałym.

W tej samej chwili spadły na nich szczątki potłuczonych glinianych naczyń. Jig jęknął uderzony ostrym kawałkiem w czubek czaszki. Odłamki wydzielały woń zepsutego piwa.

Jig podciągnął się wyżej. Wetknąwszy czubki butów w szczelinę, uczynił ostatni wysiłek, by wydostać się z szybu. I niespodziewanie znalazł się oko w oko z młodą goblinką. Nim zdążył coś z siebie wydusić, dziewczyna wrzasnęła, cisnęła latarnią w Jiga i uciekła z krzykiem.

Jig opadł z powrotem w komin, ledwie unikając płonącego pocisku. Jedną stopą szczęśliwie trafił na ramię Sznyta, który nie zrzucił go prawdopodobnie tylko dlatego, że musiał poświęcić wszystkie siły, żeby podtrzymać dodatkowy ciężar.

- Przepraszam - mruknął Jig, wdrapując się ponownie na górę. Latarnia rozbiła się na ścianie za nim, zalewając ciasne pomieszczenie zielonkawym blaskiem.

- Ta tłusta wiedźma nie zmuszała mnie przynajmniej do tarzania się w goblinich śmieciach - mamrotał Sznyt, wyłaniając się ze studni. Odwrócił się, ciągnąc za linę, i wywłócił

uwiązane do niej pozostałe gobliny.

- Właśnie, ciekawe, gdzie Veka? - zainteresował się Braf.

- Sam chciałbym wiedzieć - rzekł Jig. Cały czas zastanawiał się, co z Veką. Pynne i Farnax o niej nie wspomnieli. Może nie żyła. Natknęła się na kota tunelowego lub węza skalnego albo zginęła, próbując ujeździć kolejnego nietoperza. W czasie ucieczki znajdowała się pod kontrolą chochlików, więc dla Jiga lepiej by było, gdyby nie żyła. To właśnie najbardziej utwierdzało go w przekonaniu, że Veka ma się dobrze.

Od wyjścia ze śmietnika dzieliły ich masywne drzwi. Jig naparł na nie, ale były zablokowane od zewnątrz. W labiryntach goblinów nie było wiele drzwi. Bardzo trudno było zdobyć drewno do ich wykonania. Jednak kilka pomieszczeń wymagało szczególnych zabezpieczeń. W tym wypadku framuga została osadzona w naturalnym otworze i wzmocniona zaprawą z kremu rakanokowego. Słodka, kleista pasta smakowała wybornie z rybą, a co ważniejsze, była ulubioną pożywką dla pewnego rodzaju czarnej pleśni, która zasiedlała tak kamienie, jak i drewno, tworząc na ich powierzchni nierozzerwalną skorupę. Wystarczył tydzień, by framuga niemal zrosła się z brzegami otworu. Może ogr dałby radę ją wyważyć w pojedynkę, gobliny musiałyby zabrać się do tego wspólnie. Biorąc pod uwagę, jak często gobliny współpracowały, drzwi mogły tkwić tak całymi latami.

Jig wetknął czubek miecza w szczelinę w zaprawie, próbując sięgnąć ostrzem do rygla po drugiej stronie, ale klinga nie przeszła na wylot.

Spojrzał na miecz, a przed oczami stanęła mu przerażona mina Pynne, gdy ukłuł ją ostrzem. Nazwała je zabójczym metalem. Otrze zostawiło na jej ciele ślady oparzeń. Jeśli wszystkie chochliki tak reagowały na stał, gobliny miały szanse w walce z nimi.

Nie, Pynne pozwoliła mu podejść tak blisko tylko dlatego, że chciała go schwytać żywcem. Podczas walki w górnych labiryntach chochliki nie dopuszczają goblinów na taką odległość.

Atak może nie nastąpić tak zaraz, odezwał się Ciemnogwiazdy. Dwa pierwsze chochliki, które wyszły poza ochronną strefę swojego świata, zostały zabite przez jednego goblina. Reszta będzie teraz dużo ostrożniejsza. Może w ten sposób opóźniłeś nieco ich plany i zdążycie się przygotować.

Silne ramię odepchnęło Jiga na bok.

- Jak nas stąd natychmiast nie wypuscicie, nakarmię waszymi członkami koty tunelowe! I

nie mówię o kończynach! - wrzasnął Sznyt, łomocząc w drzwi. Odwrócił się, przeszukując wzrokiem zarzuconą różnymi szczątkami grootę. - Musi tu być coś, co nada się jako łom. Jeszcze chwilę pobędę w tym smrodzie, a...

- To nazywasz smrodem? - prychnęła Grell. - Spróbuj zmieniać pieluchy, jak cały złobek ma zieloną biegunkę. - Potrząsnęła głową. - Dzieci nigdy nie chorują pojedynczo. Jak jedno się drze i cieknie z niego na zielono, reszta ani chybi dołączy do niego najdalej następnego dnia.

Jig skrzywił się z obrzydzeniem i odsunął od towarzyszy na skraj studni. Udało mu się powstrzymać przez całą drogę tutaj, ale jak zaraz sobie nie ulży, w końcu pęknie mu pęcherz. Zapatrzył się na przywiązany do ramienia miecz. Nie będzie to prosta sprawa.

Przez chwilę szarpał się niezdarnie, przyszczypując się boleśnie w szczelinie pomiędzy rękojeścią a pochwą, ale ostatecznie dopiął swego. I przeżył kolejny wstrząs. Najwyraźniej chochlikowego blasku nie gasiła nie tylko śmierć, ale także żołądek goblina.

Wracając pod drzwi, włókł miecz po ziemi. Po drugiej stronie rozległy się kroki oraz przyciszone głosy. Sznyt i Grell nadal się wyklócali.

Skrzydło drzwi uchyliło się ze zgrzytem. Sznyt odepchnął Jiga, żeby precyzyjnie się przez szczelinę, ale zatrzymał go widok grupki uzbrojonych goblinów. Odsunął się, dając przejście Jigowi.

- Ty pierwszy.

Wychodząc, Jig odetchnął głęboko po raz pierwszy od niepamiętnych czasów, jak mu się wydawało. Powietrze woniało syfnym kopciem oraz potem ciał stłoczonych goblinów, ale w porównaniu ze śmietnikiem był to rajski aromat... Jeżeli oczywiście raj zamieszkują rozwścieczeni gobliniscy wodzowie.

Kralk wystąpiła naprzód, dzierżąc w dłoni straszliwy kiścień. Za nią w półkolu stali wojownicy z obnażonymi mieczami. W bezpiecznej odległości tłoczyła się reszta goblinów, ciekawych, kto tym razem posmakuje zabójczej broni wodza.

- A więc wróciłeś - rzekła Kralk. - Żywy. - Ostatniemu słowu towarzyszyło przeciągłe spojrzenie skierowane w stronę Brafy i Grell, którzy nadal nie wyszli całkiem z cienia śmietnika.

- Jak widzę, zastąpiłeś swojego ogra hobgoblinem. Kiepska zamiana.

Kilka goblinów zarechotało. Sznyt warknął groźnie.

Kralk milczała chwilę, taksując wzrokiem brudnego, obszarpanego Jiga. Bez wątpienia przełknęła już gorycz rozczarowania na widok żywego rywala i kombinowała teraz, jak obrócić

sytuację na swoją korzyść.

- A więc powiedz nam, Jigu Smokobójco - zaczęła z drwiną - jakież to wróg tak przeraził ogry, że aż zwróciły się o pomoc do ciebie? - Wykrzywiła się ironicznie. - Co powiesz na nową balladę o swoich czynach? Mam nawet niezły tytuł. Jak ci się podoba: „Triumfalny powrót Jiga Smkobóbójcy”?

Ku wielkiej irytacji Jiga jego własny umysł natychmiast podchwycił tytuł i podsunął mu resztę.

*Nadchodzi bohater, fleja co się zowie
Szczerbaty miecz jego w rdzy skutu okowie
Jak strzała się trzyma, bo tkwi w krwi skorupie
Pancerz smrodu na nim trzyma łachy w kupie*

*Wrogów pozabijał fetorem swym własnym
Na śmierć cię zaczadzi w pomieszczeniu ciasnym
Herosa śmierdziela strzeż się jak zarazy
Unikaj jak ognia cuchnącej przerazy*

Westchnął zrezygnowany.

- Zaatakowały je chochliki - oznajmił.

Kralk na moment zaniemówiła ze zdumienia.

- Powiedziałeś chochliki? - upewniła się, przekrzywiając głowę.

- Zabiły wiele ogrów, resztę wzięły do niewoli - wyjaśnił Jig. - Nieliczne ocalałe ukryły się w najgłębszych tunelach. Chochliki zamierzają zgładzić gobliny oraz hobgobliny i zrobią to, jeśli ich nie powstrzymamy. Nie mamy...

Przerwał mu wybuch chrapliwego rechotu.

- Chochliki podbiły krainę Strauma! - Twarz Kralk zniekształcił grymas szyderstwa. - Nie mogłeś wymyślić lepszej bajeczki? A jak niby miały się tam dostać, nie przechodząc obok nas?

Spiorunowała wzrokiem gwizdzące, rechocące gobliny. Na dźwięk tych hałaśliwych drwin Jigowi stanęło przed oczami całe dzieciństwo. I większość dorosłego życia.

Skulił się na wspomnienie słów Pynne, że to on właśnie umożliwił im wejście do tego świata. Nadal nie wiedział, o co jej chodziło, ale po co miałyby coś takiego wymyślać?

- Otworzyły magiczne przejście wprost do grotty Strauma. Portal, za pomocą którego przywędrowały ze swego świata.

Niespodziewanie śmiechy zaczęły zamierać. Uwierzyli mu?

- Widziałeś ten portal? - zapytała Kralk.

- Nie sam portal - odrzekł Jig z wahaniem. Przewidywał trudności z namówieniem goblinów do walki z chochlikami, ale nie przypuszczał, że najpierw będzie je musiał przekonać o istnieniu wroga. Może powinien stanąć przed nimi i się wysikać?

Wskazał na śmietnik, gdzie stała reszta.

- Oni tam byli. Mogą...

- Chyba nie sądzisz, że uwierzmy hobgoblinowi? - przerwała mu Kralk. - Albo dwóm gobliniskim nieudacznikom, którzy nie potrafią nawet wykonać prostego rozkazu?

- Jakiego rozkazu? - odezwał się Braf. Grell chwyciła go za ucho, przyciągnęła do siebie i coś szepnęła. Twarz goblina pojaśniała zrozumieniem. - Ach, rzeczywiście. Zupełnie zapomniałem. - Sięgnął po hakiel. - Mam to zrobić teraz?

Grell jeszcze raz szarpnęła go za ucho i trzepnęła w czoło.

Morgenstern zakołysał się, gdy Kralk szarpnęła za trzonek. Do Jiga naraz dotarło, że jej nerwowość nie wynika ze strachu przed chochlikami. Wódz obawiała się jego.

Wysłała go z ogrem, licząc, że pozbędzie się go na dobre. A on wrócił, choć nieco śmierdzący, i przynosi wieści o inwazji na górę. Kralk nie mogła sobie pozwolić na danie wiary jego słowom. Inaczej w oczach całego plemienia Jig znów byłby bohaterem - tym, który dowiedział się o zagrożeniu i wrócił, żeby ostrzec innych. W konsekwencji stałby się naturalnym kandydatem do roli przywódcy w nadchodzącej walce. Bez względu na rozwój sytuacji to Jiga, nie Kralk, gobliny zapamiętałyby jako wybawcę.

- Kłamiesz - warknęła wódz. - A nawet jeśli te chochliki istnieją, nie mamy co się nimi przejmować. I tak najpierw musiałyby się przedrzeć przez terytorium hobgoblinów.

- Myślicie, że odwalimy za was brudną robotę, śmierdzące szczurojady?! - wrzasnął Sznyt, występując naprzód. Jeden z gobliniskich wojowników zaszedł mu drogę. Sznyt odepchnął go, ciskając w tłumek. Kilka innych goblinów zaczęło zbliżać się do niego, groźnie potrząsając mieczami oraz włóczniami.

- Stójcie! - powstrzymał je Jig. Złapał Sznyta za ramię i pociągnął do tyłu.

Oczy Kralk i innych goblinów zwróciły się na Jiga. Jig zawsze uważał, że to hobgobliny były mistrzami pułapek, ale Kralk najwyraźniej też nieźle sobie radziła. Tyle że wysyłając go z Wallandem, sama także wpadła w pułapkę, bo chcąc nie chcąc musiała go teraz zabić. Karą za okłamywanie wodza mogła być tylko śmierć. Jeśli zaś to, co mówił, było prawdą, musiała go wyeliminować, żeby zachować Swoją pozycję.

Po głębszym namyśle Jig doszedł do wniosku, że w rzeczywistości tylko on znalazł się w matni.

- Chyba powinnaś porozmawiać z wojownikami - Wyjąkał, szukając sposobu na wybrnięcie z opresji. - Tylko ty potrafisz przygotować labirynty do obrony. Ja na nic się tu nie przydam. Z trudem uciekłem. Ledwie uszedłem z życiem. Patrz, co mi zrobiły.

Wyciągnął ramię zamaszystym gestem, tak aby Wszyscy dokładnie zobaczyli wrośnięty w skórę rzemień, który przytrzymał miecz. Podczas prezentacji pochwa zsunęła się z ostrza, uderzając wódz w bark.

Przeżalenie chwyciło Jiga za gardło tak nagle, że wydobywający się z jego ust oddech zamienił się w pisk. Stał naprzeciw wódz z obnażonym mieczem.

Uśmiech niemal rozerwał twarz Kralk. Goblinka naprężyła mięśnie, po czym chwyciła kciśnięm oburącz. Gobliny cofnęły się niczym mrówki, pomiędzy które kapnęła kropla syfu. Kralk odkopnęła pochwę poza zasięg Jiga, pozbawiając go możliwości schowania miecza.

- Zastanawiałam się, kiedy wreszcie zdobędziesz się na odwagę, konusie, i wyzwiesz mnie do walki - rzekła.

Jig zrobił krok w tył. Najwyraźniej Pynne uda się, choć z za grobu, doprowadzić do jego śmierci.

Kralk była silniejsza, większa i szybsza od Jiga, więc ten nie potrzebował żarliwego ostrzeżenia siedzącego w kaletce Ciapka - sam zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Pomocy!

Nie martw się, Jig. Jest może silniejsza, ale ty jesteś mądrzejszy. Pokonasz ją.

Jasne. Najlepszym dowodem jego mądrości jest fakt, że dał się wysłać na tę idiotyczną wyprawę!

Kralk postąpiła ku niemu, wywijając bronią. Nabita kolcami kula zatoczyła szeroki łuk, uderzając w miecz z takim impetem, że Jig okręcił się wokół własnej osi. Wstrząs zawibrował w

kościach, rozchodząc się falą bólu. Jig zatoczył się, ledwie unikając kolejnego razu.

Jak większość goblinów, Kralk wkładała w ciosy więcej brutalnej siły niż techniki. Niestety, tej pierwszej posiadała aż nadto.

Kiścień przeciął ze świstem powietrze, zapędzając Jiga pod śmietnik. Ataki Kralk były na tyle przewidywalne, że Jigowi udawało się unikać zabójczej kuli, ale nie pozwalały mu nacierać. Przejście do ofensywy wymagałoby odsłonięcia się i wystawienia na cios.

Jeśli zgrałby wszystko w czasie, może dałby radę czmychnąć do śmietnika i opuścić się do zsypu, zanim Kralk zdoła strzaskać mu czaszkę. Wątpił jednak, by Ciemnogwiazdy to miał na myśli, wspominając o przymiotach jego umysłu.

Wódz uderzyła w miecz od góry. Ostrze gwałtownie opadło. Jig aż przyklęknął. Kolczasta kula zatoczyła krąg, rozmywając się w powietrzu, i ponownie trafiła w klingę, która zabrzęczała o skaliste podłoże, pękając.

Jig stracił równowagę i klapnął w wejściu do śmietnika, wpatrując się w złamane ostrze. Teraz przynajmniej było nieco lżejsze.

Z twarzy Kralk nie schodził uśmiech. Wysilek wycisnął na jej czole kilka kropelek potu, natomiast Jig dźwignął miecz ostatkiem sił. Wódz ani razu nie trafiła bezpośrednio w niego, ale wcale też nie musiała. Jak tak dalej pójdzie, Jig padnie z wycieńczenia.

- Tym razem twój wspaniały bóg cię nie ocali - warknęła goblinka.

Jig prychnął. To ten wspaniały bóg go w to wpakował. Jig zaczął wpełzać tyłem do śmietnika. Bijak odłupał kawałek framugi tuż obok jego głowy.

- Patrzcie, jak zmyka! - krzyknęła wódz. - Wielki Jig Smokobójca kuli się i cofa niczym osaczony szczur!

Jig skorzystał z szansy, jaką dała mu ta chełpliwa przemowa, i spróbował ciąć z zaskoczenia. W efekcie z trudem uniknął zmiżdżenia łokcia.

Noga goblinicy wystrzeliła, trafiając go w piszczel. Przewrócił się i natychmiast przeturlał. Kula kiścienia zadźwięczała o kamień tuż przy jego głowie. Sekundę później kolce minęły go dosłownie o włos. Położył uszy, bojąc się, że zaraz ogłuchnie od huku, i chwiejnie wstał.

- Zanim ten dzień się skończy, będą śpiewali nową balladę - wrzasnęła Kralk. - O tym, jak to Wódz Kralk pokonała Tchorza Jiga! - mówiąc to, potoczyła spojrzeniem po zebranych, trwało to jednak zbyt krótko, aby mógł zaatakować znienacka.

Igrała z nim, przeciągała walkę dla uciechy gobliniej gawiedzi. Celowo robiła ten pokaz, chciała dowieść ponad wszelką wątpliwość, kto jest najpotężniejszy. Dla Kralk Jig był już trupem. Teraz walczyła z tymi, którym w przyszłości mogłaby zaświtać myśl o przejęciu przywództwa.

Ale jeśli Jig znał się na czymś dobrze, to na strachu. Kralk się bała. Bała się Jiga, bała się każdego jednego goblina. Zdobyła władzę z pomocą podstępu i zdrady, więc do końca swych dni będzie żyła w strachu, że padnie ofiarą tego samego.

Świetnie. Niech więc będzie zdrada i podstęp. Jig uniósł miecz.

- Teraz, Braf! Atakuj! - krzyknął.

Kralk nawet na moment nie spuściła wzroku z Jiga. Z ironicznym uśmieszkiem zakreśliła bronią.

- Marny blef, Jiguniu. Brafowi brak wyobraźni na podobne wybiegi.

Wzniósła swą straszliwą broń, ale zamarła w pół ruchu, z przegubem zablokowanym drewnianym hakiem. Zachwiała się, po czym szarpnęła ręką, przewracając napastnika na ziemię.

Jig pchnął ze wszystkich sił. Bark niemal wyskoczył mu ze stawu, kiedy złamana końcówka miecza ześlizgnęła się po jej napierśniku. Jig poleciał do przodu, wykręcając się, by nie zgnieść Ciapka. W rezultacie wylądował na ziemi, uderzając policzkiem o skałę tak mocno, że omal nie stracił wszystkich zębów.

Kralk zmarszczyła brwi i odsłoniła zęby. Jig nie mógł pojąć przyczyn tej tak nerwowej reakcji. Przecież nawet jej nie drasnął. Wódz uniosła ramię do zadania śmiertelnego ciosu... A zza niej wysunęła się żółta dłoń i zacisnęła na prawym kle. Druga chwyciła ją za włosy. Sznyt przekreślił i z niemiłym chrupnięciem złamał goblince kark.

Jig wpatrywał się w nieruchome ciało Kralk. Po chwili przeniósł wzrok na Grell gramolącą się z ziemi przy pomocy hakla. Potem spojrział na Sznyta. Hobgoblin wodził oczyma po twarzach osłupiałych goblinów z niepewną miną, jakby nie wiedział, czy się nadać, czy też rzucić do ucieczki.

- Dlaczego to zrobiłeś? - spytał Jig.

Sznyt otarł ręce o kamizelkę.

- Bo w ten sposób nie ma krwi.

Nie do końca o to chodziło Jigowi, ale nim otworzył usta, aby wyjaśnić cokolwiek, rozległ się szept jednego z goblinów:

- Czy to znaczy, że naszym nowym wodzem jest hobgoblin?

- Co?! - Sznyt miał minę, jakby połknął węża skalnego. - Ja?!

- Zabiłeś Kralk - rzekł Jig. Z pomruku tłumu wywnioskował, że gobliny wizja ta mierzi nie mniej niż Sznyt.

Braf, który w międzyczasie odzyskał swą broń, podszedł do Jiga i trącił nogą zwłoki Kralk.

- To było super. Wszystko poszło tak, jak to zaplanowałeś, Jig.

- Jak co zrobiłem? - Jig ugryzł się w język. Zgromadzone gobliny szeptały i gestykulowały niespokojnie, niewątpliwie skołowane całą sytuacją. Jig doskonale rozumiał, co czują.

- No - potwierdził Braf. - Jig wiedział, że Kralk będzie chciała go zabić, więc zaplanował wszystko tak, żeby zabić ją pierwszy. - Klepnął Jiga w plecy tak mocno, że ten aż się zatoczył. - Grell mi to powiedziała, kiedy pożyczła ode mnie hakiel.

Jig odwrócił się i spojrzał na niańkę. Grell wzruszyła ramionami.

- Niezły plan. Wygląda na to, że teraz ty jesteś wodzem - rzekła.

- Ja?! - z ust Jiga wyrwał się dźwięk do złudzenia przypominający skrzek.

Kralk leżała na plecach, z twarzą zastygłą w grymasie wściekłości.

Pewnie już za późno, żeby ją ożywić i przywrócić na stanowisko, co?

Nawet jeśli nie byłaby martwa, to jak sądzisz, jak długo udałoby ci się przeżyć, gdyby miała ponowną szansę dostać cię w swoje łapy?

A jak sądzisz, jak długo przeżyję w tej sytuacji?

Oczy wszystkich zwrócone były na niego. Bez względu na to, w którą stronę by się obrócił, zawsze przynajmniej połowie goblinów dawał szansę na czysty strzał lub cios w plecy. Co nowy wódz powinien zrobić w takich okolicznościach? Zwykle obejmujący przywództwo wydawali triumfalne okrzyki, głośno wrzeszczeli i groźnie porykiwali, ale Jig nie był w stanie wydobyć ze ściśniętego gardła najcichszego dźwięku.

Grell szturchnęła truchło Kralk szcudłem.

- Hej, Jig, potrzebny ci ten malachitowy naszyjnik? Bo jak nie, to ja sobie go wezmę.

Nie czekając na odpowiedź, przy wtórze stękania i strzelania stawów pochyliła się, zabierając do zdejmowania ozdoby. Braf podniósł morgenstern, po czym wręczył go Jigowi.

Broń okazała się cięższa, niż Jig sądził, szczególnie że musiał ją trzymać jedną ręką.

Trzonek jeszcze nie zdążył ostygnąć. Jig zacisnął palce, wbijając weń paznokcie, żeby morgenstern nie wyslizgnął się ze spoczonej dłoni. Może powinien zatknąć go za pas, na sposób Kralk? Ale wtedy prawdopodobnie wraz z obciążonym paskiem zsunęłyby mu się spodnie.

- Uczta! - wydarł się któryś z goblinów. Okrzyk został ochoczo podchwycony przez tłum.

Uczta? Jaka... Ach, tak, przecież wódz nie żyje. Gobliny zazwyczaj świętowały takie wydarzenia huczną biesiadą. Wybory nowego przywódcy zwykle dostarczały sporo świeżego mięsiwa.

Co prawda nie obzerały się przy okazji objęcia władzy przez Kralk, ale to dlatego, że ciało poprzedniego wodza zniknęło w brzuchach hobgoblinów, a co do martwych konkurentów nie było pewności, czy przed zaszlachtowaniem nie zostali przypadkiem otruci.

- A co z chochlikami? - zaprotestował Jig słabo.

- Chcesz odmówić gawiedzi uczyty? - spytała Grell. Naszyjnik zwisał jej niemal do pasa. Malachitowe kolce zaklekotały, gdy uniosła je do światła.

- Co tu się dzieje? - grzmiący głos Golaki odbił się echem od ścian. Gobliny rozstały się przed kroczącą kucharką. Nawet te większe od Brafy oraz te wystarczająco silne, żeby dać niezły wycisk Sznytowi, odsuwały się, schodząc z drogi wywijającej chochłą Golące. Potężna goblinica stanęła nad ciałem Kralk. - Czyja to sprawka? - huknęła.

Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Jiga.

Golaka potrząsnęła chochłą.

- Przez cały dzień marynowałam gar kretów, a teraz mam je wywalić i upiec ją? - Przekrzywiła głowę w zamyśleniu. - Hm. Chociaż właściwie ten hobgoblin stwarza ciekawe możliwości kulinarne. Mogłabym zrobić szaszłyki, nabić na przemian goblininę i hobgoblęcinę z plasterkami grzybów oraz szczerzymi cynaderkami, a potem przybrać całość smażonymi karakonami. Dużo pijesz alkoholu, hobgoblinie?

- A co ci do tego? - zdumiał się Sznyt.

- Bo to wpływa na smak wątroby - odparła Golaka. - Zresztą nieważne. Zawsze mogę cię podlać...

- Nie - zaproponował Jig. A niech to, znów zaskrzeczał. - Nie - powtórzył pewniej.

W pomieszczeniu zaległa cisza. Jig usiłował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zdarzyło się, by ktoś powiedział Golące „nie”.

Kucharka przekrzywiła głowę, nastawiając ucho. Choć żyła dłużej, niż goblin miał prawo

żyć, wiek sprawił, że miała już słuch kiepski niczym człowiek.

- Coś ty powiedział?

- ... zabić tego hobgoblina, bo... - plątał się Jig niewyraźnie.

- Zabić hobgoblina! Zabić hobgoblina! - podchwycił jakiś młodszy goblin stojący z tyłu.

Reszta zaczęła skandować, potrząsając groźnie bronią.

- Nie! - Nic nie rozumiały. Nie widziały na własne oczy zmiany, jaka zaszła w grocie władanej niegdyś przez Strauma. Nie rozmawiały z tymi kilkoma ogrami, którym udało się przeżyć inwazję. Nie przejmowały się chochlikami, bo nie uświadamiały sobie całej grozy sytuacji. Nie znały tamtego wroga.

Za to Sznyt był wrogiem, którego znały bardzo dobrze. Należał do rasy, przez którą gobliny dużo wycierpiały. Wiele z nich dostało solidnego łupnia od hobgoblińskich wartowników, wiele nosiło blizny po ich zabawach w „dziabnij goblina”. Jak więc Jig, nowy wódz, pierwszą swoją decyzją mógł zabronić im zemsty?

Jig spojrzął za siebie, rozważając, czy nie jest za późno, by skoczyć z powrotem do zsypu. Właściwie marzył o jakimkolwiek miejscu, w którym od tłumu goblinów odgradzałyby go porządne drzwi. Ale z zamykanych pomieszczeń miał do wyboru tylko żłobek, destylatornię, kuchnię, śmietnik oraz kwaterę Kralk.

Nie, teraz już jego kwaterę.

- Hobgoblin idzie ze mną - oznajmił. Zmusił się do uśmiechu, wkładając wiele wysiłku w to, by był to uśmiech wyjątkowo paskudny i wredny. - Mam co do niego wyjątkowe plany, a mój pająk ostatnio nie jadał zbyt dobrze - wyjaśnił, gładząc znacząco Ciapka.

Ruszył w stronę znajdujących się w drugim końcu jaskini drzwi osadzonych na mosiężnych zawiasach. Jednak krótka to była wędrówka, bo drogę zagrażała mu Golaka. Jig przystanął, patrząc w kaprawe, nabiegłe krwią oczy potężnej goblinicy.

W końcu Golaka wzruszyła ramionami.

- Tylko przynieś mi resztki, wodzu. Dawno nie odnawialiśmy zapasów suszonej hobgoblęciny.

Rozległy się entuzjastyczne okrzyki, gobliny wiwatowały, potrząsając bronią, raniąc się przy okazji po sąsiedzku. Golaka odstała na bok.

Jig zerknął przez ramię na Sznyta.

- Albo pójdziesz ze mną, albo zostaniesz tu z nimi - szepnął.

- Może pomóc ci przy rozbieraniu mięsiwa? - zaproponował jeden z goblinów, uprzedzając odpowiedź Sznyt.

Jig potrząsnął głową.

- Sam sobie dam radę, ostatecznie to tylko jeden hobgoblin.

Sznyt drgnął, ale zmilczał. Jediną oznaką jego wzburzenia były ręce zaciskające się podobnie jak wtedy, gdy skręcał kark poprzedniemu wodzowi. Bez słowa ruszył za Jigiem, rzucając po drodze groźne spojrzenia tym, którzy odważyli się podejść zbyt blisko.

Drzwi do wodzowskiej groty zaszurały o kamień. W środku po obu stronach framugi znajdowały się syfnie; jedna wygasła, w drugiej pełgał jeszcze słaby płomyk. Blask był nikły, ale rozpraszał mrok w pomieszczeniu. Połyskująca na ścianach metalowa broń przypominała miniaturową kolekcję Strauma. Także na podłodze, po bokach, piętrzyły się miecze, włócznie, sztylety oraz różne egzotyczne narzędzia walki. Na lewo ze sterty żółtopierzastych strzał sterczał łuk bez cięciwy. Po przeciwnej stronie oparto włócznie tak długą, że ledwo mieściła się we wnętrzu.

Drzwi zatrasnęły się z hukiem. Jig okręcił się błyskawicznie, omal nie przecinając przy tym stopy Sznytowi przywiązany do ramienia mieczem. Ciężka łapa hobgoblina opadła mu na bark, a szpony wpiły się w skórę.

- Już zgładziłem dzisiaj jednego wodza - warknął Sznyt. - Będę musiał się powtarzać?

Jig potrząsnął głową. Sznyt stał zbyt blisko, by przebić go mieczem, nawet gdyby zdołał unieść broń ramieniem omdlałym po walce z Kralk.

- Zabilyby cię - rzekł.

Sznyt przyglądał mu się dłuższą chwilę.

- Pfff. Nawet całe plemię szczurojadów nie dałoby rady jednemu hobgoblińskiemu wojownikowi - prychnął, ale odsunął się. Z jednego ze stosów podjął dziwaczny sztylet z dwoma kolcami przy nasadzie ostrza. - Jaki tam z ciebie wódz! Zjedzą cię żywcem.

- Wiem. - Jig rozmasował bolący bark. Za drzwiami nadal rozlegały się okrzyki: „Uczta! Uczta!”. W którymś momencie wybił się ponad nie głos Golaki: „Zamknijcie się, bo inaczej będziemy mieć więcej goblininy na kolację!”. Po tej groźbie w pieczarze zrobiło się znacznie ciszej.

Nowe mieszkanie Jiga było niewielkie, a przez ilość nagromadzonych w nim przedmiotów sprawiało wrażenie jeszcze mniejszego. Pod najdalszą ścianą leżał siennik ze skóry

wielkiego nietoperza. Specyficzny zapach sugerował, że wypełnienie wora stanowi wysuszony mech. Na samą myśl o takich luksusach Jigowi zaczęły kleić się oczy. Postąpił krok w stronę materaca, ale Sznyt złapał go niespodziewanie za ucho i szarpnął do tyłu. Jig Krzyknął i zaraz, zasłonił usta teką. Miał nadzieję, że nikt na zewnątrz go nie usłyszał.

Sznyt wskazał pod nogi na cienki sznurek, który przewleczony przez metalowe kółko ciągnął się do stojaka ze zbiorem toporów bitewnych. Linka została uwiązana do drewnianego drążka blokującego skrajny topór.

Nieproszony gość, który poruszyłby linkę, zginąłby na miejscu z rozplataną głową.

- Nawet hobgobliński trzylatek zrobiłby to lepiej - mruknął Sznyt, kłękając na ziemi. - Sznurek jest za wysoko. Mało, że migoce w świetle syfni, to jeszcze rzuca wyraźny cień. Można było przynajmniej posmarować go sadzą. - Obrzucił okiem zamocowanie topora i przytrzymując blokadę, zerwał szpagat.

Jig przyjrzał się pomieszczeniu innymi oczyma. Teraz malowała się w nich trwoga oraz szacunek, z przewagą tego pierwszego. Czy Kralk zostawiła tu więcej podobnych niespodzianek? Jego wzrok padł na wyłożony suchymi liśćmi koszyk z kilkoma buteleczkami i glinianymi dzbanuszkami. Czyżby zapasik trucizn? Drewniana skrzynka z wiekiem osadzonym na przerdzewiałych zawiasach stała otworem, ukazując wnętrze wypełnione wciśniętymi byle jak ubraniami w intensywnych barwach - błękicie, czerwieni oraz oranżu. U wezłowie materaca W dużej misie piętrzył się kopczyk kandyzowanych muchomorów. Jigowi na ich widok napłynęła śliska, ale coś go tknęło i zatrzymał się w pół kroku. Znając Kralk, przysmaki były zatrute.

Sznyt wyminął go i stanął przy posłaniu, uważnie przyglądając się materacowi. Dziwne, ale Jig czuł się bezpieczniej sam na sam z hobgoblinem, niż gdyby towarzyszył mu tu goblin.

Sznyt pomacał materac, po czym podniósł róg. Pod spodem umieszczono szeroką deskę nabitą długimi metalowymi gwoździami. Z dziur w spodzie materaca posypał się mchowy susz. Jig nawet nie chciał myśleć, co spotkałoby nieszczęśnika, który zakradłby się tu, aby uciąć sobie drzemkę.

- Większość z tego to chwytły hobgoblinów - stwierdził Sznyt. - Nieudolnie wykonane, ale i tak sędzę, że twojej wódz ktoś pomagał urządzić to miejsce. Kolejny skutek tego twojego wspaniałego rozejmu. - Usiadł przy drzwiach, wydobyl z pustej syfni nieco kopcia i zaczął nim smarować linkę. - Po pierwsze musimy przyczepić go do górnej krawędzi skrzydła - mamrotał. - Te topory są zbyt oczywiste. Choć jeśli udałoby mi się przymocować jeden pod sufitem,

mogłoby zadziałać. Pierwsza zasada zastawiania pułapek: nikt nigdy nie patrzy w górę.

Jig przycupnął ostrożnie na skraju materaca, pełen obaw, że zaraz coś wbije mu się w plecy lub spadnie na niego deszcz kamieni. Zaciekawiony Ciapek zaczął schodzić na dół, by obadać nieznaną terytorium, ale Jig złapał go i wsadził go kaletki. Nie zamierzał puszczać tu samopas pająka, dopóki sam w najdrobniejszych szczegółach nie pozna byłej siedziby Kralk. Prawdopodobnie pupil był zbyt lekki, by uruchomić pułapki, ale starannie pielęgnowana mania prześladowcza Jiga nieraz już ocaliła im życie.

Teraz jednak, gdy został przywódcą, sama mania prześladowcza może nie wystarczyć.

Dlaczego mi to zrobiłeś?

O czym ty mówisz? Przecież nic nie zrobiłem. Tymalous Ciemnogwiazdy mimo swej potęgi był kiepskim kłamcą.

Mówię o tym, jak pochwa ześlizgnęła mi się z miecza. To twoja sprawa. Czulem twoją magię. Jig był zbyt znękany, by się złościć.

W ten czy inny sposób i tak by cię zabiła.

Jig potrząsnął głową.

Naciskasz na mnie od chwili, gdy pojawił się Walland. Dlaczego?

A co? Wolałbyś wrócić do swojej świątynki? Ukryć się tam i tkwić w samotności, pozwalając, żeby życie toczyło się bez twojego udziału?

To niesprawiedliwa ocena.

Lepsze to niż kolejna przygoda. Nie cierpię przygód.

Wiem. Ale wiem także, że twoje plemię nie przetrwałoby inwazji chochlików. Próbuję was przed tym uchronić.

Wcale nie. Na początku nawet nie wiedziałeś o chochlikach. Przeczuwałeś jedynie, że z Wallandem jest „coś nie tak”. Och, zdawałeś sobie też sprawę z morderczych planów, jakie Kralk miała wobec mnie, i pewnie domyślałeś się, że będzie chciała wykorzystać tę sprawę, żeby się mnie pozbyć raz na zawsze.

Ale ty żyjesz, a Kralk w tym momencie właśnie zażywa kąpieli w sosie własnym.

Jestem wodzem, do licha! Wiesz, jaka jest długość życia większości wodzów po objęciu stanowiska?

Jig, to nie...

Niecały dzień - Zwykle w ciągu kilku pierwszych dni mamy siedmiu, ośmiu przywódców,

dopóki ostatni nie przetrwa wystarczająco długo, by zdobyć prawdziwy posłuch.

Kralk była w tym wypadku wyjątkiem. Szybkim, brutalnym wyeliminowaniem konkurencji oraz terrorem zdławiła wolę tchórzliwych goblinów i zmusiła, je do uległości. Jig był jej przeciwieństwem. Swoją karierę zaczął od tego, że niańka i hobgoblin uratowali mu życie. Bez wątpienia już teraz połowa goblinów za drzwiami obmyśla, jaką zgotować mu śmierć.

Jig wyprostował się raptownie, uświadamiając sobie, co tak naprawdę uczynił Ciemnogwiazdy.

- Zaplanowałeś to wszystko, wrobiłeś mnie - szepnął.

- Co tam mruyczysz? - spytał Sznyt, podnosząc głowę znad częściowo rozmontowanej kuszy.

Nie chodziło ci o to, żebym uratował Wallanda. Od Początku chciałeś, żebym został wodzem.

Chciałem jednego i drugiego. Chciałem dowiedzieć się, co zaszło na dole, a także pomóc ci pchnąć losy goblinów na inne tory. Możesz stanąć na ich czele, Jig. Poprowadzić, sprawić, by stali się czymś więcej. Te, które były najbliżej ciebie, już zaczęły się za twoją sprawą zmieniać. Gdy Kralk próbowała cię zabić, Grell uratowała ci życie. Czy to nie wydaje ci się dziwnym posunięciem, jak na goblina? Jak sądzisz, dlaczego to zrobiła?

Jig milczał niepewny.

Ponieważ widziała, jak idziesz stawić czoło tym chochlikom. Widziała coś, co dane było ujrzeć niewielu - męstwo goblina.

Mnóstwo goblinów rzuca się do walki przeciw silniejszemu wrogowi.

Głupota wśród goblinów jest większą plagą niż pluskwy, ale ty nie jesteś głupi. Grell to dostrzegła. Podobnie jak twój hobgobliński przyjaciel. Uratowałaś mu życie. Spójrz tylko na niego - siedzi spokojnie, nie knuje nawet zamachu. Zainspirowałaś ich, pokonując te chochliki. Pokazałaś, że oni także mogą być kimś, kimś więcej niż do tej pory.

Jig znów poczuł znajomy skurecz w żołądku. Głód i niepokój robiły swoje, wspólnie skręcając jego wnętrzności w ciasne supły. Zaczął się zastanawiać, czy będzie w stanie utrzymać cokolwiek w żołądku podczas swojej własnej uczty inauguracyjnej. Chwycił się za przegub zdrętwiałej ręki i przełożył ją przez kolano, żeby przyjrzeć się złamanej klindze.

Ignorowanie własnego bóstwa jest wyjątkowo niegrzeczne, warknął Ciemnogwiazdy. Żaden goblin nie potrafiłby wydobyć z siebie tak zrzędliviego tonu jak naburmuszony bóg.

Zapomnij o chochlikach, pomyśl o swoich współplemieńcach. Żyjecie i umieracie w mroku, uwięzieni w zatłoczonej, cuchnącej pieczarze. Giniecie z rąk wrogów lub wykańczacie się nawzajem. Nadal chciałbyś wieść taki żywot jak przed walką ze Straumem? Narzekać na syfne dyżury i ciągle się bać, czy przypadkiem większe gobliny nie nabrały ochoty przetkania twoją głową wychodka?

Jig milczał. Prawdę mówiąc, rzadko myślał o przyszłości. Zwykle do pełni szczęścia wystarczała mu świadomość, że kolejny dzień udało mu się uniknąć śmierci.

Choć zeszłoroczna wyprawa była istnym koszmarem, musiał przyznać, że od powrotu żyło mu się znacznie lepiej. Rzadziej padał ofiarą nieprzyjemnych incydentów, przynajmniej tych wygodkowych.

Tak się składa, że lubimy mieszkać w jaskiniach, zaprotestował, dobrze wiedząc, jak marny jest to argument.

Zastanów się, Jig, czego chcesz. Jesteś teraz wodzem, jesteś odpowiedzialny za to, co stanie się z goblinami.

To przerażało go nawet bardziej niż rychła inwazja chochlików.

Czego chcesz?, głos Ciemnogwiazdęgo, gromki, natarczywy, zmusił Jiga do wyrzucenia z siebie pierwszej odpowiedzi, jaka przyszła mu na myśl.

- Faszzerowanych skórek wężowych i piwa klakowego.

- Co? - wycedził Sznyt niewyraźnie. W prawej ręce trzymał kilka bełtów, w lewej kawałek miedzianego drutu, zaś w zębach metalowe narzędzie przypominające małeńki sztylet o ściętym czubku.

- Właśnie tego teraz pragnę najbardziej - wyjaśnił Jig, nie zwracając uwagi na syknięcie zirytowanego boga. Potrzebował odrobiny wytchnienia. Chciał choć na moment zapomnieć o chochlikach, ograch i czyhających na jego życie goblinach. *Oraz samowyzwalających się hobgoblinich pułapkach*, dodał, gdy przypadkowo wystrzelony bełt odbił się od sufitu i utkwił w materacu obok niego. - Jako wódz nie powinienem mieć problemów ze zrealizowaniem tych pragnień - rzekł, wstając, i skierował się do drzwi.

Faszzerowane wężowe skórki były daniem popisowym Golaki. Nadziewała wężowe skórki siekanym mięsem, obsmażonymi grzybami oraz gotowanymi bulwami, potem piekła je w całości i kroїła na niewielkie plastry. Taki przysmak, popity piwem Makowym, na pewno zlikwiduje kwaśny posmak chochlikowego mięsa.

Nie uciekniesz od tego, Jig. Spoczywa teraz na tobie odpowiedzialność za los całego plemienia.

Nie widzisz, że jestem zajęty? Poza tym, jeśli każę robić cokolwiek przed ucztą, nabijają mnie na rożen tuż obok Kralk.

Dumając o chochlikach oraz widokach na poprowadzenie goblinów przeciw najeźdźcom, zaczął się zastanawiać, czy to przypadkiem nie Kralk, obracająca się właśnie na wolnym ogniu, wyciągnęła szczęśliwy los.

Rozdział jedenasty

Rozejm wcale nie oznacza, że nie możemy zabijać goblinów. Znaczy tylko, że nie możemy dać się na tym przyłapać.

[Jednooki Tosk, hobgobliński płatnerz]

Jig stał w grocie głównej i czkając z przejedzenia, obserwował obżarte gobliny. Z reguły gobliny z pełnymi brzuchami stanowiły nieco mniejsze zagrożenie niż gobliny głodne. Nie wątpił jednak, że - i najedzone spróbują go zabić, jeśli choć na moment straci czujność. Jeśli jej nie straci, również. Ale syte może będą mniej brutalne.

Wspominał, jak Veka głupio wyglądała w tym swoim płaszczu i z kosturem, udając maga. W porównaniu z tym jego pretensje do przywództwa były jeszcze bardziej absurdalne. Wystarczył jeden rzut oka, by nabrać pewności, że żaden z niego wódz.

Skórzana pochwa znów okrywała miecz, ale pusta końcówka wlokła się smętnie po ziemi. Już dwukrotnie na nią nadepnął i omal się nie przewrócił.

Sztywne od zakrzepłej krwi ubranie nadawało się tylko do spalenia. Nawet jego ulubione buty były zdarte i podrapane. Chochliki mu za to zapłacą!

Niestety, stroje Kralk okazały się zdecydowanie zbyt obszerne na chudą sylwetkę Jiga - wyglądał w nich śmiesznie. Mając jednak do wyboru wystąpienie w obszernych ubraniach po Kralk albo całkiem nago, zdecydował się na śmieszność.

Jaskrawożółte spodnie związał mocno paskiem, więc nie opadały, ale poniżej pasa nadmiar tkaniny obwisł na kształt sporego wora, a srebrne frędzle czerwonej kamizelki, które Kralk sięgały do bioder, Jigowi majtały się w okolicy kolan.

- No?

Jig podskoczył.

Nie zauważył podkradającej się do niego Grell. Tuż za nią, stękając i głaskając się po brzuchu, podążał Braf.

Dlaczego jest taki rozkojarzony? I to akurat teraz, kiedy otacza go tłum potencjalnych zabójców?

- Czekają, aż im powiesz, co robić - rzekła Grell. - Wiedzą, że źle się dzieje. Może i nie

widziały chochlików, ale zauważyły, że zrobiło się chłodniej, a zwierzęta są niespokojne i skołowane. Jeden z wartowników mówił, że wąż jaskiniowy zaatakował syfną latarnię, a Topam przysięga, że na własne oczy widział ogromnego nietoperza krążącego nad jeziorem jaszczurników. Poza tym w tunelach pojawiło się dużo więcej ścierwojadów.

Też byś to zauważył, gdybyś nie siedział cały czas w swojej świątyni, wytknął mu Ciemnogwiazdy.

- Jak tak pomyśleć, to koty tunelowe też ostatnio zrobiły się jakieś nerwowe - powiedział Sznyt, wychodząc z kwater Kralk. Kwater Jiga. - A przy okazji, nie otwieraj drzwi więcej niż na 45 stopni. I raczej wyznacz kogoś do zapalania syfni w twojej kwaterze.

Jig wątpił, czy zdobędzie się na odwagę, by ponownie wejść do tego pomieszczenia. Zresztą może to i lepiej. Gdyby nie pułapki Sznyta, nie oparłby się pokusie, czmychnął do środka i zaryglował za sobą drzwi.

Ciemnogwiazdy ma rację. Muszą zacząć działać. Im dłużej zwlekają, tym więcej czasu dają wrogowi na zaadaptowanie się do nowego świata. Przy następnym spotkaniu chochliki będą dużo groźniejsze niż Pynne i Farnax.

Jig odsunął się nieco od ściany, by przemówić do zebranych, i natychmiast zaschło mu w gardle. Wpatrywało się w niego całe plemię. Miał wrażenie, że każdy jeden goblin zamieszkujący górę stoi tutaj i z drwiącym uśmiechem czeka, aż nowy się zbłąźni.

Zaraz... Każdy jeden goblin?

- Kto trzyma dzisiaj straż? - zapytał.

Dwa obzarte, bekające goblino podniosły ręce.

- Przecież mówiłem wam, że chochliki chcą nas wybić. Może ktoś jednak powinien stać na warcie?

Strażnicy kiwnęli głowami, ale żaden nie ruszył się, żeby wrócić na posterunek.

- Taaa, ktoś w sumie powinien - stwierdził jeden. Drugi zarechotał.

- Nie pytaj ich i nie proś - szepnęła Grell. - Jesteś wodzem! Każ im!

Jig odchrząknął.

Oba goblino patrzyły na niego wyzywająco, jakby chciały się przekonać, czy wyda rozkaz. Jak zmusić ich do posłuchu? Obciążone mieczem ramię całkiem zdrętwiało. Pewnie nie ruszyłyby nim nawet, gdyby ostrze nie było złamane. Patrząc na strażników, Jig czuł się jak dziecko, które powinno uciekać przed starszymi goblinami, chcącymi wrzucić mu za przepaszkę

ścierwojada.

- Nie ma sprawy. - Złość nadała mocy jego głosowi, który niósł się teraz po całej grocie. - Zostawcie posterunki, po co strzec jaskini. - Zerknął na Grell, mając nadzieję, że nie myliła się co do nastrojów tłumu. - Chochliki na pewno to docenią. A podziękują za pośrednictwem swoich ogrzanych sług. - Podniósł głos i wskazał na wartowników. - Kiedy ogry będą was obdzierały ze skóry, a chochliki patroszyły swoją magią, pamiętajcie, że to ci dwaj wpuścili ich do naszego domu.

Wreszcie gobliny zmieniły swój obiekt zainteresowania. Tłum zafalował, groźnie pomrukując.

- No idziemy, idziemy - powiedział jeden z wartowników, rzucając Jigowi na odchodnym nienawistne spojrzenie.

Nie dane im było jednak wypełnić rozkazu. Głośne warknięcia zwiastowały przybycie grupki uzbrojonych hobgoblinów. Dwa koty tunelowe szarpały się w skórzanych uprzędach, niemal przewracając trzymającego smycze wojownika.

- Gdzie Jig Smokobójca?! - ryknął największy z przybyszów.

Wszyscy natychmiast zwrócili oczy na Jiga. Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, hobgobliny kroczyły ku niemu przez wyrwę w tłumie, szczując kotami nieszczęśników, którzy nie zdążyli wystarczająco szybko usunąć się z drogi.

- Nasz wódz chce z tobą rozmawiać, goblinie - oznajmił przywódca posłów.

Jeden z jego towarzyszy wytrzeszczył oczy.

- Charak? A ty co tu robisz z tymi szczurojadami?

Charak? Spoglądali na Sznyta. Który próbował rozplątać się w cieniu za Jigiem.

- Ciebie także wódz ujrzy z radością - skwitował hobgoblin trzymający koty. - Nawet nie wiesz, jak się ucieszy, że żyjesz. Dobra, gdzie Kralk? Wódza goblinów też mu mamy przyprowadzić.

Może jednak nie trzeba było wystawiać nosa ze śmietnika...

Jig podniósł rękę.

- Ja jestem wodzem - słowa te brzmiały obco, jakby wypowiedział je ktoś inny.

Jeden z kotów machnął łapą na goblinkę, która nieopatrznie podeszła zbyt blisko. W następnej sekundzie dziewczyna leżała na ziemi, krwawiąc z czterech głębokich zadrapań na ramieniu.

- Świetnie. Im mniej goblinów splugawi naszą ziemię swoją obecnością, tym lepiej - stwierdził hobgoblin. - Zbieraj się, szczurojadzie.

- Hej, nie możecie tu tak wpadać i rozkazywać Jigowi - oburzył się Braf. - On jest wodzem! Macie szczęście, że was nie pozabijał.

- Braf? - zwrócił się do niego Jig.

- Co?

- Jestem wodzem, tak?

- No.

- Więc musisz robić, co powiem, tak?

Braf przytaknął.

- No to się zamknij. - Jig przyjrzał się hobgoblinom. Pięciu wojowników i dwa koty tunelowe do przyprowadzenia paru goblinów? Poważna sprawa. Choć jeśli gobliny rzuciłyby się na nie całą hurmą, zwyciężyłyby ze względu na przewagę liczebną. Sądząc z paskudnych uśmieszków, gobliny pomyślały o tym samym.

Nie pomyślały jednak o tym, co hobgobliny zrobią w odwecie. A Jig nie potrzebował zatargu z sąsiadami w momencie, kiedy miał na głowie chochliki. Nie dałby rady prowadzić wojny na dwa fronty.

Właściwie wątpił, czy poradzi sobie z jednym.

- Braf, Grell, pójdziecie ze mną - powiedział głośno. - Reszta uzupełni syfnie, wszystkie mają się palić. I dopilnujcie, żeby bez przerwy ktoś stał na straży.

- Czemu my? - zapytała Grell.

Ponieważ oboje mieli rozkaz, aby go zabić, i nie uczynili tego. Jig liczył, że nie zmienia zdania.

- Bo jestem wodzem i tak powiedziałem.

Podążając do siedziby sąsiadów, Jig starał się dostrzec jasne strony tej sytuacji. Jeśli hobgobliny go zabiją, przynajmniej nie będzie się musiał już martwić chochlikami.

* * *

Dowódca oddziałiku szedł na czele z jednym kotem, który głośno fukał, wodząc nosem

po ziemi i niuchając powietrze. Hobgoblin z drugim kotem zamykał pochód. Zwierzę napinało linę, starając się zbliżyć do goblinów. Nie spuszczało oczu z Jiga, zaś z pyska ciekła mu ślina.

Latarnie hobgoblinów roztaczały blask barwy gobliniej krwi. Jig zerknął na Sznyta, zastanawiając się, czy występuje w roli więźnia, czy nadzorca. Hobgobliny nie dały mu broni, ale nie popędzały go także dźgnięciami w łydki. Szczęściarz.

Jig podskoczył ukłuty włócznią i przyśpieszył, choć nie było to takie proste, bo próbował równocześnie unikać ukłuć i przyglądać się eskorcie. Na twarzy jednego z hobgoblinów widział wielki siniak, świeży, sądząc po kolorze. Wojownicy nie wyjaśniali, o co chodzi, ale trudno było nie zauważyć dodatkowych środków ostrożności. Trzy latarnie to spora przesada jak na tak małą grupę. Hobgobliny rozglądały się na wszystkie strony, przepatrywały z napięciem ciemne zakamarki, a przed zakrętami luzowały smycz, puszczając kota przodem. Bały się.

- Chochliki już zaatakowały? - zagadnął Jig.

W odpowiedzi zarobił kolejne dźgnięcie, tym razem w udo. Od tej pory zachował pytania dla siebie.

Wreszcie dotarli na terytorium hobgoblinów. Aż czterech wojowników stało na warcie na placu przy rozwidleniu korytarzy, czyli dwukrotnie więcej niż zwykle. Także latarnie wisiały na obu uszach statuy. Strażnicy warknęli cicho na widok nadchodzących goblinów.

Braf wypiął pierś i otworzył usta, ale Jig smagnął go błyskawicznie osłoniętym mieczem. Cokolwiek Braf chciał powiedzieć, z jego ust wyrwało się tylko oburzone: „Ej!”.

- Żadnej broni - rzekł jeden z wartowników, chwytając Jiga za przegub. Ramię było tak zdętwiałe, że Jig ledwie czuł wbite w skórę pazury. Hobgoblin szarpnął za rękojęść, omal nie wrywając Jigowi ramienia ze stawu.

- Spróbuj go odciąć - poradził strażnik odbierający Brafowi hakiel.

- Próbowałem - powiedział Jig. - Na ramię rzucono zakłęcie. A raczej kłutwę. Jest zbyt twarde, żeby dało się coś z nim zrobić.

- Nie mówiłem o rzemieniu - wyszczerzył się hobgoblin, wyciągając zza paska broń o krótkim jednosiecznym ostrzu i ściętym końcu, która aż nadto przypominała tasak.

- No dalej, tnij - prychnęła Grell i oparła się o ścianę. - Ciekawe, jak wytłumaczysz wodzowi, czemu wasz gość wykrwawił się na śmierć, zanim go doprowadziłeś.

Wesołość wyparowała z wartownika jak kamfora. Jigowi błysnęła myśl, że nikt nie precyzował, czy ma być dostarczony wodzowi żywy, czy martwy. Z drugiej strony, jeśli

chciałyby go zabić, zrobiłyby to już dawno.

Hobgoblin puścił umieczone ramię Jiga.

- Spróbuj go tylko obnażyć, a pożałujesz, że cię nie zaciukałem. - Dla podkreślenia groźby pchnął go mocno w stronę statuy.

Jig upadł tuż pod wielką figurą. Niebieskie światło migotało na ociosanym szkliwie. Hobgobliński wojownik niemal sięgał łbem stropu. Poza hełmem miał na sobie jedynie przepaskę. Brak zbroi miał niewątpliwie podkreślać potężne mięśnie wojownika.

Jig leżał na ziemi, dumając, czy ktoś kiedyś przypatrywał się posagowi z tej perspektywy. Zadał sobie także pytanie, po co twórca uwzględnił aż tak szczegółowo wszystkie detale anatomiczne wojownika.

- Wstawaj. - Silne ramię postawiło go na nogi i pociągnęło w kierunku łukowatego przejścia do labiryntów hobgoblinów.

Zaraz za nim wpadł popchnięty Sznyt.

- Przypilnuj, żeby w nic nie wlaź - krzyknął do niego wartownik.

Braf oraz Grell podążyli za nimi, dochodząc prawdopodobnie do wniosku, że bezpieczniej trzymać się Jiga, niż pozostać na pastwie podminowanych, dokuczliwych wartowników.

Jeden z tunelowych kotów został ze strażnikami, którzy uwiązali go do nogi pomnika. W ten sposób kot nie mógł uciec, natomiast w razie czego wartownikom wystarczyło przeciąć smycz i poszczuć zwierzę na wroga. Cokolwiek się tu wydarzyło, hobgobliny zabezpieczyły się na wszelkie sposoby.

Po paru krokach eskorta hobgoblińska przycisnęła się do ściany i zaczęła przesuwac się tuż przy niej.

- Zapadnia - wyjaśnił Sznyt i popchnął Jiga na bok, nabijając mu przy okazji guza na głowie. Grell to samo uczyniła z Brafem, który pomimo ostrzeżenia omal nie wszedł wprost w pułapkę. - Spadnij, a gobliny będą musiały szukać sobie nowego wodza.

- Co tam jest? - zapytał Jig, rozplaszczając się na ścianie.

- Kiedyś siedziały tam dwa gigantyczne ścierwojady. - Sznyt potrząsnął ponuro głową. - Ale jakaś grupa tych głupków z powierzchni wpadła do jamy i je zatłukła. Masz pojęcie, ile czasu trzeba, by wyhodować tak ogromne ścierwojady? Wódz stwierdził, że łatwiej i szybciej będzie umieścić na dnie zardzewiałe kolce. W sumie efekt ten sam, tylko nie tak fajny.

- Ach tak. - Jig starał się przybrać kamienną minę, choć nie potrafił opanować

wzdrygnięcia na wspomnienie straszliwych potworów.

Kilka metrów dalej Sznyt ponownie przycisnął go do ściany.

- Widzisz tę plamę na ziemi?

Jig zmarszczył brwi. Spąg pokrywała jednolita warstwa pyłu. Dopiero gdy wyteżył wzrok, dostrzegł minimalnie inny odcień w miejscu, na które wskazywał Sznyt.

- Rozsmarujemy tu mieszaninę krwi, jadu węży skalnych oraz rozcieńczonego miodu. Jad zapobiega krzepnięciu krwi, zaś miód sprawia, że substancja przykleja się do butów tego, kto w nią wejdzie. - Sznyt oblizwał usta. - Koty tunelowe bardzo żywo reagują na takie mazidło. Wystarczy, że ktoś w ubrudzonych butach wejdzie do jaskini, a rzucają się na niego, zanim zdąży dobyć broni.

Istotnie kot tunelowy szarpał się na smyczy, próbując dosięgnąć plamy. Hobgoblin kopnął zwierzę. Kot prychnął groźnie, ale nie zaatakował. Hobgobliny były naprawdę świetnymi treserami. Jig zastanawiał się, czy nie zatrudnić ich do przeszkolenia goblinów strażników.

Zanim otworzył usta, Sznyt po raz kolejny odsunął go na bok, czym uchronił go przed nadeptaniem na sterczące kolce.

- Takie małe? - zdziwił się Braf. - Ledwie je widać.

- Owszem. Ale umoczone w jadzie jaszczurników - wyjaśnił Sznyt.

Jig zaczął spoglądać na hobgobliny z szacunkiem. Gdyby pozakładać takie pułapki w tunelach należących do goblinów, liczebność plemienia zmniejszyłaby się w ciągu tygodnia o połowę.

- Patrz pod nogi - ostrzegł Sznyt.

Jig wrósł w ziemię pewien, że zaraz zginie trafiony pociskiem, otruty, zmiażdżony albo wszystko naraz.

- Co tym razem?

Sznyt pokazał kupkę brązowej, śluzowatej brei.

- Wyrzygana kocia sierść.

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie korytarz przechodził w grocie, podobnych rozmiarów jak główna jaskinia goblinów. Ale hobgobliny urządziły swój dom zupełnie inaczej. Po pierwsze, oświetlały ją nie syfnie w niszach, a wiszące u sufitu trzy duże misy z mazią. W ten sposób za Jigiem podążały trzy cienie. Jakby i tak nie podskakiwał przy każdym kroku!

Co dziwniejsze, po grocie biegały dzieci. Jig ze zdumieniem obserwował małą

hobgobliniczkę, która mogła sięgać mu najwyżej do pasa. Dziewczynka miała zatknięty za paskiem nóż i wymachiwała maczugą na trochę większego, podobnie uzbrojonego chłopca. Jig patrzył zafascynowany, jak chłopiec wytrąca jej maczugę z rąk, a potem kopie w brzuch. Dziewczynka odczołgała się, by odzyskać broń, a chłopiec ku zdumieniu Jiga czekał tymczasem, aż zaatakuje ponownie.

- Co one robią? - zapytał Sznyta.

- Ćwiczą.

Inne dzieci kręciły się po jaskini, wykonując różne prace. Kilkoro zdrapywało porosty ze ścian przy wejściu, jakiś chłopiec pomagał ćwiartować ułożone w stos jaszczurniki. Jig zauważył nawet hobgoblinę z niemowlakiem na plecach. Skrzywił się na widok żółtej, pomarszczonej twarzy, zielonych, bezzębnych dziąseł oraz niekształtnej głowy dziecka.

- Niemowlęta hobgoblinów są potwornie brzydkie - stwierdził Braf.

- Ciekawe, co byś powiedział, widząc siebie po urodzeniu - prychnęła Grell.

Hobgoblinka szybko zauważyła, że znajduje się w centrum zainteresowania gości. Obnażyła groźnie kły, po czym zniknęła za wielkim ekranem rozpiętym na drewnianej ramie.

Podobne parawany stały tu gęsto, dzieląc grootę na mniejsze pomieszczenia. Na większości wymalowano sceny upamiętniające zwycięstwa hobgoblinów, na przykład wojownika wciągającego ogra w zasadzkę albo oddział wrzucający goblina do jamy pełnej kotów tunelowych.

Eskorta prowadziła ich na sam koniec jaskini. Po drodze kilku mieszkańców spluwało na widok goblinów. Jig usłyszał także, jak jakaś dwójka robi zakład, obstawiając, w jaki sposób zginą gobliny. Starał się trzymać miecz jak najbliżej przy sobie i sprawiać Wrażenie zupełnie niegroźnego. Tyle hobgoblinów! Płci męskiej i żeńskiej, starych i młodych, uzbrojonych i... Wszystkie były uzbrojone. I wszystkie wyglądały na rozwścieczone.

- Co się stało? - wyrwało się Jigowi.

Jeden z konwojentów pchnął go do przodu.

- To już wyjaśni ci wódz.

- Nie - zaprotestował drugi. - On będzie to wyjaśniał wodzowi.

Wódz, starszy hobgoblin, siedział pod ścianą na mocno przechodzonej poduszce. Przed nim leżał niedojedzony szaszłyk z jaszczurniczego mięsa. Stożące wokół parawany tworzyły oddzielne pomieszczenie, z tym że tkanina znajdującego się na wprost niego została zwinięta i

przywiązana do górnej belki ramy. Dzięki temu przywódca mógł obserwować, co dzieje się w grocie.

Na widok nadchodzących podniósł się i wyszedł przed ramę. Rzucił kawałek mięsa kotu tunelowemu, a następnie wytarł zatłuszczone dłonie o pikowaną, nabijaną mosiężnymi ćwiekami kurtę. U jego boku wisiał długi miecz o płomienistej głowni. Rękojeść wieńczyła odlana w brązie głowa hobgoblina, a z końcowej części podkrzyża sterczały szpiczaste obłęki.

Jig miał okazję przyjrzeć się broni oraz jej właścicielowi już wcześniej, podczas negocjacji rozejmowych. Według hobgobliniego prawa ten, kto posiadał ten miecz, przewodził plemieniu.

- Witaj, Jig - rzekł wódz. Przerzedzone siwe włosy splecione miał w długi, brudny warkocz. Spojrzał groźnie na eskortę. - Kazałem wam przyprowadzić także ich wodza.

- To ja - odezwał się Jig.

- Ach tak? - Wódz przyglądał mu się z nieodgadnioną miną. To kamienne oblicze wzbudzało w Jigu większy strach niż groźne grymasy innych hobgoblinów. Ci przynajmniej byli przewidywalni. W wypadku wodza sprawa wyglądała dużo gorzej. Mógł równie dobrze za chwilę poczęstować Jiga pieczonym jaszczurnikiem, jak i odrąbać mu głowę tym ogromnym mieczem. W obu przypadkach nie drgnąłby mu nawet jeden mięsień na twarzy. W końcu odchrząknął i rzekł: - I dobrze, że ktoś wreszcie zabił tę tchórzliwą tyrankę Kralk. - Odwrócił się do Sznyta. - Ach, Charak. Doszły mnie słuchy, że dałeś się przechytryć goblince. Grubej babie, która twierdziła, że jest czymś w rodzaju czarownicy. Wartownicy mówili, że cię upokorzyła, a ty popełzłeś za nią jak kot, który dostał lanie o jeden raz za dużo.

Jig odsunął się odrobinę od Sznyta. Charaka. No, tego tam.

- To przeszłość - odrzekł Sznyt. - Ta głupia szczurojadka uciekła i chochliki rzuciły na nią czar.

- Chochliki? - zdumiał się wódz. - Co ty pleciesz?

Jig szybko wystąpił naprzód i zdał relację z wydarzeń ostatnich dni. Opowiedział o inwazji skrzydlatych liliputów, pokonanym plemieniu ogrów, ucieczce do Bezdennej Otchłani Nekromanty, a na koniec o wyzwoleniu Sznyta spod chochliczego czaru.

- Spytaj ich - dodał, wskazując na Grell i Brafę. - Widzieli chochliki i ich zaklęcia.

- A więc, Charak - wódz pokręcił głową z dezaprobatą - nie dość, że dajesz się usidlić byle goblinowi, to jeszcze pozwalasz, żeby chochliki rzuciły na ciebie zaklęcie? Powinienem cię

zabić tu i teraz, to oszczędziłoby nam na przyszłość problemów z tobą.

Groźba została wypowiedziana spokojnie, jakby mimochodem, ale Jig zauważył, jak kilka hobgoblinów sięga po broń.

- Mógłbym ci wybaczyć, że dałeś się zabić w bitwie z wrogą armią - ciągnął wódz. - Ale ty pozwoliłeś się prowadzić na sznurku jakiejś goblince!

Sznyt wybąkał coś niewyraźnie.

- A teraz ona wróciła - oświadczył wódz.

Jig zastrzygł uszami.

- Macie Vekę?

- Nie do końca. - Wódz obserwował Jiga, przeżuwać kęs jaszczurniczego mięsa. Białe kawałki pojawiały się i znikaly, mielone przez potężne zęby. - Wasza wiedźma zabiła dziewięciu moich wojowników. Nie dopuszcza nikogo do jeziora. Jeśli nie będziemy mogli polować w dolnych tunelach, staniemy się nędznymi szczuro - i robakożercami. Innymi słowy, takimi śmieciarzami jak wy.

Podszedł tak blisko, że Jig czuł bijący z jego paszczy zapach mięsa.

- Mówi, że nas przepuści, jeśli przyprowadzimy jej Jiga Smokobójcę.

Po raz pierwszy w życiu Jig nie czuł strachu. Zadarł zaczepnie brodę.

- Nie możesz tego zrobić. Odda mnie w ręce chochlików, a te mnie zabiją.

Wódz wzruszył ramionami i splunął kostką jaszczurnika. Wojownicy za plecami przysunęli się niebezpiecznie blisko, a Ciapkę przycupnął skulony na karku Jiga.

- A jeśli zginę - ciągnął Jig - rozejm zostanie natychmiast zerwany. Skończy się i zawieszenie broni, i wszystko, co za tym idzie. To samo będzie, jeśli zgładzisz któregoś z moich towarzyszy. W tym jego - dodał, wskazując na Sznyta. Chciał przybrać stanowczą pozę, krzyżując ręce na piersi, ale zapomniał o mieczu i tylko grzmotnął się pochwą w udo, wywołując tym rechot hobgoblinów.

Wódz wpatrywał się w niego dłuższą chwilę. Zmarszczony nos sugerował, że kalkuluje coś w myślach. Był bardzo przebiegły, nawet jak na hobgoblina, i Jig zaczął się bać, czy aby nie przecenił swoich możliwości.

- Veka mówiła, że chce Jiga - rzekł w końcu wódz. - Nie wspominała, w jakiej formie mamy go dostarczyć...

* * *

Stojący przy rozgałęzieniu tuneli strażnicy wydawali się zaskoczeni, widząc Jiga oraz pozostałych całych i zdrowych.

- Oddawaj - warknął Braf, wyrywając jednemu swoją broń.

Inny wartownik spojrzał na Sznyta.

- Co się stało?

- Idziemy zabić Vekę - oświadczył Sznyt rozpromieniony.

- A czy któryś z was, o potężni wojownicy, ma pomysł, jak to zrobić? - zapytała Grell.

Nikt nie odpowiedział. W głębi ducha Jig poważnie rozważał opcję ucieczki i zabarykadowania się w jaskini. Skoro Veka zabiła dziewięć hobgoblinów, nie mają w starciu z nią większych szans.

Ale odwrót wywołałby inne nieprzyjemne konsekwencje. Jak na przykład wizytę bandy rozwścieczonych hobgoblinów wycinających sobie krwawą drogę przez masę goblinów i żądających głowy Jiga.

Sznyt sięgnął po latarnię, ale Jig powstrzymał go gestem.

- Żadnego światła. Nie chcemy uprzedzać jej o naszym nadejściu.

Jig bacznie przyglądał się towarzyszom wchodzącym do tunelu. Kule Grell robiły za dużo hałasu. Może lepiej byłoby ją zostawić? Ale z drugiej strony świetnie radziła sobie z głupimi zapędami Brafa. A sam Braf, no cóż, co prawda ledwie starczało mu mózgu, by trzymać broń odpowiednim końcem, ale Jig potrzebował każdej pomocy. Bez tej dwójki goblinów musiałby liczyć tylko na hobgoblina, który mdleje na widok krwi.

- Czekajcie - zawołał Jig, usiłując dobyć miecza. Po wypadku z Kralk zabezpieczył pochwę za pomocą sznurka. Węzeł zacisnął się mocno i musiał użyć zębów, by wyciągnąć ostrze. Mięśnie paliły żywym ogniem, gdy wykręcał ramię, by odciąć poły kamizelki. - Daj mi swoje szczudło, Grell.

Owinał końcówkę pasem tkaniny, mocując ją kawałkiem sznurka. To samo zrobił z drugą kulą. Miał nadzieję, że materiał stłumi stukot.

Schowwał miecz i oparł go sobie na ramieniu. Ciąpek wszedł mu na głowę.

Kiedy blask latarni hobgoblińskich wartowników znikł, pogrążając ich w ciemnościach korytarza, Sznyt zrównał z nim krok.

- Czemu cię nie zabił?

- Kto? - zdziwił się Jig.

- Wódz. Sprzeciwiłeś mu się, a on nic.

- I bardzo dobrze - wyskoczył Braf. - Musicie w końcu zacząć traktować nas z szacunkiem, bo inaczej...

Łupnięcie kuli Grell było cichsze niż zwykle. Najwyraźniej wygłuszacz działał.

- Nie zabił mnie ze względu na rozejm - wyjaśnił Jig. - Nie, nie chodzi o mnie, tylko o to, co straciłby w wyniku jego zerwania.

- Zawsze się nad tym zastanawiałem - stwierdził Sznyt. - Nie tylko ja zresztą. Co takiego ważnego mogą nam dać takie szczurojady? Dlaczego musimy was zostawić w spokoju?

Jig musnął palcami ścianę, żeby zorientować się w kierunku.

- Kiedy przyszlismy, siedział na poduszce, prawda? Powiedz, czy przed rozejmem widziałeś kiedyś, żeby siedział?

- Nie - przyznał Sznyt. - Zawsze był na nogach i zawsze coś robił. Szkolił wojowników, sprawdzał pułapki, nadzorował treserów kotów. Jest wodzem. Nie ma czasu na...

- Nie. On nie mógł siedzieć. Cierpiał na... Miał niezaleczony uraz. Uleczyłem go. - Jig skrzywił się niemiłosiernie na wspomnienie tamtej chwili. - Za żadne skarby nie chciałbym przeżyć ponownie czegoś takiego.

- Co?! - ton okrzyku nie pozostawiał wątpliwości, że Braf ledwie powstrzymuje rechot. - Chcesz powiedzieć, że ten rozejm to nagroda za uzdrowienie wstrętnego hobgoblińskiego zadka?

- A co myślałeś? - Jig aż przystanął. - Że go zmusiłem? Że wkroczyłem do ich jaskini i zagroziłem wodzowi, że jeśli nie przestaną nas zabijać, spadnie na ich głowę gniew plemienia goblinów?

- No... ?

Jig pokręcił głową z niedowierzaniem. Jak, u licha, ten Braf zdołał uchronić się tak długo i to w dobrym zdrowiu?

* * *

Jig zorientował się, że są coraz bliżej celu, po wyczuwalnej w powietrzu wilgoci. A także

po nagłej fali gorąca bijącej od Ciapka. Przed nimi, na brzegu, widać było jakieś światło. Chochliki? Jig miał nadzieję, że nie. Wódz hobgoblinów o nich nie wiedział, co sugerowało, że Veka była sama.

- Witaj, Jig - głos Veki jeszcze nigdy nie brzmiał tak radośnie. - Wiem, że tam jesteś. Ty i tamta trójka. Chodźcie bliżej, poznajcie moich nowych przyjaciół.

No to raczej nie była jednak sama. Skąd wiedziała, że nadchodzą? Jig ujął rękojeść miecza drugą dłonią. Jedyny sposób, aby przy omdlałym ramieniu w ogóle ruszyć ostrzem.

Nie mogła wiedzieć, chyba że ktoś w grupce znajdował się pod kontrolą chochlików.

Nie, nie ma na nich ani śladu chochlikowej magii.

No to jak? Poruszali się tak cicho jak tunelowe koty podchodzące ofiarę. Na pewno ich nie usłyszała. Jig zaczął się cofać.

Po kilku krokach Ciapek rozżarzył się jeszcze mocniej. Dopiero teraz zareagował na niebezpieczeństwo? Przecież Jig oddalał się od Veki. Pająk powinien stygnąć!

Jig oderwał pęk wiszących na dole kamizelki nitek. Przytrzymując je w zębach, przeniósł Ciapka na ramię. Jeszcze trochę, a pająk spaliłby mu resztę włosów. Co dałoby Jigowi światło, którego potrzebował. Tyle że Jig nie chciał stracić marnych pozostałości owłosienia. Gdy Ciapek usadowił się na siodełku, Jig skręcił nitki w zwitek i zniemacka przytknął je do odwłoka pająka.

Zwitek buchnął ogniem.

- Osiem ócz, a i tak potrafię cię zaskoczyć - szepnął. W wąłym blasku dogasającego płomyka dostrzegł stojących z tyłu towarzyszy. Z wyciągniętą bronią.

- Żadnego światła - przedrzeźniał go Sznyt. - Nie chcemy uprzedzać jej o naszym nadejściu.

- Czekaj - rzekła Grell i wyciągnęła skądś gałgan. Przytknęła go do zamierającego płomyka. Tunel pojaśniał nagle.

- Co to? - zapytał Braf.

- Pielucha. Przydają się w wielu sytuacjach. - Przywiązała szmatkę do końcówki Jigowego miecza. - Nie martw się, jest nawet czysta.

Normalnie smród przeszkadzałby Jigowi, ale ogrze pochodnie najwidoczniej stępiły mu węch. Poza tym rzeczywiście pielucha paliła się całkiem nieźle.

Ściany porastał gęsty kożuch pleśni, która bujnie rozpleniała się w wilgotnym korytarzu. W tunelu nie było nikogo poza nimi. Może Ciapek na starość robił się coraz bardziej strachliwy?

Po tym, co obaj w życiu przeszli, Jig mu się nie dziwił. Uczynił kolejny krok do tyłu.

- Co z tobą, Jig? - krzyknęła Veka. - Nie uratujesz się, uciekając!

- Jakoś do tej pory ten sposób działał - mruknął Jig. Śledziła jego każdy ruch. - To nie fair - wyszemrał, odwracając się do reszty.

Nagle jego uwagę przykuł jakiś cień nad głową. Nie, trzy cienie.

- Mądry pajaczek - szepnął. Do stropu przylgnęły trzy jaszczurniki, wczepione w drobne pęknięcia w obsydianie. Nieruchome, niczym nie odróżniały się od skały stropu. Gdyby nie minimalne drżenie najbliższego, byłyby nie do zauważenia. - Pierwsza zasada zastawiania pułapek - wymamrotał Jig, przypominając sobie słowa Sznyta. - Nikt nigdy nie patrzy w górę.

Zezował na potworki, żeby poruszeniem głowy nie uprzedzić Veki o odkryciu jej szpiegów. Przybliżył się do Sznyta, stając niemal dokładnie pod jaszczurnikami. Ogony dwóch pozostałych stworów także zaczęły drgać. Jig wiedział, co to oznacza. Jaszczurniki napinały w ten sposób mięśnie tuż przed smagnięciem jadowymi kolcami.

Dlaczego nie zaatakowały, gdy grupka pod nimi przechodziła? Coś musiało je powstrzymać. Zapewne to samo, co kazało im wyjść z bezpiecznego jeziora i przewędrować poza piasek, na znenawidzoną skałę.

Veka.

Jig podchwycił spojrzenie Sznyta w nadziei, że hobgoblin zrozumie. Powoli, niemal niedostrzegalnie podniósł wzrok ku górze.

- Uwaga! Jaszczurniki! - wrzasnął Braf.

Zamierzając się mieczem na najbliższego stwora, Jig modlił się, by przeżyć na tyle długo, żeby jeszcze wrzucić Brafowi do spodni kilka jaszczurników.

Miecz, nadal w pochwie, odbił się od sklepienia, ale płonąca pielucha przejechała po grzbiecie potworka. Wszystkie trzy zaczęły krażyć, drapiąc pazurami po kamieniu. Jakim cudem tak wisały? I nagle Jig przypomniał sobie zaklęcie kwitujące, którego Veka użyła w Bezdennej Otchłani. Musiała sporo ćwiczyć od tamtej pory.

Nad głową świsnął im kamień, a jeden jaszczurnik spadł na ziemię. Żył jeszcze, ale leżał wygięty pod nienaturalnym kątem, z nieruchomym ogonem.

Od sklepienia oderwały się pozostałe stwory. Jig odskoczył. Jeden jaszczurnik wylądował na grzbiecie, drugi zaczął natychmiast pełznąć w stronę Sznyta. Jig dostrzegł kątem oka, jak Grell miażdży przewróconego osobnika szczudłem.

Sznyt nadal nie miał broni, usunął się więc napastnikowi z drogi. Chwyił zaskoczonego Brafa za ramię, kopnął go w tył kolan i rzucił na istotę. Braf wylądował na plecach, dokładnie na jaszczurniku.

Kiedy przeklinając i złorzecząc, zdołał się podnieść, Jig ujrzał na jego drewnianej tarczy rozpląszczonego, nieruchomego stwora.

- Kto rzucił kamieniem? - zapytał, chcąc przede wszystkim zapobiec atakowi rozzłoszczonego Brafa na Sznytę.

- Ja - nadał się Braf. - Zawsze byłem dobry w rzucaniu kamieniami.

- Zawsze byłeś... - Jig urwał, tknięty nagle jakąś myślą. Poruszając mieczem, oświetlił spąg, aż znalazł odłamek skały, którym cisnął Braf. Potem przeszedł jeszcze kawałek, zbierając kolejne i wsadzając je sobie za pazuchę. Wrócił do towarzyszy, bez słowa rzucił Brafowi pod nogi zebrane kamienie, wyrwał mu hakiel i podał Sznytowi.

Tym razem, gdy podchodził do jeziora, Veka milczała. Za plecami Jig słyszał kroki reszty.

Dotarłszy do końca korytarza, wychylił się i omal nie zmoczył spodni.

Na piaszczystej łasze siedziały setki jaszczurników. Veka musiała opróżnić całe jezioro, żeby zebrać ich tu tak wiele! Ustawione w rzędach, pyskami w stronę wylotu korytarza. Poza tym, że co jakiś czas któryś wystawiał węzowaty język, trwały w kompletnym bezruchu.

Naraz dostrzegły Jiga i jak jeden mąż zwróciły na niego ślepia.

- Wiesz, Jig - Braf szarpnął go za ramię - chyba przydałoby mi się więcej tych kamieni.

Sama Veka siedziała na grzbiecie wystającego fragmentu tunelu wiodącego pod jezioro. Poły czarnego płaszcza zwisały w dół, muskając powierzchnię wody. Goblina miała zamknięte oczy, ale uśmiechała się do Jiga.

- Wiedziała, że te chochliki nie dadzą rady cię schwytać - rzekła i poklepała się po kieszeni, w której zapewne spoczywała jedna z jej durnych książek. - U końca długiej Drogi Bohatera oczekuje ostateczne, wiekopomne wyzwanie. Przewidywałam, że przedzie przeznaczenia połączą nas ponownie, każąc konkurować w kulminacyjnej konfrontacji. Na każdym kroku krzyżowałeś mi szyki, Jigu Smokobójco, udaremniałeś moje usiłowania ujarzżenia mocy magicznych.

Jig przewrócił oczami. „Heroiczne” monologi Veki stawały się coraz koszmarniejsze. Zawsze było w nich tyle szmirowatych aliteracji.

Spojrzał znów na łąkę, a konkretniej: na ciała hobgoblinów widoczne między zastępami jaszczurników. Naliczył ich osiem albo dziewięć - wszystkie leżały niedaleko wejścia do groty z jeziorem. Wokół nich spoczywało po kilka martwych jaszczurników.

- Przydałaby nam się raczej setka hobgoblinów - mruknęła Grell.

- Nie martw się, zaraz będzie po niej - oświadczył Braf i zanim Jig zareagował, wyszedł na otwartą przestrzeń, po czym cisnął kamieniem. Okruch skały poleciał łukiem prosto ku głowie Veki. Zbliżywszy się, zwolnił, zawisając w powietrzu tuż przed jej czołem. Goblinka, nawet nie otwierając oczu, pchnęła go lekko jednym palcem. Pocisk drgnął i pofrunął w przeciwnym kierunku, z każdym metrem nabierając prędkości.

Jig uchylił się, zaś kamień trafił Brafa w brzuch z taką siłą, że zbił go z nóg.

- Ha! Chciałbyś - krzyknęła Veka.

- Powinniśmy brać nogi za pas - szepnął Jig. - Jej magia jest zbyt silna.

- Ty też masz moc, prawda? - odezwał się Sznyt.

Jig pokręcił głową.

- Ona używa mocy magicznej, ja mam tylko kapłańską.

Co ty wygadujesz?!

Jig podskoczył.

Przecież nie umiem tak czarować jak Veka. Mogę tylko...

Moc to moc. We wszechświecie nie ma podziału energii na magową i kapłańską, podobnie jak w górnych labiryntach nie ma podziału na powietrze goblinów i hobgoblinów.

Zaraz, to znaczy, że jestem magiem? Oczy Jiga zrobiły się wielkie jak talerze. Ale ja mam miecz! I nie mam różdżki czy kostura ani długiej brody, szaty czy...

Jesteś tak samo beznadziejny jak Veka, wiesz?

Jig zeszywniał oburzony.

No to czemu nie mogę za pomocą magii zmusić jaszczurników, żeby zwróciły się przeciwko niej?

Do używania takich zaklęć trzeba lat nauki i treningu.

Zerwał się wicher, który sypnął im piaskiem w twarze. Veka kręciła palcami wyciągniętymi w stronę korytarza, zmuszając powietrze do ruchu.

Lat nauki i treningu lub opętania przez chochliki, sprostował Ciemnogwiazdy.

Możesz mi pomóc walczyć z tą jej magią czy nie?, zirytował się Jig.

Musiałbyś się najpierw nauczyć nią posługiwać. Zaproponuj Vece, żebyście się spotkali w tym samym miejscu za rok, półtora...

Jig skrzywił się, wypluwając piasek.

- Nie, nie potrafię pokonać jej za pomocą moich umiejętności - oświadczył Jig i spojrzał na brzeg, osłaniając częściowo oczy przed tumanami piachu. Dlaczego Veka po prostu nie rozkazała jaszczurnikom ich zabić?

Baczniej przyjrzał się stworom. Nawet drgania ich ogonów były zsynchronizowane. Wszystkie robiły to samo, podobnie jak tamte na stropie. Zmieniło się to dopiero wtedy, gdy jeden spadł. Wtedy zaczęły reagować instynktownie. Kto wie, może gdyby Jig i reszta nie stali im na drodze, w ogóle by nie zaatakowały. Możliwe, że uwolnione spod kontroli Veki po prostu czmychnęłyby na piasek, gdzie czuły się bezpiecznie.

Ciekawe, ile mocy Veka wkładała w panowanie nad ich odruchami?

- Musimy wyjść na otwartą przestrzeń - szepnął.

- Jak chcesz zrezygnować z wodzostwa, są na to mniej nieprzyjemne sposoby - prychnęła Grell.

Jig potrząsnął głową. Burza piaskowa powoli cichła. Veka prawdopodobnie traciła siły. Może zostało jej jeszcze mocy na odbicie kilku kamieni, ale raczej nie więcej.

- Hobgobliny zaatakowały jednocześnie, pędząc na brzeg w kupie - rzekł, wskazując na trupy. - Musimy się rozproszyć, żeby nie tworzyć jednego zgrupowanego celu. Nie sądzę, żeby dała radę wysłać jaszczurniki w kilku kierunkach naraz.

- Znaczy mówisz, że tylko część z nas zginie? - zapytał Braf.

Jig przygarbił się. Tak, właśnie to powiedział. A oni zareagowali dokładnie tak, jak można się było spodziewać po goblinach i hobgoblinie. Grell parsknęła tłumionym śmiechem. Braf pokręcił głową i zaczął się cofać. Sznyt postukał hakłem w ścianę, ważąc nową broń w rękę.

- Poddaj się, Jig - odezwała się Veka. - Chodź ze mną, a twoi towarzysze przeżyją. Chochliki oszczędzą waszą trójkę, ale tylko pod warunkiem, że Jig się podda.

- Może być, jak dla mnie - stwierdził Sznyt, ruszając w stronę Jiga.

- Czekaj! - Jig zamachnął się na nich mieczem. Pielucha spadła na ziemię. Jig oblizał zapiaszczone usta, wpatrując się w kompanów w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak wsparcia. Niestety, bezskutecznie.

Gdyby rzucił się do ucieczki, Braf i Sznyt z łatwością zaszliby mu drogę, zatrzymując go.

Albo Sznyt złapałby go haklem za nogi i przewrócił. Nigdy nie udało mu się przemknąć obok nich.

- Ona kłamie! - powiedział. - Pamiętacie, co mówiła Trokla? Chochliki zgładzą wszystkie stworzenia!

- Mówiła, że chcą zabić wszystkie ogry - poprawił go Braf. - Dziwisz im się?

- Braf, pomyśl tylko - ciągnął Jig. - Jeśli odda mnie w ręce chochlików, kto ci pomoże, jak następnym razem wbijesz sobie kiel do nosa? - zwrócił się do Sznyt. - A ty, hobgoblinie? Wrócisz do swojego wodza i powiesz mu, że nie dałeś rady jednej grubej goblince? Veka robi z tobą, co chce, od pierwszej chwili, gdy się spotkaliście!

Grell zostawił sobie na ostatek, przede wszystkim dlatego, że nie bardzo wiedział, jak miałby ją przekonać. Była zbyt stara, by podziałały na nią groźby, i zbyt mądra, by dać się omamić jakimś kłamstwem. Nagle w oko wpadła mu płonąca pielucha, a wraz z nią pewna myśl do głowy.

- Jeśli mi pomożesz, obiecuję, że po powrocie zwolnię cię z dyżurów w żłobku. Na zawsze. Do końca życia nie podetrzesz już pupy żadnemu gobliniátku.

Nikt się nie odezwał. Braf i Grell wymienili spojrzenia. Sznyt miał skrzywioną minę, co nie było niczym dziwnym w jego przypadku.

- Naprawdę sądzicie, że Veka i chochliki puszczą was wolno i pozwolą żyć długo i szczęśliwie, jeżeli mnie jej oddacie?

- Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu! - wrzasnęła Veka. - Decydujcie albo zginiecie wszyscy!

Spojrzeni po sobie. W końcu Sznyt przerwał milczenie.

- Nigdy nie zostawią nas w spokoju.

- Naprawdę myślisz, że to się uda? - spytała Grell.

- Oczywiście - zapewnił ją Jig.

Niańka trzepnęła go szczudłem.

- Kłamca. - Stękając, pokuśtykała ku brzegowi jeziora. Kiedy nikt nie drgnął, aby iść za nią, odwróciła się. - No? Na co czekacie?

Rozdział dwunasty

Im większa, moc, tym większa cena, jaką trzeba za nią zapłacić. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że to właśnie ty musisz uiścić te zapłatę.

[Grensley Cieniowładny „Droga Bohatera” (Wydanie dla magów)]

Nigdzie, ani w poszarpanych resztkach księgi zaklęć, ani w egzemplarzu „Drogi Bohatera”, nie było jednego słowa o tym, że częste korzystanie z mocy może przyprawić maga o tak straszliwy ból głowy. Veka nie widziała też nigdy, by Jig cierpiał w jakikolwiek sposób po zastosowaniu któregoś ze swych głupich zaklęć leczniczych. Z drugiej strony Jig nigdy nie usiłował kontrolować ponad setki umysłów jednocześnie.

Mimo zamkniętych oczu widziała dzięki jaszczurnikom, choć wiele wysiłku musiała włożyć w zespolenie kawałków obrazu w jedną całość. Tak długo, jak pozostawały bez ruchu, wrażenie, że oddział ogrów wyrąbuje w jej głowie dziurę, nie było tak dojmujące. Czula jednego ogra z dość lekkim kilofem.

- Ile jeszcze? - niecierpliwił się Snixle. Veka zdążyła się już przyzwyczaić do chochlika przemawiającego jej ustami. Tyle że miał skłonności do zwijania jej języka w trąbkę, co było dość irytujące. Przeszkadzały jej też nagle ruchy własnych łopatek, gdy strzepywał skrzydła. Nic dziwnego, że Snixle miał kłopoty z kontrolowaniem istot, skoro do wszystkich podchodził tak, jakby były chochlikami.

Ale Veka postępowała inaczej. Zdawała sobie sprawę, że jaszczurniki nie są armią miniaturowych goblinów. Im bardziej starała się sterować ich zachowaniem, tym mniej zbornie się poruszały. Jeden z hobgoblinów dotarł aż do połowy łachy, zanim zorientowała się, że powinna zdać się na ich instynkt, nakierowując ich tylko na konkretną ofiarę.

- Rzuć w nich więcej piasku - denerwował się Snixle, usiłując unieść jej rękę. Łupanie w czasie natychmiast się nasiliło. Na trzy ogry co najmniej.

- Obawiam się, że nie dam rady. - Prawdopodobnie dałaby radę, ale wtedy mogłaby nie zablokować kolejnego pocisku, gdyby Braf nagle postanowił ją zaatakować. - Cierpliwości. Jig pojawi się lada moment, albo z własnej woli, albo z cudzej. Tamci mają wybrać między swoim a jego życiem. I nie mam wątpliwości co do tego, jak postąpią.

Skoncentrowała się na jaszczurnikach stojących najbliżej wylotu korytarza. Jaszczurniki nie miały zbyt dobrego wzroku. Wszystko widziały rozmazane i na początku Veka miała trudności, by przystosować się do postrzegania kolorów na ich sposób. Nie mówiąc o tym, że dziwnie było komuś jej wzrostu oglądać świat z perspektywy pełzających istot. Z drugiej strony jaszczurniki miały bardzo wyostrzony słuch. Nie tak jak nietoperz, na którym latała, ale na tyle dobry, by słyszeć odgłosy szeptania w korytarzu. Nie rozróżniała poszczególnych słów Jiga, ale potrafiła wychwycić coraz silniejszą nutę lęku w jego tonie. Gdyby nie zabili tamtych trzech jaszczurników, z łatwością mogłaby ich teraz podsłuchiwać.

- Jig dobrze wie, że nie ma szans, tak czy inaczej go dostaniemy - szepnęła. Zadrzała z ekscytacji, w wyniku czego łupanie w głowie stało się ostrzejsze. Ale coś takiego warte było bólu. Już nigdy nie wrócą czasy, kiedy siedziała samotnie w kącie synami, skrupulatnie odczytując litera po literze wyblakłe instrukcje ze starej księgi. Została prawdziwym magiem. Albo czarodziejką. Tak, czarodziejka brzmiało znacznie lepiej. Veka Czarodziejka.

- Poślijmy choć kilka jaszczurników do tunelu - zaskomlał Snixle.

- Nie, to Jig tu przyjdzie - oświadczyła Veka stanowczo. Inna sprawa, czy zrobi to z własnej woli, czy też wypchną go towarzysze.

Jakby w odpowiedzi na jej myśli Jig wyszedł z tunelu. Nawet oczyma kiepsko widzących jaszczurników dostrzegła, że szybko oddycha. Jak szczur przed wrzuceniem do garnka. Niósł obnażony miecz, ale nie atakował jaszczurników. Ułamany koniec ostrza kołysał się przy jego kostce. Co mu się stało w ramię? Kwaśnawy posmak wskazywał na magię chochlików. Wyglądało na to, że rzuciły na niego jakieś paskudne zaklęcie. Najwyraźniej Jig nie wyszedł z ostatniej potyczki bez szwanku.

Za Jigiem szedł Sznyt, poganiając go szturchnięciami hakła. Veka zmartwiała. Przecież hobgoblin powinien nie żyć! Na własne oczy widziała, jak Grell wbija mu miecz w pierś! Pewnie Jig go uleczył... Tylko po co marnował magię na hobgoblina?

Grell niosła coś w rodzaju przeraźliwie kopcącej prowizorycznej latarni. Braf szedł z drugiej strony Jiga, najwyraźniej z pustymi rękoma.

- Wracajcie do domu! - zawołała Veka. - Powiedzcie reszcie, żeby nie stawiali oporu, to może chochliki pozwolą im żyć.

- Dobra. - Jig zrobił ruch, jakby chciał się odwrócić. - Na pewno przekażę.

- Nie ty! - warknęła Veka.

Jig zatrzymał się na granicy piasku, wpatrując się w najbliższego jaszczurnika.

- Nie obawiaj się, Jigu Smokobójco - uśmiechnęła się Veka. - Znajdują się pod moją kontrolą. Słuchają mnie i tylko mnie. - Na potwierdzenie rozkazała pierwszemu rzędowi stworów rozsunąć się, tworząc przejście dla Jiga.

- Naprawdę wierzysz, że chochliki zostawią nas w spokoju? - krzyknął Jig.

- Chcą tylko góry - odkrzyknęła Veka. - Nie interesuje ich, czy zginiemy, czy ją opuścimy. Będzie tu rządził najsilniejszy. A czy tak nie było zawsze?

Niedawno jeszcze Straum i Nekromanta trzęśli tym miejscem. Chochliki, które teraz wybrały górę na swój dom, są nawet potężniejsze.

Widziała, jak Jig trzęsie się, wstępując pomiędzy wygłodniałe jaszczurniki. Veka zacisnęła zęby i powoli oczyszczała mu przejście. Nie mógłby iść trochę szybciej?

- Rzuć broń! - wydarł się Snixle jej głosem.

Jig z trudem uniósł umieszone ramię. Teraz Veka wyraźnie widziała, jak rzemień wpija się w jego skórę, łącząc broń z ręką. Miejsca pomiędzy skórzanymi pasami były sine i spuchnięte.

- Chciałbym!

Gdy znalazł się w połowie drogi, Veka zatrzymała go gestem.

- Wystarczy, Jigu Smokobójco. W tym miejscu poddasz się mej woli. - Niech stawia opór. Jego magią leczniczą była niczym wobec jej potęgi. Unieruchomiła jaszczurki, rozchyliła powieki i wpiła wzrok w Jiga. Sterowanie jaszczurników to jedno. Teraz po raz pierwszy spróbuje przejąć kontrolę nad inną istotą rozumną. Wyszczrzyła się w uśmiechu. I to nie była jaka, samym Jigiem Smokobójcą.

- Uważaj! - Snixle szarpnął ją w bok, prawie wrzucając do wody. Kamień otarł jej się o głowę, spadł na powierzchnię tunelu i plusnął w jezioro. Veka otrząsnęła się szybko, ale kiedy spojrzała na łacę, Jig biegł pędem, wlokąc miecz po piasku. Chce zriierzyć się z jej mocą? Niech i tak będzie. Podniosła się na nogi.

Jednak zanim cokolwiek uczyniła, przed jej oczyma wybuchło jaskrawe światło. Nie, nie jej oczyma, oczyma jaszczurników. Jedna cząstka obrazu brzegu jaśniała pomarańczowym ogniem i falowała gwałtownie, gdy jaszczurnik rzucał się, usiłując ująć płomieniem. Odcięła połączenie z jaszczurnikiem i nareszcie mogła zobaczyć, co się dzieje.

Grell! Stara niańka rzuciła zapaloną szmatą w jaszczurnika! A teraz trzymała kolejny

ognisty pocisk. Ubezłasnowolnione zwierzęta nie mogły same umknąć i drugi kawałek pola widzenia Veki eksplodował.

Veka uwolniła kolejnego jaszczurnika i rozkazała reszcie zaatakować. Ledwie ruszyły, kolejny fragment obrazu rozmył się i zawirował. To Sznyt wychylił się z korytarza i za pomocą hakła wyrzucił jaszczurnika w powietrze.

Następny stwór zginął trafiony odłamkiem skały. Braf miotał kamieniami, celując w potworki najbliższej Jiga. Usiłowała zablokować pociski, ale w tym samym czasie Grell podpaliła trzeciego jaszczurnika, a Sznyt podrywał coraz to nowe w górę, rzucając nimi na wszystkie strony. Jeszcze trochę, a Veka gwałtownie pozbędzie się zawartości żołądka.

Dość tego. Wyzwoliła zwierzęta w sąsiedztwie napastników. Większość natychmiast uciekła do wody, ale kilka znajdowało się zbyt blisko Sznyta oraz goblinów. Braf krzyknął ostrzegawczo, gdy szyk jaszczurników się załamał, i zaczął rzucać w te, które podchodziły ku Grell.

- A teraz im pomóżmy - zawołał Snixle, podskakując ochoczo. Przejął kierowanie nad jej rękami, przeprowadził ją szybko przez wiązanie, a następnie rzucił zakłęcie lewitacji. Czarem wydarł Sznytowi z dłoni hakieł, a następnie skierował szpikulec broni na Brafa.

- Sprytnie - pochwaliła go Veka.

- Uwważaj! - wrzasnął Sznyt, kopiając jaszczurnika.

Braf zrobił unik, a koniec hakła rozłupał się na ścianie.

- A niech to! - warknął Snixle.

- Nie przejmuj się nimi - rzekła Veka. Brafowi kończyły się kamienie, a Sznyt był rozbrojony, więc skupiła się na Grell. Rzuciła kolejne zakłęcie lewitacji, usiłując wyrwać jej płonące szmaty.

Jak na starą goblinkę, Grell miała zadziwiająco dużo siły.

- Zajmij się Jigiem! - podszeptała jej Snixle. Rzeczony Jig jako jedyny nie walczył z jaszczurnikami. Wydawało się, że pragnie tylko dopaść Vekę. Pędził na złamanie karku, kilkakrotnie niemal nadeptując jadowite potworki.

Podekscytowanej Vece zabłysnęły oczy. O takim starciu marzyła. Veka Czarodziejka kontra Jig Smokobójca. Nowy Bohater wstępuje w szranki, aby pokonać i zająć miejsce starego. Tak długo ją tłamsił, lecz w końcu była gotowa stawić czoła wyzwaniu. I dopilnuje, żeby choć jeden z jego towarzyszy przeżył, by opowiedzieć światu o jej triumfie. Najlepiej Grell. Sznyt to

hobgoblin, a Braf wszystko by pokręcił.

Veka przeszła na sam wierzch tunelu, którego wlot znajdował się poza jeziorem. Stojąc w najwyższym punkcie łukowatego grzbietu miała przewagę. Jig będzie musiał się tu wdrapać, chcąc stawić jej czoła. Poczekać, aż wejdzie, czy zaatakować go podczas wspinaczki? To pierwsze lepiej wyglądałoby w opowieściach, ale może mądrzej zabić Jiga, gdy jest bezbronny? Wprawdzie to niezbyt bohaterskie zagranie, ale za to iście w stylu rasowego goblina. Rzuciła kolejne zaklęcie kwitujące, za pomocą którego uniosła jednego jaszczurnika, po czym zaczęła przemieszczać go w powietrzu kolcami skierowanymi na Jiga. Wbije te kolce w szyję Jiga, kiedy ten będzie zajęty wchodzeniem na górę, a potem...

Jaszczurnik kwiknął z bólu, kiedy odłamek skały trafił go w bok. Braf! Veka zazgrzytała zębami, żałując, że nie wrzuciła głupiego goblina do jeziora. Teraz nie miała już na to czasu. Jig był tuż-tuż. Zebrała siły i wypuściwszy spod władzy resztę jaszczurników, przygotowała się, aby uderzyć.

Jig jednak zniknął.

Veka otworzyła usta ze zdumienia. Jej przeciwnik wbiegł wprost do podwodnego przejścia. Nawet nie przystanął, żeby zaatakować. Uciekał do labiryntu Nekromanty! Niewiarygodne! Cóż to za Bohater, który mija wroga, nie zatrzymując się nawet, by go porządnie zelżyć?

Veka przeszła na skraj grzbietu, tuż ponad otworem wejściowym.

- Co robisz? - denerwował się Snixle.

- Korytarze Nekromanty to labirynt labiryntów. Jig może tam siedzieć całymi dniami i nigdy go nie znajdziemy.

- Obiecałaś mi Jiga Smokobójcę! - lamentował Snixle.

- Spokojnie. Dostaniemy go. - Ależ z tego Snixla mazgaj!

Gestem dłoni odpędziła jaszczurniki od wlotu. Innym zaklęciem wezwała walające się po piasku płonące gałgany. Jig może i szybko uciekał, ale na pewno nie dotarł jeszcze do końca tunelu.

Zwinęła szmaty w ognistą kulę z zamiarem ciśnięcia jej w gardziel. Jig przeżyje, ale będzie ciężko ranny. Utrzymując płomienisty pocisk w powietrzu, zeskoczyła na łachę.

Snixle wrzasnął, gdy Jig wraził ostrze w jej pierś.

* * *

Wokół rozlegała się lawina plusków wskakujących do wody jaszczurników. Veka czuła piasek we włosach oraz kolana Jiga wbijające się w jej brzuch. Za każdym razem, gdy nabierała powietrza, ktoś tłukł ją w klatkę piersiową. Nie, to miecz. Silny ucisk, ale wyobrażała sobie, że coś takiego boli bardziej.

Zaczęła więc się i krztusić, usiłując zaczerpnąć powietrza.

- Snixle? - usta ułożyły się odpowiednio, ale nie wydobyła głosu.

Ktoś krzyczał. Jig? Wrzeszczał, jakby go obdzierali ze skóry. Z trudem skupiła na nim spojrzenie... jednej pary oczu. Dziwne wrażenie.

Ramię Jiga było wykręcone pod nienaturalnym kątem, przytwierdzone do tkwiącego w jej ciele miecza. Musiał zwichnąć sobie rękę, kiedy padała na ziemię.

Zaśmiałyby się, gdyby tylko mogła oddychać. Jediną ranę odniesioną w walce z nią Jig zadał sobie sam.

Załawionymi oczyma niewyraźnie ujrzała podchodzącą Grell. Niańka przyświecała sobie niesionym ostrożnie płonącym jaszczurnikiem.

- Pomóż mi ją przewrócić na bok - stęknął Jig.

Do tego Grell się nie nadawała, ale Veka poczuła wsuwający się pod plecy wielki bucior i ktoś kopnięciem przekręcił ją na bok. Jig opadł na piasek.

- Dzięki, Sznyt - rzekł Jig, spluwając piaskiem. Zaparł się nogami o jej pierś i szarpnął.

Prawdziwy Bohater wygłosiłby w takim momencie jakieś ostatnie buńczuczne słowa, ale Veka zdołała tylko jęknąć, po czym zemdląła.

* * *

Ocknęła się z twarzą wciśniętą w plecy Sznyta. Panowała ciemność, ale smrodu hobgobliniego smarowidła do włosów nie dało się z niczym pomylić. Zarzuciwszy sobie jej ramiona na barki, taszczył ją korytarzem, nie bacząc, że Veka wlecze nogami po spagu.

- Jig, ona się znowu ślini - poskarżył się. - To obrzydliwe.

- Mogło być gorzej - pocieszył go Braf. - Przynajmniej na ciebie nie krwawi.

Sznyt jęknął. Veka poczuła, jak z trudem przełyka ślinę.

- Ty żyjesz? - wychrypiała Veka. - Wy żyjecie?

Sznyt puścił ją nagle. Uderzając szczęką o skałę, Veka zadrapała sobie policzki kłami.

- Kiedy zdjęłaś zaklęcie, jaszczurniki od razu pobiegły do jeziora - wyjaśnił Jig. - Nie mogą tyle przebywać bez wody. Zbyt długo je tak trzymałaś, skóra im wyschła i popękała. Dosłownie rozdeptywały się po drodze.

A więc Jigowi znów się udało. Musiał stawić czoło całej armii jaszczurników i wygrał. Posiadała tak potężną moc, a jednak to ona skończyła z mieczem w trzewiach.

Niepewnie, obawiając się tego, co może wymacać pod palcami, dotknęła miejsca, gdzie czuła straszliwy nacisk Jigowego miecza. W płaszczu ziała wydartą dziurą. I tkanina płaszcza, i koszuli były przesiąknięte krwią. Ale nie natrafiła na ranę. Jig ją uleczył.

- Chochliki rzuciły na ciebie zaklęcie - powiedział Jig. - Znajdowałaś się pod ich kontrolą od chwili wyjścia z jaskini Strauma.

Veka milczała. Niech sobie Jig wierzy, że to wszystko to sprawka chochlików.

- Co się z tobą działo po tym, jak uciekłaś? - zapytał Jig. Słyszała, jak wlecze miecz po skale, a potem siada obok niej.

- Zeszłam - wyszeptała. Mimowolnie dotknęła kieszeni. Księgi nadal tam były. Wyjęła „Drogę Bohatera”. - Zeszłam w ciemność i oślizgłam ohydę, pomiędzy koty tunelowe, a potem wyłoniłam się w srebrzystym blasku groty Strauma.

Oczy zasły jej łzami, gdy zaczęła cytować piąty rozdział.

- „Droga powiedzie Bohatera do zejścia w mrok, ale po powrocie, po symbolicznym odrodzeniu, zyska on moc, by zatriumfować”. Tak pisała Joska. I zeszłam. A potem wróciłam! - Ręce trzęsły jej się tak bardzo, że ledwie była w stanie utrzymać księgę. - Zeszłam i wróciłam, a ty mnie zadźgaleś!

- Próbowalaś nas zabić - oburzył się Braf.

- Nic nie rozumiecie. - Teraz łzy spływały jej po policzkach. - Miałam być potężna. Jig nie miał prawa mnie pokonać. Zyskałam tyle mocy, a on i tak tego dokonał.

Odrzuciła księgę. Kartki zafurkotały i „Droga Bohatera” uderzyła o ścianę.

- Uważaj - warknął Sznyt. - Goblińska idiotka. Szkoda, że Jig nie zostawił cię na pożarcie jaszczurnikom. Wystarczająco dużo krwi wszystkim napsułaś. Wszędzie ładujesz się z tym tłustym zadem.

Veka pociągnęła nosem. Nie była w stanie wykrzesać z siebie najmniejszej iskry gniewu, słysząc obelgę Sznyta. Takich samych wysłuchiwała całe życie od goblinów. Sznyt ma rację. Lepiej byłoby jej umrzeć. Teraz powstaną nowe piosenki o Jigu i jego zwycięstwie nad Veką-Beką.

- Zrobiłam wszystko tak, jak pisała Joska - wybełkotała. Podążyła Drogą, zeszła w mrok, zdobyła naprawdę wyjątkowego mentora i wróciła, by stawić czoło wyzwaniu. Tyle że według Jośki Bohater powinien zwyciężyć. A Jig ją pokonał.

- Chochliki mówią, że do naszego świata przybyła ich królowa - mówił Jig. - Nie wiesz może, gdzie teraz jest? Ile jest chochlików? Gdzie są wszystkie ogry?

- Nie wiem - wyszemrała Veka. Bohater powinien zwyciężyć.

- Jest do niczego - zirytował się Sznyt.

- To zupełnie jak wojownik, który boi się widoku krwi - wypalił Braf.

- Przymknijcie się, obaj - warknął Jig. - Chochliki wiedzą, że czar rzucony na Vekę został przełamany. Teraz pewnie wyślą ogry, żeby nas wytłuc.

Jig mnie pokonał.

- No i co z tego? - prychnął Braf. - I tak zanim dotrą do nas, będą musiały wpierw zabić hobgoblina.

- Ty tchórzliwy szczurojadzie! - wrzasnął Sznyt.

- Zawsze my szliśmy na pierwszy ogień poszukiwaczy przygód, łowców skarbów i herosów, którzy przychodzili do labiryntów! - pieklił się Braf. - Teraz wasza kolej!

- Chochliki mogłyby spokojnie poczekać, aż sami się wytłuczemy - fuknęła Grell.

Veka odkaszlnęła i splunęła. Najwyraźniej po ataku i leczeniu Jiga w gardle zalegało jej trochę krwi. Obrzydliwy posmak.

- Snixle wspominał coś o sprowadzeniu królowej do nowego domu.

- Snixle? - zdziwił się Braf.

- Ten chochlik, który mnie... opętał. - Zagranatowała się zawstydzona. Niech myślą, że Jig Smokobójca pokonał chochlika, nie ją.

- Gdzie miał być ten dom? - zapytał Jig. - W grocie Strauma czy gdzieś indziej?

Potrząsnęła głową.

- Tego nie mówił.

- Po co w ogóle miałyby opuszczać królestwo Strauma? - zastanawiał się Sznyt. -

Przecież to najbezpieczniejsze miejsce w całej górze. Ilu herosów czy innych awanturników dotarło tam przez wszystkie te lata?

- Grota jest dla nich zbyt mała - mruknął Jig. Siedział tak blisko! Wystarczyłby jeden ruch, a zatopiłaby sztylet w jego boku. W tych ciemnościach nawet by się nie zorientował, co chce zrobić.

Ale jego pająk tak. Ciąpek ostrzegłby go o nadchodzącym niebezpieczeństwie, a wtedy Jig znów by ją pokonał. Choćby nie wiadomo jak się starała, Jig zawsze ją zwycięży. Tak jak zwyciężył chochliki, które go pojmały. Tak jak zwyciężył smoka oraz Nekromantę. I tak jak zwyciężył ją nad jeziorem, przełamując zaklęcie chochlików.

- Jak ci się udało wyrwać mnie spod władzy chochlików? - zapytała.

- To stal - odrzekł Jig. Wydawał się roztargniony. - Nazywają ją śmiercionośnym metalem. Chyba niszczy ich magię albo coś podobnego. W ten sposób odzyskaliśmy Sznyta. Kiedy został dźgnięty mieczem... - Jig urwał. - Och, nie! - wyszeptał.

- No? Co? - zainteresowała się Grell.

- Chochliki twierdziły, że to ja, zabijając smoka, umożliwiłem im przejście do naszego świata. Mówiły, że to przeze mnie. Pamiętajcie, jak wyglądało legowisko Strauma zaraz po jego śmierci?

- Pełne gratów i śmieci - powiedział Braf. - Książek, nocników, obrazów, monet, zbroi i wszystkich innych rupieci, które jaszczur zbierał całe życie.

- Właśnie, zbroje - powtórzył Jig. - I mnóstwo broni. Wszystko, noże, miecze, tarcze, pancerze, wszystko wisiało na ścianach. Całą jaskinię wyłożył stalą, a kiedy zginął...

- ... wymietliśmy ją do czysta - dokończył Braf. - Ups.

Veka uświadomiła sobie, że przytakuje.

- Snixle mówił, że otwarcie wrót wymaga olbrzymiej mocy. Najsilniejsze skupisko magii we wnętrzu góry znajdowało się w jaskini Strauma. Mieszkał tam tysiące lat, nawet skała pewnie nią nasiąkła.

- Musimy tam wrócić - oświadczył Jig. - Ale najpierw wyślemy oddział goblinów, żeby pomogły hobgoblinom bronić jeziora, na wypadek gdyby ogry się tamtędy przedostały.

- Kralk nigdy się na to nie zgodzi - stwierdziła Veka.

Sznyt zachichotał radośnie.

- Raczej ciężko jej zaprotestować. Chyba że gobliny nagle zamienią się w

brzuchomówców.

- Kralk nie żyje? - zdumiała się Veka. - W takim razie kto teraz... - nie dokończyła. Nie musiała. Bo któżby inny? Podczas gdy ona schodziła w mrok, wracała i traciła czas na naukę chochlikowej magii, Jig nie tylko pokonał ogry oraz chochliki, ale też zdobył przywództwo nad goblinami.

- Chodź - powiedział Jig.

Veka wstała i powlokła się za nim. W ciemności nadepnęła na „Drogę Bohatera”. Zawahała się krótko, ale szybko podążyła za resztą.

* * *

Veka milczała, kiedy Sznyt przedstawił ją hobgoblińskim wartownikom jako jeńca i oświadczył, że Jig prowadzi ją do goblinów, gdzie zapłaci za wszystko, co zrobiła.

Na początku mu nie wierzyli. Jeden szarpał smyczą kota tunelowego, rozwodząc się nad niedożywieniem bestii.

Wtedy wystąpił Jig. Wyglądał fatalnie, brudny i wyraźnie zmęczony. Odezwał się tym swoim żałośnie piskliwym głosikiem:

- Żeby ją dostać, musieliśmy pokonać armię zaczarowanych jaszczurników. - Uniósł oburącz zakrwawiony miecz i wymierzył w najbliższego strażnika. - Zejdźcie mi z drogi.

Hobgoblina odstąpiły. Jig był mały, jego broń śmieszna - każdy z tych wartowników zgniótłby go jak pluskwę, ale oni ulegli jego woli. Jak on to zrobił? Nie nadymał się, nie podniósł głosu, nawet im nie groził. Po prostu... powiedział prawdę.

A hobgoblina natychmiast uwierzyły, że pokonał jaszczurniki i ją, Vekę. Wiedzieli, do czego zdolny jest Jig Smokobójca. Nie musiał się przechwalać. Wystarczyło, że przypomniał, kim jest. A był Bohaterem.

U wejścia do tuneli goblinów stali dwaj wartownicy. Nie tylko stali, stali na straży.

- Chodźcie z nami - zawołał ich Jig. Uśmiechnęli się szeroko. A czemu by nie? Jig właśnie pozwolił im zejść ze służby.

Wkraczając do grotty, Veka natychmiast wyczuła napiętą atmosferę. Pełne aż po brzegi syfnie paliły się jasnymi płomieniami. Gobliny zerkały trwożliwie na wejście. Wróciły do swoich

zająć, dopiero gdy rozpoznały nadchodzących. Parka młodych goblinów siedziała przy drzwiach kuchennych zadziwiająco spokojnie, cicho grając w szcurzą stawkę. Dziewczyna prowadziła trzema szcurami.

- Co teraz? - zapytał Sznyt.

Jig uniósł zdezelowany miecz nad głowę, a potem trzykrotnie grzmotnął nim o ziemię. Posypały się iskry, odprysnął kolejny kawałek metalu, ale gobliny zwróciły ku niemu głowy.

Jig nabrał powietrza do płuc.

- Chochliki i ogry zajęły dolne tunele. Wkrótce przybędą tutaj. Założę się, że przejdą pod jeziorem i zaatakują hobgobliny.

W tłumie zawrzało - gobliny szeptały, szacując szanse i robiąc zakłady. Rozległo się kilka nieśmiałych wiwatów. Veka patrzyła na Jiga. Jego twarz błyszczała od potu, a zakrwawione ubranie wisiało na nim w strzępach. Umieczone ramię dyndało bezwładnie, w dodatku cały czas nieświadomie szarpał prawy kiel. W niczym nie przypominał Bohatera.

- Dlatego musimy im pomóc - ogłosił.

W grocie zaległa głucha cisza, przerywana tylko pojedynczymi kaszlnięciami.

- Hobgoblinom czy chochlikom? - zawołał ktoś z ciżby.

- Hobgoblinom - odparł Jig.

- Po co?

Veka widziała, jak Jig przeszukuje wzrokiem tłum, chcąc wyłowić pytańskiego. Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Wszystkie gobliny w duchu zadawały to samo pytanie.

- Niech hobgobliny ich przetrzebią, a my potem dobijemy tych, co przeżyją - krzyknął inny goblin. Veka miała wrażenie, że to któryś ze strażników, ale nie była całkowicie pewna.

Nikt nigdy nie kwestionował poleceń Kralk. Z drugiej strony jednak Kralk nie wydawała tak dziwnych rozkazów.

Veka czekała na reakcję Jiga. Ciekawe, czy sprawdzi się w roli wodza. Jakim sposobem pozyska zgodę i posłuszeństwo goblinów? Ale Jig po prostu stał i z sekundy na sekundę robił się coraz bardziej nerwowy. Jeśli nie przestanie szarpać tego kła, w końcu go sobie wyrwie. Gobliny znów zaczęły poszeptywać. Veka nie mogła w to uwierzyć. Jig nie miał pojęcia, co robić!

Grell zaszurała szcudłami o skałę, występując naprzód. Złapała sękatymi palcami Jiga za ramię i odsunęła go na bok.

- Idioci! Nie daliście rady zatrzymać jednego ogra, który tu przyszedł, a on nawet nie miał

zamiaru was zabijać! Co zrobicie, gdy przybędzie ich tu cała armia? I nie tylko ich, prawdopodobnie hobgoblinów także. Każdy pokonany hobgoblin może zostać zaczarowany i wysłany do walki z goblinami. Jeśli pomożemy im walczyć, może coś zdziałamy, więc przestańcie zadawać głupie pytania i zacznijcie słuchać wodza!

- Poza tym - odezwał się Braf, stając po drugiej stronie Jiga - jeśli im pomożemy, to potem na widok każdego żółtoskórego młotka będziecie mogli się chełpić, jak to uratowaliście ich nędzną norę przed ogami.

Te słowa wywołały falę radosnych okrzyków. Niektóre goblino rechotały, pokazując palcami Sznyta.

Sznyt zaś wlepił oczy w Brafa, na przemian zaciskając i rozluźniając pięści.

- Powiniście to zrobić, bo to pomysł Jiga - Veka usłyszała własny głos. Słowa wydarły jej się z ust, zanim uświadomiła sobie, co chce powiedzieć. Przez chwilę miała wrażenie, że Snixle znów przejął nad nią kontrolę, ale nie. To były jej własne słowa. Ujrzała Jiga wpatrującego się w nią z otwartymi ustami.

Nie potrafiła na niego spojrzeć, wychodząc przed zebrane goblino.

- Tam, w grocie Strauma, Jig walczył z ogrem. I wygrał. Zabił dwa chochliki. I Nekromantę. Zglądził samego Strauma. Nie tylko zwyciężył we wszystkich tych potyczkach, ale także nie stracił ani jednego towarzysza! - Siąknęła i wytarła nos rękawem szaty. - Skoro Jig mówi, że trzeba pomóc hobgoblinom, możecie mieć pewność, że tylko w ten sposób przeżyjemy.

- Właściwie to raczej zginiemy - szepnęła Jig. Nadal nie mógł oderwać zdumionego spojrzenia od Veki.

- O tym lepiej nie wspominaj - podszepnęła mu Grell.

Część goblinów wymachiwała ochoczo bronią. Jeden z wojowników z toporem omal nie odciął przy tej okazji ucha swojemu sąsiadowi. Inne zaczęły śpiewać „Balladę o Jigu”.

- Najsilniejsi wojownicy pójdą pomóc hobgoblinom - krzyknął Jig. - Większość zostanie tutaj i zabarykaduje jaskinię, a garstka pójdzie ze mną.

Tylko Veka usłyszała, jak mruczy.

- A nie spodoba wam się to, dokąd idziemy.

Rozdział trzynasty

Żaden plan nie przetrwa pierwszego kontaktu z wrogiem, po co więc w ogóle układać plany?

[Farnok Sztyletorcki, gobliniński głównodowodzący]

Pod drzwiami kwatery Kralk czekały dwadzieścia trzy gobliny. Jig wraz ze Sznytem siedzieli w środku, wybierając ze zbiorów Kralk każdy nóż, miecz, maczugę, kiścień czy topór. Wszystko, co miało w sobie choć trochę stali.

- Czemu nie podzieliłeś się tymi zabawkami z goblinami, które poszły nam pomóc? - zapytał Sznyt.

- Założę się, że one nie będą musiały walczyć z chochlikami - odparł Jig. - A przynajmniej nie z wieloma. Chochliki pozostaną w grocie Strauma tak długo, jak się da. Tam panują odpowiednie dla nich warunki i tam są najsilniejsze. A jeśli mam rację, nam przyda się wszystko, co zdołamy znaleźć.

Podniósł kołczan pełen strzał o stalowych grotach. Dostrzegł także gigantyczny łuk, ale nie mógł namierzyć nigdzie cięciwy. Nie żeby on czy inny goblin potrafili strzelać z łuku. Jedyna kusza, która się tu znajdowała, została rozłożona przez Sznyta, który wykorzystał cięciwę do skonstruowania jednej ze swoich pułapek. Ale strzały były wystarczająco długie, by wykorzystać je jako oszczepy, które mogły być przydatne w walce z fruującym wrogiem.

Miał niejake kłopoty z przełożeniem szelki przez uniesione ramię, ale kiedy wreszcie mu się udało, kołczan trzymał się na plecach w wygodnej pozycji. Jig rozejrzył się w poszukiwaniu kolejnej sztuki broni i końcówka promienia jednej ze strzał dźgnęła go w ucho.

Sznyt zaśmiał się, przystając, by wziąć straszliwy trójząb.

- Zostaw to - rzekł Jig. - Nie bierz niczego dłuższego niż swoje ramię.

- Czemu? - zdziwił się Sznyt. - Dlatego że gobliny nie są wystarczająco silne do prawdziwej broni? - Dźwignął masywny kij okuty żelazem. - To powinno chyba dać niezłego łupnia, bez rozlewania krwi, nie?

Jig nie odpowiedział. Niosąc broń pod pachą, wymaszerował z pomieszczenia, uważając, by nie uruchomić którejś z pułapek. Kilka noży wypadło mu po drodze, resztę zrzucił na stertę za

progiem.

- Weźcie tyle, ile możecie unieść, ale nie przeciążajcie się - powiedział, obserwując, jak gobliny przepychają się, wybierając broń. Nie wybrał goblinów, które miały mu towarzyszyć. Pozwolił im się podzielić odpowiednio, ogłaszając, że na pomoc hobgoblinom mają iść najsilniejsze.

Tym samym został z mizerakami o patykowatych kończynach, które zwykle kryły się po kątach, unikając niebezpieczeństwa. Goblinami, którym udawało się przeżyć za pomocą kradzieży i podstępu, nie walki twarzą w twarz. Tymi, które musiały być dwa razy sprytniejsze od innych, żeby przetrwać w jaskini. A właśnie takich potrzebował.

Braf oraz Sznyt wyróżniali się wśród nich rozmiarami. W tej grupie nawet Jig nie czuł się jak najgorszy charłak. Większość broni zniknęła; czekając na dalsze rozkazy, gobliny zerkały na siebie podejrzliwie, choć lwią część nieufności zarezerwowały dla samego Jiga.

Jig pilnował, żeby mieć za plecami ścianę. Wiedział, że nie spodoba im się to, co zamierzał powiedzieć. Jeszcze raz analizował reakcje Pynne i Farnaxa na ciasnotę tuneli. Jeżeli reszta chochlików podchodziła do sprawy tak samo, nie pozostaną długo w grocie Strauma. Jeśli miał rację, było tylko jedno miejsce, gdzie mogłyby się przenieść.

- Królowa chochlików wysiała do naszego świata grupę swoich poddanych, by przygotowały tu dla niej dom - zaczął. - Zabiły lub zniewoliły większość ogrów, ale zamiast ruszyć do labiryntów Nekromanty, przebiły się z groty Strauma bezpośrednio do Bezdennej Otchłani, gdzie odławiają i zabijają nietoperze.

Dla goblinów najbezpieczniejszym miejscem była grotka otoczona ze wszystkich stron grubymi pokładami skał. Chochliki wprost przeciwnie - poszukiwały otwartej przestrzeni. Na swój dom wybrałyby miejsce, gdzie mogłyby swobodnie latać, łapać wiatr w skrzydła i gdzie przeciwnik jak na starcie stałby na straconej pozycji.

- Budują swe gniazdo w Bezdennej Otchłani - kontynuował. - I właśnie tam sprowadzą królową. Jeśli dotrzemy tam przed nimi, może uda nam się urządzić na nie zasadzkę.

Tak jak przypuszczał, ci, którzy byli z nim na dole, pierwsi pojęli, co to oznacza. Jeżeli nie chcieli przebijać się przez labirynty Nekromanty i ogry, które mogły tam być, pozostawała tylko jedna droga.

- Coś mi to za bardzo śmierdzi gobliniskim śmietnikiem! - krzyknął Sznyt. - Chyba nie oczekujesz, że będę zląził...

- Nie, nie oczekuję od ciebie niczego - rzekł Jig. Podejrzywał, że to właśnie Sznyt zaprotestuje pierwszy. - To misja goblinów i zrozumieć, jeśli zdecydujesz się zostać tu, gdzie jest bezpieczniej.

- Ja idę! - zgłosił się Braf. - Nie jestem takim tchórzem jak hobgobliny i...

- Kogo nazywasz tchórzem, szczurojadzie?! - oburzył się Sznyt, roztrącając gobliny stojące mu na drodze do Brafa.

Jak na razie plan Jiga działał. Teraz tylko musiał powstrzymać tę dwójkę przed pozabijaniem się.

- Ja też pójdę - pozbawiony emocji głos Veki natychmiast przykuł uwagę obu zacieurzewieńców.

- Ty? A po co? Żeby się znowu dać usidlić chochlikom? - fuknął Sznyt.

- Na ciebie też rzuciły zaklęcie - przypomniał mu Braf.

Grell grzmotnęła ich obu, wykorzystując obie laski. Braf oberwał w bark, Sznytowi dostało się w kolano. Potem ku zaskoczeniu Jiga jego też huknęła w ramię. A ponieważ uderzyła go w to z mieczem, zupełnie zdrtwiała, ledwie coś poczuł.

- Przestań tak stać z wytrzeszczonymi oczami - zbesztła go. - Jesteś wodzem, więc zachowuj się jak wódz.

Jig kiwnął głową.

- Zejdziemy zsysem do tunelu, który zaprowadzi nas do Bezdennej Otchłani. - Zerknął na Sznyta i Brafa. - Wy dwaj pójdziecie jako ostatni. Dopilnujecie, żeby nikt nie próbował zwać. Ty także - dodał, patrząc na Grell.

Niańka uniosła brwi, ale nic nie powiedziała. Jig odwrócił się, by poprowadzić gobliny do śmietnika. Tej części planu obawiał się nawet bardziej niż chochlików czy czeluści. Ale nie było wyjścia.

Pogładził Ciapka siedzącego wygodnie na lewym barku. Schodzenie kominem było bardzo niebezpieczne. Oznaczało wystawienie się na ataki. Nie chodziło o to, czy któryś z goblinów spróbuje go zabić. Chodziło o to, kiedy spróbuje to zrobić.

Napiął mięśnie, starając się nie wlec miecza po ziemi. Zdrowe ucho ustawił tak, by słyszeć każde stąpienie za plecami, każdy szept. Czemu zwlekają? Nie uwierzyli chyba w to, co Veka o nim mówiła, że jest groźny i że jest Bohaterem? Niemożliwe.

O, jest. Ledwo słyszalna zmiana rytmu kroków. Jedne zbliżyły się do niego, a cała reszta

oddaliła, dając pole do działania temu goblinowi czy goblince. Ciąpek przysunął się do jego szyi, ciepły, ale jeszcze nie na tyle, żeby parzyć.

Jig szedł dalej. Musi idealnie wyczuć moment. Na co czekają? Zbierają się na odwagę? Ileż jej trzeba na coś takiego?

Teraz, odgłos nabierania tchu. W tej samej chwili stopy Ciapka oparzyły go punktowo. Jig skoczył do przodu, kuląc głowę oraz ramiona, chwycił drugą ręką trzpień miecza i okręcił się na pięcie, nadstawiając ostrze w stronę niedoszłego zabójcy.

Napastnik wpadł na ułamany czubek klingi, przewracając i siebie, i Jiga. W następnej sekundzie Jig spoglądał w twarz Reiki, jednej z podkuchennych Golaki. Nóż wypadł z ręki goblinki, brzęcząc na skale.

Jig wierzgnął, spychając ją z miecza. Czuł, jakby w jego panewce stawowej ktoś ucierał metalowe opilki.

Relka żyła. Przyciskając dłonie do krwawiącego brzucha, odczołgała się, nie spuszczać oczu z Jigowego ostrza.

- Ty zostajesz - powiedział Jig. - Niech Golaka cię opatrzy. Ulecę cię, jeśli przeżyjesz do naszego powrotu. O ile w ogóle wrócimy.

Odwrócił się plecami do Reiki, tłumiąc niemiłe uczucie na widok odczołgującej się goblinki. Miał nadzieję, że naprawdę przeżyje. Robiła najlepsze omlety z węży jaj. Ale dzięki jej napaści Jig osiągnął to, na co liczył. Gobliny sprawiały wrażenie przerażonych.

Jig potrząsnął głową.

Nietrudno było przewidzieć, że któryś się na mnie rzuci.

Możliwe, odezwał się Ciemnogwiazdy. Ale pomyśl, jak wygląda to z ich perspektywy. Wyeliminowałeś potencjalnego zabójcę, nawet na niego nie patrząc. Sporo czasu minie, nim znów spróbują zaatakować cię od tyłu.

Nie, westchnął Jig ponuro. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek pomyśli o Kralk ze współczuciem. Następnym razem uciekną się do bardziej wyrafinowanego podstępu.

* * *

Wspinaczka w zsypie była koszmarem. Ale schodzenie z dwudziestoma goblinami i

jednym zrządzającym hobgoblinem okazało się znacznie gorsze. Jediną rzeczą, jaka zapobiegła rozlewowi krwi, była ciasnota kanału, która wymuszała posuwanie się gęsiego. Mimo to gobliny znajdujące się wyżej nadeptywały na ręce tych pod spodem oraz zasypywały je śmieciami i innym paskudztwem.

Jig nakazał kilku nieść syfne latarnie. Był to niespodziewanie trafiony pomysł, bo światło oraz ciepło odstraszało mackowate ślimaki, z którymi Jig miał już do czynienia w drodze pod górę. Niestety, gobliny co chwila nieumyślnie podpały przyklejane do ścian odpadki.

Dlatego mimo zaczepionych w śmietniku lin tylko cudem nikt nie spadł.

Jig rozluźnił chwyt na sznurze i zjechał kawałek, oddalając się nieco od reszty. Czubek miecza zaczepił się o skałę, niemal łamiąc mu łokieć, zanim zdołał się zatrzymać. Jakby tego było mało, bez przerwy zsuwały mu się okulary. Próbował je poprawiać barkiem, ale natychmiast znów ześlizgiwały się ze spoconego nosa.

Braf mało co nie spadł, przepychając się obok jakiegoś goblina, żeby dotrzeć do Jiga.

- Jak sądzisz, z iloma ogrami i chochlikami będziemy musieli walczyć?

- Z żadnym, jeśli będziesz się tak wydzierał. - Tak naprawdę hałas by ich nie zdradził, przynajmniej nie tak daleko od otchłani, ale Jig wolał uciszyć Brafa zawczasu. Znajdowali się chyba już w połowie drogi, mniej więcej na wysokości labiryntów Nekromanty.

Braf zagryzł wargę i skinął głową.

Jig zmarszczył brwi, spoglądając na towarzysza.

- Nie znalazłeś sobie jakiejś broni?

Braf usiłował wzruszyć ramionami, ale w efekcie tylko podciągnął się na linie.

- Będę się trzymał miotania kamieniami. Jeśli będziemy walczyć z chochlikami w otchłani, przyda nam się jakaś broń dalekiego zasięgu.

- To twój pomysł? - zapytał Jig.

- Nie, nie - odparł Braf pospiesznie, a przez jego oblicze niespodziewanie przemknął grymas strachu. - To Grell. Ona mi powiedziała, żebym lepiej został przy rzucaniu kamieniami, bo inaczej mógłbym sobie zrobić krzywdę. - Zmarszczył z namysłem czoło. - Albo że ona robi mi krzywdę?

Jig zszedł nieco niżej, myśląc intensywnie.

- Słuchaj, Braf, wtedy, gdy próbowałem przekonać gobliny, że musimy pomóc hobgoblinom, powiedziałaś im, że powinniśmy to zrobić, żeby móc się potem tym chełpić. Skąd

ci to przyszło do głowy?

- Bo to prawda!

Możliwe, ale przy okazji były to też najtrafniejsze w tamtej sytuacji słowa, kamyk, który wywołał lawinę i wciągnął wszystkie gobliny w realizację planu Jiga. Braf zrobił to samo po raz drugi, przed kwaterą Kralk, gdy wydrwił Sznyt. Wtedy po raz drugi Braf zdołał przekonać kogoś do zrobienia tego, na czym zależało Jigowi.

Jig zmrużył oczy, próbując zobaczyć coś przez zaparowane soczewki, i wtedy to dostrzegł. Braf przyglądał mu się uważnie... Próbując odgadnąć, czy Jig domyślił się prawdy? Błysk czujności w jego oczach pojawił się dosłownie na ułamek sekundy, ale to wystarczyło.

- Nie jesteś taki głupi, jakiego udajesz, prawda? - szepnął Jig.

Braf zmarszczył brwi. Jig uświadomił sobie nagle z całą wyrazistością, jak wielki jest Braf. A miecz Jiga skierowany był ostrzem w dół i nieprawdopodobieństwem było odwrócenie go w tej ciasnocie.

- Niewykluczone - odrzekł Braf równie cicho.

Znajdowali się przynajmniej o długość goblina od kolejnego schodzącego. Z góry dobiegały ich złorzeczenia Grell oraz łomoty, kiedy próbowała wygodniej ułożyć sobie szczudła. Sznyt nie ustępował jej na polu przeklinania, wygrażając co chwila, że zaraz odetnie linę od jej uprząży. Część goblinów jeszcze stała na górze, czekając na swoją kolejkę.

Jig skupił się ponownie na Brafie.

- Ale dlaczego... ?

- Na moim miejscu robiłbyś to samo.

Jig wpatrywał się w niego tępo.

- W jaki sposób komendant zdobywa dowodzenie nad oddziałem goblinów? - rzucił Braf.

- Tak samo jak wódz. Zabija poprzednika oraz wszystkich, którzy mu się sprzeciwiają.

- Spójrz na mnie, Jig. Jestem wielki, silny, wyglądam groźnie. Taki cher... Hm, ktoś taki jak ty postrzega mnie jako oprycha i będzie próbował zabić podczas snu. Taki wojownik widzi we mnie zagrożenie. Dowódca - rywała, którego nawet jeśli nie pozbawia się życia natychmiast, prędzej czy później wysyła do walki z kotami tunelowymi lub każe wejść w pułapkę hobgoblinów. Naprawdę sądzisz, że tylko przez przypadek wśród goblinów nie ma starych wojowników?

Jig wolno pokręcił głową.

- No więc udaję idiotę. Upuszczam broń. Pozwalam sobie robić głupie kawały. - Skrzywił się, macając po nosie. - Nie przewidziałem, że oberwę i kiel utkwi tak głęboko, ale nieważne, bo chodzi o to, że skoro jestem kretynem, nie stanowią dla nikogo zagrożenia. Szyderstwa i kawały doprowadzają mnie do szału, ale lepsze to niż ta druga opcja. I jeszcze jedno, ścierwojad zaraz ci wejdzie na rękę.

Jig cofnął dłoń jak oparzony, uderzając plecami i barkiem o ścianę z tyłu. Białawy, członiasty stwór był długi jak jego ramię. Jig odczekał, aż robał się oddali. Zwierzę faktycznie czmychnęło, upuszczając w mrok trzymany w odnóżach strzęp przypalonego mięsa.

- Ale dlaczego dajesz się tak łomotać Grell?

Braf roześmiał się wesoło.

- Grell o wszystkim wie. Pomaga mi. Powstrzymuje mnie, gdy przesadzam z udawaniem głupka i zaczynam robić coś niebezpiecznego. - Braf uśmiechnął się z zażenowaniem. - To nawet niezła zabawa.

- Zabawa?

- Jasne. Ty jesteś taki strasznie sztywny, ciągle się boisz, że coś popsujesz. A po mnie wszyscy się tego spodziewają. - Jego uśmiech zgasł. - Naturalnie, jeśli się komuś wygadasz, obedrę cię ze skóry i nakarmię nią ścierwojady.

- Naturalnie - przytaknął Jig.

Braf rozpromienił się znowu.

- Ej, odkąd tu jest tak zimno?

Spocony, rozgrzany intensywnym ruchem Jig nic nie zauważył, ale Braf miał rację. Kamienne ściany były lodowate, a im niżej, powietrze...

- Czy ktoś może opuścić latarnię? - zawołał.

Fala żaru bijąca od Ciapka ostrzegła go w samą porę. Jig wykręcił się i przylgnął do ściany, w chwili gdy spadająca syfiówka stoczyła się w dół, rozpryskując syfie. Braf zaklął, ścierając z ramienia krople mazi. Gobliny powyżej wrzeszczały jak opętane, próbując się ugasić. Potem zaczął wrzeszczeć nieostrożny latarnik, któremu sąsiedzi spuścili lanie. Ale incydent miał korzyści. Krople palącej się syfii rozjaśniły mrok i pełznącą ku nim srebrną mgłą.

* * *

- Gdzie my jesteśmy? - pytanie odbiło się echem od ścian opustoszałej groty.

Nie wiadomo, kto je zadał. Jig czuł na plecach ciepło tłoczących się za nim goblinów. Odsunął się na bok, żeby mieć z tyłu ścianę. Prawdopodobnie był to zbyt czyny środek ostrożności. Tamte gobliny po raz pierwszy ujrzwały świat chochlików, a ten napełnił ich strachem rugującym skrytobójcze myśli... Przynajmniej na jakiś czas.

Pofałdowana powierzchnia obsydianu, pokryta warstwą szarawego szronu, wywoływała wrażenie, jakby otaczał ich roztopiony metal. Blask latarni wyglądał na nim jak plamy śnieży.

Ciemnogwiazdy? Słyszysz mnie?

Cisza. Świat chochlików rozprzestrzenił się szybciej, niż przewidywał. To zły znak.

Jig rozejrzył się i przeżył chwilę strachu, że nie rozpozna, który z korytarzy prowadzi do otchłani. Przez tę mgłę i śnieg wszystko wyglądało tu teraz inaczej. Przyszli z prawej strony, tak? Pociągając kiel, ruszył wzdłuż ściany. Zwisający miecz kreślił za nim linię na śniegu.

- Przypomina trochę naszą jaskinię - zauważył Braf.

Jig potoczył wokół spojrzeniem. Rzeczywiście. Grota była większa, ale z łatwością mógł sobie w niej wyobrazić gobliny czy hobgobliny. Ostatnim razem, owładnięty myślą o ucieczce, nie przyglądał jej się uważnie, ale teraz miał okazję to nadrobić. Z jednej z kolumn zwisały kawałki przegniłej liny, zbyt starej, by mogły ją tu zostawić ogry. W przejściu do tunelu w resztkach drewnianej framugi tkwił zardzewiały zawias. Spróbował go wyrwać i drewno rozpadło mu się w ręce.

Jig nie słyszał nigdy o goblinach mieszkających tak głęboko, ale grota ta niezaprzeczalnie była kiedyś czyimś domem. Jeśli nie powstrzymają chochlików, ich jaskinia także może pewnego dnia zamienić się w takie miejsce.

- Trzymajcie broń w pogotowiu - rzekł, wkraczając do tunelu. - Ostatnio natknęliśmy się tu i na ogry, i na chochliki.

- I na węże skalne - pisnął Braf. - Nie zapominaj o węzach!

Reakcja pozostałych goblinów była mniej niż entuzjastyczna. Jig dostrzegł, że kilka spogląda tęsknie w stronę groty, niewątpliwie rozważając, czy nie lepiej wrócić na górę tą samą drogą, przez zsyp. Veka wlokła się w ogonie grupy. Od opuszczenia jaskini na górze nie odezwała się ani słowem. Jig nadal nie był przekonany, czy dobrze postąpił, pozwalając jej iść ze sobą, ale jak na razie nie sprawiała kłopotów. Wydawała się tylko nieco przybita.

- Idziemy - zakomenderował, ruszając w głąb tunelu.

Po jakimś czasie natknęli się na skupioną przy ścianie masę kotłujących się ścierwojadów. Wyglądało to tak, jakby robale walczyły o to, który będzie na samej górze żywej piramidy.

- Zamarzają tu - stwierdziła Grell. - Zbijają się w kupę, żeby było im cieplej. Podobnie robimy z niemowlakami; jak robi się zimno, kładziemy je wszystkie do jednego kojca. - Sama obejmowała się ramionami i przytupywała. Miała na nogach sandały, a wystające palce już zdążyły przybrać jaśniejszy odcień niebieskiego.

Jeszcze bardziej chłód zdawał się dokuczać węzom skalnym. Jig zauważył parokrotnie kłębki po kilka zwiniętych ściśle osobników. Żyły - jeden zaatakował, gdy jakiś goblin dziabnął go mieczem, ale jego ruchy były tak spowolnione, że goblin zdołał się odsunąć. Praktycznie rzecz biorąc, tunel nie był strzeżony.

- Zgaście latarnie - szepnął Jig. Po chwili, gdy wzrok przywykł mu do ciemności, zdołał rozróżnić czarną plamę wylotu. Nieco bliżej leżał podłużny przedmiot - kostur Veki, dokładnie tam, gdzie go upuściła kopnięta w głowę przez Sznyta. Jig zerknął przez ramię. Veka także go zauważyła. Minęła go, nie odrywając oczu od kostura. Kiedy poderwała kij z ziemi, część wisiorów odpadła, a odcisk w skorupie lodowej wyglądał jak wierna kopia rosochy. Jig położył zdrową dłoń na rękojeści, na wypadek gdyby Vece wpadło do głowy znów rzucić się w wir heroiczych czynów. Ale goblina stała bez ruchu, wpatrując się w kostur.

Jig obszedł ją, zastanawiając się, czy chochliki przypadkiem nie uszkodziły jej mózgu. Kilka goblinów szeptało, pokazując ją sobie palcami. Rozległy się też stłumione chichoty. Nie było ich tam, nad jeziorem, i nie wiedziały, do czego Veka była zdolna. Jig wstrzymał oddech, ale goblina wydawała się głucha na drwiny.

Modląc się, by tak już zostało, Jig podkraśl się na skraj korytarza. Wiatr zacinał mu w twarz pyłem oraz śniegiem. Usłyszawszy brzęczenie skrzydełek, wytknął głowę, spoglądając w czeluść. Ujrzał chmurę chochlików latających w czerni i złapał się na tym, że rozważa skok w dół. Może spadając, zabiłby choć jednego.

Otchłań zmieniała się nie do poznania. Wszędzie srebrzyły się uczone ścian bąble, na tyle duże, że spokojnie pomieściłyby Jiga. Większość stykała się ze sobą, a spłaszczone w tych miejscach ścianki znaczyły plamy wielokątów. W jednym miejscu bąble tworzyły skupisko na dwie lub trzy warstwy.

Para zielonych chochlików zatrzymała się przy placku nagiej skały. Były mniejsze od

tych, które Jig widniał do tej pory. Posiadały także tylko jedną parę skrzydeł. Po dotknięciu ściany ich blask przygasł nieco, a gdy oderwały ręce, na płaszczyźnie pozostał bąbel połączony z ich dłońmi. Chochliki cofały się, a przezroczysta półkula rosła. Rozciągająca się powierzchnia falowała kręgami koloru, a skrzydelka istot migotały rozmytym zielonkawym blaskiem. Gdy bąbel osiągnął rozmiary pozostałych, chochliki odsunęły się. Kolor rozlewał się, plamy wirowały i pływały po wypukłej krzywiznie, stopniowo tworząc coraz bardziej jednolitą srebrzystą powłokę.

Chochliczka naparła na nią. Jej dłoń przebiła się do środka, a po chwili cała zniknęła we wnętrzu srebrzystej osłony. Jej towarzysz pozwolił się unieść prądowi powietrza, hamując dopiero przy następnym pustym miejscu.

- Co to? - zapytał Braf.

Jig odetchnął głęboko.

- Plastry. Budują gniazdo dla kolonii.

Pozostałe gobliny doczołgały się do Jiga, wyciągając szyje, by zobaczyć otchłań. Młodszy goblin, Grop, wychylił się poza granicę ciemnego wnętrza tunelu, rzucając cień na sklepienie. Jig złapał go za włosy i szarpnął do tyłu.

- Jak mamy z nimi walczyć? - spytał Grop, rozcierając bolące miejsce.

- Cicho! - warknął Jig. Nie sądził, by ktoś usłyszał ich przez świst wiatru, ale nie chciał ryzykować. Położył się na oblodzonym spagu i spojrzał do góry, na most Nekromanty. Tam także fruwała grupa chochlików. Przelatując, oświetlały ciemne kształty, które okazały się ogrami. Cudownie.

- Jest coraz gorzej - oświadczyła Veka.

- To jasne - potwierdził Jig, nie mrugnawszy nawet okiem.

Wskazała na największe, warstwowe skupisko bąbli, znajdujące się przy tunelu prowadzącym do groty Strauma.

- Tam jest królowa - dodała.

- Skąd wiesz? - zapytał Jig.

- Trudno to wyjaśnić. Wyczuwam ich magię, jakbym czuła wiatr.

- A nie pomyślałaś, albo choć przez głowę ci nie przemknęło, że to może wiatr? - prychnął Sznyt.

Veka nie zareagowała na zaczepkę.

- To tak jakby wchłaniała całą magię i przyciągała do siebie resztę chochlików. Nie ciała, tylko moce, umysły. Cały ich świat kręci się wokół niej.

Jig poprawił okulary. Zdawało mu się, że w dole dostrzegł punkt czystego, białego światła. Co to Pynne mówiła? „Każdy, kto spojrzy na królową chochlików, czuje tylko miłość”.

W takim razie albo to światło nie było królową, albo Jig był odporny na jej czar. Jedyne, co czuł, to obezwładniający lęk.

- Powinniśmy wrócić do domu - rzekł Grop. - Moglibyśmy pomóc innym barykadować jaskinię i...

- I co? - zirytował się Jig. Inwazja chochlików postępowała błyskawicznie. Wystarczy spojrzeć, ile zdołali zrobić zaledwie w ciągu jednego dnia. - Dlaczego nie wystawiły w tym tunelu warty?

- Tej szczeliny prawie stamtąd nie widać - powiedziała Veka. - Ten nawis nad wejściem zasłania wszystko, a z daleka wygląda jak zwykła nierówność w skale. Chochliki nie potrafią się porozumiewać telepatycznie. Jeżeli zabiłeś tamte, reszta może w ogóle nie wiedzieć o tym korytarzu. A Snixle... On nie mówił nikomu o mnie i Szynie.

- Mamy farta - burknął Sznyt.

Jig ponownie wystawił głowę, usiłując zobaczyć, jak wysoko rozciąga się świat chochlików. Granica dwóch światów, widzialna dzięki rozbłyskującym na niej co jakiś czas iskierkom, zdawała się sięgać już ponad most Nekromanty.

- Przecież opanowanie groty Strauma zajęło im całe tygodnie - szepnął. - A w tym tempie mogą dotrzeć do goblinów najwyżej w jeden dzień!

- Musimy odciąć je od źródła ich magii - oświadczyła Veka.

- Wiem! - warknął Jig. - Myślałem, żeby po zgładzeniu królowej zniszczyć portal, a potem wybić po kolei wszystkie chochliki. A później doszedłem do wniosku, że mógłbym wskrzesić Strauma i upiec sobie szczury na jego ognistym oddechu.

Przymknął oczy, próbując się uspokoić. Po co przejmować się kolejnymi bitwami, skoro pewnie nie przetrwa nawet tej?

- Na pewno nie powinniśmy zawrócić? - spytał kolejny goblin, Var.

Jig potrząsnął głową. Za szybko się rozprzestrzeniały. Jeśli nawet ruszyliby teraz w drogę powrotną, plastry mogły wypełnić całą otchłań, zanim dostaliby się do swoich labiryntów.

- Chochliki są jak owady - rzekł. Dysponujące magią, ogrzymi niewolnikami oraz potęgą

wystarczającą, by podbić całą górę, ale owady. - Co robisz, natykając się w naszej jaskini na gniazdo os?

- Palę je - odparła Veka.

- Ściągam je kijem, a potem wsadzam do nocnika kapitana Kolloka - wymamrotał Grop.

Mimo strachu Jig uśmiechnął się, żałując, że sam nie wpadł na ten pomysł.

- Wszystko, co robią chochliki, robią dla swojej królowej. Zaatakujemy kolonię, zabijemy królową, a wtedy zniknie przyczyna ich najazdu.

Gfell podrapała się w ucho.

- Wiesz, z tego, co widziałam, osy się nieźle wściekają, kiedy ktoś zaczyna kombinować przy ich gnieździe. A nawet jeśli zdołamy zamordować królową, i tak będziemy mieć na karku całą armię chochlików, które zaatakują nasze kryjówki.

- Zaatakują tak czy inaczej. - Jig cały czas powstrzymywał się przed liczeniem bąbli. Ile potrwa, zanim zapełnią każdy nowym chochlikiem? Jeśli rozmnażałyby się w tym tempie, w którym i robiły inne rzeczy...

- Jig ma rację. - Veka odstepiła od grupy, ściskając w rękę kostur. - Dopóki żyje królowa, chochliki będą walczyły do ostatniej kropli krwi. Może kiedy zginie, zechcą negocjować? - Otworzyła szeroko oczy jakby zdziwiona własnymi słowami. - Jigowi udało się przecież ułożyć z hobgoblinami.

- Albo może zemszczą się, zabijając nas wszystkich - burknął Sznyt.

Veka pokręciła głową. Przymknąwszy powieki, zaczęła recytować:

- „Krytycznym odcinkiem podróży Bohatera jest śmiertelna walka. Nikt rozsądny nie mógłby liczyć na wygranie tej ostatecznej bitwy, ale prawdziwy Bohater znajdzie wyjście”. - Uśmiechnęła się smutno. - To właśnie ta bitwa, a Jig poprowadzi was do zwycięstwa.

Grell wzruszyła ramionami.

- Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

Zanim Jig wymyślił jakieś podnoszące na duchu hasło, Veka podeszła do niego. Jig zaczął się cofać, ale przytrzymała go i stuknęła kosturem jego umieczone ramię.

- Co ty wyp... - Jig urwał, czując, że ściskający ciało oplot zaczyna się rozluźniać. Koniec odwinął się z barku. - Cały ten czas mogłaś to zrobić?

- Przepraszam - bąknęła Veka. - Nie chciałam.. Nie potrafiłam zmusić się do ponownego użycia magii. Aż do teraz. Wiem, że powinnam była... - Przelknęła głośno ślinę. - To zaklęcie

jest proste, łatwiejsze nawet od kontrolowania jaszczurników. Zwykle odwołanie się do szczątek energii życiowej tych rzemieni, które kiedyś stanowiły część żywej istoty.

Miecz brzęknął o spąg. Jig skrzywił się i zerknął w czeluść, ale chochliki chyba niczego nie usłyszały. Rękojeść odcisnęła ślad na dłoni, a zmaltretowane, opuchnięte ramię przecinały wgłębienia tam, gdzie wżynał mu się rzemień. Błada, niemal białą skórę znaczyły sine pręgi.

- Więc dlaczego nie...

Tyle zdołał powiedzieć, zanim w ręce nie zaczęła krążyć krew. Jig upadł, zagryzając zęby, by nie krzyknąć z bólu. Z każdym uderzeniem serca tysiące młotów waliło w kości ramienia. Koty tunelowe przegryzały od wewnątrz stawy, a cała skóra była jak rozżarzony ołów.

Jig wpił wzrok w oszronioną skałę stropu, aż napływające do oczu łzy nie zamazały obrazu i wzory nie zlały się w szarą plamę. Gdyby zdołał dosięgnąć miecza, sam odciąłby sobie ramię przy barku.

Ciennogwiazdy?

Tutaj, na dole, bóg go nie słyszał. Poczul, jak ktoś rozwiera mu szczękę, wciskając coś w zęby. Nasączony kłakiem cukrowy supelek Grell. Wgryzł się w niego tak mocno, że zmiażdżył słodką bryłkę w szmatce.

- Zaczekaj, zaraz zaczniesz działać - głos Grell brzmiał, jakby dobiegał z drugiego końca tunelu.

Zaczekaj. Łatwo jej mówić. Miał wrażenie, że spuchnięte ramię jest trzy razy większe niż normalnie. Kiedy otworzył oczy, okazało się, że się mylił. Było tylko dwukrotnie większe.

Ból stopniowo ustępował, zamieniając się w uczucie, jakby tysiące igieł wbijało mu się w skórę aż do szpiku. Jig przyciągnął miecz i użył go jak laski, żeby wstać.

- Widzisz? Mówiłam, że zaraz poczujesz się lepiej - rzekła Grell. - A teraz powiedz nam, jaki masz plan na tę bitwę, o wielki Bohaterze.

Jig skrzywił się, wysysając resztki słodocy z gałganka i krusząc kawałki cukru. Sam się nad tym zastanawiał. Wyraźnie widział, że gobliny nie są zachwycone sytuacją. A gobliny niezbyt subtelnie wyrażały niezadowolenie. Z obnażoną bronią przysuwały się do Jiga, więząc go pomiędzy linią najeżoną ostrzami a skrajem tunelu.

Uniósł miecz. Prawa ręka nadal nie była sprawna, podobnie jak miecz zresztą. Od klingi ukruszył się kolejny kawałek stali. Na rękojeści granatowiła się zaschnięta krew. Drewnianą okładzinę trzpienia przytrzymała tylko obdrapana główica. Z nasady zwisał długi aż do ziemi

rzemień. Tępa, wyszczerbioną głownią trudno byłoby zadrasnąć nawet skórę dziecka. Niestety, nie miał innej broni.

Gobliny przystanęły.

- No? - popędził go jeden.

- Co no?

- Kiedy atakujemy?

Nie miały zamiaru zabić jego. Chciały zabijać chochliki. Były... Były gotowe iść za nim do bitwy. Za nim!

Odwrócił się ku czeluści, rozprostowując rękę. Dłoń i przegub były jeszcze ściernięte. Braf wodził wzrokiem od niego do goblinów, otchłani i z powrotem. Teraz już nie zwiódła go głupkowata mina goblina - szybkie ruchy gałek ocznych wskazywały, że Braf pilnie uważa, czy nie zbliża się jakieś niebezpieczeństwo.

- Braf, jak najlepiej wywołać zamieszanie w gnieździe os?

Braf rozpromienił się, wyciągając ze spodni kamień.

- Ile ich tam masz? - skrzywił się Jig.

- Nie pytaj. Wszystko jest dobrze, jak nie siadam. - Wążąc w ręce odłamek skały, zbliżył się do wylotu. - Gdzie mam trafić najpierw?

Jig wskazał bąbel znajdujący się daleko od szczeliny.

- Nie, czekaj. - Po co zawracać sobie głowę rzucaniem, skoro Veka może za pomocą magii przenieść je na drugą...

Rozejrzał się wokół. Veki nie było. Podobnie jak Sznyta.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Grell.

- Nic, nic. - Jeśli ogłosiliby, że ta dwójka uciekła, kto wie ilu jeszcze zrobiliby to samo? - Rzucisz na mój sygnał. Reszta skryje się w cieniu. Nie chcemy na razie zdradzać, ile nas jest. Braf zdoła może uderzyć dwa, trzy chochliki, zanim zorientują się, skąd nadlatują pociski. Wyślą kilka na zwiad, a my wciągniemy je w głąb korytarza. Nie lubią zamkniętych przestrzeni, nie potrafią w nich również swobodnie manewrować.

Odwrócił się do Brafa, żałując, że nie może obgadać swojego planu z Ciemnogwiazdym. Może bóg był irytujący i traktował go protekcjonalnie, ale już kilkakrotnie wyciągał Jiga z tarapatów. Nie wspominając, że mógłby pomóc mu uleczyć rany goblinów... począwszy od jednego wielkiego sińca o imieniu Jig.

Z drugiej strony nieobecność Ciemnogwiazdego gwarantowała brak złośliwych komentarzy w przypadku porażki. Jig uniósł miecz i cofnął się pod osłonę mroku.

- Teraz.

Rozdział czternasty

Bogowie lubią naznaczać swych ulubieńców.

*Ja urodziłam się ze znamieniem w kształcie lecącego smoka i zostałam największą
poskromicielką bestii w historii.*

*Moja siostra nie miała tyle szczęścia. Jej znamię przypominała koślawą miskę puddingu
rodzynkowego.*

[Theodora Czerwcowa, Pogromczyni Bestii z Wysp Elkoniańskich „Droga Bohatera”
(Wydanie dla magów)]

Veka biegła przez ciemność, opatulając się mocniej płaszczem. Oderwała od kostura resztę paciorków i kostek, żeby nie klekotały, ale samego kostura nie miała serca się pozbyć. Gruby kij był jej najlepszą bronią, a kto wie jakie potwory napotka w drodze do groty Strauma? Potrzebowała go do obrony i tyle. Nie miało to nic wspólnego z jej marzeniami o magostwie. Absolutnie.

Zwolniła, szukając szczeliny, którą poprzednio zeszła do jaskini smoka. Ostukiwała ściany kijem. Kilka razy omal nie przewróciła się na oblodzonym spągu. Głupie chochliki. Po takiej ślizgawicy nie dało się chodzić!

Płaszcz chronił ją przed chłodem, ale nic nie izolowało jej od obcej magii, która unosiła się w powietrzu niczym odór zdechłego hobgoblina. Magia chochlików była jak żywy wiatr, przenikający przez ubranie i szczypiący skórę mrozem. Chochliki szybowały w tej magii jak na wietrze, wykorzystując prądy powietrzne i czerpiąc z niego moc, z każdym oddechem nabierając sił. Magia była tak samo niezbędnym składnikiem ich diety, jak napoje czy pożywienie.

Vece ledwie udawało się ją skanalizować, by rzucić zaklęcie.

Ale potrafiła. Snixle pokazał jej, jak to zrobić. Ile razy przejmował kontrolę nad jej ciałem, sterując ruchami, kiedy próbował ujarzmić moc jej świata? Na początku gesty te nie miały dla niej sensu, ale wyuczyła się ich. Magia chochlików była raczej kwestią sugestii niż woli. Wystarczył najcichszy szept, żeby formować ją według potrzeby. Chwycona zbyt mocno rozsypywała się w dłoni. Ale ona umiała zrobić to odpowiednio.

A skoro ona zdołała opanować ich magię, one mogły zrobić to samo. Tylko tak dało się

wyjaśnić tempo ich ekspansji. Chochlikom udało się znaleźć sposób korzystania z mocy tego świata i użyły go do powiększania własnego.

Jedynym, kto mógł im w tym pomóc, był Snixle, a on znów mógł zyskać swą wiedzę tylko od Veki.

To jej wina.

W jej rozważania wdarty się mrukiwe przekleństwa. Głos dobiegał zza pleców. Uniosła kij i powęszyła.

- Sznyt?

Usłyszała, jak ku niej spieszy.

- Nienawidzę, jak mnie tak nazywasz.

- Co ty tu robisz?

- Zauważyłem, jak się urywasz.

Przygarbiła się.

- I co, poleciałeś za mną, żeby powstrzymać mnie od tchórzliwej ucieczki?

- Coś ty? Żeby się do ciebie przyłączyć. Gdybyś wierzyła, że Jig ma jakiekolwiek szanse, zostałabyś tam. Nie, ten świr poprowadzi ich na śmierć. Sam zresztą zginie pewnie pierwszy.

Veka potrząsnęła głową, zapominając zupełnie, że nie może jej zobaczyć. Jig przeżyje. Może nawet uda mu się nie stracić całego oddziału. Zadrzała jej broda. Jak on to robi? To prawda, że posiada magię, ale jej była wielokroć potężniejsza, kiedy walczyli. Jest od niego większa, silniejsza i młodsza, a jednak to on wygrał.

To Jig, nie Veka, jest prawdziwym Bohaterem. Ona była tylko jednym z jego wyzwań, przeszkodą, którą się pokonuje, a potem puszcza w niepamięć. Zastanawiała się, czy wspomni o niej choć w jednej linijce swojej następnej piosenki.

- Zamierzam zniszczyć portal ze świata chochlików - szepnęła.

- Pomyliłem się. Na moment zapomniałem, że wszystkie gobliny to świry.

- Większość chochlików będzie przy królowej. Jest dla nich najważniejsza. - Choć Veka wątpiła, że są na tyle głupie, by zostawiać wrota w ogóle niestrzeżone. Nie wiedziała, czy zastanie jakieś w grocie Strauma, ale na pewno nie dostanie się do niej bez przeszkód. Może będzie musiała się zmierzyć z czymś podobnym do wielogłowego potwora, tyle że tym razem skonstruowanego zapewne bez wady jelitowo-strukturalnej.

Zadrzała na myśl o czymś takim. Przedtem ochoczo stawiałaby czoło takiemu wyzwaniu,

ale to było wtedy, gdy wierzyła, że jest Bohaterem. Teraz się bała i nienawidziła tego uczucia.

Wróciła do poszukiwań szczeliny. Jak daleko pobiegła, uciekając od Jiga i ogrów? Nie zaprzętała sobie wtedy głowy liczeniem kroków czy zapamiętywaniem zakrętów, a brak kontroli nad własnym ciałem zaburzył jej zdolność orientacji w terenie. Przystanęła, walcząc z ogarniającą ją rozpaczą. Czy szukała w ogóle po dobrej stronie?

Spróbowała przywołać światło, ale bez źródła nic nie mogła zrobić. Magia chochlików wirowała pomiędzy palcami, jakby drwiąc z jej bezsilności.

- A więc wiesz, jak prześlizgnąć się do groty Strauma? - zapytał Sznyt.

- Za ścianą jest komin, którym spływa woda, tu gdzieś powinno być do niego wejście. Snixle mnie do niego zaprowadził, tak właśnie wróciłam i...

- Zabiłaś kilka hobgoblinów - dokończył Sznyt.

Veka cofnęła się przestraszona.

- Właśnie, ja też znajdowałem się pod władzą chochlików, pamiętasz? Ale nie pomaszerowałem do gobliniej nory, żeby zatłuc parę szczurojadów. Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Zabiłaś je z własnej woli.

Veka usiłowała sobie przypomnieć, czy Sznyt zabrał jakąś broń z kwatery Kralk. Na pewno miał przy sobie hakiel, jeśli nie więcej. A w ciemności nie będzie się bał widoku krwi.

- Nie chodziło mi o goblina - szepnęła. Jeśli zamierzał ją zabić, trudno, niech zabija. - Chciałam zmierzyć się z Jigiem.

- Dlaczego?

Zaczęła wymieniać powody, które podała Snixlowi i które ciągle powtarzała sobie. Bo kiedy zwróciła się do niego o pomoc, Jig potraktował ją jak dziecko. Bo Jig doprowadziłby do zagłady goblinów, a Veka mogła je ocalić. Bo to był jedyny sposób.

Nie. Właśnie wybieranie własnej Drogi stanowiło nieodłączną część bycia Bohaterem i tak robił Jig.

- Chciałam udowodnić, że jestem od niego lepsza. - Ponownie spróbowała wyczarować światło, ale znów bez efektu. - Lepsza od nich wszystkich.

- Aha. - Sznyt ją wyminął. - No to chodźmy, gdzie to jest?

Veka wytarła rękawem nos.

- Gdzie jest co?

- Ten twój sekretny kanał.

- Nie rozumiem. Nie zabijesz mnie?

- Biorąc pod uwagę atak opętanych ogrów na siedzibę hobgoblinów i Jigową walkę z bandą chochlików tu, na dole, zaczynam się przekonywać do twojego pomysłu. Jaskinia Strauma może być teraz najbezpieczniejszym miejscem w całej tej przeklętej górze. - Jego ton złagodniał nagle. - Zresztą nie bardzo się przydam na polu walki.

Na widok pierwszej ofiary zemdlałby natychmiast. Nagle Veka zaczęła się zastanawiać, jak wygląda jego życie - życie hobgoblińskiego wojownika, który nie może znieść widoku krwi.

- Chyba musimy iść tam. - Zastrzygła uszami, nasłuchując szumu spływającej wody. Jednak albo znajdowali się za daleko, albo woda zamarzła. - Opukuj ścianę, tuż przy ziemi. Daj mi znać, jak na nią trafisz.

Sznyt westchnął, ale posłusznie zaczął stukać hakłem w skałę.

- Tylko przyrzeknij, że to nie żaden zsyp.

* * *

Ostatecznie to Veka znalazła otwór. Woda faktycznie zamarzła, a warstwa lodu jeszcze bardziej utrudniała zejście. Glony umierały, ale pozostało w nich na tyle energii życiowej, by goblina mogła pomóc sobie w wędrówce tym samym co poprzednio czarem. Tym razem, pamiętając o Jigu oraz reszcie goblinów, poruszała się szybciej.

Kostur najzwyczajniej rzuciła na dół. Spadł trochę, objając się o ściany, po czym utknął. Poleciał dalej, dopiero gdy odblokowała zaklinowaną końcówkę kopnięciem. Schodzący nad jej głowę Sznyt krzyknął, gdy omsknęła mu się stopa. Podobnie jak kostur, spadł tylko kawałek, zanim nie uwiązł w ciasnym gardle. Nie słyszała wszystkiego, co mamrotał pod nosem, ale rozróżniła słowa „zmielę na suche dla kotów tunelowych”.

Nigdy by się do tego nie przyznała, szczególnie Sznytowi, ale rażniej się czuła w jego towarzystwie.

- Tam - szepnęła. W dole jaśniał srebrzyście nieregularny krąg otworu. Kostur przeleciał przezeń swobodnie i teraz leżał w śniegu poniżej.

Zmrużyła oczy, czekając, aż przywykną do światła. Zastanawiała się, czy nie użyć zaklęcia lewitacji, aby opuścić się na ziemię. Do tej pory miała sińce po ostatnim lądowaniu.

Decyzję podjął za nią Sznyt, tracąc oparcie pod stopami. Spadł, strącając ją w dół. Wypadła na otwartą przestrzeń z okręconymi jeszcze wokół przegubu glonami i ponownie z całym impetem grzmotnęła zadkiem o ziemię. Tym razem Sznyt zleciał tuż za nią, lądując nogami na jej brzuchu.

- Jak zwykle z wdziękiem - skwitował, kładąc głowę na śniegu.

Sklepienie pieczary zdawało się wisieć dużo niżej niż poprzednio. Bez trudu dostałaby do niego kostur, trzymając go za koniuszek. Przetoczyła się na bok, krzywiąc się, bo ruch wywołał ból w stłuczonym łokciu oraz barku.

- Jesteśmy na miejscu.

Na miejscu, czyli ogromnej połaci srebrzystego lodu. To nie strop się obniżył. Warstwa zmarzniętego śniegu była tak gruba, że stali równo z czubkami drzew. Z bieli wystawały tu i ówdzie nagie wiechcie. Lodowa pokrywa popękała i połamała się, a poszczególne płyty były nachylone pod różnymi kątami.

Veka uklękła i natychmiast poczuła, że się zsuwa. Udało jej się pochwycić kostur i zaprzeć nim o powierzchnię.

Kawał lodu tuż pod wylotem był gładki i śliski. Widocznie woda ciekła z komina jeszcze jakiś czas po zamrożeniu groty. Veka otarła dłoń o płaszcz, zostawiając na tkaninie ciemną, wilgotną smugę glonów.

- Gdzie teraz? - spytał Sznyt.

W gęstym od mgły powietrzu wirował śnieg, a skuta lodem pieczara wyglądała zupełnie inaczej niż przedtem. Veka przymknęła powieki, koncentrując się na prądzie magii. Nagromadzenie mocy było tu tak wielkie, że Veka miała wrażenie, jakby stała w nurcie wartkiej rzeki. Rzeki na tyle głębokiej, że zakrywałyby jej głowę, i tak rwącej, że prąd zbijałby ją niemal z nóg.

Wskazała źródło energii. Tam, na ścianie po drugiej stronie groty, musiały znajdować się wrota. Okutawszy się płaszczem, zrobiła krok, natychmiast upadła i zaczęła się ześlizgiwać. Próbowała przytrzymać się czubka mijanego drzewa, ale gałązki złamały jej się w rękach. A potem zleciała w dół. Znowu.

Tym razem impet upadku zamortyzował śnieg. Znajdowała się w lodowym kanionie o ścianach wysokich na trzy ogry. Szczelina była tak ciasna, że Veka ledwie się w niej mieściła. Dno zalegała gęsta mgła.

Z góry dobiegł ją śmiech schodzącego ku niej Sznyta. Zamknęła oczy i rzuciła szybkie zakłęcie lewitacji, tak żeby połaskotało hobgoblina pod kolanami. Moment później towarzysz wylądował tuż obok niej, przeklinając siarczyście.

Widziana od dołu warstwa lodu miała rudawy odcień. Veka wyobraziła sobie pokrywającą całą pieczarę lodową połąć, która pęka później na nieregularne bloki, jak te tutaj. Czy tak właśnie wyglądał świat chochlików? Biały, mroźny i mglisty? To wyjaśniałoby wydzielanie różnokolorowego blasku. Tylko tak mogły się odnajdywać w monochromatycznym otoczeniu.

- Tędy - powiedziała. Kanion nie prowadził dokładnie w tę stronę, w którą zierali, ale zawsze mogła wylewitować siebie oraz Sznyta na górę. Na razie jednak lepiej było pozostać w dole i nie pokazywać się tym chochlikom, które mogły tu jeszcze przebywać.

Z drugiej strony przechodzenie po powierzchni dawało szansę na zafundowanie Sznytowi ponownego zjazdu.

Ostatecznie, choć niechętnie, zdecydowała się trzymać jaru. Nie uszli jednak daleko, bo ściany schodziły się, blokując dalszą drogę. Na szczęście płat lodu po prawej odchyłał się w górę, tworząc prześwit. Veka związała mocniej szatę i z westchnieniem opadła na kolana. Kawałek dalej rysował się trójkąt światła. Przepelnienie na drugą stronę nie wydawało się trudne. Nie wypuszczając z ręki kostura, zaczęła się czołgać obok grubego pnia sterczącego wprost z lodu.

Posunęła się niewielki kawałek, kiedy Sznyt złapał ją za kostkę. Zaskoczona Veka krzyknęła i wyrwała się, zaś Sznyt uderzył głową o spód lodowej płyty.

- Przepraszam. - Veka była zachwycona łatwością, z jaką przychodziła jej obrona za pomocą magii, ale nie ochłonęła jeszcze na tyle, by w pełni się tym cieszyć.

Sznyt miotał się, ryjąc dłońmi i kolanami w błotnistej ziemi, ale wysiłki oderwania się od lodowego sufitu spełzyły na niczym. Po kilku niezdarnych próbach zwrócił się wreszcie do Veki:

- Obudź mnie, jak się znudzisz.

Opuściła go na dół.

- Głupia wiedźma - mruknął, wypuszczając z ust srebrne obłoczki pary. - Zaczynam żałować, że cię powstrzymałem.

- To znaczy?

- Spójrz na ziemię i spód lodu. Zeschła trawa, suche, połamane podrosła, jakieś łodygi, a nad głową błoto. Wszędzie, ale nie tam, przed tobą.

Veka spojrzała na wskazane miejsce, nadal nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- No i? Zwykła kałuża. Myślisz, że ma coś wspólnego z tą lodową pustynią?

- Widzisz tu gdzieś jakieś inne kałuże? To pułapka. Popatrz, jak wygląda lód od dołu.

Większość spodniej powierzchni płyty była nierówna, zabłocona, pełna kamyków, gałązek, a w zasięgu wzroku wystawała nawet część wiewiórki ściskającej w łapach orzecha. Zwierzę musiało zamarznąć w bryle, gdy mróz ściał całą grotę. Gdyby się nie spieszyli, Veka wydłubałaby ją, żeby spróbować, czy mięso nadal jest dobre.

Jednak tuż przed nią widniała plama czystego lodu. Zbrązowiałe łądygi winorośli wiły się wokół brzegów, wyznaczając nieregularny okrąg. Spomiędzy szablanych liści wystawały grona spęczniałych owoców. W obrębie placka zwisały sople podobne do malachitowych nacieków nad jeziorem jaszczurników. Lodowe stalaktyty przypominały nieco szpikulce, na jakie natknęli się przed wejściem do legowiska Strauma, lecz we wnętrzu tych, dużo cieńszych, nie było widać śladu robakowatych stworów. Z czubków sopli kapłała woda.

- Co to?

Sznyt sięgnął do jednej z sakiewek przy pasku, wyciągając z niej kilka metalowych przedmiotów, rozmiarów mniej więcej kciuka. Każdy zaopatrzony był pośrodku w cztery haczykowate szpice.

- Goblínskie kłujtaski. Taka zabaweczka na gobliny - wyjaśnił rozpromieniony. - Rozrzuca się w tunelu i czeka, aż jakiś durny goblin na nie nadeptnie. Najlepiej zrobić to nieopodal gniazda kotów tunelowych. Krzyki budzą zwierzęta, a zapach krwi wywabia je z nory. A tymczasem można sobie siedzieć gdzieś w cieniu i robić zakłady, jak daleko goblin pokuśtyka, zanim koty go dorwą.

Przezołgał się obok niej i cisnął kłujtaskiem w kałużę. W momencie gdy kolczatka dotknęła wody, lód ponad nią eksplodował. Wystrzelił z niego złoty ognisty wąż, który pochwycił kłujtaska w paszczę.

Wąż nie był duży, nie większy niż przeciętny ścierwojad. Do płonących łusek na grzbiecie przylegało kilka par szczątkowych skrzydeł. Veka po chwili zrozumiała, że blask bijący od węża to nie ogień. Podobnie jak chochliki, zwierzę wydzielalo ciepło, światło oraz sypało iskrami. W chwili gdy wąż zorientował się, co złapał, iskry te pojaśniały, niemal zbiełały. Jeden z haków utkwiał mu w dolnej szczęce, a z paszczy węża zaczęło dymić.

- One też chyba nie przepadają za stalą - skwitował Sznyt.

Ostatecznie wąż wywichnął sobie szczękę i za pomocą kłów wypchnął kolczatkę. Ścieśnił skrzydełka, które tworzyły na jego ciele coś w rodzaju zbroi, zwinął się niczym sprężyna i zniknął.

Sznyt rzucił się naprzód, by odzyskać rzutkę.

- Nie sędzę, żeby to było dzieło chochlików. Kiepski stosunek wkładu pracy do przewidywalnych efektów - zbyt dużo wysiłku jak na te parę ofiar. To naturalna zasadzka, pewnie w ten sposób ta istota poluje. Jaszczurniki robią podobnie. Zakopują się w piasku na dnie, wystawiają kolce i falują nimi, póki jakaś głupia ryba nie podpłynie, żeby je skubnąć.

Veka przekreśliła się na plecy, żeby zobaczyć, gdzie zniknął wąż. Zastanawiała się, czy jest ich więcej. W dodatku mogły być najmniejszymi z drapieżników. Zmrużyła oczy i wydało jej się, że w mlecznosrebrnym lodzie widzi wijące się świetliste linie.

Przetaczając się z powrotem na brzuch, otarła się o wilgotny lód nad głową.

- Musimy wyjść na powierzchnię. Pójdziemy górą, może nas nie zauważą. Tak czy inaczej, będzie szybciej.

Wycofując się spod lodu, Sznyt sarkał pod nosem na niezdecydowanie goblinów. Gdy wydostali się do kanionu, Veka odgarnęła z twarzy mokre, ubłocone włosy i spojrzała w niebo.

- Ile masz tych goblinich kutasków?

- Kłujtasków - poprawił ją Sznyt. - Osiem, w tym jeden obśliniony przez tego węża. Biedaczysko.

Veka wytrzeszczyła oczy, ale wydawał się mówić poważnie. Naprawdę było mu żal węża, który omal ich nie zabił! Hobgobliny to straszne dziwadła.

- Daj mi je.

Wręczył jej niewielką brzęczącą sakiewkę. Wydobyła z niej jedną kolczatkę, którą spróbowała unieść za pomocą zaklęcia lewitacji. W mgnieniu oka metal rozgrzał się tak bardzo, że musiała ją upuścić. Kłujtask spadł na ziemię, zaklęcie w ogóle na niego nie zadziało.

- Interesująca taktyka - podsumował Sznyt. - Na czym dokładnie polega ten sposób, za pomocą którego chcesz nas stąd wydostać?

- Zamknij się - burknęła Veka. Czekaając, aż upuszczony kłujtask ostygnie, sięgnęła po kolejny. Obróciła go w rękach, dokładnie oglądając. Cały zrobiony ze stali, zardzewiał przy styku kolców, ale same szpiculce lśniły metalicznie. Wbiła jeden szpic głęboko w kostur i skoncentrowała się na zaklęciu.

Kostur uniósł się w górę. Czują gorąco promieniujące od metalu, ale wystarczyło oddziaływać magią na samo drewno, a była w stanie kontrolować czar.

- Pomóż mi szukać jakichś patyków. Niewielkich, ale na tyle grubych, żeby się nie rozszczepiły po wbiciu kłujtaska.

Po jakimś czasie udało im się zebrać osiem kawałków drewna. Veka wbiła w każdy kolczatkę. Ostatnią wyrwała z kostura, odłupując przy okazji długą drzazgę. Skrzywiła się, przesuując dłonią po ubytku. Będzie musiała przeszlifować to później kamieniem. O ile w ogóle będzie dla niej jakieś później. Większość rzutek schowała do kieszeni, jednak kilka na wszelki wypadek trzymała w ręku.

- Gotowy? - spytała.

- Na co?

Veka wyszczerzyła się radośnie i machnęła kosturem. Jej szata powinna trzepotać przy kostkach w trakcie wzlatywania, ale, niestety, po tym całym czołganiu się w błocie ociekała tylko trochę brudną wodą. Wystarczyło jedno zerknięcie na Sznyta, by ten także oderwał się od ziemi.

- Lepiej uważaj tym razem - warknął hobgoblin. - Inaczej spotka cię coś dużo gorszego niż kopnięcie w głowę.

Wzniesli się ponad śnieżną równinę. Wiatr targał połami jej płaszcza. Obróciła towarzysza, posyłając go pod sklepienie grotu tak, że niemal otarł się nosem o skałę, potem opuściła go niżej.

- Miej oko na okolicę. Większość chochlików jest prawdopodobnie z królową, ale kilka mogło tu zostać.

Sunęła pomiędzy sterczącymi czubkami drzew tak nisko, jak się dało. Omijanie zeschniętych, zbrązowiałych wiechci nie było trudne. Inaczej przedstawiała się sprawa ze sterowaniem lotem Sznyta. Kilkakrotnie słyszała, jak wymyśla coraz to nowe sposoby jej zabicia i sfluwa suchymi liśćmi.

Rozpromieniona przyspieszyła.

* * *

Veka spodziewała się, że w najgorszym razie natkną się jedynie na kilku wartowników. I

rzeczywiście. Tylko pięć chochlików pilnowało wejścia do legowiska Strauma. Siedziały przyklepione do oblodzonej ściany niczym świecące muchy. Szósty strażnik znajdował się nieco z tyłu. Mógł być kuzynem skrzydlatego ognistego węża, który próbował ich wcześniej wciągnąć w zasadzkę. Tyle że cielsko tego miało obwód głowy Sznyta, a zwojów wystarczyłoby do ścisłego opasania ich dwojga od stóp do głów.

- To tyle, jeśli chodzi o ukradkowe wślizgnięcie się do jaskini - stwierdził Sznyt.

Veka pokierowała lotem tak, żeby krył ich czubek pobliskiego drzewa. Suche, pergaminowe liście dawały nieco osłony. Oczywiście zakładając, że chochliki nie zobaczyły ich już wcześniej. Wąż uniósł przód cielska i trzepocząc skrzydełkami, rozejrzał się wkoło. Właściwie cały podfrunął, wisząc w powietrzu i wystrzeliwując z paszczy zielony język ognia. Veka czuła fale magii rozchodzące się kręgami niczym powierzchnia zburzonej wody. Wąż smakował magię, żeby ich znaleźć. Żeby odnaleźć ją. Jeśli spróbowałaby rzucić zaklęcie, bestia natychmiast by o tym wiedziała.

- Amatorszczyzna - mruknęła.

- O czym ty mówisz?

Wskazała na węża.

- Tworzą gigantyczne osobniki żyjących stworzeń. To magia na poziomie podstawowym. Większość terminujących czarodziejów uczy się tego w ciągu pierwszego roku. Było o tym w mojej księdze. Gigantyczne nietoperze, gigantyczne szczury, węże, skoroki... Większość umiera po kilku dniach. Im większe ciało, tym trudniej zachować proporcje. Ale czasem komuś się udaje. Stąd te łasice olbrzymy, które demolują wioski, albo monstrialne żaby, które skacząc, miażdżą ludzi, albo gigantyczne żuki, które pustoszą kraj w poszukiwaniu gigantycznych wychodków.

- Potrafisz zrobić coś takiego? - zagadnął Sznyt. - Albo jeszcze lepiej, odwrócić ten czar?

Veka pogranatowała.

- Te zaklęcia w książce... nie były kompletne.

Sznyt nic nie powiedział. A Veka niemal żałowała, że nie zareagował.

Rozwarła palce, wpatrując się w goblinie klujtaski. Dłonie miała poznaczone kroplami krwi - zbyt mocno je ścisnęła. Nawet nie czuła, że kolce ranią jej skórę.

Chochliki przewyższały ich liczebnością. Zdradziłyby ich każde zaklęcie, jakie spróbowałyby rzucić. Nie wspominając, że każdy z tych chochlików dysponował o wiele większą

magią niż jedna goblina. No i jeszcze był ten ognisty wąż...

- Co teraz? - zapytał Sznyt.

Veka nie miała zielonego pojęcia. Spojrzała na niego, a potem na chochliki. Jig na pewno znalazłby jakieś wyjście.

Na myśl o tym ścisnęło ją w gardle. Jig zabiłby nie tylko chochliki, ale też gigantycznego węża.

Nieprawda. Coś takiego robili Bohaterowie z książki, ale Jig nie był taki, bez względu na to, co mówiła o nim ballada. On zrobiłby coś innego. Coś zaskakującego. Coś gobliniego...

- Chyba mam pomysł - szepnęła.

Rozdział piętnasty

Tchórz czy bohater, z sosem barkolowym smakują tak samo.

[Golaka, goblinśka kucharka]

Jigowi trzęsły się ręce, kiedy obserwował Brafa rzucającego kamieniem. Pocisk zakreślił w powietrzu łuk, lecąc w kierunku srebrnych bąbli po drugiej stronie. Czy chochliki zaatakują całą masą, czy może zobaczą, że Braf stoi samotnie, i zdecydują się wysłać tylko kilku wojowników? Jeśli to drugie, gobliny mogą mieć szansę.

Kamień uderzył w kopułkę i utknął.

Nic się nie stało. Jig zerknął na Brafa, który w odpowiedzi wzruszył ramionami. W końcu jeden z dwuskrzydłych chochlików, tym razem pomarańczowy, podleciał, żeby sprawdzić, co się stało. Obejrzał kamień, wyrwał go i rzucił w czeluść. Zagwizdał przenikliwie, prawdopodobnie ostrzegając innych o spadającym odłamku skalnym.

- Solidne to gniazdo - stwierdził Braf.

- Faktycznie - przyznał Jig.

Chochlik zmierzał już w stronę skupiska bąbli poniżej.

Uwagę Jiga przyciągnął jakiś ruch w górze. Najwyraźniej jeden z chochlików przy moście coś zauważył. Sfrunął w dół, kierując się mniej więcej na Brafa i gobliny.

- Dasz radę go trafić?

Braf wziął kolejny kamień i cisnął. Chochlik próbował zrobić unik, ale był za wolny. Buchnęły fioletowe iskry, a stworek zaczął spadać, wirując. Po chwili jego światełko zniknęło w głębinach otchłani.

Z mostu zeskoczyły następne dwa chochliki. Tym razem czteroskrzydłe, które prawdopodobnie pełniły funkcje wojowników oraz straży. Stojące na moście ogry także się wychyliły.

- Ich też?

W powietrzu świsnął kolejny pocisk. Tym razem chochliki zdołały się uchylić. Kamień uderzył jednego z ogrów w ramię. Olbrzym jakby tego nie zauważył. Któryś z lilipucich nadzorców wskazał na Brafa.

- Brać go! - krzyknął.

Ogry skoczyły z mostu i runęły w przepaść.

Jig patrzył, nie wierząc własnym oczom. Grell wzruszyła ramionami.

- Ogry nigdy nie grzeszyły bystrością.

I wtedy, niespodziewanie, jedna ogrzyca rozłożyła skrzydła. Siedzący na ramieniu Jiga Ciapiek rozżarzył się tak mocno, że sam zaczął emanować blaskiem. Jig poczuł smród topiących się włosów. Nie odrywając wzroku od ogrzycy, poklepał się po głowie, żeby ugasić iskry.

- To niesprawiedliwe - szepnął. Naliczył cztery giganty szybujące na monstrualnie wielkich czarnych skrzydłach. Nietoperzowych skrzydłach. Chochliki polowały na nietoperze, ale tak, żeby schwytać je żywcem. W jakiś sposób przeszczepiły później ich skrzydła olbrzymom, tworząc latające ogry. Podobnie Pynne stworzyła węzowatego strażnika o zbyt wielu głowach i bez ogona. Jednakże Jig wątpił, czy uda mu się pokonać ogry za pomocą nakarmienia.

- Czy ogry i bez tego nie były już wystarczająco straszliwe?

Mignęło mu w głowie pytanie, co stało się z nietoperzami. Bez skrzydeł były tylko wielkimi ślepymi szczurami. A potem lecąca na przedzie ogrzyca dotarła do tunelu i Jig oraz Braf musieli odskoczyć, by uniknąć ciosu włócznią.

W odpowiedzi Braf cisnął kamieniem, który odbił się od skórzastego skrzydła, nie wyrządzając ogrzycy najmniejszej krzywdy. Olbrzymka zaatakowała znowu. Braf, upadając, krzyknął boleśnie.

- Jesteś ranny? - zaniepokoił się Jig.

- Nie, nie trafiła mnie. Tylko że wylądowałem na swoich kamieniach - wyjaśnił Braf.

Ogryca zniknęła z pola widzenia, z góry zaś sfrunął inny napastnik, uzbrojony w ogromną maczugę. Wisiał przez moment u wlotu tunelu, po czym cisnął pałką w Jiga.

Jig przeturlał się, wypuszczając z ręki miecz. Z kołczanu wysypały się strzały, a przetaczając się, Jig omal nie zmiądzzył Ciapka.

- Przepraszam - szepnął. Usiłował zepchnąć pająka z ramienia, ale zwinięty w przerażoną kulkę pupil nie dał się zrzucić. Nie wspominając, że był zbyt gorący, by dało się go chwycić ręką. Ssąc poparzone palce, Jig odwrócił się do atakującego wroga, który tymczasem zniknął zastąpiony przez innego.

- Nie mogą tu wlecieć, skrzydła są za wielkie - powiedział Jig, zbierając strzały. Rozpiętość skrzydeł była za duża, a gdyby przestały nimi machać, spadłyby w otchłań. - Cofnij

się, Braf. Nie wejdą za nami.

Nowy napastnik nie mógł dosięgnąć goblinów, ale przy pomocy włóczni przyciągnął maczugę towarzysza na skraj tunelu. Jig pluł sobie w brodę, że nie kopnął pałki w czelusć. Rozbroiliby przynajmniej jednego ogra.

- No, to mamy zabawną sytuację. Bez wyjścia i wejścia - rzekła Grell, nie wynurzając się z mroku. - Co teraz?

Ogr z maczugą powrócił. Tym razem na jego ramieniu siedział jasnozielony chochliczy wojownik.

Braf sięgnął po kamień, ale chochlik ubiegł jego ruch. Wleciał do tunelu i wskazał na goblina. Braf upadł, szarpiąc buty i wyjąc z bólu.

Chochlik odwrócił się do Jiga, który chwycił miecz, wiedząc, że nie zdąży podbiec i zaatakować. Zanim jednak zdążył uczynić choć krok, chochlik krzyknął, łapiąc się za ramię. Z barku unosiła się smuzka dymu. Wojownik spadł na ziemię, wyrwał z ciała małą strzałkę i odrzucił ją daleko.

Jig przyskoczył do niego i kopnął z całej siły. Chochlik uderzył w ścianę, po czym opadł.

- To moje - zaznaczył Grop, podbiegając po strzałkę. Ściszył głos: - Posługuję się nimi w naszej jaskini. Są tak cienkie, że biorą je za żądła os. Jak się przywiąże do nich nić, można wyrwać je, zanim się kapną, i potem nikt nie wie...

U wylotu tunelu krążyły ogry. Widać było też nadlatujące zewsząd chochliki. Jig spojrzał na goblina.

Braf za pomocą noża Grell próbował oderwać but od stopy. Chochliki wykorzystywały ten sam czar zaciskający skórę, który Pynne rzuciła na Jiga. Brafowi udało się uwolnić jedną nogę, drugi but ścieśnił się już zbyt mocno. Twarz goblina wykrzywił grymas bólu.

- Słyszałam trzask kości - powiedziała Grell. - Możesz go uleczyć?

Jig potrząsnął głową.

- Nawet gdybym mógł, nie zdejmę zaklęcia z buta. - Veka potrafiłaby to zrobić, ale zniknęła. - Zostań tu z Brafem. Nasz atak odciągnie je od tunelu. Jeżeli widzicie stąd wylot, spróbujcie trafić jeszcze kilka chochlików.

Jeden z goblinów kaszlnął.

- Nasz atak?

- Wydaje mi się, że ich gniazdo jest wystarczająco mocne, by nas utrzymać - rzekł Jig. -

Skoczmy na dół i...

- Wydaje ci się - powtórzył goblin Ekstal. Pracował w syfiarni razem z Veką. Ekstal wywijał w stronę Jiga mieczem. Broń była w znacznie lepszym stanie niż ostrze Jiga. Smukła obosieczna klinga sprawiała wrażenie, jakby wykuto ją specjalnie do podrzywania goblinich gardeł. - Posyłasz nas na pewną śmierć!

- Niewykluczone - zgodził się Jig. Nie miał czasu na kłótnie. Zerknął na Brafę, który lekko skinął i usiadł prosto.

- Ja stąd nie wychodzę! - krzyknął Ekstal. - Jeśli spróbujesz mnie...

Rozległo się brzęknięcie i głuchy łomot - to miecz Ekstala upadł na skalny spąg, a zaraz po nim jego właściciel. Po szyi Ekstala płynęła strużka krwi ciekąca z rany zadanej kamieniem.

Jig podniósł miecz i machnął nim na próbę. Znacznie lepszy niż jego. Wskazał na dwa gobliny.

- Zrzućcie go na gniazdo. Dowiemy się, czy utrzyma goblina.

Gobliny spojrzały po sobie, a potem na Ekstala.

- Się robi!

- A co z ogrami? - spytał jeden.

Jig wziął truchło chochlika i cisnął nim poza krawędź. Miał nadzieję, że ogry nie poznają, czy jest martwy, czy nie.

Olbrzymy zanurkowały za spadającym chochlikiem.

- Ruszajcie się - rozkazał.

Ekstal zajęczał. Otworzył oczy, w chwili, gdy gobliny spychały go w dół. W korytarzu rozległo się echo piskliwego krzyku.

Jig zerknął w czeluść. Ekstal omal nie rozminął się z gniazdem. Leżał wygięty, ze stopami do góry, jakby się bał, że każdy ruch może spowodować ześlizgnięcie się w czeluść. Chochliki już mknęły ku spanikowanemu goblinowi.

- Masz! - zawołał Jig. Już miał rzucić mu jego miecz, ale w ostatniej chwili zrezygnował, upuszczając w zamian własny.

Ekstal złapał go za ostrze, co mogłoby przysporzyć nieco problemów, gdyby nie było takie tępe. Goblin wdrapał się wyżej, stanął przy skalnej ścianie i zaczął wywijać bronią.

To przekonało Jiga ostatecznie. Powierzchnia gniazda, choć lepka, nie uniemożliwiała poruszania się po niej.

- Wszyscy do broni. Rozproście się. Niech każdy stara się przebić do wewnątrz. Niech chochliki podejną jak najbliżej, żebyście zdążyli zadać cios, zanim rzucają zaklęcie.

Nad głową świsnął mu kamień. Chochliki cofnęły się błyskawicznie. Pod spodem Ekstał rozpaczliwie wycinał dziurę w bąblu.

Żaden z goblinów się nie ruszył. Te dwa, które zrzuciły Ekstała, stały na krawędzi, machając do niego wesoło. Jig westchnął i wsadziwszy miecz pod pachę, zepchnął ich, aby dołączyli do towarzysza.

Nie obeszło się bez gróźb z udziałem miecza i kamieni Brafa, ale w końcu gobliny podążyły za tamtymi. Trzech ostatnich przed skokiem powstrzymał Jig.

- Jesteście najbystrzejsi z całej gromady - powiedział.

- Czemu? - zdziwił się Grop.

- Bo jeszcze stoicie tutaj. - Jig słyszał dobiegające z dołu krzyki. - Takich jak wy potrzebuję. Pójdziecie ze mną.

- Gdzie?

Jig przełknął ślinę i postarał się mówić tak, jakby wiedział, co robi.

- Zabić królową.

Zdjął kołczan i rozdał goblinom po kilka strzał.

- Mają stalowe groty. Rzucajcie nimi jak oszczepami, żeby chochliki trzymały się od nas z daleka. Ale zatrzymajcie jedną czy dwie na królową. Będziemy musieli przedostać się do niej przez pierścień straży.

Jig wsadził dwie ostatnie strzały do kołczanu, zaś jedną zostawił przy sobie. Miecz Ekstała, cienki i długi, nie pasował do jego starej pochwy, ale mimo to wetknął go tam na siłę. Czubek ostrza przebił skórę i wystawał co najmniej na długość dłoni, ale przy odrobinie ostrożności może nie odetnie sobie nim stopy.

Podszedł na skraj przepaści i zamarł. Reszta stała z tyłu, czekając na jego rozkazy. Wiatr wiał mu w twarz. Usiłował sobie wmówić, że czeka na odpowiedni moment, że daje czas goblinom, by rozproszyły się po gnieździe. Kilka już spadło w czeluść, reszta uciekała i jak najszybciej wycinała dziury, żeby dostać się do srebrnych bąbli.

W wyobraźni słyszał drwiący śmiech Tymalouisa Ciemnogwiazdego i jego słowa. *Czekasz na odpowiedni moment? Tamci giną, a ty tchórzysz.*

Jig wzruszył ramionami. Tchórzeństwo w obliczu śmierci innych było powszechną goblinią

taktyką. Niestety, kiedy chochliki rozprawią się z tamtymi, wrócą do tunelu.

Kolonia znajdowała się niedaleko, ledwie kawałek niżej. Inni wylądowali bezpiecznie. No, poza Jallarkiem, który skoczył nieco zbyt entuzjastycznie. Nawet kamień Brafy utknął. Nie spadnie. Powierzchnia bąbli go utrzyma.

- To szaleństwo - szepnęła jedna z goblinic, Noroka.

Jig zgadzał się z nią w całej rozciągłości, ale zmusił się, by potrząsnąć głową i przywołać na usta konspiracyjny uśmiezek.

- Tamci będą walczyli z chochlikami, a my tymczasem przebijemy się przez gniazdo. Myślicie, że robiłbym to sam, gdyby nie była to najbezpieczniejsza część planu? Jak chcecie, możecie tu zostać, ale zobaczcie, co się stało z tym biedakiem Brafem.

Z tymi słowami usiadł na krawędzi, przytrzymał strzałę zębami i zanim przestał myśleć, co robi, odepchnął się. Strach zwarł mu szczęki tak mocno, że Jig przegryzł promień. Krótki lot wydawał się trwać całą wieczność, goblin był przekonany, że jakimś cudem ominął gniazdo. Teraz będzie spadał bez końca w Bezdenną Otchłań, chyba że jakiś miły chochlik zabije go w przelocie.

Uderzył stopami o bąbel. Wypluł drzazgi i skupił się na przywróceniu odruchu oddychania.

Srebrzysta powłoka przypominała w dotyku ciepłą glinę, zapadała się pod jego ciężarem i przylepiała do butów. Zapach kojarzył się ze spalonymi grzybami. Część mgły unosiła się z samego gniazda, którego ciepła powierzchnia parowała w zetknięciu z mroźnym powietrzem. Trzymając się lodowatej ściany przepaści, Jig przeszedł na drugi bąbel.

- Pospieszcie się! - zawołał, patrząc w górę.

Przez chwilę nic się nie działo. A potem usłyszał charakterystyczny łomot szczudła na czaszce goblina. W sekundę później tuż obok wylądował Grop. Goblin leżał przez jakiś czas, rozcierając wielkiego guza.

Zbliżało się ku nim kilka chochlików. Jig przebiegł na sąsiedni bąbel. Widział, gdzie gobliny powycinały otwory. Podziurawione komórki zapadły się i kołysały w rytm ruchów goblinów. Nieco dalej chochliki wzmocniły gniazdo dodatkową warstwą bąbli. Gdyby Jigowi udało się tam dotrzeć, może drugi rząd półkul skryłby go przed okiem wroga.

Gdzieś dalej jakiś goblin wytknął głowę ze srebrnej półkuli i rzucił nożem w niepodejrzewającego chochliczego robotnika. Stworzenie spadło. Chełpliwa mina goblina

wyparowała jak kamfora, kiedy rzuciło się ku niemu kilka ogrów oraz chochlików.

Jig dobył jedną z dwóch pozostałych strzał i rzucił nią w najbliższego wroga. Chochlik skręcił gwałtownie, a Jig przeskoczył na bąbel obok, lądując przy zwłokach jednego ze swoich żołnierzy. Zepchnął trupa na głowę przelatującego poniżej karzełka.

Gobliny, które zeskoczyły pierwsze, wydawały się wypełniać rozkazy - rozbiegły się i kryły we wnętrzu komórek. Jak na gobliny radziły sobie zupełnie nieźle, to znaczy nie wszystkie jeszcze zginęły. Z tego, co Jig zaobserwował, walczyła jeszcze niemal połowa.

Jeden z goblinów wpełzł za chochlikiem do bąbla. Chochlik wyleciał, a na srebrnej powierzchni wylądował ogr. Zamiast uciekać, goblin próbował zrobić coś autentycznie heroicznego. Uniósł miecz i zamachnął się na głowę ogra.

Cios wylądował na ramieniu ogra, który siłą rozpędu pchnął napastnika na ścianę i zmiażdżył własnym cielskiem. Tak właśnie kończą gobliny, które biorą się za bohaterstwo.

Co więc ja tutaj robię? Ogr oderwał się od krwawej miazgi i wzleciał w powietrze, cały i zdrowy. Zmierzał wprost na Jiga, który wyjął ostatnią strzałę i czekał. Ogr znajdował się coraz bliżej... i bliżej...

Jig zamarkował rzut i błyskawicznie przeskoczył na pobliską półkulę. Ogr grzotnął czerepem w skałę i upadł, trzymając się za głowę. Nie wydawało się jednak, żeby przy całym impecie uderzenia state mu się jakaś krzywda. A to utwierdziło Jiga w przekonaniu, że ogry nie dość, że twarogłowe, to muszą mieć skamieniałe mózgi.

Z drugiej strony to czyniło je łatwymi celami. Grop trafił jedną ze swoich strzałek w skrzydło ogra. Olbrzym krzyknął i odfrunął, mocniej bijąc drugim, aby wyrównać lot.

Jeszcze jeden skok i Jig dotarł do celu. Tutaj powierzchnia gniazda była solidniejsza, wzmocniona drugą warstwą bąbli. Modląc się, by wszystko poszło według planu, wbił grot w srebrzystą powłokę.

Z dziury wydostał się cierpki zapach. Ściany okazały się grubsze, niż na pierwszy rzut oka się wydawało. Gdyby wepchnął w otwór palec, prawdopodobnie dopiero czubek paznokcia znalazłby się wewnątrz. W miejscu, gdzie dotknął jej grot, błona skwierczała i dymiała. Jak najostrożniej, ale też najszybciej jak się dało, poszerzył otwór, by móc się przez niego przecisnąć.

Tego już było za wiele dla Ciapka. Pająk popędził po torsie Jiga, zostawiając dymiące ślady, i przystanął przy kaletce. Spojrzał w górę błagalnym wzrokiem ośmiu ócz, czekając, a kiedy Jig poluzował rzemyki, czmychnął do środka aż się kurzyło.

Jig czuł, jak pot spływa mu po twarzy. Może i bąbel był przytulnym mieszkankiem dla chochlików, ale on ledwie się w nim mieścił. Wraził strzałę w podłogę, przebijając się do niższej warstwy. Wewnątrz panowała jeszcze większa wilgoć i ciepło, powietrze przypominało oddech smoka z zepsutymi zębami.

Jig odsunął od siebie nieprzyjemną wizję. Schylił się, aby przejść do kolejnej warstwy, a czubek miecza zahaczył o błonę, rozdzierając bok półkuli.

Jig momentalnie chwycił pochwę i cofnął klingę, ale było już za późno. W podłużnym dymiącym rozcięciu ukazał się zaspany żółty chochlik. Najwyraźniej chochliki miały bardzo mocny sen. Liliput zamrugał zaczerwienionymi powiekami, a kiedy dostrzegł intruza, rozspanie na jego twarzy zastąpił wyraz przerażenia. Jig zamachnął się strzałą w tej samej chwili, gdy chochlik rozjarzył się blaskiem. Promień rozpadł się, a pióra lotek splotły się, próbując odfrunąć.

Jig przecisnął się przez dziurę i grzmotnął chochlika w szczękę. Wróg odbił się od przeciwległej ściany komórki. Jig złapał go za skrzydełka i cisnął o spłaszczoną stronę bąbla, tę, która przylegała do skały. Kiedy chochlik padał, Jig uświadomił sobie, że się uśmiecha. Podobało mu się, że choć raz jest większy od wroga.

Srebrzysta błona tłumiała dźwięki, w środku odgłosy bitwy były ledwie słyszalne. Nic więc dziwnego, że chochlik się nie obudził. Jig zastanawiał się, na ile jeszcze śpiących chochlików mogą natrafić.

Bąbel zakotłosał się, kiedy do sąsiedniego wskoczył Grop.

- A gdzie reszta? - zapytał Jig.

- Var oberwała zaklęciem i próbowała mnie sieknąć w plecy, ale Noroka strąciła ją w przepaść. - Zmarszczył brwi. - A może wcale nie została zaklęta? Var nigdy za mną nie przepadała.

Jig pokręcił głową. O ile się nie mylił, do najgrubszej warstwy, gdzie spodziewał się zastać królową, mieli jeszcze długą drogę. Spojrzał na swoją jedyną strzałę, a potem na miecz. Strzałą manewrowało się precyzyjniej, ale mieczem szybciej.

Był w końcu goblinem. A ostrożność jest dla tych, którzy mają nadzieję wyjść z bitwy cało. Jig wsadził strzałę do kołczanu i wdrapał się do komórki Gropa. Przecisnąwszy się obok goblina, wyjął miecz i zrobił w błonie szczelinę. Nagle stracił równowagę, miecz omsknął się, poszerzył otwór, a Jig wpadł do bąbla pod spodem, nadziewając na ostrze dwuskrzydłego chochlika.

Jig uśmiechnął się szeroko. Faktycznie, szli we trzech przeciw całej armii strażników królowej, ale po drodze pokażą, jak walczą gobliny. Prześlizgując się ukradkiem, dźgając z zaskoczenia i zatrzymując tylko na małą przekąskę.

* * *

Jedynym problemem w przedzieraniu się wewnątrz gniazda było to, że nie dało się sprawdzić, kiedy dotarło się na sam dół.

Nie, to nieprawda. Istniał jeden sposób.

Jig odtoczył się od szpary w podłodze i przywarł do skały, tak szybko dysząc, że omal nie zemdłał. Oparł miecz na torsie, pilnując, by nie dotykał żadnej ze ścian. Ledwie utrzymywał go w trzęsących się rękach. Na podłodze ziała dziura, której krawędzie furkotały szarpane wichrem szalejącym po Bezdennej Otchłani.

Usiłował sobie wmówić, że nie spadłby w przepaść. W otworze mogłaby się zmieścić może jego noga, ale nie on cały.

- Nie schodźcie! - szepnął do Gropa i Noroki.

Grop wetknął głowę przez sufit. Za nim stanęła Noroka.

- Co teraz?

Teraz musiał się dowiedzieć, gdzie są. Za pomocą grotu zrobił w ścianie niewielki otwór i przytknął do niego oko.

Walczyło już tylko kilka goblinów. Jig dostrzegł pomarańczowego, pikującego, by rzucić czar chochlika, którego nagle jakaś siła odrzuca na bok. Nie widział uderzającego go kamienia, ale poczuł ulgę na myśl, że Braf jeszcze żyje.

Królową nietrudno było namierzyć - punkt migotliwego białego światła, wokół którego krążyły chochliki wszystkich kolorów. Jarzył się jasno w centrum skupiska bąbli, otoczony pasem mniejszych baniek sterczących z gniazda. Jig zamknął oczy, mając nadzieję, że jeden rzut oka to za mało, by znaleźć się pod wpływem czaru. To, co czuł, raczej nie przypominało miłości.

- Chochliki mówiły, że ktokolwiek spojrzy na królową, zapala do niej miłością, więc musimy się spieszyć - powiedział do towarzyszy. - Przebijemy się jak najbliżej się da, a potem zaatakujemy. Przy odrobinie szczęścia będziemy mieć jedną szansę, zanim rzuci na nas zaklęcie.

- A bez odrobiny szczęścia? - zapytał Noroka.

Akurat ten moment wybrał sobie jeden z ostatnich walczących goblinów, by spadając, minąć ich z krzykiem.

- Jakies inne pytania? - Jig zaczął robić dziurę do sąsiedniego bąbla. Tym razem nie chciał już ryzykować, więc posługiwał się grotem.

Noroka i Grop mieli jeszcze kilka strzał w zapasie. Grop udowodnił już swoją celność, rzucając strzałką. Zwykła strzała, miotana ręką, nie leciała tak szybko, by wbić się głęboko, ale z tego, co widzieli w przypadku trafionego ogra, starczało nawet draśnięcie. Jeśli tylko zdołają wbić w ciało królowej kawałek stali, może im się udać.

Parę bąbli dalej Jig zrobił w zewnętrznej ścianie kolejny otworek, żeby sprawdzić, jak im idzie. Starał się omijać wzrokiem królową, oceniając odległość po blasku i ilości krążących chochlików. Wyglądało na to, że chochliki przystosowały jakąś niewielką jamę na komnatę królowej. W otworze stał ogr, na jego barkach siedziało dodatkowo dwóch chochliczych wojowników. Inne chochliki przycupnęły na bąblach powyżej jamy niczym stadko maleńkich, świecących gargulców.

- Daleko jeszcze? - zapytał Grop.

- Na oko kilka komórek - odparł Jig, nie odwracając się do rozmówcy. - Najlepiej będzie zaatakować z boku. Noroka, ty odciągniesz uwagę strażników. Postaraj się zająć ich na tyle długo, żebyśmy z Gropem przebili się do królowej.

Powinno się udać! Ha, i co teraz powiedziała Ciemnogwiazdy, widząc Jiga?

Wtedy właśnie coś uderzyło go w plecy. Jig wykręcił szyję i ujrzał sterczącą spod żebra strzałę Gropa. Nie bolało, tylko po promieniu spływały granatowe krople krwi.

Nie, zaraz. Teraz zabolalo.

Jig osunął się na kolana. Grop sięgnął po kolejną strzałę.

- To był niezły plan - rzekł do Noroki, wychylającej się z sąsiedniej komórki. - Ale to my zaatakujemy razem. A odwrócimy ich uwagę, rzucając Jigiem. Pomóż mi.

To, co mówią o głupocie goblinów, to prawda. Zaledwie od kilku godzin jestem wodzem, a już odwracam się plecami do innego goblina. Teraz jesteś zadowolony, Tymalousie Ciemnogwiazdy? To ty chciałeś, żebym przewodził klanowi. To miałeś na myśli, mówiąc o inspirowaniu goblinów? No więc miałeś rację, tak zainspirowałem Gropa, że ten postanowił sam sięgnąć po władzę!

Usiłował dosięgnąć strzały, ale ruch spowodował, że grot wbił się głębiej. Skrzeknął z bólu. Może lepiej nic nie robić.

Ciemnogwiazdy? No tak. Tutaj bóg go nie słyszał. Jig nie potrafił się sam uleczyć. Znikąd pomocy.

Ale Gropowi i Noroce nadal mogło się udać. Nie żeby to jakoś miało Jigowi pomóc.

A potem ujrzał Norokę, która z namysłem wodziła wzrokiem od grotu swojej strzały do pleców Gropa i z powrotem. Jigowi zachciało się płakać. Byli już tak blisko!

- Noroka, nie...

Grop odwrócił się, w chwili gdy goblinka skoczyła. Spadła na niego, wbijając mu strzałę w udo. Promień pękł, kawałek z lotkami został jej w ręce. Wzruszywszy ramionami, dźgnęła Gropa patykiem w bok.

Grop wrzasnął, uderzając ją łokciem w głowę. W ciasnocie oba walczące gobliny coraz to wpadały na Jiga. Zęby i pazury szarpały skórę. Jig jęknął i zwinął się w kulkę, starając ochronić przed urazami ranę.

Spód bąbla zapłonął złotym ogniem, a pod stopami Noroki otworzyła się szczelina. Jig ostrzegłby je, gdyby nie był tak zajęty krwawieniem oraz tchórczeniem.

Ogr chwycił goblinkę za kostkę i pociągnął w dół. Grop zniknął jako drugi, wczepiony zębami w jej ramię. Natychmiast przechwycił go drugi ogr i dusił, dopóki goblin nie rozwarł szczęk. Jig skrzywił się. Mięśnie szczęk były najlepiej rozwiniętą i najsilniejszą partią goblinich mięśni, a ogr odczepił Gropa z taką łatwością, jakby wrywał kawałek mięsa szczerowi.

Wyciągany za nogę Jig wrzasnął z bólu, kiedy uderzył plecami o ściankę bąbla. Już na zewnątrz, wisząc głową w dół, skoncentrował się na niemiędleniu.

Łomot ogrzych skrzydeł był niemal tak głośny jak łupanie w czaszce Jiga. Widząc zbliżającą się siedzibę królowej, Jig pozazdrościł Vece. Gdziekolwiek uciekła, nie była na tyle głupia, by zdawać się na pomoc goblinów.

* * *

Ogry rzuciły ich na chropowaty spąg. Upadając, Jig wykręcił się, starając nie dopuścić jednocześnie do zmiżdżenia Ciapka, jak i urażenia rany. Przynajmniej to pierwsze mu się udało.

W przeciwieństwie do Bezdennej Otchłani czy tuneli powyżej tutaj powietrze było ciepłe, a skalnych powierzchni nie pokrywał szron. Jig szybko zdał sobie sprawę, że znajdują się w podkopie prowadzącym z groty Strauma. Został on zwężony w głębi, a przez szczelinę tam i z powrotem przelatowały dwuskrzydłe chochliki z małymi owocami lub kamykami usuwanymi przy oczyszczaniu pomieszczenia. Spągu nie zaśmiecał niemal żaden okruch. Skała mieniła się zielonymi i niebieskimi kryształkami, które przy gwałtowniejszych ruchach drapały niczym piasek.

Jig skrzywił się, przetaczając na bok. Prawa strona ciała bolała go przy każdym oddechu. Kołczan oraz miecz zniknęły. Prawdopodobnie zostały zabrane przez ogry albo spadły podczas powietrznej podróży. Tak czy inaczej, Jig nawet nie zauważył, kiedy to się stało.

Pomacał kaletkę, czując pod palcami ruchy Ciapka. Rozluźnił rzemień w nadziei, że pupilowi uda się wymknąć.

Grop oraz Noroka krwawili obok niego. Jig uniósł się odrobinę, tyle, by udało mu się kopnąć Gropa w brzuch. Gwałtowny ruch sprawił mu pewnie więcej bólu niż sam cios drugiemu goblinowi, ale Jig i tak poprawił.

- Nienawidzę tego miejsca.

Jig nie spojrzał w górę, nie miał w ogóle zamiaru podnosić wzroku. Wokół tańczyły różnokolorowe cienie chochlików, ale zagłuszał je jasny blask królowej.

- Wszyscy obiecywali, że będę bezpieczna. Mówiliście, że zbudujecie mi gniazdo nawet większe niż to mojej matki. Ale nie wspomnieliście, że będzie ono pod ziemią, w tych ciemnych, gorących katakumbach. A co, jeśli tym goblinom by się udało? Mogły mnie zabić!

Jej głos podnosił się i opadał niczym melodia. Chmara kolorowych chochlików wirowała, brzęcząc skrzydełkami, zgiełkliwie wyrzucając z siebie pospieszne przeprosiny.

Jig ujrzał zbliżające się bosc stopy. Większe, niż się spodziewał. Królowa musiała być niemal wzrostu goblina. Albo była przeciętnej wielkości chochliczką o groteskowo ogromnych stopach.

Na soczewkę spłynęła mu kropla potu z własnego czoła. Wzdrygnął się i zacisnął powieki. Nie wiedział, jaki kawałek królowej trzeba zobaczyć, by znaleźć się pod jej czarem. Wystarczą stopy? Nie czuł na razie obezwładniającej miłości ani uwielbienia. Osłonił oczy ręką i zerknął spod półprzymkniętych powiek na towarzyszy.

Grop robił to samo, zezując jednym okiem. Drugie miał tak sine i zapuchnięte, że nie

musiał go zakrywać. Noroka nieźle mu dała popalić.

Goblina była również obita, ale wyglądało na to, że nie przejmuje się ranami. Ani czymkolwiek w ogóle. Blask królowej skąpał ją całą w złotawej bieli. Leżała na plecach z otwartymi ustami i wielkimi oczyma wpatrywała się w świetlistą postać. Do ostatniej chwili Jig czepiał się nadziei, że może goblina są odporne na czary królowej. Teraz ta nadzieja prysła.

Może jednak dadzą radę jeszcze zaatakować? Jig wykręcił szyję, ale szybko stracił rachubę śmigających wokół chochlików. Słyszał także dobiegający z otchłani furkot skrzydeł kilku ogrów. Zrobienie czegoś w tej sytuacji byłoby samobójczo głupie.

Grop zaatakował. Udało mu się ukryć w dłoni małą strzałkę, którą rzucił w królową. Cztery chochliki runęły, by osłonić swoją panią własnymi ciałami. Grop zaklął, kiedy jeden z obrońców krzyknął i padł. Wyjął zza pazuchy nóż.

Noroka kopnęła go w kolano, zbijając z nóg. Szybciej, niż jakkolwiek goblin miał prawo się poruszać, skoczyła, zatapiając kły w jego szyi. Grop wraził jej nóż w ramię, ale ta nawet nie zauważyła.

- Głupie goblina - zachichotała królowa.

Noroka wstała, cofając się. Grop charczał, wijąc się na ziemi. Sądząc z ilości krwi, niedługo pożyje.

Królowa podeszła bliżej.

Przez zamknięte powieki Jig ujrzał, jak szczupłą świetlistą ręką łapie Gropa za włosy i szarpnięciem odchyła jego głowę. Oczy goblina rozszerzyły się nagle, mięśnie twarzy zwiotczały, a na usta wypłynął spokojny uśmiech.

- Jak się nazywasz?

- Grop. - Rana na szyi zabolgotała.

- Cóż za wstrętne imię. - Królowa uczyniła ruch, jakby chciała go podnieść. Natychmiast podleciały cztery chochliki i już po chwili Grop znajdował się w pozycji pionowej, ledwie muskając palcami stóp spąg. - Idź sobie, zostaw mnie w spokoju, Gropie.

Z oblicza Gropa nie schodził uśmiech, gdy goblin obrócił się i ruszył w stronę wylotu. Podbiegł do krawędzi i skoczył, nie wydając przy tym żadnego dźwięku.

Jig zaczął się trząść. Zbyt dobrze czuł w plecach grot, żeby żałować Gropa, ale ten wydawał się taki szczęśliwy, rzucając się w przepaść. Nie zawahał się ani na moment, nawet cień niepokoju nie zmącił błogiego wyrazu twarzy, gdy pędził w paszczę śmierci.

- Ble, ohyda. On brudzi mi krwią podłogę w komnacie!

Jig zerknął w dół. Rzeczywiście, na skalistym podłożu pod nim utworzyła się granatowa kałuża. Ból nieco osłabł, ale szumiało mu w głowie, a przy każdym ruchu przed oczami wirowały ciemne plamy. Czyżby umierał?

- To Jig Smokobójca - przedstawiła go Noroka. Przesunęła się tak, by odgradzać od niego królową. - To on nas zmusił, żebyśmy przyszli tu i spróbowali cię zabić.

Jig jęknął i zaczął się cofać ku czeluści. Jeśli i tak miał zginąć, lepiej zabić się samemu, gdy jeszcze w ogóle jest się sobą.

Nagle przystanął. Chyba upływ krwi pomieszał mu w głowie. Śmierć to śmierć. Veka pewnie wolałaby umrzeć heroicznie, ale Jig zamierzał odejść jak prawdziwy goblin, przerażony, zebrząc o darowanie życia.

Ciapek zbiegł mu po nodze i smyrnął na ścianę. Chyba nikt tego nie zauważył. Uwaga wszystkich obecnych skupiała się na Jigu. A Jig miał nadzieję, że pająk zdoła jakoś wdrapać się po urwisku otchłani do tunelu i odnajdzie gniazdo pajaków.

- Niech na mnie spojrzy!

Dwa chochliki chwyciły go za uszy i szarpnęły głowę do góry.

- Mam mu odciąć powieki? - zaoferowała się Noroka.

Oczy Jiga otworzyły się błyskawicznie.

Królowa stała tuż przed nim. Jej szata lśniła platynowo, choć była na nią wyraźnie przymała. Kilka szwów po bokach popękało i sięgała ledwie za kolana. Kształt chudego ciała podkreślały taśmy czarnych pereł. W długich czarnych włosach połyskiwał złoty diadem. Gdyby była goblinką, Jig nie dałby jej więcej jak siedem lat.

Długie, szpiczaste uszy wystawały ponad czubek głowy. Jej oczy były czernią skończoną, przypominały bezdenną otchłań. Tylko pośrodku bieleły się dwa świetliste punkciki.

Niewielkie skrzydełka wyglądały jak suche listki. Jig zastanawiał się, czy to rezultat odniesionej rany, czy po prostu królowe nie miały prawdziwych skrzydeł. Nie dostrzegł żadnych blizn, a skrzydła nie wydawały się w żaden sposób zdeformowane. Były po prostu bardzo małe i zbyt cienkie. Podobnie jak wojownicy, posiadała dwie pary skrzydeł, z tym że jej nie iskrzyły. Poza tym królowa jarzyła się cała, lśniła jej skóra, oczy, paznokcie.

- Wstań.

Oblał go pot, gdy pomimo bólu spełnił jej rozkaz. Stał zgarbiony, jedną ręką

unieruchamiając sterczący z pleców kawałek promienia.

Królowa była... przepiękna. Obcym, egzotycznym pięknem co prawda, ale Jig nie mógł oderwać od niej oczu. Ostre rysy twarzy, piękne kształty, pełne gracji ruchy sprawiały, że z każdym krokiem wyglądała, jakby płynęła w powietrzu... Każda istota, jaką Jig widział w życiu, w porównaniu z nią wydawała się pospolita i brzydka. Choć przyznać trzeba, że większość życia spędził przecież wśród goblinów.

- Jig Smokobójca - wyszeptała królowa. - Przypominam sobie. Opowiadali mi o tobie. To ty umożliwiłeś nam otwarcie wrót i przybycie do tego świata. Wszyscy byli tacy podekscytowani znalezieniem tego miejsca. Miałam być tutaj bezpieczna. Mielśmy założyć tu swoje królestwo, z dala od mojej matki. Miałam stworzyć tu swoją armię wojowników, jak tylko dorosnę, by rodić. I wszystko dzięki tobie.

Jig zadrżał.

Co miał powiedzieć?

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Nienawidzę cię! - oświadczyła. Zaczęła obchodzić Jiga, szeleszcząc rozpaczliwie skrzydełkami. - Czemu nie mogłam zostać u siebie?! Czemu to moja matka tu nie przyszła?!

- Wiesz, pani, że twoja matka miała zbyt wielu wojowników, żeby... - zaczął jeden z chochlików.

- Milcz! Ile jeszcze tych wstrętnych goblinów przypelźnie do mojej groty? - Głośno wytarła nos o rękaw szaty. - Nienawidzę ich - powtórzyła.

Objęła dłońmi sterczący promień i popchnęła Jiga na skraj przepaści. Łzy płynęły mu po twarzy, dyszał tak ciężko, że kręciło mu się w głowie. Chochliki i ogry cofnęły się dalej, dając mu czyste pole do skoku.

Jig odwrócił głowę. Wszyscy patrzyli, czekali na rozkaz, którym skaże go na śmierć. Królowa wyszarpnęła mu strzałę z pleców. Jig jęknął, z oczu popłynęły strumienie łez.

- Żałuję, że otworzyłeś dla nas tę głupią grootę - szepnęła zbyt cicho, by inni mogli ją usłyszeć. Nawet jej łzy były świetliste. - Żałuję, że nie zostawiłeś mnie tam na śmierć.

Biedna królowa była przerażona i nieszczęśliwa. Jig rozumiał ją bardzo dobrze. Dokładnie tak samo czuł się cały czas od chwili, gdy w jaskini goblinów pojawił się ogr.

Mały czarny cień wylądował na skrzydełku królowej, wydawało się jednak, że nic nie zauważyła. Nie zauważyła także, kiedy z tego samego skrzydełka zaczął unosić się dym.

- No idź - rzekła. - Idź za swoim przyjacielem, w otchłań.

Noroka zareagowała pierwsza.

- To pająk ognisty Jiga! - krzyknęła, przyskakując do królowej.

Tego było już za wiele dla młodziutkiej królowej. Obróciła się, wymachując rękami, i strąciła Ciapka na ziemię.

- Niech to ktoś zabije! - wrzasnęła.

Jig skoczył.

Omal nie zemdlął z bólu, wyszarpując strzałę z rąk królowej. Zanim zdążyła cokolwiek zrobić, wraził jej grot w plecy, dokładnie pomiędzy skrzydełka.

Krzyknęła. Jig położył uszy, boleśnie porażone świdrującym piskiem. Chochliki zaczęły krążyć chaotycznie po całej jamie. Te, które pozostały w komnacie, zaczęły tłoczyć się przy szczelinie, raniąc się w rozpaczliwych próbach przeciśnięcia się do władczyni.

Nim ktokolwiek zdołał do niej dotrzeć, Jig pociągnął ją ku przepaści i puścił. Królowa zachwiała się, machając desperacko ramionami. Skrzydełka zaszeleściły jeszcze raz, a potem spadła.

Każdy jeden ogr i chochlik runął w dół, aby ją ratować. Jig odpełził w głąb jaskini i przywarł do skalnego podłoża.

Gdy mijająca go biegnąca za królową Noroka, Jig złapał ją za kostkę. Goblinka padła na twarz i już się nie poruszyła. Dopiero wtedy, kiedy już wszyscy opuścili tunel, a Noroka leżała nieprzytomna, Jig podczołgał się na skraj przepaści i spojrział w dół. W czerni migotała coraz mniejsza plamka srebrzystej bieli, a za nią znikwały kolorowe wiry światła.

Jigowi kręciło się w głowie, słabł. Pomyślał, że wrywając strzałę, królowa coś rozerwała i teraz krew wypływała z rany szybciej. Głowa opadła mu na ziemię, tuż przy skraju spągu. Ujrzał, jak w dół kapie jego ślina. Czemu jeszcze żył? Spojrział przecież na królową tak jak Grop i Noroka. Nie żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie. I tak wkrótce umrze.

Bolały go uszy i nos. Podniósł głowę, by poprawić okulary. Oprawki były tak gorące, że sparzyły mu palce.

Stalowe oprawki.

Jig zaczął chichotać. Przez cały czas, kiedy patrzył na królową, patrzył przez stalowe ramki soczewek.

Ciemnogwiazdy? Cisza. Był sam.

Na ramieniu poczuł gorące stąpienia. Jednak nie był sam. Jig uśmiechnął się, opierając głowę na skale. Przynajmniej będzie umierał przy jedynej istocie na świecie, której był w stanie zawsze ufać.

Rozdział szesnasty

Myślisz, że herosi mają ciężko?

Spróbuj po nich sprzątać.

[Chandra Owdowiarka, szynkarka Tawerny Pod Tańczącym Zombiem „Droga Bohatera”

(Wydanie dla magów)]

No więc co to za plan?

Sznyt leżał na brzuchu, wydrapując kłujtaskiem wzorki w lodzie. Veka zmarszczyła brwi i przyjrzała im się bliżej. Rysunek przedstawiał kryjącego się za drzewem grubego goblina. Obok Sznyt kończył wydrapywać chochlika, który wlatując za drzewo, strzela w goblina błyskawicami. Hobgoblin był wcale zręcznym artystą. Trzymając kłujtaska za drewnienko, przycisnął do lodu dwa szpikulce jednocześnie i nakreślił spiralny kształt ogromnego węża.

Znajdujący się przy jaskini żywy model falował tuż nad ziemią, jakby pływał w powietrzu.

Veka zacisnęła pięści.

- Mogę na chwilę? - spytała, wskazując na kłujtaska.

Sznyt usiadł, podając jej kolczatkę. Veka wbiła szpikulce w przedramię, a potem nacisnęła skórę przy ranie. Po ręce spłynęła granatowa krew.

- Co ty wyprawiasz?! - przestraszył się Sznyt, blednąc.

Veka nacisnęła mocniej. Krople krwi kapały na rysunek na lodzie.

- Przestań! - odwrócił poszarzałą twarz.

Veka chwyciła go za ramię. Ból był nieprzyjemny, ale jego mina wynagrodziła jej go z nawiązką.

- Musimy odwrócić ich uwagę - rzekła. - Żeby jedno z nas się tam dostało, drugie musi ściągnąć na siebie strażników.

- Ja nie idę.

- Skoro tak... - Znowu przyszczypała brzegi rany, obryzgując krwią jego kamizelkę.

Tego było już za wiele dla biednego hobgoblina. Jęknął i zwałił się twarzą w śnieg. Veka włożyła mu do ręki kłujtaski i zamknęła dłoń.

Zaraz potem Sznyt podniósł się, podtrzymywany jej magią. Wielki wąż zamarł na moment, po czym odwrócił głowę i wysunął język, badając jej zaklęcie. Veka poruszała Sznytem jak marionetką, kierując go w stronę chochlików. Jeden z wartowników wyleciał mu naprzeciw, krzykiem prowokując do walki. Nie wydawał się przestraszony. Pojedynczy hobgoblin nie stanowił dla niego zagrożenia.

Tak przynajmniej uważał. Koncentrując część uwagi na drugim celu, Veka rzuciła zaklęcie, które wyrwało hobgoblinowi z ręki klujtaska i pchnęło w strażnika. Stalowy szpikulec wbił się w skrzydełko.

Zraniony chochlik upadł, wrzeszcząc z bólu i wściekłości. Veka skupiła się w całości na Sznycie. Przesunawszy go nad leżącego, kilkakrotnie upuszczała i podnosiła. Nie miała pewności, czy to wystarczy, aby zabić chochlika, ale liczyła, że przynajmniej szybko nie wstanie. Jeden z głowy. Jeszcze pięciu strażników, wliczając węża.

- Wybacz, Sznyt - szepnęła i ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że powiedziała to z głębi serca.

Reszta wartowników ruszyła do ataku, na przedzie pędził wąż. Veka pobiegła Sznytem tak szybko jak potrafiła, oddalając go od siebie. Żaden hobgoblin nie dałby rady galopować z taką prędkością, ale chochliki najprawdopodobniej o tym nie wiedziały. Jego ruchy były nieco sztywne i niezborne, ale to normalne u hobgoblinów. Nie dotykał też stopami ziemi, ale Veka miała nadzieję, że skupione na pościgu chochliki nie będą zwracały uwagi na takie drobiazgi.

Veka wyskoczyła zza drzewa i pognała w kierunku jaskini. Ruchy Sznyta stały się jeszcze bardziej niezdarne. Nie mogła patrzeć przed siebie i jednocześnie kontrolować jego. Możliwe, że łatwiej by jej było, gdyby wyzwoliła go spod zaklęcia, ale to jeszcze bardziej skomplikowany proces. Władanie umysłem jaszczurnika to jedno, ale Snixle ostrzegał, że inteligentne stworzenia opierają się mocniej. Niechętnie musiała przyznać, że Sznyta trzeba raczej zaliczyć do stworzeń inteligentnych.

Zerknęła przez ramię. Hobgoblin pędził wprost na czubek sosny. Zderzył się z nim i zaczął zjeżdżać po lodzie. Veka usiłowała postawić go na nogi, ale zanim cokolwiek zrobiła, zniknął z pola widzenia. Prawdopodobnie wpadł w jakąś szczelinę.

Trudno. Znajdowała się już niedaleko celu. Podłóże przed wejściem do jaskini było gładkie, wyslizgane pewnie przez węża. Nie dostrzegła nigdzie kolców z robakowatymi istotami. W sumie, likwidując mniejsze drapieżniki, wąż wyświadczył jej przysługę.

Jeszcze kilka kroków i skrył ją mrok tunelu. Na szczęście warstwa lodu była tak gruba, że nie musiała się wspinać do wejścia.

Udało jej się prześlizgnąć obok strażników. Wykorzystanie nieprzytomnego towarzysza jako przynęty nie było zbyt heroiczne, ale zadziałało.

Tunel zmienił się od jej ostatniej wizyty. W powietrzu unosiły się chmary pomarańczowych insektów, szybując wte i wewte na prądach magii. Jeden próbował ukąsić ją w ramię, ale pacnęła go ręką. Otarła ją z pomarańczowej miazgi i ruszyła w głąb korytarza.

Ściany pokrywał szary szron. Martwy ogr zniknął. Odwróciła jeszcze głowę, zastanawiając się, co chochliki zrobią Szytowi. Miała nadzieję, że go nie zabiją.

Tunel nie tonął w całkowitej ciemności. Blask krążących nad nią pomarańczowych owadów odbijał się od kryształków lodu, oświetlając nieco drogę. W miarę zbliżania się do legowiska robiło się coraz jaśniej. Stężenie magii też rosło, a wraz z nim temperatura. Okutana płaszczem Veka zaczęła się intensywnie pocić. Przywarła do ściany i zajrzała ostrożnie do pieczary, którą niegdyś zwał swym domem smok.

Skalne powierzchnie porosły lodowymi kryształkami, których fasetki lśniły feerią barwnych refleksów. Sam lód zdawał się jarzyć, jakby był zamrożonym światłem.

Z tyłu jaskini, w niecce, bielił się kopiec. Z okrągłej jamy o poszarpanych brzegach wylewał się złocisty blask. Czowała, że właśnie on jest źródłem mocy. Magia była tu tak silna, że włoski na karku oraz ramionach stanęły jej dęba. Dałaby głowę, że to portal.

W pieczarze znajdowały się tylko dwa chochliki. I to dwuskrzydli robotnicy, nie żołnierze. Znając swoje szczęście, Veka nie zdziwiłaby się, gdyby wchodząc tu, trafiła na moment przejścia armii chochliczych magów, ale tym razem fortuna była w dobrym nastroju.

Po drugiej stronie grotu fruwała jasnożółta chochliczka. Jej zielony towarzysz leżał na ziemi, manipulując długą włócznią. Przesunął żelazcem wzdłuż skały ku przychepionej do ściany kuli, prawdopodobnie gniazda, bo rój pomarańczowych muszek rozbzyczał się wściekle.

- Zwariowałaś - denerwowała się chochliczka. Na widok podlatującej liliputki serce podskoczyło Vece do gardła, ale ta zawróciła, nie zauważając intruza. - Królowa rozkazała pogrzebać każdy kawałek zabójczego metalu głęboko pod lodem.

- Kazała także... - Zielony chochlik stęknął i napiął mięśnie, bo włócznia zaczęła mu się wysuwać z dłoni. Coś było nie tak z jego skrzydełkami, ale z tej odległości Veka nie rozróżniała szczegółów. - Kazała także zająć się iskrzykami. A ja na pewno nie mam zamiaru tu sterczeć cały

dzień, rozplaskując na sobie robaki.

Gniazdo przypominało oszronioną brodawkę wielkości gobliniej czaszki. Po dotknięciu żelazcem z powierzchni wystrzelił gejzer pary. Z otworu wypadła kolejna chmara owadów, rzucając się na chochliki.

- Nie upuść! - zaskrzeczała żółta chochliczka.

Zielony wbił mocniej grot, po czym odsunął się i obserwując swoje dzieło, wyjął zza pazuchy mały brązowy owoc, taki sam jak te, które Veka widziała pod lodem w pobliżu węzowej pułapki. Włożył go sobie do ust, przez chwilę żuł, po czym wypluł skórkę. - Nie martw się, tego metalu tu za mało, żeby zniszczyć portal.

- Ale jeśli królowa wróci...

- Nie wróci. - Skierował dłoń w stronę gniazda, a Veka poczuła falę magii. Przypominała jej zakęcie, którego sama użyła do kontroli jaszczurników.

Owady zaczęły podlatywać do stalowego grotu, gdzie ginęły w rozbłyskach jasnego światelka. Na zielonego chochlika posypał się deszcz martwych insektów.

- Ha! I co ty na to, Wholoo. - Śmiał się, podskakując radośnie, gdy martwe owady padały u jego stóp.

Nagle Veka go poznała. Nigdy nie widziała na własne oczy Snixla, ale skojarzyła specyficzną modulację głosu oraz gorączkowość w ruchach. Nietrudno rozpoznać kogoś, z kim przez jakiś czas dzieli się ciało.

Poza tym istniało spore prawdopodobieństwo, że to właśnie on, Snixle, był syfiarzem w chochliczym świecie - wykonywał obowiązki, których nikt inny nie chciał się podjąć. Podczas gdy reszta broniła królowej, on siedział tutaj, walcząc z robactwem.

Gdy największa fala owadów opadła, Snixle pochylił się, żeby poprawić tkwiącą w gnieździe włócznię. W miejscu skrzydeł sterczały dwa strzępki. Świecił dużo słabiej niż towarzyszka, a poszarpane krawędzie oderwanych skrzydełek jarzyły się zielonkawą substancją. Najwyraźniej rany były świeże.

A to oznaczało, że jeszcze nie przywykł do braku skrzydełek. Veka niejednokrotnie widziała znęcające się nad szczurami gobliny. Okaleczone gryzonie musiały się potem od nowa uczyć chodzenia. Odruchy Snixla będą więc prawdopodobnie nieprawidłowe.

Veka wyjęła resztę klujtasków i cisnęła nimi w żółtą chochliczkę. Dostrzegłszy nadlatujące pociski, liliputka próbowała się uchylić, ale nie zdążyła. Dwie z kolczatek utkwily jej

w plecach i nodze. Wholoo runęła na ziemię jak owad po dotknięciu stali. Snixle puścił włócznię, która trzasnęła o ziemię.

Veka była już przy nich. Snixle odskoczył i upadł, nie mogąc opanować odruchu wzbicia się w powietrze.

Goblina grzmotnęła Wholoo kosturem, po czym rzuciła się w stronę Snixla i po chwili zaciskała palce na jego kościstym ciałku.

Snixle wierzgnął jeszcze raz, a potem zwiotczał, opuszczając głowę.

- No dalej, pożrzyj mnie - wymamrotał. - Przecież to właśnie robią gobliny, czyż nie?

Veka zawahała się. Okaleczony chochlik wyglądał żałośnie. Był także przeraźliwie chudy. Żadnego goblina nie zainteresowałyby te obcignięte skórą kosteczki.

- Co ci się stało, Snixle?

Poderwał głowę, jaśniejac odrobinę.

- Veka? - Na jego posiniaczonej twarzy pojawił się niepewny uśmiech. - To ty? Myślałem, że zabił cię Jig Smokobójca!

- Kiedy przebił mnie mieczem, przełamał twoje zakęcie. Ale potem mnie uleczył.

- Fakt, zabójczy metal niweczy naszą magię - przyznał Snixle. - Ale dlaczego cię uratował?

- Bo to Jig. Tak właśnie postępuje. - Odwróciła go, żeby bliżej przyjrzeć się resztkom skrzydełek.

- To królowa - szepnął Snixle. - Kiedy się dowiedziała, że nie udało mi się schwytać Jiga i że zataiłem przed nią twoje istnienie... - Oczy nabiegły mu łzami. - Nie chciałem jej zawieść. Powinna mnie zabić. Nawet nie wiesz, jak boli świadomość, że ją rozczarowałem. Żałuję, że mnie nie zabiła. Zamiast tego zostawiła mnie przy życiu, każąc wypłenić iskrzyki z grotu.

Z nosa kapnęła mu kropla świetlistego śluzu. Przedstawiał sobą tragiczny widok. Magia królowej musiała być niezwykle silna, jeśli potrafiła wzbudzić aż tak nieprzemogłą lojalność. Veka zastanawiała się, jak Jig sobie z nią poradzi.

- Iskrzyki?

Wskazał gniazdo insektów.

- Paskudne stworzenia. Żywią się krwią i mocą chochlików oraz innych magicznych istot.

- Pociągnął nosem i zniżył głowę, ocierając twarz o kciuk Veki. - Jak zdołałaś się tu dostać? Na zewnątrz stoją...

- Udało mi się prześlizgnąć.

- Przyszłaś tu, żeby zamknąć portal, prawda? - Pokręcił głową. - Nie uda ci się. Stworzyło go dwadzieścia najsilniejszych chochlików. Nie dasz rady go zniszczyć.

Veka podeszła do białego wzniesienia. Z otworu wylewał się tak silny strumień mocy, że ledwie powstrzymała się przed osłonięciem twarzy - Snixle miał rację. Potęga tej magii byłaby w stanie zmienić wnętrze całej góry. Uklękła, zaglądając w dziurę z nadzieją, że ujrzy skrawek chochliczego świata, ale jaskrawy blask raził w oczy.

- Nie jest jeszcze za późno - rzekł Snixle. - Możemy iść do królowej i...

- Jig sprowadził gobliny, chcą zaatakować kolonię i zabić królową.

- Nie! - Nie byłby bardziej przerażony, gdyby zjadła mu właśnie nogi. Wił się i wrywał, boksując maleńkimi piąstkami kciuk Veki. - Muszę jej pomóc! Muszę za nią walczyć! Muszę...

Veka potrząsnęła nim mocno.

- Musisz mi pokazać, jak działają te wrota.

- Nie! Muszę ratować królową! - Przymknął oczy, a Veka poczuła w ręce pulsowanie magii. Snixle próbował odnowić zaklęcie, które już raz na nią rzucił.

Veka podeszła do ściany i stuknęła nim o oszronioną skałę.

- Przestań.

Czar Snixla rozproszył się natychmiast. Chochlik warknął, mocniej zaciskając powieki, i owiała ją kolejna fala magii.

Veka usłyszała brzęczenie owadów. Skoczyła naprzód, ścigana przez jaskrawopomarańczową chmurę. Wypuściła z ręki kostur i rzuciła Snixla w środek roju.

Chochlik krzyknął, kuląc się w powietrzu. Insekty krążyły chaotycznie. Strzępki oberwanych skrzydełek zadrgały, a potem Snixle zderzył się z ziemią i potoczył pod ścianę. Veka podbiegła, ale chochlik podniósł się chwiejnie o własnych siłach. Nawet przytrzymując się ściany, ledwie stał na nogach.

Veka chwyciła go, strącając mu z szyi iskrzyka.

- Następnym razem zacisnę rękę - zagroziła.

Snixle kiwnął głową.

- Ale królowa. Nie mogę jej opuścić...

- Ciii. - Veka nadstawiła uszu. W tunelu rozbrzmiewały krzyki. Zagryzła wargę, rozpoznając głos Sznyta. Dobrze, że nie zginął.

Snixle wykorzystał jej nieuwagę, by rzucić kolejne zaklęcie. Poczula mrowienie na skórze, a mięśnie zaczęły tężeć. Chcąc nie chcąc musiała przyznać, że podziwia małego chochlika. Nawet poobijany, posiniaczony nie przestawał walczyć.

Znowu pacnęła nim o ścianę, nieprzytomnego wsadziła do wewnętrznej kieszeni płaszcza i poczęła szukać jakiejś kryjówki. Jedynym miejscem, które dawało osłonę, był sam pagórek z portalem. Kucnęła za nim, przygarniając do siebie poły płaszcza. Czarna materia nie była najlepszym kamuflażem w tym bijącym blaskiem otoczeniu, ale nie miała nic innego.

Nadejściu wielkiego węża towarzyszył migot płomieni w głębi tunelu. Pierwsze jednak do pieczary wleciały chochliki.

- Hej, Snixle, Wholoo, złapaliśmy hobgoblina, który kręcił się w pobliżu. Mówił, że jego towarzyszka tu zmierza.

Veka przygryzła policzki. Głupi hobgoblin, pewnie zaraz po odzyskaniu przytomności wszystko wypaplał. Tchórz.

Z drugiej strony ona zrobiła z niego przynętę. Też nie miałyby oporów, gdyby on ją tak potraktował.

- Patrzenie, tu - rzekł inny chochlik. - Wholoo nie żyje.

- A gdzie Snixle?

Na oszronionych ścianach zatańczyły kolorowe światła. Cały oddziałik skupił się nad ciałem zamordowanej towarzyszki. Veka zdawała sobie sprawę, że szybko ją tu znajdą. Musiała wymyślić, jak zniszczyć portal.

- Odsuńcie się. Moltiki ją znajdzie.

Veka rozejrzała się wokół, starając się odgadnąć, który z nich to Moltiki. Ale chochliki cofnęły się do wejścia. Z tunelu dobiegło szuranie. Sznyt przywarł do ściany, obserwując wślizgującego się do jaskini węża. Bestia badała otoczenie językiem, próbując ją namierzyć. Tak jak uczył ją Snixle, Veka sięgnęła magią do węża, chcąc ujarzmić jego wolę. Dyrygowała setkami jaszczurników, jak trudny do okiełznania mógł być wąż, nawet gigantyczny?

Plotła nitki mocy w powłokę, którą niczym drugą skórą mogłaby otoczyć Moltiki i przejąć kontrolę nad jego ruchami. Wreszcie pancerz skurczył się, przywierając do ciała gada.

Jednak w chwili, gdy zetknął się z łuskami, zaklęcie prysnęło jak bańka mydlana. Zdusiła okrzyk bólu. Moltiki zaryczał, gwałtownie poruszając językiem.

- Jest za kopcem! - wrzasnął jeden z chochlików.

Nie miała na tyle siły, by przełamać ich władzę nad węzem. W wyniku szalonej próby ujawniła tylko swoją kryjówkę i nabawiła się straszliwego bólu głowy.

Obeszła pagórek, stając pomiędzy nim a ścianą. Przez głowę przemknęła jej myśl, by uciec, wskakując w portal, ale co mogłaby tym zyskać? Nawet gdyby przeżyła, znalazłaby się sama w obcym świecie. Lepiej zakończyć sprawę szybko. Tylko jak?

Wyraźnie wyczuwała wylewający się z portalu strumień mocy, ale nie miała pojęcia, co zrobić. Gdyby próbowała go zablokować, potężna magia rozerwałaby ją na strzępy.

Moltiki podpełzł bliżej. Veka przycisnęła dłonie i twarz do pagórka. Szorstka masa drażniła skórę. Z czego został zrobiony? W przeciwieństwie do oszronionych skał powierzchnia kopca była sucha i ciepła. Zbyt twarda i jednolita jak na drewno, zbyt chropowata jak na kamień. W dotyku najbardziej przypominała kość. Veka odsunęła się, spojrzała na pagórek i wyobraziła sobie... To podłużne wybrzuszenie u stóp wzniesienia mogło być ogonem owiniętym wokół cielska. Po przeciwnej stronie kopiec zwężał się jakby w szyję, a pomiędzy wypukłościami łap wyrastała czaszka.

Do zakotwiczenia wrót chochliki potrzebowały potężnej, skoncentrowanej mocy, a co może mieć w sobie więcej magii niż sam Straum? Połączyły jego kości w niezniszczalną opokę, a w czaszce umieściły portal. Fizyczne zniszczenie wrót oznaczało roztrzaskanie szkieletu smoka. Łatwiej już byłoby rozłuc całą górę. Nic dziwnego, że nie zostawiły więcej strażników. Jak pojedynczy goblin mógłby zaszkodzić portalowi?

- Widzę ją, tam! - Jeden z chochlików machnął ręką i Moltiki rzucił się naprzód. Jak takie wielkie cielsko mogło się tak szybko ruszać? Gabaryty Veki wprost przeciwnie, zawsze ją spowalniały.

Uchyliła się, zataczając na lodowatą ścianę. Dziwne, ale nie czuła jej zimna. Ach tak, to pewnie dlatego, że Moltiki podpalił jej płaszcz. Zdarła zwoje materiału, zarzucając je bestii na pysk. Teraz została tylko w starym syfiarskim odzieniu.

Wąż okrążył ją, blokując drogę do wyjścia.

- Co ty sobie wyobrażałaś, goblinico? Co miałaś zamiar zrobić? - prychnął dowódca chochlików.

Ogon Moltiki chlasnął ją w bok. Odczuła to tak, jakby została uderzona drzewem. Płonącym drzewem. Ostre łuski poszarpały fartuch i skórę. Stare plamy syfii na podpalonym ubraniu kopciły. Veka skuliła się przy pagórku, osłaniając się ramionami przed kolejnym ciosem.

- Mam to, o co wam chodzi! - krzyknął stojący przy wejściu Sznyt. W rękę trzymał niewielkie prostokątne pudełko, na oko drewniane. - Tego chciała użyć do zamknięcia wrót.

Chochliki zamarły niepewne. Moltiki nie spuszczał płonących ślepi z Veki. Kołysał się nad nią z rozwartą paszczą, gotowy pożreć ją szybciej, niż zdołałaby krzyknąć. Teraz jednak uwaga chochlików koncentrowała się na Sznycie.

Veka potarła czoło. O czym ten głupi hobgoblin mówi? Co to za pudełko?

- Ukradłem jej to - oświadczył Sznyt. Twarz miał posiniaczoną i zakrwawioną; albo potraktowały go tak chochliki, albo poobijał się, wpadając do szczeliny lodowej. - Żaden hobgoblin nie pozwoliłby posiadać szczurojadowi rzeczy tak ważnej.

Jeden z chochlików podleciał do Sznyta, wyrywając mu pudełko.

- Co to takiego?

- Nie jest magiczne - stwierdził inny. - To szaleńcy, jeśli myślą, że ich zabaweczki mogłyby choć zadrapać nasze wrota.

Veka zerknęła na porzuconą przez Snixla włóczę. Czy tej stali wystarczyłoby do zadrapania wrót? Pewnie nie, inaczej nigdy by tego tu nie używali. Potrzebowała czegoś większego. Potężnego zaklęcia, które jednocześnie zniszczyłoby tego wstrętnego węża i portal.

A skoro tak, to czemu nie życzyć sobie od razu, aby królowa chochlików z własnej woli poddała się Vece Czarodziejce?

- Jak to się otwiera? - zapytał chochlik, oglądając pudełko. - Nie ma tu żadnych zawiasów... A nie, są. Sprytne. - Nacisnął jedną ze ścianek. - Tu się naciska, wieczko odskakuje, o tak, i...

Nawet czuły słuch Veki ledwie wyłowił ciche „brzęk”. Chochlik krzyknął, upuszczając przedmiot. Z dłoni, w miejscu gdzie sterczała cienka igiełka, unosił się dym.

- Zabić go! - wrzasnął chochlik. Moltiki był przy Sznycie, zanim biedny hobgoblin zdołał uczynić choćby krok. Podłużne cielsko węża zasłoniło Vece widok. Moltiki zaatakował, a kiedy się cofnął, z jego paszczy zwisał Sznyt. Nadziany nogą na kiel, młócił rękami powietrze i krzyczał z bólu.

- Nie! - Nim Veka uświadomiła sobie, co robi, jej zaklęcie opasało włóczę, która poszybowała w stronę węża. Żelazce przebiło twarde łuski, wbijając się tuż pod głowę. Moltiki zaryczał boleśnie, strząsając Sznyta, który legł nieruchomo na ziemi.

- Bierzcie goblinkę, goblinkę! - krzyczał któryś chochlik.

Włócznia utkwiała zbyt głęboko, by Veka zdołała wyszarpnąć ją magią. Rzuciła kolejne zaklęcie, które poderwało leżący nieopodal kostur. Kij poleciał, obracając się w powietrzu, ku chochlikom. Wirujące końce uderzyły najpierw jednego, a następnie drugiego wroga. Cisnęła kosturem w trzeciego, lecz ten machnął ręką i drewno rozsypało się w pył. Rzuciła więc w niego ciałem Wholoo. Chybiła, ale zyskała czas, by skryć się za kopcem.

Dwa chochliki załatwione, trzeci z metalową igłą w dłoni. Pozostawały jeszcze dwa sprawne oraz jeden ranny, rozwścieczony wąż. Mogłaby podjąć kolejną próbę przejścia nad nim kontroli, ale...

Nie. Spojrzała na pagórek, wspominając słowa Snixla. „Nekromancja jest jak ubieranie się w trupa”. Zaklęcie jednak pozostawało to samo, bez względu na żywość obiektu.

Straum zginął ponad rok wcześniej. Jego kości zostały otoczone magią chochlików, a potem zespolone. Nigdy wcześniej nie próbowała panować nad czymś tak ogromnym. Ani tak martwym.

Ale jeśli nie spróbuje natychmiast, skończy jako przekąska węża.

Krew kapnęła jej do oka. Kiedy rozcięła sobie czoło? Zresztą co za różnica. Wykorzystując chwilę, kiedy chochliki się przegrupowywały, przywarła do pagórka i rzuciła zaklęcie.

Snixle nauczył ją, że magia to żywy fluid. Szczątki Strauma też były żywe, ciepłe od mocy. Może sam smok był martwy, ale magia krążyła w nich cały czas. Absorbowały magię Veki, pochłaniały ją, jak głodny goblin pochłania wszystko, co wpadnie mu w ręce w spizarni Golaki.

Świat wokół niej stał się niewyraźny, a potem ogarnęła ją ciemność. Poczwała chłód w kościach, stawy zeszywniały, jakby zamarzła. Osunęła się na kolana, magia napierała na nią, przytłaczała. Nie, to nie magia, to szczątki Strauma. Ciężar masywnych kości przygniótł ją do ziemi, wgniatając w lód i skałę. Nic nie słyszała. I nic nie widziała. Gdzie chochliki? Gdzie wielki wąż? Może Moltiki ryczy teraz, rzucając się do ataku, a ona nawet nie będzie o tym wiedziała?

Zebrała siły, aby wstać, ale ciało jej nie słuchało. Magia, lód i rozkład obróciły szkielet w kostny monolit. Musiałaby go połamać, żeby go ruszyć. To był błąd. Jak mogła być tak głupia? Usiłowała przełamać zaklęcie, ale Straum pozostał zbyt potężny, nawet po śmierci. Jego ciało wessało magię Veki i nie chciało jej uwolnić. Wniknęła w kości smoka, ale nie była w stanie

nimi poruszyć. Śmiałyby się pewnie z tego absurdu, ale nawet tego nie mogła uczynić.

Nic nie czuła. Ani zimna, ani bólu, jedynie magię. Rzeka mocy wylewała się z portalu jej paszczy, opływała pieczarę, maleńką plamkę ciepła z boku... Nie, to ona, Veka, wyczuła siebie ciałem smoka. Szczęki zadrżały, jak gdyby próbowała przełknąć jedną z kolczatek Sznyta. Czy to portal wywoływał tak wielki ból?

Moltiki okrążał kopiec, zbliżając się do Veki.

Czy poczuje uderzenie, czy po prostu nagle przestanie istnieć? A co gorsza, czy jej umysł pozostanie połączony ze szkieletem Strauma? Głuchym, ślepym, unieruchomionym po wsze czasy? Rozpacz przytłaczała ją bardziej niż ciężar kości.

Czas wydawał się zwalniać, grzęznąć w smoku. Wyczuwała każde drgnienie potężnych mięśni Moltiki, który cofnął paszczę, by zaatakować. Chochliki śmigają wokół, wzbudzając zawirowania w magii niczym owady muskające tafłę jeziora.

Gdy tak czekała, aż wąż z nią skończy, w głowie zaiskrzyła jej myśl. Jig na pewno znalazłby jakieś wyjście.

W tej samej chwili przez rozpacz przebił się gniew. Jig zawsze znajdował jakieś wyjście. Zawsze wygrywał. A ona, Veka, padała ofiarą byle robota chochlikowego, zjadał ją ognisty wąż albo Jig Smokobójca przebijał ją mieczem! Jig zgładził samego Strauma, a Veka nie miała nawet tyle siły, żeby pokonać moc drzemiącą w strupieszalnych kościach smoka. To niesprawiedliwe!

Wrota w jej szczękach pulsowały magią wydostającą się ze świata chochlików. Próbowwała odciąć się od wszystkiego prócz portalu. Zapomnieć o chochlikach, o wężu, o Sznycie. Nie wiedziała nawet, czy hobgoblin jeszcze żyje.

Jig by sobie poradził. Jej także się uda.

Naciskając z całej siły na zawiasy szczęk, szarpnęła czaszką Strauma i zawarła ogromną paszczę, zaciskając poszarpane krawędzie na cielsku Moltiki.

Przez moment czuła ogromne ciśnienie. Przypomniało jej się, jak młode gobliny, dręczone przez komary i innych owadziach krwiopijców, przyszczypują skórę, unieruchamiając insekty. W ten sposób pompują w nie krew, aż insekt pęka. W tej chwili Veka współczuła tym biednym owadom.

Czaszka rozpadła się, a Veka straciła przytomność.

* * *

Ktoś brutalnie tarł ją za ramię. Otworzyła oczy i natychmiast tego pożałowała. Światło wbijało się przez gałki oczne i raniło mózg niczym noże.

- Żaden goblin nie powinien cierpieć takiego widoku po przebudzeniu - wymamrotała, odpychając Sznyt.

- No, nareszcie - rzekł hobgoblin, siadając pod ścianą. Nogę miał obwiązaną kawałkiem jej nadpalonego płaszcza. Lód topniał, ze ścian i stropu kapła woda.

Veka rozejrzała się wokół. Nieopodal leżało przepołowione truchło Moltiki. Veka nie była tylko pewna, czy przecięły go szczęki Strauma, czy rozerwała eksplozja, która nastąpiła później. Całą jaskinię zaścielały wielkie odłamki kości. Jeśli skumulowana magia zrobiła ze szkieletem coś takiego, ciekawe, jakie wyrządziła szkody po drugiej stronie portalu?

Pomacała się po twarzy. Kiedy zatrzasnęła szczęki smoka na wężu, jej własne kły przebiły policzki.

Wpatrywała się w dłonie. Niebieska krew. Ale metaliczny poblask światła chochlików zniknął.

Sznyt osłaniał oczy od widoku krwi.

- Zrób coś z tym.

Wytarła ręce o fartuch.

- To pudełko, co to było?

- Pułapka igłowa. Kilka miesięcy temu wymontowałem ją z drzwi w labiryntach Nekromanty. Ulepszyłem ją, zanurzając kolec w jądzie jaszczurników. - Wskazał na leżące u wejścia ciało chochlika. - Miałem ją zainstalować w kufrze i zostawić pod jaskinią goblinów. - Z zakłopotaniem wzruszył ramionami. - Wódz zakazał nam tylko zabijać goblina. Jakby któryś sam się zabił na takiej zabawce, to cóż;, nie moja wina.

Veka była zbyt wykończona, by zdobyć się na coś więcej niż potrząśnięcie głową. A nawet to okazało się błędem. Kręgi w szyi zgrzytnęły i wskoczyły na miejsce, a fala bólu przeniknęła ją po kość ogonową. Marzyła tylko o tym, aby się położyć gdzieś w kącie i przespać kilka dni.

- Jak myślisz, jak poszło Jigowi? - zagadnął Sznyt.

- Pewnie siedzi już w grocie goblinów - prychnęła Veka. - Popija piwo klakowe, a reszta goblinów twarzy nowe wersy „Ballady o Jigu”.

- Chrzań „Balladę o Jigu” - zachichotał Sznyt. - Ciekaw jestem, co będą śpiewać o tym.

- Zatoczył ręką krąg, wskazując szczątki smoczego szkieletu, truchło węża, martwe chochliki oraz opadającą ze sklepienia wielokolorową krupę. - Ale powiem ci jedno. Jeśli jakiś goblin nazwie mnie w piosence „Sznytem”, wrzucę mu do butów jaszczurnikowe kolce.

Veka spojrzała na bliznę przecinającą jego twarz. Po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, jak to się stało.

- Kto ci to zrobił?

Hobgoblin pociemniał na twarzy.

- Sam sobie to zrobiłem. Przypadkiem uruchomiłem pułapkę toporową, nad którą pracowałem. - Wzruszył ramionami. - Mogło być gorzej. Szkoda, że nie widziałaś Marxy po tym, jak jej pułapka ogniowa niespodziewanie wypaliła.

Veka machinalnie kiwnęła głową. Rzeczywistość powoli wsączała się do jej zamroczonego umysłu. Żyła. Portal został zniszczony. Chochliki zginęły lub uciekły.

Zerknęła na poszarpane strzępy płaszcza, zastanawiając się, co ze Snixlem. Zupełnie o nim zapomniała, zdzierając z siebie płonący płaszcz. Jeśli był wtedy w kieszeni, powinna wyczuć zapach spalonego ciała. Podczołgała się ku szczątkom tkaniny i poruszyła nimi. Z gałganów uniosła się chmurka popiołu - tyle zostało z jej księgi czarów.

- Hej, Veka! - Sznyt omijał ją wzrokiem. - Ten wąż mało co mnie nie zabił. Jeszcze raz by mnie sieknął i... - Skrzywił się, dotykając prowizorycznego opatrunku na nodze. - Znaczący wiesz, gdybyś go wtedy nie dziabnęła tą włócznią. On... Ty... - Potrząsnął głową. - Przykro mi, nie dam rady tego powiedzieć. Nie goblinowi. Gdyby hobgoblino wiedziały się, że jakaś głupia, tłusta szczurojadka ocaliła mi życie, nie dałyby mi...

- Przymknij się wreszcie. - Veka wyróciła oczami. Po tym wszystkim, co przeszła, obelgi hobgoblina drażniły ją nie bardziej niż ukąszenia owadów. Tych zwykłych, nie chochlikowych. Poza tym, jeśli zrobiłby się nieznośny, zawsze mogła poobijać nim kilka ścian. - Nie ma sprawy.

Usiłowała wstać, ale w głowie odezwał się łupiący ból.

- Nic to - mruknęła.

Teraz, gdy portal został zamknięty, musiała kilkakrotnie rzucić zaklęcie lewitacji. Magia chochlików nadal była obecna, ale rozpraszała się szybko, niczym dym na wietrze. Wreszcie udało jej się związać pozostałości mocy. Bardzo ostrożnie uniosła się z ziemi. Kolejnym czarem poderwała Sznyta.

Razem wypłynęli z jaskini do ogromnej groty Strauma i poszybowali ku domowi.

Rozdział siedemnasty

Cóż, nie wszystko poszło zgodnie z planem.

[Poppink, chochliczka]

Jig doświadczył w życiu wielu nieprzyjemnych przebudzeń. Jednak tym razem przekonał się, że otwarcie oczu w kręgu goblinów, które gotują się do upuszczenia mu do ust nowo wyklutego węża skalnego, czy odkrycie, że Ciapek zrobił sobie pajęczynę w jego przepasce biodrowej, nie były tymi najgorszymi. Tym razem nie dość, że w głowie rozbrzmiewał mu ryk Ciemnogwiazdego zdolny rozpęknąć każdą czaszkę, to jeszcze pierwszą rzeczą, jaką ujrzał po otwarciu oczu, była gęba Brafa.

Braf, który uśmiechał się tak szeroko, że z dolnej wargi spływała mu nitka śliny.

- Udało się! On żyje!

Ty naprawdę nie żartowałeś, powiedział Ciemnogwiazdy. Jesteś wodzem, niecały dzień, a już gobliny próbują dokonać zamachów na twoje życie.

Jig usiadł z jękiem.

- Żyję, żyję - urwał. Ból w boku zniknął. Kamizelkę pokrywała plama zaschniętej krwi, ale po ranie nie było śladu. *Ale czemu żyję?*

Bo Braf uleczył tę paskudną dziurę w twoich plecach.

Jig zamarł, usiłując przyswoić tę informację. Braf go uleczył. Ten Braf, który teraz stał obok niego. Stał na dwóch zdrowych nogach. Za nim Grell rozpalala niewielkie ognisko. Odpięła od paska Jiga syfny mieszek i podpaliła całość.

Ty... Ty mnie uzdrowiłeś? Ale jakim cudem? Przecież nie możesz tu nic robić. Chochliki...

Rozejrzyj się, Jig.

Ściany tunelu, w którym się znajdowali, połyskiwały znajomo. Wesole zielone ogniki płonącej sakiewki syfnej odbijały się na powierzchniach z czerwonego obsydianu. Siedzieli w komnatce, gdzie walczył z królową chochlików. Bez iskrzącej się magii oraz różnokolorowych światełek chochlików ledwie ją poznał. Ale krew na spągu stanowiła niezaprzeczalny dowód, że to to samo pomieszczenie. Kałuża lepkiej granatowej cieczy znaczyła miejsce, gdzie zemdlął.

Noroka nadal leżała twarzą w dół, ale tym razem głośno chrapała.

- Ją też uleczyłeś?

Braf kiwnął głową.

- Chochliki nieźle jej dołożyły. Miała złamany nos, ale żyła.

- Chochliki. A, tak. - Jig zajął w Bezdenną Otchłań. - Ile goblinów ocalało?

- Z nami? - odezwała się Grell. - Może pięć, sześć. Ciebie nie liczę, bo ty powinieneś być martwym trupem. I byłbyś, gdyby Braf nie wsadził ci paluchów w tę dziurę i...

- Dzięki - skrzywił się Jig.

- Reszta poszła do zsypu, żeby wrócić na górę - ciągnęła Grell. - Też bym poszła, ale ten ciołek upierał się, że żyjesz, i bredził, jak to cię musi uratować. Jak spytałam go, jak chce to zrobić z tymi zmiażdżonymi kulasami, usiadł i zaczął się leczyć. Wtedy doszłam do wniosku, że po raz pierwszy w życiu może jednak wie, co mówi.

- Ale jak się tu dostaliście?

Braf wskazał na linę zwisającą z góry.

- Jeden z ogrów próbował wlecieć do tunelu. Połamał sobie skrzydła, ale prawie mnie capnął. Grell dźgnęła go nożem w ucho. Potem przywiązaliśmy do trupa linę i zeszliśmy.

Jig wstał, chcąc sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Był brudny, głodny i wycieńczony, ale kości i mięśnie działały. Podszedł do Noroki i potrząsał nią, póki się nie ocknęła.

- Uważajcie na nią - ostrzegł pozostałych. - Niewykluczone, że trzeba ją będzie przytrzymać. Może się rzucić w stronę otchłani - wyjaśnił.

Braf i Grell spojrzeli na niego ze zdumieniem, ale nie protestowali. Braf stanął przy końcu tunelu z rozłożonymi ramionami.

- Głowa mnie boli - jęknęła Noroka. - Chyba cała góra walnęła mnie w twarz - kwęknęła.

- Grop! On...

- Zanurkował w czeluść - dokończył Jig. - Chcesz pójść w jego ślady?

- Grozisz mi? - nabzdyczyła się Noroka.

- Nie. - Jig złapał się na tym, że się uśmiecha. Nie miał pojęcia, jak długo tu leżał, ale najwyraźniej wystarczająco, by magia królowej chochlików zdążyła się rozproszyc. Jeśli nawet nie zabił jej stalowy grot, wiatr musiał dokończyć dzieła, roztrzaskując ją o ściany rozpadliny. Reszta chochlików zginęła prawdopodobnie tak samo, lecąc na łeb na szyję w dół w daremnej próbie ocalenia władczyni.

Popatrzył w czarną czeluść. Syfny ogień dawał tyle światła, że można było dojrzeć najbliższe bąble chochliczego gniazda. Półkule zapadły się, poszarzały i zaczęły odstawać od powierzchni ścian. Łuszczyły się płatami, które wirując, znikały w mroku poniżej.

Przeżyła tylko garstka tych, którzy mu towarzyszyli. Jeśli tak samo poszło tym, którzy na górze walczyli z ogrami, wyjdzie na to, że połowa gobliniej populacji została wytrzebiona za sprawą samego Jiga.

To dlatego zacząłeś rozmawiać z Brafem?, zapytał. Żeby mieć wyznawcę, którego nie chce zabić każdy mieszkaniec góry?

Nie bądź głupi, odwarknął Ciemnogwiazdy. Odezwałem się do niego, bo był to jedyny sposób, żebyś nie wykrwawił się na śmierć. Właściwie najpierw próbowałem z Grell, ale ona kazala mi iść w cholerę. Wymazałem to z jej umysłu, więc nie będzie pamiętała. Nie miałem wyjścia, został ten idiota.

Braf nie jest...

Wiem, że nie jest takim durniem, jakiego udaje, ale to nie zmienia faktu, że jest goblinem.

Dzięki.

- Co teraz, Jig? - zapytał Braf.

Jig wpatrywał się w goblina dłuższą chwilę, zanim dotarło do niego, o co chodzi. Nadal był wodzem. Braf i pozostali nadal oczekiwali, że powie im, co robić. Jig jęknął, pocierając czoło.

- Powinniśmy wracać do domu. Musimy sprawdzić, czy tam, na górze, ktoś przeżył.

- Braf i ja pójdziemy przodem - zdecydowała Grell. - On mnie podciągnie, a potem wdrapiecie się wy dwoje. Ogr jest ciężki, ale lepiej nie kusić losu.

Jig przytaknął.

- Musicie też uważać na gniazdo - dodała Grell. - Te spadające kawałki są twarde jak drewno, mogą was nieźle pokiereszować. A większe grzmotnąć tak, że odpadniecie od liny.

- Będziemy ostrożni - zapewnił ją Jig.

- Niektóre są też dość ostre. Jak rąbną w linę, mogą ją przeciąć w momencie, gdy będziemy...

- Możesz już iść? - ponaglił ją Jig.

- Pfff. - Grell chwyciła sznur i zaczęła przywiązywać się do Brafa. - Czekał, będziesz jeszcze potrzebował kiedyś moich cukrowych węzełków.

* * *

Pomimo lęku Jig wspinał się bardzo powoli. W pierwszej chwili zawahał się niepewny, czy powinien iść przodem, dając Noroce szansę na czysty cios w plecy. Z drugiej strony, gdyby podciągał się za nią, równie łatwo mogłaby odciąć linę i zafundować mu lot w Bezdenną Otchłań. Ostatecznie stwierdził, że jest zbyt zmęczony, by się tym wszystkim przejmować. Jeśli go zabije, przynajmniej nie będzie musiał być dłużej wodzem.

Próbował ogarnąć myślą to wszystko, co się tu działo, ale w efekcie rozboleła go głowa. Co się stało ze światem chochlików? Nieważne, od której strony obracałby to pytanie, pojawiała się tylko jedna odpowiedź: Veka. Ona i Sznyt musieli znaleźć jakiś sposób na zamknięcie portalu. Jig długo roztrząsał kwestię, jak, na Piętnastu Zapomnianych Bogów, udało jej się tego dokonać. No i jeszcze sprawa Brafa i Ciemnogwiazdęgo. Na logikę, Jig powinien się cieszyć. Niech gobliny zadręczają kogoś innego złamanymi kończynami i krwawiącymi ranami. Niech sobie Braf będzie tym, do którego przychodzą ogry, kiedy na ich krainę napadną chochliki. I niech sobie Braf bierze Tymalouisa Ciemnogwiazdęgo, Jig przynajmniej zyska trochę spokoju.

A jednak za każdym razem na myśl, że Braf mógłby zająć jego miejsce, zgrzytał zębami.

Proszę, proszę, czyżbyśmy byli zazdrośni?

Jig przewrócił oczyma.

Nie mógłbyś przez chwilę szpiegować jego myśli?

Już to robiłem. Nudy. A poza tym kto powiedział, że nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie? A teraz przejdź do meritum, co cię dręczy?

Ty. Zmusiłeś mnie, abym poszedł do dolnych jaskiń z Wallandem. Zmusiłeś mnie do wojny z chochlikami. Zmusiłeś mnie do pojedynku z Kralk. Cały czas próbujesz kierować moim życiem, tak jak chochliki kierowały swoimi ogrami.

Przecież już to przerabialiśmy, zauważył Ciemnogwiazdy cierpko. Jak sądzisz, Jig, co by się stało, gdybyś nie poszedł z Wallandem? Przecież chochliki opanowałyby całą górę, zniewoliłyby lub zgładziły jej mieszkańców, w tym wszystkie gobliny.

Jig uczeplił się mocno liny, zatrzymując się na krótki odpoczynek.

Kralk powiodłaby je do bitwy.

Jig, gobliny umierają.

Nic dziwnego, prychnął Jig. Tak to jest, jak goblin staje do walki z ogrami.

Nie o tym mówię. Pamiętasz tę pieczarę, w której ukrywały się niedobitki ogrów? Jak myślisz, kto ją zasiedlał i co stało się z jej mieszkańcami?

Jig milczał.

Wy, gobliny, zawsze żyłyście w ciemnych, wilgotnych dziurach we wnętrzu góry. Nawet przed tym, jak rok temu zaplombowałeś wejście, byliście odizolowane od świata zewnętrznego. Ukrywacie się, walczyacie i giniecie.

Zamknąłem wejście, żeby nas chronić, warknął Jig. A jeśli twoje działania miały przynieść rozwiązanie problemu, trudno mi się nim zachwycać. Przyspieszyłeś tylko cały proces.

Nie, przyspieszyły go chochliki. Jig, nie możesz się wiecznie ukrywać w swojej świątyni, a gobliny nie mogą wiecznie ukrywać się w labiryntach pod górą. Grota Strauma jest do cna ogołocona. A tunele Nekromanty wymarłe. Wybacz, niezamierzona gra słów. Wszędzie tutaj jest pełno opustoszałych grot i jaskiń, zamieszkiwanych niegdyś przez plemiona goblinów, hobgoblinów i innych stworzeń, które w końcu wyginęły. Jeśli nic się nie zmieni, zostaną tu same puste siedziby.

Mamy stąd odejść?

Macie się przestać izolować. Jig, twoja rasa została tu umieszczona, aby chronić ukryty pod górą skarb. Teraz nie ma już żadnego skarbu. Istnienie goblinów niczemu już nie służy. Teraz walczyacie tylko z hobgoblinami i innymi stworzeniami, a w przerwach wybijacie się pomiędzy sobą.

Jig potrząsnął głową.

Nie mogę przecież...

Jesteś ich przywódcą, Jig. Kralk nie byłaby w stanie tego zrobić. Hobgobliny tego za ciebie nie załatwią. Jeśli gobliny mają przetrwać, ty musisz ich poprowadzić.

Brzmiało to tak sensownie. Jig wparł czoło w skalną ścianę.

Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej? Dlaczego nie pozwoliłeś nam podjąć samodzielnej decyzji?

Ciemnogwiazdy nie odpowiadał, a Jig nie zadał sobie trudu, żeby powtórzyć pytanie.

* * *

Jaskinia goblinów była pusta. Gdy Grell i Braf otworzyli drzwi od śmietnika, powitała ich martwa cisza, zupełnie jak w komnacie tronowej Nekromanty.

- Myślicie, że ogry zwyciężyły? - zapytał Braf.

Jig pokręcił głową. Czar rzucony na ogry powinien prysnąć, ale to nie miało znaczenia. Ogry ocknęłyby się w wirze bitwy z goblinami i hobgoblinami, więc prawdopodobnie zareagowałyby tak jak gobliny - dokańczając walkę. Ale jeśli tak, dlaczego nie wdarty się do gniazda? Gdzie gobliny, których tu zostawili? Nie było tu żadnych ciał i żadnych śladów bitwy, jeśli nie liczyć zwykłego bałaganu.

Wyminął pozostałych, pędząc do kuchni. Zamierające płomyki syfni oświetlały drogę do drzwi. Jig zajrzał do środka. W kuchni nie było nikogo. Na palenisku ledwie żarzyły się resztki drewna.

- Golaka opuściła kuchnię? - szepnął Braf wstrząśnięty.

Jigowi zachciało się płakać. Nie miał już siły na kolejną walkę. Poglaskał Ciapka. Pająk nie wydawał się zaniepokojony. Może wydarzenia ostatnich dni wypaliły w nim zdolność odczuwania strachu?

Noroka wyszła ze śmietnika, stając na środku jaskini. Nagle przekrzywiła głowę.

- Jig? Posłuchaj.

Jig nadstawił zdrowe ucho. Z gniazda hobgoblinów dobiegały krzyki. Sięgnął po miecz, zapomniawszy zupełnie, że chochliki wyrzuciły jego broń. Krzywiąc się, zabrał nóż kuchenny i ruszył ku wyjściu.

W miarę zbliżania się do terytorium hobgoblinów odgłosy brzmiały coraz dziwniej. Nie było słycać szczęku stali ani skrzeków rannych goblinów. Szydercze okrzyki i kłótlive wrzaski także nie zawierały zwykłej nuty nienawiści. Niektóre dźwięki przypominały nawet coś w rodzaju śpiewów.

Przy pomniku wielkiego wojownika stała grupa hobgoblińskich wartowników. Słyszając ich kroki, jeden z nich uniósł miedziany kubek.

- Stój, kto idzie?

- Patrz, jakie uświnione potworki! - ryknął drugi.

Jig spojrział po sobie. Może faktycznie trzeba było się przebrać po przejściu przez zsymp...

- Wyglądają jak ścierwojady przebrane za gobliny. - Strażnicy wybuchnęli śmiechem.

- To Jig Smokobójca - warknęła Grell. - Goblin, który w pojedynkę pokonał królową

chochlików!

Jig zaniebieszczyl się, widząc skupione na sobie spojrzenia hobgoblinów. Przez głowę przemknęła mu straszliwa myśl. Czy teraz zaczną go nazywać Jigiem Chochlikobójcą?

- Jig Smokobójca, taaa... - Hobgoblin najwyraźniej nie chciał uwierzyć, że wódz goblinów mógłby włączyć się po tunelach w takim stanie. Zerknął na towarzyszy i wzruszył ramionami.

- Schowaj to - rzekł inny wartownik, wskazując na nóż kuchenny Jiga. Dwóch innych zniknęło w głównej jaskini. - Mięso już pokrojone.

Mięso już pokrojone? Jig wpatrywał się w trzymane w ręku narzędzie. I tak nie działałby nim wiele przeciw hobgoblinom. Pochwa okazała się sporo za duża na kuchenne ostrze.

- Nie rozumiem, co...

Dwa hobgoblino powróciły, niosąc wielkie wiadra z wodą. Zanim Jig zdążył zareagować, zawartość kubłów została wylana na niego i resztę goblinów. Ledwie zdołał osłonić Ciapka przed silnym strumieniem lodowatej wody, pod którym sam się zatoczył.

- Tak lepiej - oświadczył stojący najbliżej strażnik, wymachując pustym wiadrem. - Tam się je i pije. Bez kąpieli popsulibyście wszystkim apetyty.

Jig był zbyt oszołomiony, aby uczynić coś więcej poza kiwnięciem. Przypuszczał, że hobgoblino mają rację. Faktycznie cuchnęli na potęgę. A Ciapek nawet gorzej, gdyż pająki ogniste czyściły się, wypalając na sobie wszelki brud.

Jednak to nie usprawiedliwiało temperatury prysznic.

W końcu zostali widać uznani za należycie wyrzutowanych, aby dostąpić zaszczytu przyłączenia się do hobgobliniej socjety, bo poprowadzono ich do pieczary. Widok mijanego po drodze martwego goblina nie uśmierzył lęku Jiga. Hobgoblino przekroczyły ciało.

- Makkar miał usunąć wszystkie pałapki - mruknął jeden. - Chyba jedną przeoczył.

- Ale dziwnie - szepnęła Noroka.

Jig przytaknął w milczeniu. Większość przegród w jaskini hobgoblinów zniknęła. Pozdierane płachty leżały na stercie pod ścianą. Gobliny wraz z hobgoblinami tłoczyły się wokół ogromnego ogniska na środku i z tego, co Jig zdążył zauważyć, nikt nikogo nie mordował. Wokół toczyło się kilka potyczek, ale bez użycia broni. Tu hobgoblin sklepywał jakiegoś goblina, tam banda czterech goblinów spuszczała łomot hobgoblinowi, nic szczególnego. A bijatyki te były pojedynczymi wysepkami w oceanie wspólnego... ucztowania?

Jig precyzyjnie przesuwał się ku ognisku, gdzie dwa potężne hobgobliny obracały ogromny rożen, zerkając bojaźliwie ku Golące, która ich nadzorowała, stukając w dłoń nieodłączną chochlą.

Jednego z hobgoblinów nadzorowała tak intensywnie w potylicę, że biedak omal nie wpadł do ognia.

- Nie tak szybko! - wrzasnęła. - Ogrzynie trzeba dać czas. Sos musi wsiąknąć w mięso. Inaczej równie dobrze możesz go zjeść na surowo.

Braf postukał Jiga w ramię.

- Czy to przypadkiem nie Arnor?

Jig wyteżył wzrok. Garnirunek Golaki zniekształcał nieco rysy twarzy, ale rzeczywiście, Braf chyba miał rację. Najwyraźniej części uciekinierów nie udało się ujść pogoni chochlików.

Grell pociągnęła nosem.

- Wygląda na to, że Golaka szarpnęła się na sos z elfickiego wina.

Ponad hałas przedarł się chrapliwy okrzyk.

- Jig Smokobójca! - Stojący w głębi jaskini wódz hobgoblinów wymachiwał mieczem. - Dajcie no tu tę kościstą namiastkę przywódcy!

Jig zaczął torować sobie drogę przez gawieź, unikając zbliżania się do największych goblinów. Radosny nastrój radosnym nastrojem, ale wciąż był wodzem, a wokół kręciło się wielu ambitnych współplemieńców. Co prawda dzięki wojnie nie tak wielu jak wcześniej, ale i tak aż za dużo jak na dobre samopoczucie Jiga. Nie wspominając o hobgoblinach, z których jeden już zostawił ślady pazurów na ramieniu Jiga, chcąc go popędzić.

Wódz hobgoblinów siedział na jednej ze ściągniętych i zrolowanych przesłon, beli ciężkiej czerwonej materii. U jego stóp leżał kot tunelowy; trzymając w łapach ogrzy gnat, wylizywał ze środka szpik. Veka oraz Sznyt siedzieli obok, racząc się piwem Makowym. Veka nie miała płaszcza ani kostura. I ona, i hobgoblin byli poobijani oraz posiniaczeni. Poza tym Veka w swoim starym syfnym fartuchu wyglądała jakoś dziwnie. Była w nim jakby mniejsza. Młodsza.

Przywódca hobgoblinów wskazał mieczem na Jiga.

- Piwa dla wodza goblinów!

Veka wywróciła oczami, po czym machnęła ręką. Z dłoni siedzącego nieopodal hobgobлина wyrwał się kufel i poszybował wprost do Jiga. Veka zagryzła wargę. Najwyraźniej rzucanie zaklęć wymagało teraz od niej znacznie większej koncentracji niż przedtem. Myśl ta

pocieszyła Jiga ogromnie.

- Wykorzystujesz teraz magię do serwowania drinków? - zagadnął. Veka spochmurniała, a kufel zachybotał lekko nad ramieniem Jiga, oblewając go odrobiną napitku. Jig wyszczerzył się w uśmiechu, łapiąc naczynie. Miał nadzieję, że zapach klakowego piwa zagłuszy choć trochę smród biednego Ciapka.

- Co za bitwa! - wykrzyknął wódz hobgoblinów. - Będą o niej śpiewać jeszcze długo po tym, jak my obaj umrzemy. Te cholerniki przepędziły nas przez wszystkie tunele aż pod samą grootę. - Wskazał na otwór wejściowy. - Tam wpadły w naszą pierwszą zasadzkę. Kazałem twoim goblinom zaatakować je od tyłu. Żałośni z was, szczurojadów, wojownicy, ale wystarczyło, by wywołać wśród nich zamieszanie. Mówię ci, twarde z tych ogrów sztuki. Ile razy ich odparliśmy, zaraz wracały. W końcu przebiły się do głównej jaskini. Wywiedliśmy je do tego tunelu na tyłach, do kociarni. A potem twoja magiczka zaskoczyła ich, zarzucając ze wszystkich stron bronią. Nie żeby ostrza zdołały je pozabijać, ale nie pozwalały się wycofać, a resztę załatwiły koty.

Veka stuliła usta w ciup, jakby zastanawiała się, czy obrazić się za „magiczkę”.

- W sumie sporo ogrów uciekło. Twoja magiczka uważa, że przeżyło też trochę chochlików. Nie mam pojęcia, gdzie mogły się zadekować, ale zamierzam się dobrze przygotować, na wszelki wypadek. - Machnął na Sznyta. - Ten tu, Charak, ma kilka pomysłów na pułapki na chochliki. Chcę, żeby porozmieszczał je także u was.

Sznyt wyjął zza pazuchy plik pergaminów, upstrzonych strzałkami oraz liniami.

- Zaprojektowałem pajęczynę na chochliki, zrobioną ze stalowych lin - powiedział z ożywieniem. Jig nigdy nie widział go bardziej podekscytowanego. - Nie wiem jeszcze, jak zainstalować wyzwalacze dla latających wrogów, ale coś wymyślę. Możemy też rozpiąć sieci we wszystkich otworach, którymi chochliki mogłyby się do nas dostać, jak na przykład w waszym zsywie czy wychodkach. Wyobraź sobie, siedzisz na kibelku, a tu chochlik...

- Musimy zadbać też o jaskinię Strauma - przerwał mu Jig. - Smok wyłożył wszystkie ściany stalowymi przedmiotami, żeby chochliki nie mogły się do nas przedostać. Większość będziemy musieli zanieść tam z powrotem. Inaczej nie zdołamy powstrzymać następnych przed otwarciem portalu, bo jak?

- Bo wysadziłam szkielet Strauma? - mruknęła Veka. Wydawała się przygnębiona, co zbiło Jiga z tropu. Z tego, co słyszał, wynikało, że osiągnęła wszystko, o czym marzyła: walczyła

z chochlikami, zniszczyła portal, pomogła ocalić gobliny. Poza tym jej magia także była silniejsza niż przedtem, no i jakoś udało jej się przetrwać całe to zamieszanie. Co się z nią działo?

- Chcesz, żebyśmy pozbyli się broni? - Wódz hobgoblinów spojrzał groźnie, a Jig cofnął się o krok.

- Nie całej - zapewnił go Jig. - Wystarczy tyle, żeby otoczyć stalowym rzędem jaskinię Strauma. Gobliny także oddadzą swoją.

Gniew wodza wyparował.

- Czemu nie? Jeśli będziemy potrzebować, przyjdziemy do goblinów, spuścimy łomot kilku wojownikom i sobie ją zabierzemy, prawda? - Klepnął Jiga w ramię, po czym wstał. - Jeśli mamy to zrobić, to lepiej teraz, zanim te głupki wytrzeźwieją.

Pomimo zaawansowanego wieku jego głos worał się w radosny gwar niczym... cóż, niczym jego miecz.

- Hej, słuchajcie! Na zawsze zamkniemy chochlikom drogę do naszych labiryntów. A żeby to zrobić, musicie złożyć tu każdy miecz, każdą tarczę, nóż, topór, każdy kawałek stali czy żelaza, jaki znajdziecie. Potem sprawdzimy co i jak i ustalimy, ile nam trzeba.

Zerknął na Jiga, wyraźnie oczekując, że ten także wygłosi podobne oświadczenie. Hobgobliny od razu zaczęły tłoczyć się przy wodzu, rzucając u jego stóp broń oraz zbroje. Widok ten potwierdził to, o czym Jig myślał od opuszczenia Bezdennej Otchłani.

Nieważne, jak głośno by krzyczał, nieważne, ile piosenek gobliny by o nim śpiewały, nieważne, ile chochliczych królowych, smoków i Nekromantów by zabił, nigdy nie zdobędzie wśród swoich takiego bezwarunkowego posłuchu, jaki posiadał wódz hobgoblinów... czy królowa chochlików. Nawet stara Trokla potrafiła trzymać rodzinę żelazną ręką.

Jig nie był materiałem na przywódcę. Oczywiście, udało mu się skłonić gobliny, by poszły za nim, namowami i groźbami. A potem, ledwie się odwrócił, Grop natychmiast próbował go zabić.

Jego pierwsza próba mobilizacji goblinów do walki skończyła się upokorzeniem, a pierwsze oficjalne posunięcie jako wodza ucieczką do kwater Kralk.

Każdy potyka się na początku drogi, pocieszył go Ciemnogwiazdy.

Tak, tyle że jak potknie się goblin, inny zawsze dopilnuje, żeby już nie wstał.

Zarówno hobgobliny, jak i większość goblinów patrzyła teraz na Jiga. Te pierwsze z rosnącą podejrzliwością, drugie z zaciekawieniem. Zastanawiały się pewnie, czy to podstęp, by

rozbroić część z nich. Miny hobgoblinów robiły się coraz groźniejsze, goblinów coraz bardziej radosne.

- Przynieście broń do wodza - rzekł Jig, krzywiąc się na dźwięk własnego, chrapliwego głosu. Mając nadzieję, że nie robi tego po raz ostatni, wziął głęboki oddech i wskazał na Grell. - Przynieście ją jej.

Szczudło Grell grzmotnęło go w bok, zanim zdążył cokolwiek dodać.

- Czyżby mnie mój słaby słuch mylił, konusie? Jeśli sądzisz, że zwalisz na mnie tę robotę, to się...

- Nie lepsze to niż praca w żłobku?

- Tak czy inaczej, trzeba zajmować się dziećmi. Tyle że goblinaćka przynajmniej nie próbuje cię otruć we śnie. A przynajmniej dopóki nie skończą dwóch, trzech lat. Jeśli chcesz mnie zabić, po prostu poderżnij mi gardło.

Oczywiście, miała rację. Grell była jednym z nielicznych goblinów jeszcze bardziej bezbronnych niż Jig. W oczach zgromadzonych już zapłonęła żądza władzy, a ich miny wskazywały, że obliczają szanse na zwycięstwo. Pierwszy zamach na Jiga odbył się po kilku godzinach od objęcia przywództwa. Grell będzie miała szczęście, jeżeli przetrwa pięć minut.

- Grell jest wystarczająco sprytna, skoro przeżyła tak długo - oświadczył. - Takiego wodza nam trzeba.

Stara niańka wyciągnęła spod ubrań nóż i błyskawicznym ruchem przystawiła ostrze do gardła Jiga. Ciąpek rozgrzał się, emitując falę silniejszego smrodku.

- Tak, przeżyłam, bo unikałam samobójczych sytuacji, takich jak ta. Nie zamierzam...

- Nie skończyłem! - zaskrzeczał Jig, cofając się przed nożem. Podniósł głos: - Wiem, że już kombinujecie, jak ją zgładzić, więc ostrzegam. Ktokolwiek ją zabije, umrze powoli i w straszliwych męczarniach. Rzuciłem na Grell zaklęcie ochronne. Każda rana, jaką uleczyłem, każda złamana kość, cięcie, rozbita warga, ułamany ząb, każde wybite oko, przepuklina i ropiejący wrzód, wszystko to naraz spadnie na tego, kto podniesie rękę na nową wódcę.

Doprawdy?, zdziwił się Ciemnogwiazdy.

Cicho. Dopóki w to wierzą, prawda nie jest istotna.

Gobliny sprawiały wrażenie zaniepokojonych. Wodziły wzrokiem od Jiga do Grell i z powrotem. A Jig wstrzymał oddech. Miał nadzieję, że to wystarczy, bo jeśli nie... Jeżeli mu nie uwierzą...

- Właśnie - wtrącił Braf. - A potem ja go zabiję. - Braf był nieuzbrojony, ale dla podkreślenia swych słów uderzył pięścią w dłoń. I nieważne, jaki by był, nie można było odmówić mu potężnej budowy. W tłumie rozległy się pomruki.

Ze sterty broni złożonej przez hobgobliny uniósł się miecz i zaczął wirować w powietrzu. Veka wystąpiła, by stanąć przy Brafie. Nie podniosła głosu, ale każdy obecny w grocie umilkł, by posłuchać, co ma do powiedzenia.

- Ale zanim on go zabije, ja przejmę kontrolę nad ciałem takiego delikwenta. I zmuszę go, żeby z uśmiechem zjadał swoje własne kończyny. - Miecz wystrzelił wyżej i zatoczył szeroki krąg. Gobliny cofnęły się. - Pozostawię mu wybór, na surowo czy upieczone.

Gobliny ustąpiły. Pod nogami Grell zaczął rosnać stos broni. Jig zdawał sobie sprawę, że większość goblinów ukryła i zatrzymała nóż czy coś podobnego, podobnie zresztą jak większość hobgoblinów, miał jednak nadzieję, że to, co zbiorą, wystarczy. Biorąc pod uwagę, jak mocno chochliki reagowały na stal, nie trzeba będzie wykladać nią każdego kawałka jaskini Strauma. Wystarczy, że zawieszają jej tyle, by rozproszyć ich magię.

Odwrócił się do Grell.

- Czy teraz zostaniesz wodzem?

Niańka wymamrotała coś i splunęła.

- Obserwowałem cię - ciągnął Jig, zniżając głos. - Pomagałaś Brafowi. Pomogłaś mnie. To ty przekonałaś gobliny, by posłuchały mojego rozkazu. Wiesz, jak do nich dotrzeć, jak nakłonić je, aby robiły to, co chcesz. Ja tego nie potrafię. - Zerknął wokół. - Troszczysz się o nie. Nie pozwolisz im zginąć. Z tobą będą bezpieczne i silne. - Na wspomnienie słów Ciemnogwiazdęgo z trudem przełknął ślinę. Wściekły czy nie, nie mógł zignorować prawdy zawartej w wypowiedzi boga. - Nie możemy dalej tak żyć.

Wstrzymał oddech. Na miejscu Grell wrażliwy takiemu samozwańczemu doradcy nóż w brzuch. Jasne, on, Braf oraz Veka przysięgli pomścić jej śmierć, ale to nie zmieniało faktu, że zrobią to po jej śmierci. Większość goblinów będzie się bała Jigowego blefu i gróźb Brafę oraz Veki, ale zawsze znajdzie się jakaś grupka spryciarzy, którzy namówią jakiegoś, żeby wykonał za nich czarną robotę. Jig będzie musiał mieć na nich oko.

Grell stuknęła go szczudłem.

- Skoro mam być wodzem, zamierzam z tego korzystać. Biegnij w te pędy i przynieś no mi tu kufelek klaka i półmisek Arnora.

Stojący obok wódz hobgoblinów zachichotał, odwracając się do coraz wyższej sterty broni i pancerzy. W większości broni, bo ani gobliny, ani hobgobliny nie zwracały sobie zbyt wiele uwagi. Jig pomacał się po boku, gdzie dźgnął go Grop. Może powinien pomyśleć o jakimś pancerzu, zanim to wszystko wróci do jaskini Strauma...

* * *

Dwa piwa i kawałek bardzo ostrej ogrzyny później Jig wymknął się z siedziby hobgoblinów, kierując się w stronę domu. Wielce ukontentowany Ciapek dopiekał na swoim siodełku specjalnie zostawiony dla niego kawałek mięsa.

- Jig, zaczekaj. - Veka pospieszyła za nim, kołysząc pożyczoną syfną latarnią. Niebieski blask rozświetlał tunel, niemal tłumiąc kilka pomarańczowych iskierek krążących nad jej głową.
- Chochlikowe robale - sarknęła. - Rozpleniły się po całej jaskini Strauma.

Jig nie odpowiedział. Nie zamierzała go chyba zadreć pytaniami o magię. Jig ze swoimi możliwościami nie dorastał jej przecież do pięt. Czego więc mogła chcieć?

- Jig... - Złapała go za ramię, odciągając pod ścianę.

Jig zeszywniał, uświadamiając sobie nagle z całą wyrazistością, że nie zastąpił jeszcze niczym utraconego miecza.

Ale Veka westchnęła tylko i odwróciła wzrok. Sflaczała nieco, jakby z jej pękatego cielska uszło trochę powietrza.

- Jig, Braf opowiedział mi, co zrobiłeś. Jak poprowadziłeś gobliny do ataku na gniazdo chochlików i jak zabiłeś królową.

Jig skinął głową, nadal niepewny, do czego zmierza. Na moment wpadł nawet w panikę, przerażony, że Veka nadal znajduje się pod kontrolą chochlików i przysłała za nim, aby się zemścić.

Goblinka nabrała powietrza i ciągnęła z błyszczącymi oczyma.

- Jak ty to robisz? - zapytała cicho. - Ja potrzebowałam całej swojej mocy, żeby tylko przeżyć, a mimo to... Mimo to Sznyt musiał mi pomóc. Nie dałabym rady zrobić niczego bez wsparcia hobgoblina, gdyby nie on, zginęłabym i nie zdołałabym zabić tego węża ani zniszczyć wrót. Miałam całą magię na skinienie palca. A ty nic, bo wiem, że nie mogłeś rozmawiać ze

swoim bogiem. Poszedłeś walczyć przeciwko całej armii chochlików oraz ogrów, nie wspominając o samej królowej, mając do dyspozycji jedynie kilka goblinów i parę sztuk starej broni. I zwyciężyłeś. Zgładziłeś ją.

Jig poprawił okulary.

- Miałem szczęście.

Veka potrząsnęła głową tak gwałtownie, że omiotła włosami twarz Jiga.

- Nikt nie ma aż tyle szczęścia. - Poklepała się po kieszeniach fartucha, jakby czegoś szukała, ale po chwili przygarbiła się zrezygnowana. - W „Drodze Bohatera” Joska wymienia sto walecznych czynów. Czytałam tę listę tyle razy, że mogłabym ją wyrecytować z pamięci przez sen. - Przymknęła powieki. - Numer jeden to „Największym wyczynem, który znamionuje Prawdziwego Bohatera i przewyższa wszystkie inne pod względem odwagi, siły, sprytu oraz szlachetnego heroizmu, jest pokonanie złego smoka”. - Westchnęła ciężko i wreszcie na niego spojrzała. - Jesteś Bohaterem, Jig. Chuderlawym, półślepym cherlakiem, bez umiejętności posługiwania się prawdziwą magią, ale jednak Bohaterem.

- Dzięki.

Znowu pokręciła głową.

- Nie rozumiesz.

Może powinien wyjawic jej, że spotkanie z królową chochlików przeżył tylko i wyłącznie dzięki swoim okularom? Albo że jeśli przeanalizowałaby szczegółowo wszystkie jego tak zwane zwycięstwa, szybko dostrzegłaby, że przy życiu nie utrzymała go żadna siła czy heroizm, ale czysta, stuprocentowa tchórzliwość?

Veka pacnęła natarczywego owada.

- Zawsze uważałam cię za słabeusza. Chowałeś się w swojej świątyni, dawałeś się zastraszać Kralk, umykałeś przed większymi goblinami. Nigdy nie chciałam być taka jak ty. Ale odkąd wróciłeś ze swojej wyprawy, niczego tak nie pragnęłam... - dokończyła niemal niesłyszalnie, ale Jigowi wydawało się, że powiedziała: - Jak być tobą.

- Veka, co ty... ?

- Straciłam moją księgę zaklęć. Straciłam książkę Joški. Straciłam nawet ten groteskowy płaszcz. - Przekrzywiła głowę. - To akurat chyba dobrze. Był za ciężki, materiał nie oddychał i ciągle się w nim pociałam. Ale powiedz mi, Jig, co mam teraz robić?

- Grell na pewno nie będzie miała nic przeciwko, żebyś wzięła sobie jeden ze strojów po

Kralk.

Veka przewróciła oczyma.

- Myślałam... Marzyłam o wyprawach, przygodach, ratowaniu czyjegoś życia, odnajdywaniu prastarych skarbów i tak dalej. Ale to ty jesteś Bohaterem. To nie ja zabiłam królową, nie ja zabiłam smoka. Jestem...

- Veka, ja wcale nie zabiłem tego głupiego smoka - wybuchnął Jig.

Goblinka na moment skamieniała z otwartymi ze zdumienia ustami.

- Co?!

Jig, krzywiąc się, zanucił kawałek tej cholernej ballady.

- „Jig oszczepem w monstrum mierzy, boska ręka nim kieruje, oko smocze fastryguje”.

Tam nie ma nic o tym, że zabiłem Strauma.

Veka zamrugała tak gwałtownie, że Jig był przekonany, iż wpadł jej do oka jeden z pomarańczowych owadów.

- Nie rozumiem. Przecież Straum nie żyje.

- Owszem, ale go nie zabiłem - powtórzył Jig.

- Ależ, Jig, wiem na pewno, że Straum nie żyje. - Wskazała na długie cięcie na ramieniu. -

Dostałam odłamkiem kości, kiedy eksplodował jego szkielet!

Jig ze znużeniem potarł czoło. Czy gobliny naprawdę są aż tak tępe?

- Rzuciłem oszczepem, tak jak w balladzie. Trafiłem w oko, ale ten durny smok mrugnął.

Grot wbił się w jego powiekę. Straum właśnie miał mnie pożreć, gdy ktoś inny złapał za drzewce i dokończył dzieła.

- Ale przecież jesteś Jigiem Smokobójcą!

- Nie całkiem - zaprzeczył zniecierpliwiony.

Jig przez chwilę myślał, że wstrząśnięta Veka zemdleje. Ale oparła się tylko o ścianę i wyszeptwała:

- Nie zabiłeś smoka...

- Właśnie.

Jej drżące wargi rozciągnęły się w słabym uśmiechu.

- A Nekromantę?

Jig wzruszył ramionami.

- No, owszem, jego zabiłem.

- Ale... Zgładzenie Nekromanty nie mieści się nawet na liście „Stu heroicznych wyczynów oraz bohaterskich zwycięstw”! Najbliżej tego jest pokonanie Czarnego Pana, który po śmierci odrodził się w postaci ducha lub części ciała. To był chyba numer osiemdziesiąt trzy. Ale Joska dodała przypis, że można to podciągnąć kilka punktów wyżej, jeżeli nikt nie wierzy w jego powrót i wszyscy posądzają Bohatera o tak zwaną obsesję.

- Części ciała? Jak coś w rodzaju samego nosa? - Jig wzdrygnął się, odpędzając od siebie wizję ścigających go po tunelach rozjarzonych chochliczych nosów.

- Tak było w przypadku czarnej stopy Septora - wyjaśniła Veka. - Legenda głosi, że stopa pojawiła się w bucie maga żywiołów, Desirona. Kiedy ten próbował założyć but, czarnej stopie wyrosły kły i...

- Veka, przestań! - Ale było za późno. Obraz zapisał się już w jego katalogu koszmarów sennych. - Jeśli chcesz wyruszyć na awanturniczą wyprawę, idź.

- Ale nie jestem...

- Kim? Bohaterem? Tylko dlatego, że jakaś tam Joska nie umieściła na swojej liście „Zniszczenia portalu chochlików umieszczonego w opuszczonej jaskini smoka”? - Jig nie mógł uwierzyć, że powiedział coś takiego. - Czy prawdziwy Bohater dopuściłby, aby jego życiem kierowało zakurzone tomisko? Żeby zapleśniała księga mówiła mu, co może robić, a czego nie?

- Chyba nie...

- A ten wąż, którego pokonałaś? Sznyt opowiadał mi o nim. Ogień, łuski, skrzydła... Dla mnie to dość smoczy opis.

Goblina wyjaśniała.

- Rzeczywiście.

- Veka, potrzebujemy takich goblinów jak ty. Goblinów, które spenetrują wnętrza góry, opuszczone tunele i jaskinie albo wyjdą zbadać świat zewnętrzny.

- Ale przecież zamknąłeś wejście - przypomniała i nagle jej oczy zrobiły się jak talerzyki.

- Zamierzasz je ponownie otworzyć?

Jig zazgrzytał zębami. Ciemnogwiazdy nie odzywał się od jakiegoś czasu, ale Jig wiedział, że bóg cały czas słucha.

- Myliłem się. Nie możemy odcinać się od reszty świata.

Veka nie przestawała wpatrywać się w niego intensywnie, aż w końcu Jig zaczął rozważać, czy ta rozmowa nie zaszkodziła jej jakoś na mózgu. Kiedy wreszcie się odezwała, jej

głos był spokojny i pobrzmiwały w nim nuty nieśmiałości.

- A co z tobą? Czy to nie ty powinieneś wyprawić się poza górę? Przeżyć nowe przygody i dopisać dalszy ciąg swojej ballady?

Jig otrząsnął się, cofając raptownie.

- Nikt, ani ty, ani Grell, ani nawet Tymalous Ciemnogwiazdy nie skłoni mnie do pakowania się w żadną kolejną przygodę.

Ha, szepnął Ciemnogwiazdy, lubię wyzwania.

Nie!

Na twarzy Veki zawitał niepewny uśmiech. Przypominała teraz zalęknione dziecko, gotowe czmychnąć na pierwszą oznakę niebezpieczeństwa.

- Naprawdę uważasz, że to ja jako pierwszy goblin powinnam wyjść do górnego świata?

- Lepiej ty niż ja. - Machnął w stronę siedziby goblinów. - Będziesz potrzebowała zapasów. Ubrań, jedzenia, broni i tak dalej.

- Dziękuję! - Veka złapała jego ręce i uściśniła je mocno. Sekundę później gnała już w głąb tunelu.

Jig patrzył za znikającym w ciemności niebieskim blaskiem. Już miał udać się za nią, gdy usłyszał kroki za plecami. Ktokolwiek się zbliżał, robił to dzikim pędem. Jig rozpląszczył się przy ścianie, ukrywając w mroku. Ciapek co prawda był chłodny, ale nie zamierzał ryzykować.

Tupot urwał się tuż przy nim.

- Jig! - wydarł się ktoś stojący na wyciągnięcie ramienia.

Jig przysłonił uszy, krzywiąc się okropnie.

- Tu jestem, Braf!

Usłyszał, jak Braf odskakuje.

Ej, nie mogłeś go ostrzec, że jestem tuż obok?, zapytał z wyrzutem. *Ogłuszył mnie!*

Oczywiście, że mogłem.

- Czego chcesz? - zabrzmiało to bardziej oschle, niż chciał, ale nie uśmiechała mu się wizja kolejnej długiej pogawędki. Hobgobliny używały bardzo dużych naczyń, a te dwa piwa, które wypił, spłynęły wprost do jego pęcherza.

- Chodzi o niego - szepnął Braf. - Tymalouosa Ciemnogwiazdego. Nigdy nie wyjaśnił mi dokładnie, co mam robić. Znaczą oprócz tego razu, kiedy kazał mi cię uleczyć.

Jig jęknął. Nie był już wodzem. Dlaczego wszyscy przychodzili i pytali go, co mają

robić?

- Lecz inne gobliny. Hobgobliny też. Nie lubi też, jak się zabija ciosem w plecy albo podczas snu.

- Dziwne - stwierdził Braf. - Coś jeszcze?

Jig ruszył tunelem.

- Hm. Może ci kazać robić głupoty, na przykład pomagać ogrom, wyzwąć wodza na pojedynek albo walczyć z chochlikami, które mogą cię zgładzić kiwnięciem palca. - Spojrzał chmurnie na strop. - I nie powie ci nigdy, co sam robi w tym czasie.

- Jest bogiem - zauważył Braf. - Normalne, że jest manipulantom i żaden śmiertelnik go nie rozumie, nie?

Jig zmarszczył brwi.

- W sumie chyba tak.

- No i to wszystko? Leczyć gobliny, budzić ofiarę, zanim się ją zabije, i bić się ze stworami, z którymi i tak trzeba by walczyć? Nie brzmi szczególnie kiepsko.

- Tak? To poczekaj, aż jutro napadnie cię banda wściekłych goblinów, grożąc, że rozerwie cię na strzępy, jak nie wyleczysz ich z kaca.

Braf zatrzymał się nagle.

- A co on z tego wszystkiego ma?

- Beczkę śmiechu, obserwując, jak się miotamy, usiłując obronić nasze siedziby - mruknął Jig.

Spodziewał się, że Ciemnogwiazdy go zbeszta, ale w głowie panowało wspaniałomyślne milczenie.

- Ocalił ci życie - przypomniał Braf.

Chcąc nie chcąc, Jig musiał przyznać mu rację. Fakt, że Ciemnogwiazdy ciągle się do czegoś wtrącał i mieszał, ale kilka razy go uratował.

- Umm... Jig?

- Co?

- Mówiłeś, że jego magia potrafi wyleczyć kaca?

- Czemu nie?

- Dzięki! - Braf pognął z powrotem do jaskini hobgoblinów.

Bywało, że gdy mój kapłan spił się do nieprzytomności, odzierano go z szat i wypędzano z

miasta...

Chcesz, żeby Braf się dla ciebie rozebrał?

Bogowie brońcie! Nie, w tych czasach trzeba się zadowolić tym, co się ma. Gobliny są rasą brutalnych, flejtuchowatych samolubów, ale mają swoje zalety.

Na pewno nie jesteśmy dziećmi.

To znaczy?

Zachowujesz się jak Grell w żłobku, która podstępem i klapsami zmusza je, by robiły to, co ona chce. Nie próbuj tego więcej.

Głos Ciemnogwiazdęgo zagrzmiął w jego głowie, a Jig wyobraził sobie spadające z nieba gromy.

Śmiesz rozkazywać bogu, goblinie?!

Jig nie odpowiedział. Świetnie zdawał sobie sprawę, jak daleko może się posunąć, ale jak do tej pory nie zbliżył się do tej granicy. Przynajmniej tak mu się wydawało.

Jednak wiedział o bogu coś, czym nie podzielił się z Brafem - Tymalous Ciemnogwiazdy był bardzo samotny. Jako jeden z zapomnianych bogów przez tysiące lat egzystował opuszczony przez wszystkich, aż los zetknął go z Jigiem.

Masz rację, przepraszam.

Jig był tak zaskoczony, że omal się nie wywrócił. Zastanawiał się, ile istot może powiedzieć, że doczekały się przeprosin od boga.

Wiesz, dawnymi czasy wyznawcy nie stawiali bóstwom warunków.

Dawnymi czasy bóg wolałby pewnie zniknąć na zawsze, niż wziąć sobie na czcicieli gobliny, zripostował Jig.

Racja.

Jig nadstawił uszu. W tunelu przed nim ktoś śpiewał. Granicę terytorium goblinów znaczył wesoły zielony ognik. Był prawie w domu.

Idź. Posil się, wypocznij, ciesz się spokojem, póki możesz. Zasłużyłeś sobie.

Jig przystanął raptownie.

Póki mogę? Wiesz coś, czego ja nie wiem?

Naprawdę chcesz spędzić resztę życia, wysłuchując tej listy?

Królowa chochlików nie żyje. Portal zamknięty. Teraz Veka, Grell i Braf będą się troszczyć o to, żeby gobliny dojrzały i znalazły sobie jakieś miejsce w świecie. Co może być poza

tym?

Nic. Absolutnie nic.

To dobrze, chrząknął Jig.

Tyle że...

Jig zamknął oczy. Nienawidził bogów. Niemal tak bardzo, jak nienawidził siebie za pytanie, które zaraz miał zadać. Powinien sobie odpuścić. Niech Ciemnogwiazdy dzieli się swoimi złymi przeczuciami z Brafem. Niech jego zadrecza niejasnymi ostrzeżeniami.

No?

Nic, nic, naprawdę. Wiesz, masz rację. Pokonałeś chochliki, przeżyłeś kolejną awanturę, tak jak to zamieszanie ze Straumem.

A czego mi nie mówisz?

Rozbrzmiały dzwoneczki - Tymalous Ciemnogwiazdy się śmiał.

Nie wiesz jeszcze? We wszystkich pieśniach i legendach zawsze są trzy przygody.

Jig zazgrzytał zębami.

Nienawidzę cię.

Głośniejsze dzwonięcie, a potem cisza. Ciemnogwiazdy odszedł.

Jig pogłaskał Ciapka. Nie wątpił, że bóg ma rację. Ciemnogwiazdy zawsze miał w takich sprawach rację.

Wzruszywszy ramionami, podążył ku jaskini. Golaka odłoży pewnie mnóstwo resztek, a ponieważ większość goblinów nadal ucztowała, Jig miał szansę naprawdę się zrelaksować i spokojnie wypocząć.

Czego więcej mógłby chcieć przeciętny goblin?